

Ciąg dalszy
bestsellerów

Love me Never
Forget me Always

Remember me
Dziękuję

Remember me
Forever

SARA WOLF

Przekład
JULIA WOLIN



Korekta
Barbara Cywińska
Renata Kuk

Zdjęcie na okładce
© Dima Aslanian/Shutterstock

Tytuł oryginału
Remember Me Forever

Copyright © 2016 by Sara Wolf.
First published in the United States under the title REMEMBER ME FOREVER by
Entangled Publishing.
This translation published by arrangement with Entangled Publishing, LLC through
RightsMix.

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2017 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6525-4

Warszawa 2017. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

*Mojemu Wrogowi.
Przepraszam. Napisałam o nas kiepską książkę.
(Ale nie żałuję).*

Rozdział 1

3 lata, 43 tygodnie, 2 dni

Starsi ludzie lubią mówić, że powinniśmy się cieszyć życiem, dopóki jesteśmy młodzi. Przy czym sami mają jakieś czterysta dziewięćdziesiąt lat i jeżdżą volvo. Nie, żeby z volvo było coś nie tak. Ale zdecydowanie jest nie tak mieć czterysta dziewięćdziesiąt lat. Przede wszystkim dlatego, że masz wtedy zbyt duże doświadczenie, które sprawia, że jesteś nudny i mdły jak cola otwarta od tygodnia.

Przykład A: Jack Adam Hunter.

Przykład B: nieśmiertelne wampiry (jak sądzę).

Przykład C: dziadkowie.

Ale akurat moja babcia jest jedynym na całym wielkim świecie wyjątkiem. Babcia jest genialna. Gdy miałam dwa miesiące, zabrała mnie na przejażdżkę w koszyku przytroczonym do jej harleya-davidsona. Jestem prawie przekonana, że doświadczenie wiatru, spalin i wrzasków uczyniło ze mnie boginię, którą jestem dziś. Rodzice oddali ją do domu starców, bo zdaje się, że zabieranie nowo narodzonej wnuczki na rajd motorem to pierwszy objaw demencji czy coś. Ale teraz jestem w Georgii i wreszcie znów jesteśmy razem. Były łzy. I zasmarkane chusteczki. W sumie około pięciu minut hysterii. Zostało totalne

szaleństwo.

– Nie, żebym kwestionowała wagę sprawiania sobie przyjemności – mówię, podając babci kolejne naręcze fajerwerków. – Ale gdybym była taką osobą, taką wiesz, naprawdę nudną i bezbarwną i w ogóle niepodobną do siebie, moje pytanie brzmiałoby mniej więcej tak: „Co, do jasnej cholery, robimy na tym dachu o czwartej nad ranem znak zapytania”. A potem jeszcze cztery pytańniki. I bardzo zaniepokojony emotikon.

Babcia cmoka niecierpliwie i wpycha do komina ostatnią porcję. Jest tego tyle, że nie widać osmalonych cegieł w środku. Przed godziną przewlekliśmy przez komin długi lont, a teraz babcia przywiązuje do niego związane kolejne pojedyncze fajerwerki. Potem kuca, odgarnia z oczu rzadkie, farbowane na zielono włosy i uśmiecha się szatańsko.

– Jako przewodnicząca Rady ds. Powitań i Pożegnań w Domu Starości Silverlake mam obowiązek zapewniać naszym dziewczynom i chłopakom godne pożegnania. A nie te pogrzebowe procesje i nudne gładzenie księży. Viola była dobrą kobietą i kochała życie. Na pewno nie chciałaby takiego nudnego pożegnania, ale jej dzieci ją do tego zmuszają. Nawet po śmierci!

– Horror! – wykrzykuję z równym przerażeniem.

– Właśnie! – Babcia wskazuje na mnie palcem. Ma takie same oczy jak ja, rudobrązowe. I jak tata. – Coś okropnego, jaki brak szacunku ludzie okazują dziś zmarłym. W każdym razie my pożegnamy ją z godnością.

– Faszując komin fajerwerkami.

– Faszując komin fajerwerkami – potwierdza. – Kiedy rano pielęgniarka przyjdzie zapalić w kominku, w tej cholernej budzie wreszcie zrobi się kolorowo. Viola nieźle by się uśmieła.

Uśmiecham się i pomagam babci zejść po schodach

pożarowych. Jest wysoka i jak na siedemdziesięciolatkę świetnie się trzyma, ale chudzinka z niej i ma bardzo szczupłe palce. Kiedy znajdujemy się już na stałym gruncie i idziemy przez trawnik do jej pokoju, obejmuje mnie.

– A co z twoim pogrzebem, co? – pyta.

– Masz na myśli ten, który nigdy się nie wydarzy, bo znajdę siedem Smoczyc Kul i moim życzeniem będzie nieśmiertelność?

Babcia się śmieje.

– Tak, właśnie ten. Jak ma wyglądać?

Zastanawiam się przez całe sześć i pół sekundy.

– Obmacywanki. Tańce nago. Może do tego jakiś tort. – Babcia parska. Wchodzimy akurat po wyszorowanych do białości schodach. – Co? Co to miało być? Z jakiej okazji dostałam To Szczególne Spojrzenie?

– Nie, nic. Po prostu bardzo urosłaś. Mówisz o „obmacywankach”, nie rumieniąc się jak burak.

– No tak, cóż, jestem już niezwykle dojrzałą i odpowiedzialną osobą i mogę spokojnie dyskutować na temat wyzwania i udręki dorosłości.

– Tak? – pyta z zainteresowaniem.

– Takich, jak na przykład obmacywanki. Już to z kimś robiłam. – Babcia czeka. – Co prawda wcześniej dałam mu w pysk. Ale to był cios płynący z dojrzałości.

Śmieje się na cały głos. Potem otwiera drzwi, wchodzi do pokoju i siada na łóżku, a ja ostrzegawczo wskazuję na nią palcem.

– Tylko nie waż się planować, co ma się dzieć na twoim pogrzebie. Widziałam na filmach, że kiedy starzy ludzie zaczynają o tym gadać, natychmiast wszystko się materializuje, a wiesz, że jeśli umrzesz, będę bardzo niezadowolona.

– Tak bywa, bo jesteśmy mądrzy, skarbie.

– Tak bywa, bo macie jakieś totalnie pokrecone moce, które są w stanie zapewnić wam wszystko, czego chcecie, z wyjątkiem nieśmiertelności. I zębów.

Babcia ze śmiechem zdejmuje kapcie i kładzie się do łóżka.

– Chodź tu. – Siadam obok. Bierze mnie za rękę i powoli głaszcze, patrząc mi przy tym w oczy. – Jeszcze wiele osób będzie ci mówiło, jak masz według nich żyć. Niektórzy nie powiedzą tego wprost. Zdołają cię przekonać, jak masz żyć, nie mówiąc przy tym ani jednego słowa. – Wygląda przez okno, na ciemne niebo upstrzone gwiazdami, uśmiecha się i spogląda znów na mnie. – Posłuchaj uważnie, kochanie. Nie wolno ci żyć w żaden inny sposób poza tym, który daje ci szczęście. Jeśli nie jesteś szczęśliwa, odejdz od ukochanego. Jeśli nie jesteś szczęśliwa, rzuć pracę. Jeśli nie jesteś szczęśliwa, rób więcej rzeczy, które cię cieszą. Tylko ty jedna możesz uczynić się naprawdę szczęśliwą. – Już otwieram usta, żeby polemizować, ale mnie ucisza. – Tak, wiem. Są rzeczy i ludzie, dzięki którym czujesz się szczęśliwa. Ale nie sprawią, że taka będziesz. To musi wyjść z ciebie. Z twojego serca. Żeby pozwolić szczęściu rosnąć, musisz je czuć w środku. Niektórzy nigdy się nie nauczą. Nie wpuszczają szczęścia albo decydują się za późno. Są też tacy, którzy nie są szczęśliwi, bo się boją. A to najgorsza rzecz, jaką można sobie zafundować. Jak samobiczowanie. Wielu nawet nie wie, że to robi. Chciałabym, żebyś postarała się być szczęśliwa, dla siebie.

W oczach zbierają mi się łzy. Jeśli się rozplacę, nigdy nie przestanę.

– Była taka dziewczyna – mówię. – Taka... Przyjaciółka. W pewnym sensie. Ona nigdy nie wpuściła szczęścia. Była chora. Naprawdę bardzo chora.

– Gdzie jest teraz? – pyta babcia łagodnie.

– Ona... – Ściskam mocniej jej dłoń. – Zabiła się. A ja byłam ostatnią osobą, która z nią rozmawiała, babciu, i... – Chude, ale mocne ramiona zamykają mnie w uścisku i czuję zapach bzu i lekko zatęchłej pościeli. – Ja mogłam... Powinnam była widzieć, powinnam...

– Nic nie mogłaś zrobić. – Głos babci brzmi jak ze stali.

– Ale... Byłam z nią, znałam ją, wiedziałam, jaka jest smutna...

– Musiała być bardzo nieszczęśliwa.

– Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ale... Myśleliśmy, że...

– A teraz? Myślisz, że nadal jest nieszczęśliwa?

– Teraz jest... martwa.

– Gdziekolwiek się znajduje, jest szczęśliwsza niż tutaj.

Odsuwam się.

– Nieprawda! Teraz po prostu nie żyje. Nic nie czuje. Gdyby... Gdyby żyła, miałyby szansę być szczęśliwa, tutaj, z nami wszystkimi...

W smutnych oczach babci pojawia się błysk.

– To mi przypomina gadaninę człowieka, który chciałby mówić innym, jak mają żyć.

Już zamierzam zaprotestować, ale zamykam usta. Babcia ma rację. Kim jestem, żeby przekonywać innych, jak bardzo Sophia byłaby szczęśliwa, gdyby żyła? To nie moja rola. Babcia przytula mnie mocniej, układa moją głowę na piersi, a ja jej na to pozwalam. To jak powrót do domu.

– Oplakuj ją, moja słodka, a nie to, co zrobiłaś albo czego nie zrobiłaś. A potem wstań. I znajdź coś, co da ci szczęście – mruczy.

– Życie jest zbyt długie, żeby się przez cały czas smucić. Ona na pewno by chciała, żebyś była szczęśliwa.

Przypominają mi się wszystkie sytuacje, gdy twarz Sophii

wykrzywił gniew.

– Nie sędzę.

– Powiedziałaś, że była twoją przyjaciółką.

– Tak, ale... Skrzywdziłam ją. Zrobiłam coś, co ją zraniło.

– Specjalnie?

Zamierzam odpowiedzieć, że tak, ale na chwilę milknę. Miele w głowie pocałunek z Jackiem. Naszą wojnę. Śmiech i wściekłość oraz te łagodne, czułe chwile. Wspomnienia szczypią jak sok z cytryny na palcu rozciętym papierem.

– N-nie. Ja próbowałam... pomóc? – Babcia unosi cienkie brwi. Kręcę głową. – Na początku tak było. Chciałam pomóc innej mojej przyjaciółce, Kayli. Ale potem... Zaczęłam go naprawdę lubić. Raniłam Sophię tym, że go lubiłam. Im bardziej go lubiłam, tym większy ból jej zadawałam. Czyli... Cofam to. Nie próbowałam pomóc. Byłam egoistką.

– Z tego, co mówisz, chciałaś być szczęśliwa z tym chłopcem.

Prycham.

– Ale to ją unieszczęśliwiało. Myśmy ją bardzo zranili. Stałam między nimi. Ja... Ona czuła, że nic jej nie zostało, kiedy zaczęła odchodzić. Więc... Więc...

Przypominam sobie białą sukienkę na zielonym trawniku. Niebieskie oczy Sophii, nagle puste, wachlarz rozsypanych włosów, wyglądających jak wąsy kukurydzy splecione ze światłem księżyca oraz krew w miejscu, gdzie jej głowa uderzyła o ziemię. Mrugała do mnie cienka srebrna bransoletka z napisem TALLULAH.

Straciła prawie wszystko. A ja odebrałam jej ostatnią osobę w życiu. Bez zastanowienia, bez choćby chwili refleksji, jak bardzo ją to zaboli. Po prostu parłam naprzód i robiłam, co mi się podobało. Bo chciałam być szczęśliwa.

Chciałam kochać, chociaż wiedziałam, że na to nie zasługuję.
A teraz już nigdy nie zasłużę.

Jestem podła.

Jestem najgorszym ze smoków, który zjadł najsmutniejszą z księżniczek.

Ciąg czarnych myśli przerywa babcia, która stuka mnie palcem w czoło.

– Słyszę koła zębate w twoim mózgu. Nie pozwalaj im na to. To arogancja. Za dużo myślisz o sobie i o tym, jak wpływasz na ludzi. Skoro ta dziewczyna się zabiła, to znaczy, że jej życie było nieznośne i planowała to od dawna. Nie zrobiła tego z twojego powodu.

– Ale przyczyniłam się do tego. Ja...

Babcia opada na poduszki, wzdycha i okrywa się kołdrą.

– Nie będę z tobą dyskutować, dopóki nie przestaniesz się nad sobą użalać, słyszysz? Wróć, jak zaczniesz myśleć jasno. Chcę porozmawiać z moją wnuczką, a nie egzaltowaną męczennicą, która aż się rwie, żeby sobie przypisać całą winę.

Milczę. Babcia chyba czuje, jak doniosłe to wydarzenie, bo wzdycha.

– Przepraszam. Wiem, że jest ciężko. Ale ty jeszcze bardziej wszystko utrudniasz. – Podnosi się i całuje mnie w policzek. – Przyjedź o dziewiątej. O tej porze pielęgniarki palą w kominku.

Na moich ustach pojawia się nieśmiały, ponury uśmiech.

Do domu wracam ciemnymi drogami. Towarzyszy mi trzy czwarte księżyca, łąpiące zza horyzontu. Taki sam kolor miały włosy Sophii. Wyraźnie słyszę jej głos.

„Próbowałaś pomóc i nigdy nie zdołam ci się za to odwdzięczyć”.

O ósmej rano jadę do domu opieki, gdzie razem z babcią

sadowimy się wygodnie w ogrodzie, w okularach przeciwsłonecznych i z lemoniadą. Czekamy na wybicie dziewiątej.

A gdy wreszcie nadchodzi, komin zaczyna pluć fajerwerkami: pomarańczowymi, niebieskimi i zielonymi, które aż rozpalają chmury. Babcia się śmieje i wznosi toast w stronę nieba, na znak pamięci o drogiej przyjaciółce. Ja też oddaję jej cześć, lekko skłaniając głowę.

Rozdział 2

3 lata, 44 tygodnie, 2 dni

Kiedy miałam dziewięć lat, tata się spakował i odszedł. Był ładny, słoneczny dzień. Miałam na sobie spodnie na szelkach, powietrze pachniało jagodami, obserwowałam go, aż wsiadł do taksówki i odjechał. Próbowałam za nim biec, ale miałam za krótkie nogi.

Tamtego dnia nauczył mnie czegoś bardzo ważnego.

Kiedy robi się ciężko, ludzie odchodzą. Nie, żebym ich obwiniała. Z problemami naprawdę trudno się żyje, wysysają z człowieka energię, pochłaniają czas i uwagę. Ludzie odchodzą, bo tak jest łatwiej i mogą skupić się na czymś innym, nie tak skomplikowanym. Tata odszedł, bo mama za dużo narzekała, stresowało ją wychowywanie dziecka, poza tym stale mieli za mało pieniędzy, no bo mieli mnie. W większości to była moja wina. Gdybym się nie urodziła, byliby szczęśliwi. Ale nigdy nie zebrałam się na odwagę, żeby któreś z nich za to przeprosić.

Ale teraz idę na studia. Jestem starsza. Już ich tak nie potrzebuję. Zniknęła mała dziewczynka, która próbowała dogonić taksówkę.

Słońce usiłuje wypalić mi gałki oczne. Budzę się codziennie o czternastej, a to oznacza, że jestem gwiazdą rocka. Albo zombi.

Możliwe, że jednym i drugim. Gwiazdy rocka ćpają, a zombie dust to przecież nazwa narkotyku, tak? Tak. Wiem mnóstwo o narkotykach. Idę do college'u i jestem świetnie poinformowana. Dam sobie radę.

– Isis? – Słyszę pukanie do drzwi, a zaraz potem głos taty. – Czemu mamrociesz o narkotykach?

Czyżbym znów myślała na głos? Wskakuję z łóżka, wciągam dzinsowe szorty, wyglądam wygniecioną we śnie koszulkę i otwieram drzwi. Tata wpatruje się we mnie z niezadowoleniem. We włosach ma srebrzyste pasma, a jego oczy mają odcień ciepłego brązu, jak moje.

– Dobre pytanie. A oto i odpowiedź: ćwiczę odmawianie dealerom – oznajmiam. – We śnie.

Tata pozostaje niewzruszony. Przytulam go i lecę na dół, mijając po drodze dziesiątki rodzinnych portretów. Ściany są białe, a dywany puszyste. Poręcze z czereśniowego drewna błyszczą, a schody są ogromne, jak w jakiejś baśni o wielkim pałacu.

– Wreszcie jesteś, Isis! Dzień dobry.

– Jest i moja wstrętna macocha – burczę. Tak naprawdę nie jest wstrętna. Na skali od cudowności do wstrętności dałabym jej cztery, co oznacza olewczą-egoistyczną. Ten sam poziom reprezentują nauczyciele na zastępstwach i kolesie, którzy puszczają muzykę w samochodach na cały regulator, kiedy człowiek usiłuje spać. Nazywam ją wstrętną, bo poprawia mi to humor. Wstrętna jestem.

Kelly stoi przy drzwiach. Ma blond włosy, niebieskie oczy, ręce chudsze od nóg bociana i tyle makijażu na twarzy, że zawodowa modelka umarłaby pod tym z braku tlenu. Nigdy nie widziałam jej nieuczesanej i niezrobionej, nawet wieczorem ani w niedzielę.

Jest chyba w dziesiątym miesiącu ciąży, ale i tak wygląda, jakby właśnie wyszła z reklamy Searsa, ma pastelowy sweterek i całą resztę. Urodziła już bliźniaczki, ale jej figura ani odrobinę nie ucierpiała. Mam poważne podejrzenia, że jest androidem, ale jeszcze nie znalazłam jej ładowarki.

– Na śniadanie są croissanty. Zrobiłam też twój przysmak, placuszki z bitą śmietaną! – Uśmiecha się. – To twoja ulubiona potrawa, prawda? Tak twierdzi twój ojciec.

– Tak. Uwielbiałam je. Jak miałam jakieś... cztery lata. – Uśmiecham się tak szeroko, że zaczynam wyglądać dziwnie. Tata nie ma pojęcia, kim jestem, to boleśnie oczywiste. – Słuchaj, wielkie dzięki za trud godny Marthy Stewart, byłaby z ciebie dumna, ale mam inne plany śniadaniowe.

– Nie masz – rzuca lekko.

– Tak się właśnie składa, że mam. Umówiłam się z przyjaciółmi.

– Jakimi przyjaciółmi? Nie masz w Georgii przyjaciół.

– Mam przyjaciół na całej osi czasoprzestrzennej. A wielu jest obdarzonych mocą telepatii. Oraz tworzenia kul ognia. Lubisz kule ognia? Mam nadzieję, że tak. Bo oni z kolei nie lubią, jak ktoś twierdzi, że nie mam przyjaciół.

Perfekcyjna, porcelanowa twarz Kelly tężeje. Znam już ten motyw, w końcu jestem tu od dwóch tygodni i dzieje się to za każdym razem, gdy się odzywam. Nie znosi tego, kim jestem i co mówię. Wiem to. Nie mieści się to w jej wizji idealnej nastolatki. Ma ochotę mi powiedzieć, że jestem żalosna i przesadzam, ale chce też, żebym ją lubiła, to przede wszystkim. Przepycham się obok i biorę ze stolika przy drzwiach torebkę i kluczyki do auta.

– A może zakupy? – proponuje, gdy jestem już na progu. – Mogłybyśmy pójść wszędzie, dokąd masz ochotę! Znam świetny

sklep w centrum...

– A może nie? – przerywam. – Z dodatkiem „dziękuję”.

– Szkoda. – Zmusza się do uśmiechu. – Powinniśmy spędzić trochę czasu tylko we dwie. Naprawdę chciałabym cię poznać.

– Chciałabyś mnie poznać? Wiedzieć, że w trzeciej klasie sikałam w majtki? Że lubię kiepską muzykę popową, karuzele i kolor pomarańczowy?

– To byłby świetny początek!

– Chcesz, żebym cię lubiła. Ale nie interesuje cię, kim jestem. Po prostu oczekujesz sympatii. Ale to tak nie działa. Nie wydarzy się z dnia na dzień.

– Co się dzieje? – Na szczycie schodów pojawia się tata. – Czemu znów mówisz do Kelly tym tonem?

– Jakim tonem? – pryham, tłumiąc śmiech.

– Właśnie tym. Proszę się tak do mnie nie zwracać. Jestem twoim ojcem.

W gardle staje mi gorejąca gula.

– Przepraszam – mruczę. – Ciągle o tym zapominam, w końcu nie widziałam cię od ośmiu lat.

Trzaskam za sobą. Jestem wściekła, a żwir chrzęści mi pod stopami. Kelly nierozważnie dała mi nieograniczony dostęp do swojego „starego” bmw, które wygląda, jakby dopiero co wyjechało z salonu. Ma takie trzy, w różnych kolorach, z różnymi typami otwieranych dachów i bajeranckimi oponami. Wsiadam, trzaskam drzwiczkami, zapalam silnik i oddalam się od wypielęgowanych trawników i równo posadzonych palm. Nawet domek dla dzieci zabawka jest z marmuru, z własną mikroskopijną fontanną. Działającą! Gdy wyjeżdżam z podjazdu, bliźniaczki do mnie machają, a ja im odmachuję. One są spoko. Małe i naiwne, nie mam do nich żalu o tę sytuację. To tylko

dzieci.

Ja też kiedyś byłam dzieckiem.

Czuję się tu jak rozwrzeszczany maluch posadzony siłą na kolanach luksusu, jak u Świętego Mikołaja w centrum handlowym.

Uspokajam się przez całą drogę na plażę. Przyjechałam tu na lato, bo wydawało mi się, że tata naprawdę się za mną stęsknił i chciałby się ze mną zobaczyć, zanim wyjadę na studia. A także dlatego, że mama jest w o wiele lepszej formie. Jednak w przepastnym i zjawiskowym labiryncie, zwanym w skrócie moją głową, rozlega się bzyczący dźwięk jak w teleturnieju po udzieleniu złej odpowiedzi. Bzzz! Żle! Tata chciał, żebym przyjechała, bo ma poczucie winy i stara się wynagrodzić mi stracony czas. Ale nie uda mu się. Bo w przeciwieństwie do mamy on po mnie nie wrócił.

Kelly się nie zmieniła, to ja. Nie potrafię jej znieść. Jestem innym człowiekiem. Dwa lata temu, w czasie mojej ostatniej wizyty tutaj, byłam spokojna. Smutna. Nie walczyłam, nie kłóciłam się. Zmagałam się z całą sytuacją z Bezimiennym. Byłam tuż przed...

Kręcę głową.

Ostatnio byłam czysta. Prostolinijna. Nieskalana.

Tata wciąż widzi we mnie małą dziewczynkę i tak mnie traktuje. Jakby należał mu się szacunek. Jakbym miała się przejmować tym, co mówi.

Ale się nie przejmuję.

Bo mnie zostawił. Dwa razy.

Nie mogę mu tego jednak powiedzieć prosto w oczy. To by nadwerężyło ten chwiejny układ rodzinny, jaki tu funkcjonuje. Już i tak wieść, że rezygnuję ze Stanfordu, nie poprawiła mojego

wizerunku w jego oczach. Zdążył sobie kupić idiotyczną koszulkę z napisem: „Mam dziecko w Stanfordzie”. Kto kupuje takie rzeczy?! Turyści i ludzie bez poczucia stylu. Tata nie rozpoznałby stylu, choćby styl go ugryzł w jego profesorski tyłek i z całą pewnością jest turystą, bo pojawia się w moim życiu co jakiś czas na dwa tygodnie.

Wzdycham i parkuję. Plaża Goldfield jest nieduża. Wysokie trawy falują lekko na wydmach z szarego piasku. Woda jest dzisiaj wzburzona i ciemna, jakby rozwścieczona czarownica warzyła tu zupę mającą wykończyć całą wioskę. To Atlantyk, nad którym się wychowałam, jeszcze na Florydzie. Czuję zapach soli i rozgrzanych na słońcu kamieni. Mewy uprzejmie na siebie wrzeszczą, kłócąc się o kawałek kraba. Ocean jest wielki i ma gdzieś, jakim tonem mówię, czy pójdę na zakupy i w jakim college’u będę się uczyć.

Zrzucam buty i zaczynam biec. Bieganie i ja rozstaliśmy się, gdy schudłam. Ale teraz znów trzyma mnie przy życiu. Nawet bmw Kelly jest przesycone jej zapachem. Tylko biegnąc, jestem w stanie zostawić ten szajs za plecami.

Bieganie po plaży jest fajne i niezwykle. Potykam się na kamieniu i walę się w palec tak mocno, że odtąd będę musiała żyć ze stopą hobbita. Tak bardzo brakuje mi tchu, że nie wiem, czy nie zwymiotuję. Mewa prawie robi mi kupę na rękę.

– Spoko! – Zakrywam oczy i patrzę w niebo. – Masz szczęście, bo oprócz oszalamiającej urody zostałam też obdarzona złotym sercem. Wybaczam ci!

Z wdzięczności sadi mi na ramieniu wielkiego kleksa.

Wzdycham. I tak mogło być gorzej. Mogłabym być otoczona ludźmi. Na księżycu. A jednym z nich byłby Jack Hunter.

Żołądek skręca mi się i zwija jak mistrz świata w jodze. Widzę

tylko jego lodowate oczy, lód skuwa mi serce i muszę wykrzesać resztki swojego ognia, żeby go stopić. Bo nie teraz.

I już nigdy.

Odbiegłam daleko od samochodu. Jego niemieckie, fikuśne reflektory nie widzą, jak dumam nad życiem w ten jakże smutny, a jednocześnie zjawiskowo seksowny sposób, z którego słynę. Lub jestem z jego powodu niesławna. Niesławna. Czy jeszcze kiedyś z czegoś zasłynę negatywnie? Odcisnęłam swoje piętno w East Summit High, ale w Ohio State będę nikim. Gumą do żucia przyklejoną do podeszwy zabieganej damy z Nowego Jorku. A nawet mniej! Piętką chleba, której nikt nigdy nie zjada, bo nie da się z niej zrobić porządnej kanapki. A zresztą chleb i tak zalatuje stęchlizną, kiedykolwiek by go kupić.

Po śmierci Sophii działo się tyle, że nie miałam czasu martwić się nową szkołą. Ale teraz został już tylko tydzień do rozpoczęcia roku i zaczynam panikować. Jestem już prawie na pierwszym roku! Zamieszkam w akademiku, ze współlokatorką, i będę chodziła na zajęcia, z których oceny mają realne znaczenie! Zdecydują o mojej karierze łamane przez przyszłość łamane przez życie z Tomem Hiddlestonem. Muszę zacząć traktować wszystko choć odrobinę poważnie! Fuj! Na samą myśl o tym słowie przechodzą mnie ciarki. Poważnie. Poważnie! Sroważnie. Zabawa jest dla dzieciaków. A college nie. College jest dla dorosłych.

A ja się nie czuję dorosła.

Najbardziej martwię się o mamę, ale zaplanowałyśmy, że będę przyjeżdżać co drugi weekend. Nawet jej terapeutka twierdzi, że mama radzi sobie o wiele lepiej, zwłaszcza że jej potworny były chłopak trafił do więzienia. Cieszę się, że tam jest, nie tylko dlatego, że rzucił mną o ścianę, rozpołowił mi czaszkę i prawie

zabił łamane przez czasowo usunął z mojej pamięci Jacka, ale zwyczajnie dlatego, że źli kolesie powinni siedzieć w więzieniu, i już.

Gdy mama żegnała mnie na lotnisku w Columbus, miała znów rumiane policzki i w ciągu ostatniego tygodnia uśmiechała się częściej niż przez całe moje życie.

A może tylko udawała, żeby mi poprawić nastrój?

Podnoszę z piasku płaski, gładki kamień i próbuję puścić kaczkę, ale kamyk od razu idzie na dno.

W East Summit High School życie zamarło po śmierci Sophii.

Ale oczywiście nikt nie mówił tego na głos, z wyjątkiem mnie. Avery, Królowa Pszczół, najpopularniejsza dziewczyna w szkole i moja żałosna ledwie koleżanka, przychodziła na lekcje coraz rzadziej i rzadziej, aż w końcu przestała. Jakiś czas przed końcem roku dowiedzieliśmy się, że trafiła do szpitala psychiatrycznego i przechodzi intensywną terapię. Nie było mowy, żeby pojawiła się na balu kończącym szkołę. Hierarchia społeczna panująca w East Summit została zachwiana i odwrócona do góry nogami, a dziewczyny zaczęły walczyć o wakacje i tytuł królowej balu.

Przyszła za to na rozdanie świadectw i stawiała się na podium, gdy wyczytano jej nazwisko. Była blada i wymizerowana, a jej rodzice siedzieli na widowni i uśmiechali się mocno zaciśniętymi ustami, oferując jej oziębłe wsparcie. Zaczęło mi się wydawać, że wpakowali ją na oddział dla świrów trochę na pokaz, żeby szybciej zrobiło jej się „lepiej”, a oni nie musieli się zastanawiać, czy rzeczywiście tak jest. Później, zanim ktokolwiek z nas zdążył mrugnąć, znów zniknęła i wylądowała na prywatnej uczelni w Connecticut, a nie na Uniwersytecie Kalifornijskim, jak zamierzała. Jest suką, ale i tak mam nadzieję, że dojdzie do siebie. A przynajmniej będzie trochę szczęśliwsza. Ale to Sophia

była szansą na jej odkupienie, jej idolką i przyjaciółką. Gdybym ja straciła to wszystko jednocześnie, też byłabym załamana.

Wren wpatrywał się w trumnę Sophii, jakby to było coś nierzeczywistego, program w telewizji. Kayla – moja najlepsza przyjaciółka i jego dziewczyna – pomogła mu w najgorszych chwilach, odwiedzała go codziennie i siedziała z nim w gabinecie szkolnej pielęgniarki, kiedy miał kryzys. Pękało nam serce, gdy widzieliśmy go tak beznadziejnie, potwornie smutnego. Sophia była jego przyjaciółką z dzieciństwa. Ja pilnowałam, żeby jadł, przynosiłam mu burrito i paszteciki z warzywami, a kiedy nie mógł jeść, wysyłałam esemesy, żeby przynajmniej poszedł spać. Choć pewnie niewiele to dawało. Prawdopodobnie mogłam zrobić coś więcej. Bal na koniec szkoły mignął jak sen, żadne z nas nie poszło. Spędziliśmy ten wieczór przy grobie Sophii, żegnając się z nią każde po swojemu.

Przed ceremonią rozdania świadectw Wren nauczył się znów uśmiechać. Politechnika w Massachusetts wciąż była dla niego czymś bardzo ważnym i pojechał tam na samym początku wakacji, żeby walczyć o dodatkowe punkty. Albo uciec od śmierci Sophii. Pewnie jedno i drugie. Kayla była rozdarta, ale ponieważ we wrześniu i tak pójdzie na studia w Bostonie, nie mogła cierpieć aż tak bardzo. Po śmierci Sophii bardzo się do siebie zbliżyli. Nie wiem, czy robią coś na serio. Kayla go głównie przytula. Z tego co widzę, nie ma całowania, a ona nie chce mówić, co robią na osobności, ale raczej z szacunku dla ich prywatności niż ze wstydu. Bardzo dojrzała. Mówi o „Vogue’u” już tylko raz w tygodniu, góra!

Puszczam kolejną kaczkę. Ta podskakuje dwa razy, zanim zniknie w falach.

Będę tęsknić za Kaylą. Już tęsknię.

Te wakacje spędziłyśmy głównie we dwie, wykorzystując czas na ostatnie nocowanki i gapienie się w gwiazdy na pustych pastwiskach w towarzystwie butelki wina. Nie chodziłyśmy na imprezy. Nie miałam ochoty. Kayla nie przyjaźniła się z Sophią, ale ta śmierć dotknęła jej przyjaciół i chłopaka. Obiecałyśmy sobie pisać codziennie. I obserwować się na Instagramie. I na snapchacie. I na fejsie. Ogólnie obiecałyśmy sobie, że będziemy z sobą rozmawiać. Dużo. Przestaniemy się tak często widywać, ale kiedy o niej pomyślę, ciepły spokój wypełnia mi serce. Stoję za nią murem. I wiem, że ona za mną też.

Nigdy nie lubiłam pogrzebów. A teraz lubię je jeszcze mniej.

Płakałam. Oczywiście, że tak.

Jack Hunter nie zapłakał ani razu.

Powinien, ale nie zrobił tego. Stał w rogu ze swoją mamą, która płakała za nich oboje. Jej czarna sukienka i jego czarny garnitur stapiały się w jedno, gdy wspierała się na nim, żeby utrzymać równowagę. Włosy miał perfekcyjnie ułożone, a jego twarz skuwała maska najciemniejszego lodu, jaki dotąd u niego widziałam. Stąd jego szkolne przezwisko: Lodowy Książę. Pod oczami miał sińce z niewyspania, a kości policzkowe wydawały się zarysowane jeszcze ostrzej niż zwykle. Przeszywał mnie dreszcz, gdy na niego patrzyłam. On już nie udawał obojętnego i biernego. Stał się martwy za życia. Pusty. Iskra w jego oczach przygasła i została błąda skorupa. Ciało przypominało opustoszały pancerz, iluzję uzyskaną za pomocą luster i szorstkiego szronu, która miała roztrzaskać się od najlżejszego dotyku. Od samego patrzenia na niego robiło się zimno. Wyglądał, jakby nie powinien już żyć ani się poruszać. Jak manekin. Pacynka zombi.

Raz spróbowałam. Przywrócić go do życia. Na stypie w

cuchnącym pleśnią domu pogrzebowym, gdzie podano smutne ciasteczka i rozpaczliwe rolady, powiedziałam coś o Sophii, że ksiądz, który nazwał ją wielkoduszną i piękną osobą, wcale jej nie znał. Jack stał w kącie, z dala od hałasu i płaczu, trzymał szklanę z wodą i wpatrywał się w jej powierzchnię. Podniósł wzrok, przyjrzał się mojej twarzy i zamknął oczy.

– To koniec – powiedział zbyt spokojnie.

– Z czym? – spytałam, a żołądek mi się ścisnął. Odepchnął się od ściany i zaczął odchodzić. Na pożegnanie rzucił tylko jedno, ostatnie słowo.

– Z wszystkim.

Przestał przychodzić do szkoły. Rozmawiałam o tym z dyrektorem Evansem. Mówił, że Jack odpuścił. Harvard nie wycofał oferty i Jack mógłby tam studiować nawet z samymi pałami w ostatnim semestrze, ale oboje wiedzieliśmy, że nie ma o czym mówić. Już mu nie zależało.

W kwietniu, po prawie dwóch miesiącach nieobecności, zaczęłam go szukać. Chciałam już wcześniej. Boże, naprawdę. Walczyłam z sobą, żeby tego nie robić. Myślałam, że potrzebuje czasu, przestrzeni, że to pomoże, jeśli się usunę. Ostatnie, co mogłoby mu pomóc, to widok mojej twarzy. Śledząca cię świruska, która kiedyś była twoim wrogiem, to wyzwanie nawet dla najbardziej zatwardziałego Lodowego Księcia. Poza tym i tak bym nie wiedziała, jak pomóc. Tylko bym bardziej namąciła. Powiedziała coś nie tak. Zrobiła coś złego. Jak z Sophią.

Ale kiedy któregoś dnia, późnym popołudniem, przyszła do mnie zapłakana pani Hunter i zaczęła błagać, żebym go znalazła, wiedziałam, że już czas. Chociaż wiedziała, że byliśmy z Jackiem trochę przyjaciółmi, a trochę wrogami, była na tyle zdesperowana, żeby prosić o pomoc wszystkich znajomych. Ale

nikt nie był w stanie. Wrena i Avery za bardzo pochłaniała rozpacz.

Zostałam tylko ja.

Zaczekałam do ferii wiosennych. I zaczęłam ścigać ducha.

Jego mama pokazała mi liścik, który Jack zostawił: prosty, napisany odręcznie na zwykłej białej kartce. Pisał, że wyjeżdża, żeby nie wzywała policji i że ją kocha. Zmusiła bank do udzielenia jej informacji o jego koncje. Okazało się, że pieniądze zebrane na operację Sophii zostały mu zwrócone, a on je komuś podarował, zostawiając sobie zaledwie cztery tysiące dolarów. Oczywiście, że można za to trochę pożyc. Ale po trzech miesiącach zacznie się robić ciężko.

Zostawił wszystkie rzeczy. Wziął tylko pudełko po cygarach ojca, z listami od Sophii. Szukałam śladów jego obecności przy grobie Tallie, córki jego i Sophii, która zmarła, zanim się w ogóle urodziła, ale nie. Nie było go tam. Róża na grobie Sophii zwiędła. Leżała już od kilku tygodni. Gdyby się tam pojawił, przyniósłby świeże kwiaty.

Potem sprawdziłam w szpitalu. Dzieciaki, z którymi się tam zaprzyjaźniłam, Mira i James, powiedzieli, że Jack przyszedł do nich dzień po pogrzebie Sophii. Zdradził im, że wyjeżdża na długo, i przyniósł im po wielkim miśku. Byli przyjaciółmi Sophii. Zanim guzy w mózgu zaczęły zmieniać jej osobowość, Sophia ich kochała. Byli dla niej jak Tallie, dziecko, którego nie miała, i Jack o tym wiedział. Traktował ich w ten sposób.

W końcu zadzwoniłam do Rose Club, ale powiedzieli, że odszedł z pracy kilka miesięcy temu.

I tyle. Wszystkie tropy prowadziły donikąd. Jack wymykał mi się z rąk jak wiatr.

A później zadzwoniła Lily. Podśluchała moją rozmowę z

operatorką Rose Club. Przyjaźniła się z Jadenem, służbowym wcieleniem Jacka w agencji osób do towarzystwa, w co od razu zwątpiłam, bo jedynymi przyjaciółmi, na których posiadanie Jack sobie pozwalał, było odbicie w lustrze i/lub jego wielki, durny mózg. Ale pozwoliłam jej trajkotać sobie do ucha i zgodziłam się na spotkanie w Columbus.

Okazała się śliczną blondynką mierzącą ponad metr osiemdziesiąt. Sądząc po drogiej torebce i perfumach, od razu uznałam, że jest kobietą do towarzystwa, a ona się nie wypierała, za co od razu ją polubiłam. Nie traciła mojego cennego czasu, który postanowiłam poświęcić na ratowanie Jacka.

Ratowanie?

Pokręciłam głową i patrzyłam, jak słona fala rozbryzguje się na skale. To złe słowo. Nie mogę tak myśleć. Nie jestem nawet w stanie uratować siebie, a co dopiero kogoś innego. Ale przez jakiś czas chciałam. Naprawdę. Kto jak kto, ale Jack zasługiwał na ratunek. Pomyślałam, że pomogę chociaż trochę. Że po wszystkim, przez co przeszliśmy, zrobię dla niego choć tyle. Po tym, co do niego czułam.

Śmieję się i wrzucam kamień do wody, nie zawracam już sobie głowy puszczaniem kaczek.

Byłam idiotką.

Stara Isis nie poddałaby się, gdy Lily powiedziała, że Jack ją odwiedził przed wyjazdem. Nie mówił, dokąd się udaje, ale dał jej teczkę i poprosił, żeby przekazała ją Isis, jeśli ta zacznie węszyć w klubie. Więc tak zrobiła.

– Musi cię naprawdę lubić – dodała Lily, wpatrując się w swoje paznokcie, gdy chowałam teczkę do torebki.

– Tak, na pewno. Kobry też lubią mangusty. Z daleka. Z przeciwnych stron płotu elektrycznego.

– Nie, posłuchaj. – Nachyliła się i położyła chłodną dłoń na mojej. – Widziałam wielu mężczyzn, jasne? W ogóle wiele typów ludzi. Jack jest wyjątkowy. Pewnie by się wyparł, ale jemu zależy na kimś albo na sto procent, albo w ogóle. Nie uznaje półśrodków. Ci, którym zostawił coś na pożegnanie, to ludzie naprawdę ważni. Jesteś jedną z nich.

Nagle poczułam, jakby na moim sercu usiadł wojownik sumo. Staralam się zaczerpnąć tchu, żeby coś powiedzieć, ale każdy oddech bolał. Nie chciałam jej wierzyć. Jak mogłam uwierzyć, skoro po prostu uciekł?

Lily wkrótce potem zebrała się i poszła, a ja zerkałam na teczkę.

Dawna Isis nie poddałaby się, zobaczywszy, co jest w środku.

Nie zostawił liściku ani ogromnego misia. Tylko bilet do Paryża. Swoim zamaszystym, starannym pismem naskrobał na nim jedno słowo: „Przepraszam”.

Pod powiekami piecze mnie tak samo, jak wtedy. Próbował się mnie pozbyć.

Nieeee, Isis, daj spokój, nie bądź melodramatyczna. Z takich hysterii nigdy nic dobrego nie wynika. Przykłady: „Titanic”. Króliki, które umierają, gdy serce zacznie im bić zbyt szybko. Oraz wszystkie odcinki *Słodkich kłamstewek*. Może Jack nie miał serca, ale był także... No jaki? W każdym razie na pewno miał mnie gdzieś. Nie pożegnał się, przysłał mi bilet wysyłający mnie na koniec świata. Z całą pewnością nie przebywał w Paryżu i nie prosił, żebym do niego dołączyła. To żenująco romantyczny pomysł. A można o Jacku powiedzieć wiele, ale „żenujący” oraz „romantyczny” znalazłyby się na samym końcu listy jego cech. Razem z „miłym” oraz „ogólnie akceptowalnym”.

Wiele razy mówiłam Kayli, że chciałabym przejechać stopem

Europę. Ale tylko dla jaj. A on pewnie to słyszał. Musiał zrozumieć, że za fasadą żartu kryje się prawdziwe marzenie. Tak sądzę.

Wyjmuję bilet z kieszeni. Jest wytarty i pognieciony, a samolot odleciał sześć dni temu, ale nie potrafiłam ani tego biletu wykorzystać, ani wyrzucić. Na pewno kupił go za pieniądze przeznaczone na operację Sophii. Nie ma mowy, żebym taki prezent przyjęła (albo wyrzuciła). Więc go zatrzymałam. Odważniejsza Isis by poleciała. Isis nietargana poczuciem winy także.

Gdy zamykam oczy, widzę siebie w pokoju Jacka, gdzie szukam wskazówek co do celu jego podróży. Plaża jakby się rozmywa, a ja leżę na jego łóżku, gapię się w sufit i zastanawiam się, w którym miejscu tej piekielnej zawszonej dziury, którą dla ułatwienia nazywamy Ziemią, się znajduje. I czy jest bezpieczny. Bo szczęścia nie wymagam. Myślę, że to za dużo. Ale jeśli jest bezpieczny i będzie bezpieczny, może pewnego dnia osiągnie i szczęście. W każdym razie tak myślę. Mówienie tych rzeczy z przekonaniem, tak jakbym była pewna, to arogancja. Mnie nigdy nie umarł ktoś, kogo kochałam. A Jackowi trzy osoby.

Możliwe, że nigdy już nie będzie szczęśliwy.

Może na zawsze pozostanie złamany.

Jego pokój niknie we mgle i wracam nad ocean. Mściwy supeł w gardle powraca.

– Mam nadzieję, że jesteś cały, ty idioto – szepczę do fal.

Mogę tylko mieć nadzieję i żyć dalej. Nie mogę czekać. Mam życie do przeżycia. Chciałabym, żeby wszystko się ułożyło inaczej. Niekoniecznie tak, żebyśmy się spotykali. W obliczu śmierci Sophii byłoby to potwornie i kretyńsko egoistyczne łamane przez niewykonalne. Ale zależy mi na nim. Jak na wrogu.

Rywalu. Jedynej osobie na świecie, która może stawić mi czoło. W związku z tym chciałabym, żeby był względnie zdrowy i normalnie funkcjonujący, żebyśmy mogli się kiedyś znów spotkać i powalczyć. To było super, nauczyłam się wiele o sobie i przy okazji dojrzałam. Chodzi jedynie o tę walkę. Tylko za tym tęsknię. I już.

Nieoczekiwanie ściska mi się serce. Zaczynam płakać. Żeby się jakoś otrząsnąć, zdejmuję koszulkę i ścieram z maski bmw kupę mewy. I śmieję się.

I jest ogólnie super, z wyjątkiem tego momentu, kiedy zaczynam płakać jeszcze bardziej.

Rozdział 3

Zdradził go krzywy uśmiech.

Uśmiechnął się w taki szczególny sposób, jak to młodzi chłopcy, gdy zamierzają zrobić coś zakazanego. Prawdopodobnie wiążącego się z przemocą i bólem. Być może także nielegalnego, ale z całą pewnością superzabawnego dla nich. Dla zaangażowanych w sprawę już mniej.

Dlatego za nim idę. Bo znam ten uśmiech. Znam go dobrze jak swoją duszę. Raz czy dwa razy w życiu też się tak uśmiechałem, gdy byłem głupszym, bardziej wściekłym chłopakiem, który stracił ojca i chciał się odegrać na całym świecie. Uśmiechałem się tak, zanim podniosłem kij na Lea. I raz, gdy moją klientkę podniecały akty przemocy.

Po sesji z nią wymiotowałem przez godzinę i próbowałem ją z siebie zedrzeć. Zedrzeć z ludzkości zło.

Ale się nie udało. I nigdy się nie uda. Ludzkość zawsze będzie pogrążona w mroku. Ludzie będą chcieli sprawić innym ból, bez względu na to, jak żarliwie się zarzekają, że nie, oni nigdy.

Nauczyłem się tego trzy miesiące temu, po pogrzebie Sophii.

W samochodzie, gdy uciekałem z Ohio. Przed bólem, który zostawiałem za sobą.

Idę za chłopakiem cichymi ulicami miasta. Prowadzi mnie do jeszcze dwóch. Obstawiam, że są w pierwszej klasie ogólniaka.

Chudzi, w obcisłych dżinsach, z kieszeni dyndają im słuchawki. Nie mają mięśni. Doświadczenia. Odwagi. Dlatego dopadają bezdomnego, między kubłem na śmieci a ścianą pokrytą brązowiejącym graffiti. Są okrutni. Popychają go i się śmieją. Bezdomny ma na sobie flanelową koszulę i brudne spodnie, w drżących dłoniach trzyma dojedzonego do połowy banana, którego pewnie wyłowił z kosza. Siwa splątana broda sięga piersi. Ma spaloną słońcem twarz. Mamrocze coś pod nosem tak cicho i szybko, że brzmi jak modlitwa albo klątwa. Nie chce ginąć. Przecież całymi dniami walczy, żeby nie umrzeć.

– Co tam, jebnięty piździelcu? – Chłopak teatralnie przykłada dłoń do ucha. – Mów głośniej. Nie usłyszymy tego pierdolenia, jak nie będziesz mówił głośniej.

Drugi chłopak podnosi telefon.

– Dobra, nagrywam, zaczynaj.

Trzeci marszczy czoło.

– Nie ma mowy, stary, ktoś zobaczy.

– Nikt nie zobaczy – rzuca drugi. – Po to tu jesteśmy. – Zwraca się do pierwszego. – Osłaniamy cię. Dajesz!

Pierwszy się waha i już wiem wszystko. To nie on jest groźny. Trzeci też nie, jest tak przerażony, że wygląda, jakby miał zaraz uciec. Niebezpieczny jest ten drugi, z włączoną kamerą, prawdziwy tchórz. Chowa się za obiektywem jak Wren tamtej nocy. Ale w przeciwieństwie do Wrena on się uśmiecha. Wren się nie uśmiechał. Wyglądał jak w transie, jakby mózg mu obumarł. Jakby wysłał swoją duszę gdzieś bardzo, bardzo daleko, żeby uciec od przemocy. Ten z kamerą prowokuje, podpuszcza, szturcha, wykorzystując całą niezdrową moc, jaką ma w swoim tyczkowanym, nastoletnim ciele.

Zanim wytrącę mu telefon z ręki, przelotnie dziękuję jakiemuś

bogu, który mnie akurat słucha, że żyję już dość długo, by się nauczyć różnicy między ludźmi złymi a naprawdę potwornymi. Niektórzy się tego nigdy nie uczą i potem cierpią.

Jak Isis.

Albo Sophia.

Serce boleśnie mi się ściska, więc wyprowadzam drugi cios, tym razem w jego twarz. Chłopaczkę z aparatem chwije się na nogach, a z nosa leci mu krew, przecieka między palcami. Jego kumple wzdrygają się i uskakują. Bezdomny piszczy i kuli się w kącie, zasłaniając głowę chuderlawymi ramionami.

– Kim ty, kurwa, jesteś?! – krzyczy drugi chłopak.

– Z Reggiem nikt nie zadziera! – Pierwszy ustawia się w pozycji do bicia.

– Zjeżdżajcie stąd – mówię. – Albo oberwiecie jak on.

– Pierdol się! – Pierwszy na mnie naciera, a ja uchylam się i jednym płynnym ruchem unieruchamiam mu ręce za plecami. Miota się, usiłuje mnie kopnąć albo walnąć z byka, ale mam stalowy uścisk.

– Ty tam – zwracam się do trzeciego. – Pomóż koledze wstać i idźcie stąd. Gdy będziecie za rogiem, wypuszczę tego.

Trzeci się poci, patrzy to na zakrwawionego kolegę, to na unieruchomionego. W końcu podejmuje słuszną decyzję i ciągnie za sobą gościa z telefonem. Siarczyście klnąc, znikają za rogiem. Odczekuję chwilę, a potem popycham pierwszego naprzód. Odwraca się i wskazuje na mnie palcem. Twarz ma wykrzywioną wściekłością.

– Dorwę cię, gnoju!

– Nie – odpowiadam spokojnie. – Nie dorwiesz.

Na dźwięk tych słów coś w nim eksploduje, może to duma? W każdym razie znów na mnie rusza, a ja nie okazuję litości.

Wbijam mu łokieć w przepone, a on pada na ziemię i desperacko łapie powietrze. Wyciągam rękę do bezdomnego.

– Musimy iść. Jego koledzy zaraz wrócą.

Bezdomny odsłania głowę i patrzy na mnie załzawionymi niebieskimi oczami. Zgadza się i przyjmuje moją wyciągniętą rękę, żeby wstać. Puszczam go przed sobą, żeby zabezpieczać tyły i wychodzimy z zaułka aż pod centrum handlowe, gdzie jest za dużo samochodów i świadków, żeby chłopcy odważyli się na coś więcej. Mężczyzna idzie zdecydowanie, ale utykanie go spowalnia. To pewnie były żołnierz, któremu nie udało się wrócić do życia.

– Dziękuję – skrzeczy.

Otrząsam się.

– Zrobiłem to, żeby ich powstrzymać, a nie pomóc tobie.

– Nieważne. Niech cię Bóg błogosławi.

I pobłogosławił, myślę sobie, odprowadzając go wzrokiem. A potem wszystko mi odebrał.

Wzdrygam się, żeby pozbyć się tej myśli. Trafiło mi się lepsze życie niż większości ludzi. Ale mdli mnie od tego uprzywilejowania. Mam osiemnaście lat. Ze strony mamy płynię we mnie trochę krwi włoskiej, ze strony taty – rosyjskiej, jestem mężczyzną rasy białej. Nie jakoś bardzo szkaradny i nie wyjątkowo głupi. Mama i ja nigdy nie mieliśmy problemów z pieniędzmi. Mam szczęście. Jestem wybrańcem.

Bezdomny, który kuśtyka bulwarem, potrzebuje błogosławieństwa znacznie bardziej niż ja.

Sophia potrzebowała go bardziej niż ktokolwiek.

Huk ruchu ulicznego zmienia się w biały szum, opływa mnie i otacza. Ludzie mnie mijają, a ich twarze zlewają się w nierozpoznawalną smugę. Wszystko wydaje mi się sztuczne,

jakbym patrzył na świat uwięziony w szklanej kuli. Kolory deptaka wydają się wyblakłe, nie jaskrawe. Czuję zapach styropianu i drewna, a to, co powinno mieć smak, jest całkowicie go pozbawione. Wszystko na opak. Ze mną wszystko jest nie tak.

Ale to wiem od dawna. Coś jest ze mną nie w porządku. Za bardzo się wyróżniam. Jestem zbyt zimny. Nie przypominam twarzy w tłumie. Nie odczuwam tak dogłębnie jak oni. Nie drzę od emocji. Nie mam tylu przyjaciół co reszta i nie chcę mieć. Wolę być sam.

Czy gdybym był normalniejszy, cieplejszy, przewidziałbym, co chce zrobić Sophia? Zrozumiałbym ją lepiej? Dostrzegłbym jej rozpacz i jej zapobiegł?

Jeślibym bardziej przypominał Isis, udałoby mi się ją ocalić?

„Taki już jesteś”. Słyszę echo jej słów. „Chronisz ludzi”.

Palce zaczynają mi drżeć, kostki dłoni mam zakrwawione. Nie miała racji. Ja tylko ranię.

Odwracam się i idę do samochodu.

Przyjechałem na spotkanie z moim pracodawcą, Gregorym Callanem z Vortex Enterprises. Ta krótka wycieczka do centrum handlowego miała służyć wybraniu pieniędzy z bankomatu. Z tropu zbił mnie bezdomny i moja wściekłość.

W przeciwieństwie do Isis, przekonanej, że Gregory to jakiś zbir, dałem mu szansę. Musiałem, po tym, co dla mnie zrobił. Jakoś mnie znalazł, co nikomu innemu się nie udało. Po pogrzebie Sophii opuściłem Ohio, jechałem i jechałem, nie zastanawiając się, dokąd zmierzam. Zatrzymywałem się w jakichś spelunach, wszczynałem bójki, traciłem przytomność za kubłami na śmieci, budziłem się ze spuchniętymi wargami i wykręconymi kolanami. Z pełnym zaangażowaniem jechałem w głąb piekiel, niestrudzenie, prawie nie jedząc i nie śpiąc. W

każdej smudze księżycowego światła i każdym cieniu na pustyni widziałem twarz Sophii. Prześladowała mnie. Desperacko usiłowałem przed nią uciec. Nie, nie przed nią, przed poczuciem winy. Kiedy Gregory znalazł mnie w zapchlonym motelu w Las Vegas, byłem chudy, oderwany od rzeczywistości i pokryty starymi ranami.

Nie mam pojęcia, jak to zrobił. Próbowałem walczyć, ale nie miałem siły wyprowadzić ciosu. Unieruchomił mi ręce za plecami i uśmiechnął się przyjaźnie. Wciąż pamiętam jego słowa:

„To nazywasz ciosem? To jest hańba. Jeśli chcesz umrzeć, w porządku. Ale zrób to po tym, jak nauczę się porządnie walczyć”.

Urwał mi się film w jego ramionach i ocknąłem się dopiero w łagodnym porannym słońcu i suchym powietrzu pustyni. Zawiózł mnie na ranczo na jakimś pustkowiu, a wielki, milczący facet w bandanie na głowie karmił mnie chudym rosołem i zmieniał mi bandażę. Jego też usiłowałem pobić, ale byłem zbyt wyczerpany, żeby chociaż zacisnąć dłoń. Nazywali go Littlehawk. Całe życie przyjaźnił się z Gregorym. Razem założyli Vortex Enterprises, zatrudniali najbardziej obiecujących absolwentów akademii policyjnych i zwycięzców turniejów mieszanych sztuk walki i szkolili ich na ochroniarzy, którymi sami byli dawno temu.

Adepci przybywali na ranczo Littlehawka miękcy, a odjeżdżali zahartowani tygodniami rąbania drewna, noszenia wody i panowania nad stadem ogierów. Poza tym uczyli się strzelać, szkolili czujność, zaliczali brutalne tory przeszkód oraz treningi różnych stylów walki: wing chun, karate, tajski boks i judo. Słońce Nevady utwardzało glinianych początkujących. Dochodząc do siebie, obserwowałem ich przez okno i zazdrościłem im. Dawali z siebie wszystko, cali angażowali się w

szkolenie. Też kiedyś taki byłem: oddany, ciężko pracujący. Leżałem w łóżku bezsilnie i niczego bardziej nie pragnąłem, niż znaleźć się tam z nimi, wypełnić myśli potem i bólem, zamiast poczucia winy i rozpacz.

Kiedy już doszedłem do siebie, Gregory i Littlehawk dali mi szansę. I to mnie uratowało.

Od tamtej pory nie oglądałem się za siebie.

Jestem lojalnym pracownikiem Vortex Enterprises, choćby tylko dlatego, że mam wielki dług wdzięczności wobec szefów. Wyciągnęli mnie z krawędzi, gdy sam już nie mogłem wdrapać się z powrotem.

Wrześniowe powietrze oblewa mnie potem, świerszcze wygrywają swoją łzawą piosenkę, ukryte w złotych trawach na poboczu autostrady. Fala gorąca jest ostatnim oddechem lata, które raz na sto lat nawiedza Ohio. Columbus nigdy nie było większe i bardziej wyschnięte. Niebo ma blady, białoniebieski odcień i ciągnie się w nieskończoność. Biała elegancka koszula klei się do każdego pokrytego potem zakamarka mojego ciała, pod czarnym garniturem panują tropikalne temperatury.

Co ja tu robię?

Powinienem być w Cambridge, w stanie Massachusetts. W Harvardzie. Zasiedlać pokój w akademiku i uczyć się akceptować krety, który przez najbliższy rok będzie moim współlokatorem. Chodzić na zajęcia, robić notatki w laptopie, który dostałem od mamy. Ale zwróciłem jej laptop, zrezygnowałem z akademika. Wycofałem się ze stypendium, zamknąłem konto bankowe, spakowałem się w jeden plecak i zostawiłem mamie kartkę na blacie, żeby się nie martwiła.

A potem wyjechałem.

Tamten świat, nobliwe akwarium pełne targanych

wątpliwościami młodych dorosłych, zwany college'em, nie jest dla mnie. Psychiczenie jestem starszy od nich wszystkich. Zawsze byłem. I jestem też od nich mądrzejszy. Także od zawsze.

„Dziwię się, że rano jesteś w stanie podnieść głowę z poduszki”.

Głos Isis, jasny i czysty, rozbrzmiewa mi w uszach. Ignorowanie go idzie mi coraz lepiej. Przycichł. Nie widziałem jej od pół roku, a mimo to jej słowa dzwonią mi w głowie. Coś niesamowitego. I niesamowicie irytującego. To albo dowód na jej nieznośnie upierdliwą osobowość, albo świadectwo mojej niezgody na rozstanie się z tymi kilkoma chwilami w życiu, kiedy byłem naprawdę szczęśliwy. Szczęśliwy? W sumie nie jestem pewien, czy kiedykolwiek byłem, nawet z nią. Tylko mieszanka rozmazanych wspomnień i kradzionych chwil czułości, podszytych piekącym poczuciem winy noszącym rysy Sophii.

Może i byłem szczęśliwy. Ale co z tego. Szczęście jest bezwartościowe.

Nie może mieć rzeczywistej wartości coś, co trwa chwilę.

Skrećam w prawo, na ogrodzone parkingi ciężarówek, gdzie ładuje się gigantyczne przyczepy osiemnastokołowców. Dwa wielkie żurawie z hukiem przestawiają klocki kontenerów, ładują, rozładowują i skrzypią, mozolnie spełniając swój obowiązek. Mężczyźni w pomarańczowych kamizelkach i kaskach sprawdzają zawartość kontenerów, odznaczają coś na przypiętych do sztywnych podkładek dokumentach i wykrzykują jakieś przekleństwa, usiłując zaprowadzić porządek w tym chaosie. Gregory, wysoki, barczysty mężczyzna z imponującym siwiejącym wąsem i w tweedowym garniturze, stoi w prawie pustej części parkingu. Obok czuwa niższy, ale jakimś cudem jeszcze bardziej przypakowany młody chłopak w czarnym garniturze, takim jak mój. Jest czujny, ale rozluźniony. Ma

nastroszone włosy i ciemne oczy. Po szyi pnie mu się tatuaż z rysunkiem smoka. To Charlie Moriyama, prawa ręka Gregory'ego i najbardziej zaufany ochroniarz. Widziałem go raz czy dwa na ranczu, gdy przyjechał pogadać z Gregorym, a nawet prowadził z nami lekcje dzudo. Za pierwszym razem nieźle złoł mi dupę, jako jedyna na ranczu osoba poza Gregorym, której się to udało. Szanuję Charliego. Może bywa bezczelny i niedojrzały, ale ma wielki talent.

Naprzeciwko stoi kobieta z czarnymi włosami upiętymi w ciasny kok. Ma na sobie damski garnitur, nie spódnicę, i wygląda nadzwyczaj profesjonalnie. Ale w zakresie jakiej profesji, tego nie jestem w stanie stwierdzić. Uaktywniają się zasady wpojone mi przez Gregory'ego: pod jej ubraniem nie wybrzusza się broń, nie ma biżuterii sugerującej, że handluje prochami ani tatuaży mogących świadczyć, że należy do gangu. A jeśli ma, są dobrze ukryte. Nie umalowała się. To dziwne, biorąc pod uwagę, że klienci Gregory'ego są zwykle bardzo bogaci i wyczuleni na punkcie wyglądu.

Gregory zauważa, że się zbliżam, i macha do mnie. Odgrywa rolę jowialnego staruszka i robi to niemal za dobrze, ale pod maską kryje się bezduszny biznesmen, były żołnierz i właściciel czarnego pasa.

– Jack! Właśnie rozmawialiśmy o tobie z Vanessą.

Staję obok Charliego, który krzyżuje ramiona na piersi i burczy:

– Coś długo ci to zajęło.

– Musiałem jechać objazdem. Roboty drogowe.

– Tak? Te same, przez które w zeszłym tygodniu wylądowałeś w wiadomościach?

– Dajże spokój. – Gregory się uśmiecha. – W towarzystwie

przynajmniej próbujmy udawać przyjaciół. Oto pani... – Odwraca się do kobiety i unosi brew w niemym pytaniu o tożsamość.

– Na razie zostańmy przy tym, że jestem potencjalną klientką – odpowiada Vanessa. Spojrzenie czujnych niebieskich oczu biegnie prosto do moich kłykci. Ocieram je ściereczką, którą na takie okazje zawsze noszę w kieszeni.

– ...pani potencjalna klientka – kończy Gregory. – Poza tym Jack zasłużył na swoje pięć minut. Gdybym cię lepiej nie znał, pomyślałbym, że jesteś zazdrosny.

Charlie prycha.

– Zazdrosny? Jasne, szefie, aż mnie skręca z zazdrości o naszego Batmana.

Wspinam się w hierarchii szybciej niż ktokolwiek w Vorteksie. Oczywiście, że Charlie jest zazdrosny. Jest w branży od wieków, chociaż nie może mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata. Z trudem wywalczył obecną pozycję. Na pewno uważa, że jestem rozwydrzony i rozpuszczony. Zresztą, ma rację. Do pewnego stopnia.

– Nie wiedziałem, że to, co robię w wolnym czasie, podlega twojej ocenie – mówię.

Charlie łąpie na mnie z wściekłością.

– Podlega, jeśli wykorzystujesz zdobyte tu umiejętności, żeby tłuc chłopaczków, którzy ukradli w kiosku lizaka.

– Napadli na kobietę – prostuję spokojnie.

– To byli jacyś nic nieznaczący krety, popełniający drobne wykroczenie! – warczy Charlie. – A przez twój kompleks superbohatera straciłeś na nich cenny czas.

– Mój czas. Nie twój. W ogóle nie powinno cię to obchodzić.

– Przez ciebie wylądowaliśmy w wiadomościach! Pracujemy w Vorteksie, nie w supermarkecie, do jasnej cholery!

– Przecież nie poznali jego nazwiska ani nie zrobili zdjęcia – wkracza Gregory. – Naprawdę, Charlie, wyluzuj. Nie przyjechaliśmy tu polować na czarownice, mamy spotkanie z klientką. Tą sprawą zajmiemy się później.

Charlie robi się czerwony. Zerkam na Gregory’ego, który niby się uśmiecha, ale jednocześnie lekko mruży oczy. Powinien był kazać Charliemu zamknąć się już dawno temu. Pozwalając mu trajkotać bez sensu na oczach klientki, sprawił, że Charlie się skompromitował. Gregory uwielbia takie subtelne rozgrywki psychologiczne. Ale większość osób, które zatrudnia, nie jest dość bystra, żeby nie wpaść w tę zasadzkę.

– Vanesso – kontynuuje Gregory. – Zechciałabyś pełnić honory?

– Vanessa Redgate – mówi kobieta. – Nie mogę zdradzić, dla kogo pracuję, ale oferuję panu Callanowi kontrakt.

– Rozumiem, że niezależnie od wiedzy pani pracodawcy? – pytam i rozglądam się. – Biorąc pod uwagę to niecodziennie miejsce spotkania.

Vanessa kiwa głową.

– Ścigamy niewielką, elitarną grupę hakerów, którzy tworzą największy czarny rynek w Internecie.

– The Spice Road? – podsuwam.

Vanessa kiwa głową.

– Jestem pod wrażeniem. Sądziłam, że agenci Vortexu korzystają tylko z mięśni.

Gregory wybucha śmiechem i klepie mnie po ramieniu.

– Jack to szczególny przypadek. Proszę mówić dalej.

– Ci akurat pracowali dla Spice Road wcześniej. Teraz nazywają się Gatekeepers. Moi pracodawcy jednogłośnie odrzucili pomysł skorzystania z pomocy osób z zewnątrz...

– Wykonawców – przerywa jej Gregory i opromienia

uśmiechem. – Chętnie korzystamy z terminu „wykonawcy”.

Vanessa zerka na niego uważnie, ale kontynuuje.

– Zatem: są przeciwni skorzystaniu z usług wykonawców. Mój supervisor i spora liczba osób pracujących przy projekcie od lat usiłuje namierzyć Gatekeepersów. Nareszcie złapaliśmy ślad, ale nie chcemy ryzykować, że ich wystraszymy i na dobre ugrzęzną w podziemiu. Wyszkolenie ludzi pod tę konkretną misję byłoby nie tylko kosztowne, ale i ryzykowne, bo zanim szkolenie by się zakończyło, mogliby się już znajdować zupełnie gdzie indziej.

– Więc wkraczamy my – mówię, a ona kiwa głową.

– Mamy poważne poszlaki, że dwie osoby blisko związane z Gatekeepersami zaczęły niedawno studia na uniwersytecie w Ohio.

Uniwersytet w Ohio. Te słowa trzepoczą mi się po głowie jak wielka ryba w za ciasnej siatce. W czasie pobytu na ranczu, gdy już doszedłem do siebie, dostałem laptop. Pożyczył mi go Gregory, pod jednym warunkiem. Że znajdę sobie jakiś cel. Proste zadanie dla wszystkich poza mną. Ja wraz ze śmiercią Sophii straciłem wszystko. Takie rzeczy jak cele były kompletnym idiotyzmem dla kogoś, kto nie chciał żyć w piekle zwanym światem, ale Gregory’emu nie mogłem odmówić. Uratował mi życie. Więc skupiłem się na jedynej rzeczy, którą pozostawiłem niezakończoną i którą mogłem zrobić dla kogoś, kogo zostawiłem.

Will Cavanaugh, były chłopak i prześladowca Isis, ten, którego nazywała „Bezimiennym”. Podjąłem działania w miejscu, w którym je przerwałem przed śmiercią Sophii, i namierzyłem go w mediach społecznościowych. Nie pisał wiele, głównie narzekał na drużyny koszykówki i mecze, ale wystarczyło. Łapczywie chłonałem wszystko, co zamieszczał w Internecie, wpatrywałem

się w jego stare zdjęcia. Na jednym znalazłem Isis, dawną Isis, uśmiechającą się niepewnie. Na widok tego zdjęcia od razu wzrosła mi motywacja. Próbowałem wytropić adres IP Willa, ale nie zaszedłem daleko, nadal stosował stare metody logowania się w różnych miejscach świata, żeby zmylić takich tropicieli jak ja.

A jednak któregoś dnia, gdy podglądałem facebookowe konta jego rodziny, jedna z cioć podsunęła mi bardzo ważną informację. Zamieściła swoje zdjęcie z bluzą uniwersytetu w Ohio, oznaczyła Willa i dała hashtag o treści mojsiostrzeniecsiedostal. Zdjęcie bardzo szybko zniknęło, podejrzewam, że Will w ten czy inny sposób zmusił ją do usunięcia go, ale zdążyłem je zobaczyć, to najważniejsze.

Will Cavanaugh idzie jesienią na uniwersytet w Ohio.

Kiedy więc Vanessa zaczęła mówić o zasadzce na tej uczelni, zastrzygłem uszami. Czy to możliwe, że poluje właśnie na niego? To dobry haker. Sama Isis mówiła, że w szkole wygrywał zawody informatyczne.

– Chodzi o to – kontynuuje Vanessa – żeby mieć tych dwóch na oku, nie wzbudzając podejrzeń. Optymalny cel to zebranie dowodów, najchętniej kopii i zapisów ich hakerskiej działalności albo przechwycenie korespondencji z Gatekeepersami.

– Ile to ma niby trwać? – warczy Charlie. Vanessa unosi brew i zerka na niego.

– Słucham?

– Na jak długo opiewa umowa?

– Na tyle, ile będziecie w stanie zostać na uczelni, nie budząc podejrzeń.

– Czyli koniec zlecenia jest otwarty – podsumowuję.

– Potrwa, aż zbierzecie satysfakcjonujące nas materiały. W tym sensie tak.

Zerkam na Gregory'ego, który wzrusza ramionami.

– To nie nasza działka – mówi. – Jestem pewien, że rozumiesz.

– Ale może być nasza – wtrącam szybko. – Charlie i ja jesteśmy najmłodszy w Vorteksie. Bez trudu wtopimy się w tłum.

Jeśli uda mi się gładko wejść między studentów, namierzę i Willa.

Gregory obdarza mnie błyskawicznym rzutem oka.

– Moglibyście. Ale po co? To praca niemal śledcza, a my jesteśmy ochroniarzami. Nie zajmujemy się tym.

– Ale moglibyśmy – podkreślam.

– Sugeruje pani, że mamy iść na studia z bandą nadętych dzieciaków, może nawet na rok, i siedzieć na tyłku?

– Opłacimy chesne – przerywa mu Vanessa. – Musielibyście chodzić na zajęcia i zdobywać na tyle dobre oceny, żeby was nie wyrzucili. Ale najważniejszym celem będzie obserwacja i wywiad. Nikt nie może wiedzieć, co robicie.

– Droga pani – wtrąca się Gregory. – Z pewnością ma pani świadomość, że Vortex Enterprises to firma zajmująca się wynajmowaniem ochroniarzy, nie stajnia szpiegów.

– Wiem o tym bardzo dobrze. Ale poleciło mi was kilkoro moich przyjaciół związanych z polityką, którzy korzystali z waszych usług. Poza tym żadna inna firma nie oferuje pracowników w tak różnym wieku. To kluczowe, żeby nasi zleceniobiorcy wyglądali jak studenci.

– Ci dwaj hakerzy – zaczynam. – Macie ich nazwiska?

– Nie mogę ich zdradzić przed podpisaniem umowy.

– Naprawdę myślisz, że dasz radę? – pyta mnie Gregory.

Stanowczo kiwam głową.

– Nie ma sprawy.

– Może dla ciebie – parska Charlie. – Ale reszta z nas jest

ochroniarzami. Nie chcemy się babrać w jakimś bondowskim bagnie.

Gregory zastanawia się przez moment, a potem kiwa głową.

– Zgoda.

– Co?! – wykrzykuje z niedowierzaniem Charlie.

– Rok akademicki dopiero się zaczyna. Nie wzbudzicie podejrzeń – stwierdza Gregory, a jego głos nie znosi sprzeciwu. – Wiem, że sobie poradzicie. Zwłaszcza ty, Charlie. Masz charyzmę. Zawsze miałeś. – Ciągnie Charliego za rękę i daje mi znak, żebym się zbliżył. – Słuchajcie, wiem, że to nietypowe zlecenie, ale opłaci się. Ktokolwiek tego chce, to duży gracz. Może nawet rząd. Dobrze mieć ich na liście dłużników Vorteksu. Rozumiecie?

W oczach Charliego rozbłyskuje niespieszne zrozumienie.

– Kiedy musielibyśmy wyjechać? – pytam.

Gregory wzrusza ramionami.

– Podejrzewam, że jak najszybciej. Przekażę wam szczegóły, jak tylko będę je znał. Musicie się tylko zgodzić.

– Ja się zgadzam – zapewniam od razu.

Charlie wciąga powietrze i dumnie wypina pierś.

– Ja też, szefie! – Szybko na mnie zerka. – Nie pozwolę Batmanowi wszystkiego spieprzyć.

– Mam imię – warczę.

– A tak, Jack. Jack-Srak – poprawia. Te złośliwości z kimś mi się kojarzą, ale szybko otrząsam się ze wspomnień.

– Dobrze, dość podwórkowych przepychanek. – Gregory prostuje się i z uśmiechem wyciąga rękę do Vanessy. – Moi chłopcy się zgadzają.

– Wspaniale. – Ściska jego dłoń. – Będziemy w kontakcie. A teraz przepraszam.

W sekundę znika za kontenerem. Zrobiła to tak błyskawicznie, że nie zdążyłem nawet wyłapać jej ruchu. Musiała zaplanować tę ewakuację z kilkuminutowym wyprzedzeniem. Charliego aż przeszywa dreszcz.

– Pieprzeni szpiedzy.

– Nie jest taka zła – protestuję.

– Oczywiście, dla ciebie nie. Ty praktycznie już jesteś jednym z nich. Cyborg mordujący na zawołanie. Założę się, że jakby szef kazał, to zabiłbyś swoją dziewczynę.

Zanim udaje mi się nad sobą zapanować, łapię go za poły marynarki. Świat znów pogrąża się w białym szumie, twarz Charliego jest rozmazana, głos Gregory'ego, który przekonuje mnie, żebym puścił, dochodzi z oddali. Unoszę Charliego i opieram o kontener, a smród kurzu, potu i stali zmienia się w moich nozdrzach w popiół. Jest obrzydliwy. Obrzydliwa maskotka. Mógłbym go zmiażdżyć, wydusić z niego życie, tak jak zrobiłem z Josephem tamtej nocy nad jeziorem, jak prawie skończyłem z Leem i wreszcie jak postąpiłem z Sophią.

Bo przecież dopuściłem do jej śmierci.

Ja ją zabiłem.

W ciemnych oczach Charliego widzę strach i tylko to powstrzymuje mój mózg przed rzuceniem się na oślepa w świat ogłuszającego ryku. Odrzucam go i wracam do samochodu. Gregory mnie dogania i daje znak, że mam otworzyć okno. Niechętnie, ale robię to.

– Popatrz na mnie – rozkazuje, a głos ma groźny. Patrzą mu w oczy. – Dasz radę? Czy musimy powtórzyć trening?

Instynktownie się wzdrygam na wspomnienie sesji szkoleniowych z Gregorym. Przypominam sobie krew płynącą z uszu i sine, odchodzące paznokcie. Nie. Nie muszę się uczyć

jeszcze raz.

– Panuję nad sobą – zapewniam powoli.

Gregory mierzy mnie spojrzeniem, ale potem kiwa głową i klepie w maskę auta.

– Więc jedź się pakować. Idziesz do szkoły.

Wracamy do motelu. Gregory opłaca nam pobyt. Są tu dwa pojedyncze łóżka i niewiele poza tym, ale to i tak lepsze niż spanie w samochodzie. Niż żwir, na którym musieliśmy spać w czasie treningu. Charlie mamrocze pod nosem jakieś przekleństwa i idzie prosto pod prysznic, a ja zamawiam chińskie jedzenie z dostawą i otwieram laptop. Gregory, jak zawsze skrupulatny i zdeterminowany do rozpoczęcia pracy, przesłał nam dossier osób, które będziemy obserwować. Z dokumentów patrzę na mnie dwie twarze. Jedna opalona, energiczna, z ciemnymi, trochę kocimi oczami. To Kyle Morris z Lakeside City w stanie Michigan. Druga – przystojny szatyn o symetrycznej twarzy i oczach w kolorze zamarzniętej stali.

Will Cavanaugh z Good Falls na Florydzie.

Czyli miałem rację.

Miałem rację i teraz gra zacznie się na dobre.

Rozdział 4

3 lata, 44 tygodnie, 6 dni

Czasem, jak życie daje ci kopa w tyłek, musisz mu oddać.

Ale w jaja.

Butami o metalowych noskach.

Ogólnie, jeśli ktoś, ktokolwiek, daje ci kopa, bardzo dojrzałe byłoby odwrócić się i odejść. Ale to nie jest zabawne. A ja lubię psoty, to na pewno. Na sto procent.

Prycham pod nosem z tej jakże udanej gry słów. Jęk ojca z przeciwnej strony stołu uświadamia mi, że od pięciu minut myślę na głos.

– Isis, jedz, proszę – wzdycha.

– Nie, tato, muszę iść. – Szybko się podnoszę. Bliźniaczki obryzgują się owsianką.

– Usiądziesz tu i dokończysz śniadanie ze wszystkimi albo słowo daję, że...

– A dokąd idziesz? – przerywa mu Kelly i uśmiecha się.

– Wracam do domu.

W jej oczach widzę błysk radości, ale oczy taty pochmurnieją.

– Bilet powrotny masz wystawiony na trzydziestego...

– Tato... – marudzę. – Umarła moja przyjaciółka, a ja muszę kopnąć życie w jaja.

– Wszyscy umrzemy. Tak powiedział Król Lew – wtrąca się jedna z bliźniaczek, robiąc przerwę w miotaniu owsianką. Na jasne warkocze i niebieskie oczy.

– Właśnie! – Wskazuję na nią. – Widzisz, tato? Nawet ona to wie!

Tata robi się czerwony i widzę, że zaraz wybuchnie, ale Kelly łapie go za rękę i ćwierka:

– Och, skarbie, ona na pewno bardzo chce już jechać do Ohio i zacząć studia. Pamiętasz, jacy my byliśmy w jej wieku? Ja pragnęłam wyjechać z domu i rozpocząć własne życie! Toczy ją stary dobry wirus niezależności. Linie Delta mnie kochają, mam ich złotą kartę. Przebukują bilet bez żadnych dopłat.

Tata wzdycha z frustracją, jego twarz traci czerwony odcień.

– Nie jesteś...? Nie jesteś tu szczęśliwa? To miały być twoje wakacje ze mną. Nie widziałem cię od dwóch lat, Isis. Od dwóch lat!

– Świetnie się bawiłam – kłamię żywiołowo. – I będę za tobą tęsknić. – Kolejne kłamstwo. Przecież nawet go nie znam. – Po prostu, no wiesz. Jak mówi Kelly. Jestem gotowa!

Przygląda mi się znad okularów i po jakiejś wieczności wzdycha. Kelly się uśmiecha. Wygrałam. Pakuję torby i uświadamiam sobie, że nie ma tu dla mnie nic z wyjątkiem pożyczonego bmw i rodziny, która nigdy nie była tak naprawdę moja. Zajęło mi dziewięć lat, żeby to zrozumieć.

„Naprawdę jesteś powolna, co nie?”

Głos jest tak wyraźny, jakby Jack stał tuż obok. Ale nikogo nie ma. Zza otwartych drzwi na korytarz patrzy na mnie tylko krzywo powieszzone zdjęcie Kelly, taty i ich nowej rodziny. W całym domu nie widziałam ani jednego mojego zdjęcia, nawet z dzieciństwa. Podejrzewam, że tata żadnego nie ma. Albo Kelly się

nie zgodziła.

Jestem tu otoczona ludźmi, a jednak całkiem sama.

Zamykam walizkę i siadam na wieku.

Dwa dni później na lotnisku trochę płaczę. Tata ani trochę. To mówi wszystko, co muszę wiedzieć o wszystkim, czego wiedzieć nie chciałam. Samolot startuje, a ja rzucam orzeszki w łysą głowę faceta przede mną, który cały czas pierdzi. Stewardesa dziękuje mi wzrokiem, ale potem on wstaje, idzie do toalety i zostawia otwarte drzwi, a my konamy. Przez dwie długie godziny.

Mama czeka na lotnisku. Cuchnę pierdnięciami, ale ona i tak mnie przytula i stąd wiem, że jestem naprawdę w domu.

Pakowanie się do college'u jest jak szykowanie się na wojnę. Już nie wrócisz. Nie wiesz, jak będzie. Możliwe, że umrzesz (egzaminy) i/albo doznasz obrażeń, które zmienią całe twoje życie (kac, choroby przenoszone drogą płciową). Jeśli przetrwasz, masz szczęście. Ale terytorium wroga aż się prosi, żeby je zgłębić, a ja mam za sobą podstawowe manewry (liceum). Przeżyję.

Tylko że nijak nie mogę zmieścić do walizki Panny Muffin.

I to jest absolutna tragedia.

Mama słyszy moje rozpaczliwe zawodzenie i zjawia się jak udręczony pies tropiący przy ofierze.

– Co się dzieje? – pyta.

– Wszystko się kończy na zawsze! – Rzucam się na łóżko. Mama cierpliwie czeka na wyjaśnienie. Wskazuję Pannę Muffin w połowie przytrzaśniętą klapą walizki.

– Isis, to jest przytulanka – wzdycha mama. – Idziesz na studia. Może czas się jej pozbyć.

Podrywam się, oczy mam wielkie jak spodki, a otwarte usta jak latający spodek.

Mama szybko się poprawia.

– Dobrze, dobrze, Panna Muffin zostaje. Ale pamiętaj, że pierwsze wrażenie jest kluczowe, a ona zaimponuje tylko sześciolatkom.

– Pozwól, że wyjaśnię, *madre*. Nie chcę się przyjaźnić z nikim, kto nie ma sześciu lat. W sercu. Ale tylko w sercu. Bo jednak fajnie jest mieć prawo jazdy.

Mama kręci głową, śmieje się cicho, a potem wraca na dół smażyć naleśniki.

Z gracją ninja zakradam się do jej łazienki i sprawdzam zapasy pastylek. Ma ich pełno, głównie antydepresantów. Martwię się, bo niektórzy się z ich powodu zabijają. Ale też się cieszę, bo niektórzy się z ich powodu nie zabijają. Najbardziej gówniane pół na pół na świecie, ale nie mam wyjścia. Dzięki nim mama będzie bezpieczna, gdy wyjadę.

– Co robisz?

Natychmiast zamykam szafkę nad umywalką.

– Sprawdzam, czy nie ma szczurów! I pleśni. Jedno i drugie zabija ludzi. Wiedziałaś, że szczur może skoczyć trzy metry do przodu, z miejsca? I zawsze celuje w żyłę szyjną.

Mama się spina i robi minę, jakby zamierzała mnie obsztorcować, ale tego nie robi. Zamiast tego zbliża się i mnie obejmuje. Ramiona ma nieco silniejsze niż ostatnio.

– Dam sobie radę, skarbie – mruczy w wyblakły fiolet na moich włosach. – Wszystko jest dobrze. Możesz się przestać martwić.

– Nie mogę – protestuję. – Jeśli przestanę, wydarzy się coś złego. Nie zauważę, że się zbliża. Gdy stracę czujność, spotka cię jakieś nieszczęście...

Mama obejmuje mnie mocniej.

– Tak długo byłaś dla mnie silna. Dziękuję. – Zaczynają mnie

piec oczy, ale siłą woli powstrzymuję nieuchronne. Mama odsuwa mnie na odległość ramienia i gładzi po policzku. – Teraz musisz być silna dla siebie. Nie dla mnie. Ani dla nikogo innego. Tylko dla siebie.

Śmieję się, ale bez przekonania.

– Nie jestem w tym dobra.

Mama się uśmiecha, a jej oczy wyglądają jak szare lustra pełne miłości.

– Więc najwyższy czas się nauczyć.

Z samego końca szafy wygrzebuję różową bluzkę z szyfonu, którą dostałam od Kelly. Ale teraz to coś więcej. Gdy miałam ją na sobie, Jack powiedział, że wyglądam... Wyglądam... Nie mogę się zdobyć na powiedzenie tego na głos, matko, jakie to żalosne! Usta służą do wypowiadania słów, a ja mam usta, znam to słowo, a jednak nie mogę. To dlatego, że ono coś znaczy.

Gdy miałam na sobie tę różową bluzkę, ktoś mi powiedział, że jestem piękna, po raz pierwszy w życiu. Ktoś, kogo szanowałam. Tak, szanowałam. Kogo kochałam.

Miłość.

Miłość?

Kręcę głową i wciskam bluzkę do walizki. Nigdy nie wiadomo, kiedy człowiekowi będzie potrzebna nowa zasłona. Albo dywanik przy kiblu.

Mama pomaga mi się wpakować do auta. Zabieram moją zaufaną niebieską walizkę i sterany życiem plecak z liceum. Liceum. Aż przeszywa mnie dreszcz, gdy dociera do mnie, że nie jestem już uczennicą liceum. Oficjalnie skończyłam szkołę. Trochę mi się chce wypić dziewiętnaście red bulli i przez dwadzieścia cztery godziny tańczyć pogo, ale druga część mnie ma ochotę wrócić do szkoły, owinąć ją wokół siebie jak kocyk z

dzieciństwa i nigdy nie wychodzić. Uznaję, że dobrym kompromisem będzie turlanie się po trawniku niczym wielka gąsienica, odmawiająca wyjścia z kokonu i jęcząca z rozpacz.

Kayla wjeżdża na nasz podjazd, akurat gdy mama ładuje do auta ostatnią torbę. Natychmiast przerywam szamotanie się po trawie i podbiegam do niej. Umówiłyśmy się na kolację. Naszą ostatnią, pożegnalną kolację. Kayla wysiada z samochodu w olśniewającej białej sukience i sandałkach. Czekoladowe włosy splotła w jakiś do wyrzygania perfekcyjny węzeł. Wita moją mamę z wdziękiem siedmiu francuskich królowych, a następnie wciąga mnie do auta z siłą siedmiu wikińskich wojowników. Ruszamy, gdy nagle prychna.

– Czy to, co masz w bagażniku, to jest przepraszam wszystko, co zabierasz z sobą? Cygańskie tabory mają więcej rzeczy!

– Ale! – Podnoszę znacząco palec. – Cygańskie tabory nie mają w walizce całej kieszeni przeznaczonej na żelkowe misie.

Kayla wywraca oczami.

– Przestań wiecznie sobie robić jaja.

– Wolę żelkowe misie od jajek.

– Czyżby? – Kayla unosi brew i robi minę, że bym nie miała wątpliwości, jak dwuznacznie to odebrała. Mam ochotę zetrzeć jej ten grymas z twarzy, ale niestety, jej twarz jest dziełem sztuki, z miną czy bez. A ja nie niszczyć sztuki. Chyba że niszczyć, oczywiście. Ale wtedy dostaję ochrzan.

– Nieważne – mówię. – To nasze ostatnie spotkanie aż do ferii zimowych, więc lepiej wpakujemy się do kogoś na imprezę albo zrobimy coś równie fajnego i godnego zapamiętania.

Kayla uśmiecha się szeroko i wjeżdża na autostradę.

– Znam odpowiednie miejsce.

Wiem, dokąd zmierzamy, zanim jeszcze pojedziemy pod

restaurację. Po chwili wyrasta przed nami The Red Fern. Tutaj odbyła się aranżowana przeze mnie pierwsza randka Jacka i Kayli. Ta, na której ich śledziłam. O czym Kayla oczywiście nie wie. Wybiera stolik przy oknie i mościmy się wygodnie. Zamawia mrożoną herbatę, a ja piwo korzenne.

– Gdybyśmy były teraz w Europie, mogłybyśmy zamówić wino.

– Wzdycha z rozmarzeniem. – Boże, jak oni tam mają fajnie.

Marszczę czoło, bo przypominam sobie o bilecie, jaki zostawił mi Jack. Robi mi się kwaśno w ustach.

– Tak. Dżuma jest zajebista.

– Oj, przestań, to było wieki temu! Nikt już nie miewa dżumy.

– Fani death metalu ciężko pracują, żeby to zmienić.

Kayla wywraca oczami, a gdy kelnerka przynosi nasze napoje, zamawia porcję sajgonek na pół. W tym czasie ja się nerwowo rozglądam. W wazonach stoją te same co poprzednio strelacje, a przezroczyście światłowody wyglądają jak zatopione w lodzie wodorosty.

– Nigdy tu nie byłam – stwierdzam. – Ładne miejsce.

– Nie łzyj!

Lodowaty dreszcz przeszywa mi cały kręgosłup, aż do tyłka. Bardzo nieprzyjemne.

– Co?

Kayla upija łyk herbaty.

– Jack powiedział mi, że nas śledziłaś.

– Tylko dlatego, że obiektywnie rzecz biorąc, był obrzydliwym i ćwokowatym gnojojadem, więc musiałam...

– Wiem też, że mu zapłaciłaś, żeby mnie zaprosił – przerywa. Wpatruję się w nią jak usiłująca coś powiedzieć ryba. – Ale nie szkodzi. Było minęło. Wydaje mi się, jakby to było w innym wcieleniu.

– Czyli... – Przełykam ślinę. – Nie chcesz mnie zabić?

– A czemu? To był jeden z najlepszych wieczorów w moim życiu.

– Kiedy ci...

– Jak zrywaliśmy. Rano po imprezie u Avery, gdy...

Gdy zamknęła Wrena i podstępnie naćpaną Kaylę w jednym pokoju. Ale nie mówię tego, bo naprawdę nie trzeba tego mówić na głos. Kayla kręci głową.

– To było wtedy, jak poszliśmy z Wrenem skopać tyłek Avery. Rozmawialiśmy z Jackiem o różnych sprawach. Między innymi o tym. Chciał być szczery.

– A ja tego nie zrobiłam. Cholera, nie powiedziałam. Strasznie cię przepraszam...

– Daj spokój. – Kayla kopie mnie pod stołem. – To było wieki temu, a ja tak czy siak wybaczyłabym ci wszystko. Z wyjątkiem zamordowania mojego braciszka. Chociaż, biorąc pod uwagę, ile razy na mnie w tym tygodniu napluł, może wybaczyłabym i to.

Na stół wjeżdżają sajgonki, a ja topię przepełniającą mnie wdzięczność w kiełkach i pozorowanym mięsie z niewinnego tofu. Kayla opowiada o Massachusetts i wszystkich miejscach, jakie odwiedzi z Wrenem. Wschodnie Wybrzeże zdaje się idealnie do niej pasować: jest zjawiskowa i opalona, a wielkie miasto to ostatni do spełnienia warunek, żeby jak najwięcej poddanych mogło się grzać w jej blasku, gdy będzie rozkwitać, aż stanie się najpiękniejszą kobietą na świecie, a z czasem i królową Westeros.

– Nawet nie lubię *Gry o tron* – odpowiada i wtedy sobie uświadamiam, że znowu myślałam na głos. – Wszyscy są tam zbyt biali.

W książkach jest mniej białych ludzi, wiedziałaby, gdyby

częściej coś czytała.

– Czytam *Wojnę i pokój*.

Poprawka: wiedziałyby, gdyby czytała lepsze książki, nie taki szajs.

– Boże, jesteś snobką. Przyjaźnię się z literacką snobką!

Odrzucam włosy na ramię i zamawiam smażony ryż, a Kayla curry z kokosem. Gdzieś na zewnątrz jakiś facet krzyczy: „Kurwa!”, a inny: „Stój!”, ale nie wiemy, o co chodzi, więc zajadamy się czekadełkami. Życie poza restauracją toczy się bez naszego udziału. Wszystko jest bardzo podniosłe. Kayla skubie coś przy paznokciach i dotychczasową radość, słabą, bo słabą, ale zawsze, zastępuje ponura mina.

– Będę za tobą tęsknić, snobko. – Sięgam na drugą stronę stolika i kładę ręce na jej dłoniach. – I zawsze będę przy tobie – obiecuję. Ona się uśmiecha, więc mówię dalej: – Jak para bezcielesnych oczu. Będą obserwowały twój tyłek z nieskończonym podziwem, łamane przez zazdrością, łamane przez obrończym instynktem matki.

– Fúj!

– Wren nawet nie będzie wiedział, co go przejechało, gdy zmaterializuję się zupełnie znikąd w czasie waszej pierwszej wspólnej nocy i przywalę mu w zęby. – Kayla łąpie wściekle. – Lekko. Trącę go w zęby, odrobinę – poprawiam się szybko. – Małym palcem.

Wreszcie pojawia się kolacja i rzucamy się na nią jak dwie wygłodniałe hieny, co i tak jest wyczynem, bo na drabinie drapieźników nastoletnie dziewczęta plasują się między żarłaczem białym a wygłodzoną hieną, więc nasze maniery są niemal nienaganne. Kelnerka zdaje się tak nie uważać i marszczy nos, gdy zabiera nasze talerze, a wokół nich ukazują się okręgi

porozrzucanego jedzenia wyglądające jak aura chwały. I niestrawności. Wymykam się na chwilę do toalety, żeby zmyć z twarzy masło orzechowe. Zaraz za drzwiami atakują mnie wspomnienia, z haniebnie mściwą mocą. Jack oparł się o ten blat. Jack używał tej umywalki. Jack po raz pierwszy dotknął mojej twarzy, gdy stał w miejscu, gdzie blat styka się ze ścianą. Widmo Jacka jest na każdym kafelku i nie mogę nic na to poradzić.

I nawet nie chcę.

Może i zniknął, uleciał z mojego życia jak duch, ale tutaj? Tutaj nadal jest obecny. Wyobrażam sobie jego wysoką postać. Zamykam oczy i wracam do przeszłości.

To tylko głupia toaleta w tajskiej restauracji. Ale dla mnie o wiele, wiele więcej.

Myję twarz i gapię się w lustro.

To nasza z Kaylą ostatnia kolacja na bardzo długo. Co najmniej na cztery miesiące. Ja wyjeżdżam jutro. Ona tydzień po mnie. Tutaj wszystko się zatrzymuje i zaczyna na nowo. Nikt nie wie, co się stanie, ale jestem przekonana, że chcę ją zatrzymać w swoim życiu. Nie stracę jej.

Tak jak Jacka.

– W porządku? – pyta Kayla, gdy wracam do stolika. – Biegunka?

– Och, nieustanna. To jedna z moich supermocy. Półautomatyczna sraczka.

Kayla milczy, co oznacza, że albo nie zrozumiała mojego żartu, albo nie słuchała.

– Tęsknisz za nim, co? – pyta cicho.

Wiem, o kim mówi. Trudno nie wiedzieć, jego obecność jest tak namacalna, jakby tu był. Duchowo, oczywiście. Ale rżnę głupa,

bo tak jest łatwiej.

– Za Wrenem? No chyba, że tęsknię. Pisałam do tego kujona wczoraj na fejsie, ale mi nie...

– Mówię o Jacku, głupolu. – Kayla wzdycha i krzyżuje ramiona na piersi. Czeka na rachunek. – To niesprawiedliwe. Po prostu wyjechał i zostawił cię.

Śmieję się, ale gorzko, sama to słyszę.

– Przecież to nie szkodzi. I tak nic między nami nie było.

Posyła mi kolejne śmiertelnie groźne spojrzenie. Avery dobrze ją wyszkoliła.

– Nie chrzań, dobra? Cała szkoła może zaświadczyć, że na siebie lecieliście. A ja na dodatek jestem twoją najlepszą przyjaciółką. I jakiś czas się z nim spotykałam. Doskonale wiem, ile dla niego znaczyłaś.

– Jak widać niewiele. – Znów się śmieję. – Zwinął się raczej szybko. I bez pożegnania. – Kayla nic nie mówi, czeka, aż coś dodam. Uśmiecham się więc. – Życie jest dziwne – stwierdzam. – Trudno się do niego przyzwyczaić. Czasem trafiasz na rzeczy, które sprawiają, że jest nieco bardziej znośne i trzymasz się ich, ale im mocniej trzymasz, tym szybciej wymykają ci się z rąk.

Wyglądam na główną ulicę pomalowaną w odcienie zmierzchu. Właśnie się zapalają złoto świecące latarnie. Będę tęskniła za tym miasteczkiem. Chociaż ono za mną nie.

– Sophia wiedziała, że to, co w nas najlepsze, zniknie. Może była jedyną osobą na świecie, która miała tę świadomość. I dlatego... odpuściła. Bo to, co kochała, umykało tym szybciej, im mocniej zaciskała na tym dłoń.

– Isis...

Odwracam się do Kayli.

– Nic mi nie jest, słowo. Po prostu dużo o niej myślę. O tym, co

mogłam zrobić. Babcia mi powiedziała, że nic. Ale ja wiem, że mogłam. Na przykład po prostu... odpuścić. Dać Jackowi spokój. Wtedy Sophia wciąż by tu była.

– To nieprawda! – protestuje Kayla.

– Może prawda, a może nie. Wiem tylko, że w tym z równoległych wszechświatów, w którym nie czepiałam się Jacka, Sophia miała większe szanse, żeby przeżyć.

Kayla się wzdryga. Kelnerka zostawia rachunek, ale ona nawet nie zauważa. Sięgam po niego.

– Widziałaś? Podzielmy się.

Dzielimy kwotę równo na pół. Po drodze do domu, pod niebem czarnym i bezgwiezdny jak zimny ocean, Kayla w końcu się odzywa.

– Nie zrobiłaś nic złego.

– Nie – zgadzam się. – Masz rację. Nie zrobiłam nic złego. W ogóle nic nie zrobiłam.

Ona próbuje skuć ciemny lód, który ściał naszą rozmowę i ja też się staram. Cień Sophii i jej śmierci mnie prześladowa. I niszczy nasze pożegnanie, a ja nie mogę nad tym zapanować...

– Posłuchaj, Kayla, przepraszam. Po prostu... Naprawdę przepraszam. Nie wiem, kiedy to się stało, obiecałam sobie, że nie...

– Ale łatwiej powiedzieć niż zrobić – przerywa mi. – Wiem o tym. Wren też taki jest. Nie martw się, nic się nie stało. Mam praktykę w obchodzeniu się z kimś z nosem na kwintę.

Ale w jej uśmiechu widać zmęczenie.

Wjeżdżamy na podjazd i siedzimy jeszcze trochę w samochodzie, obserwując, jak ćmy atakują lampę nad gankiem. Szarżują raz za razem, jakby chciały spłonąć.

– Mam szczęście, że cię poznałam. – Uśmiecham się do Kayli. –

I mega potrójne szczęście, że akceptujesz porąbanych dziwaków. Wygrałam na przyjacielskiej loterii.

– Ja też. – Kayla robi smutną minkę. – Bez ciebie nigdy bym się nie zorientowała, że Avery mnie wykorzystuje.

– W tym pomógł Jack.

Kiwa głową i uśmiecha się gorzko.

– Może trochę.

– Pamiętasz, jak się poznałyśmy? Na imprezie u Avery? I on doprowadził cię do łez?

– Jezu, pamiętam, była ze mnie beksa. Aż mi się nie chce wierzyć w swoją głupotę. A minęło raptem dziesięć miesięcy. Mogłabym w tym czasie urodzić dziecko.

– Płaczące – dopowiadam.

– Wszystkie dzieci to beksy – poprawia. Marszczę się jak stary mędrzec i naśladuję jego głos:

– Ale czy wszystkie beksy są dziećmi?

Kayla uprzejmie wali mnie w rękę, a potem wzdycha i opiera głowę o zagłówek.

– Zaczęło się od Jacka, fakt. To z jego powodu się zastanowiłam, dlaczego trzymam się z Avery, czy naprawdę lubię jej towarzystwo i w jakim stopniu ukrywam prawdziwe uczucia za zakupami i plotkami. Gdyby nie on, moja przemiana trwałaby znacznie dłużej.

– Ale nie zabiłoby go, gdyby posypał tę gorzką prawdę odrobiną cukru – burczę. – Willy Wonka robił to non stop i jakoś dawał radę. Może i był trochę opętany, ale poza tym nikt nie narzekał.

Kayla się śmieje i kręci głową.

– Znasz Jacka. On się nie bawi w takie rzeczy.

Uśmiecham się. Może trochę krzywo, ale będę żyć. Kayla

kładzie mi rękę na ramieniu.

– Wy dwoje... Jesteście tacy sami. Nie zauważyłam tego wcześniej, dopiero Wren mi pokazał. I ma rację. Naprawdę jesteście identyczni. Więc myślę, że nawet jeśli zniknął, to wróci. Rzadko się spotyka takich ludzi jak ty. Wróci.

– Jak wróci, urwę mu łeb – oznajmiam.

– Powitasz go – protestuje stanowczo Kayla – uściskiem.

– Powitam go uściskiem. Uścisnę jego tułów. Do którego nie będzie przyczepiona głowa.

Kayla wali się ręką w czoło, a ja przytulam ją ze śmiechem. Śmieję się ciepło. Szczerze. Pierwszy oraz od wieków, jak mi się zdaje.

Nie tracę mojej najlepszej przyjaciółki.

Po prostu każda z nas idzie własną drogą. Dajemy się porwać różnym wiatrom, ale znów się spotkamy. Będziemy zwiedzać świat z różnych stron. Jak Kolumb i Magellan, odważnie zmierzający tam, gdzie żaden cuchnący szesnastowieczny odkrywca nie postawił stopy. Chociaż fakt, że jeden padł ofiarą gorączki i buntu, a drugi był rasistowskim draniem, który zapoczątkował wielusetletnie ludobójstwa... Po szybkim zastanowieniu postanawiam zarzucić tę metaforę.

– Dzięki Bogu – wzdycha Kayla. – Możesz już wysiąść?

Rozdział 5

3 lata, 45 tygodni, 0 dni

Doszłam do zaskakującego i bardzo odkrywczego wniosku, że wyjeżdżanie z domu jest do chrzanu. Jestem pewna, że nikt dotąd, w całej historii ludzkości, na to nie wpadł. Nikt, z wyjątkiem mnie. Jestem wyjątkowa.

– Isis, spóźnimy się!

I spóźniona. Jestem bardzo spóźniona.

Jednak to nie zwalnia mnie z pragnienia porządnego pożegnania. Mama odpala silnik, a ja stoję w progu i wdycham powietrze przesycone osiemnastoma latami młodzieńczych niepokojów. Co prawda nie mieszkałam tu przez całe osiemnaście lat, ale wszystkie dramaty, do których doszło w ciągu ostatniego półtora roku, sprawiają, że mam takie wrażenie.

Do widzenia, pokoju.

Do widzenia, dziewczynko, którą byłam.

Przytulam z całych sił Pannę Muffin i po raz ostatni głaszczę Szatańskie Nasienie. Potem wychodzę.

Mama jedzie powoli i ostrożnie. Ja popijam piwo imbirowe i patrzę, jak za oknem przelatuje autostrada. Nagle przerażająca myśl wali mnie z całej siły spoconą dłonią w głowę.

Co ja, do cholery, zrobiłam najlepszego ze swoimi nastoletnimi

latami?

Nie udzielałam się dobroczynnie, nie uprawiałam sportów. W szesnaste urodziny nie zostałam wojowniczą księżniczką wyposażoną w gadającego kota i pojawiające się znikąd ubrania. Hogwart nigdy nie przysłał mi listu, a ja im tego nie wybaczyłam i nie wybaczę. Niech tylko zaczekają, aż polecę do Londynu, znajdę peron numer Dziewięć i Trzy Czwarte, wślizgnę się na drugą stronę i rozpętam piekło. Sprawię, że Voldemort będzie przy mnie wyglądał jak kukiełka ze skarpetki. I umówię się z Draco. I wyszkolę gromadę domowych elfów, żeby mnie wachlowały i donosiły mi winogrona...

Opamiętuję się, gdy dociera do mnie, że w drodze do college'u piszę w głowie fan fiction na temat Harry'ego Pottera. Muszę się skupić. Skupienie! Żeby to jedno! Potrzebuję co najmniej siedmiu stanów skupienia, jeśli mam zrobić na wszystkich piorunujące wrażenie. Albo jakiegokolwiek. Wolałabym zrobić złe wrażenie niż nie zrobić żadnego.

Mama zjeżdża z autostrady, a ja wzdycham.

Nawet nie całowałam się z chłopakiem. W każdym razie nie tak na serio. Czyli nie po pijaku.

Robiłam inne rzeczy. Trzymałam się za ręce i przytulałam. Bezimienny bardzo się starał udawać, że jest miły za pomocą przytulania i trzymania za ręce. Nawet raz czy dwa zasugerował, że myśli, że jestem ładna. Ale to była tylko ściema, tak mnie oswajał, zanim mnie zmiażdżył. I zanim wydarzyło się wielkie to. Małe to. W sumie, nawet niewarte przymiotnika. Po prostu „to”.

To też muszę zostawić za sobą. Nie mam już miejsca. Nie, jeśli chcę iść naprzód. Robiłam, co w mojej mocy, żeby to pogrzebać, ignorować, aż zniknie i jakoś tam podziałało. Wystarczyło na tyle, żebym mogła spać w jednym łóżku z Jackiem bez załamania

psychicznego. Jest ze mną coraz lepiej i to naprawdę miła świadomość.

Jack pomógł mi zrozumieć, że można mnie kochać. Nie jestem beznadziejna.

Ani brzydka.

A może sama to rozumiałam?

Tak czy inaczej, wojna z nim pokazała mi wiele rzeczy. Dorosłam na wiele różnych sposobów.

W piersi narasta mi ból, ale otrząsam się i patrzę na uśmiech mamy.

– Tu jest znak. Wyjmiesz mapę?

OHIO STATE UNIVERSITY, wielkie białe litery zieją ze znaku na poboczu. Wyciągam broszurkę z mapą i pilotuję mamę do kampusu. Drzewa i krzewy różane kwitną jak oszalałe, a szmaragdowy trawnik nakrapiany jest przez późnopołudniowe maślane słońce. Budynek zbudowane są z cegieł, na okna zachodzi bluszcz, są też rzymskie kolumny. Akademiki są trochę obskurniejsze, ale duże. Wszędzie łążą setki studentów, a za nimi wędrują rodzice. Inni stoją przy samochodach i przytulają się po raz ostatni albo dzielą się bagażem do wniesienia na górę.

Mama parkuje i wysiada, a mnie ściska w żołądku z emocji, gdy szukam klamki. To już. Tak kończy się moje dzieciństwo. Nie z jakimś wielkim przytupem, przeciwnie, cichym krzykiem.

Dotykam śladów po przypalaniu papierosem na nadgarstku i upewniam się, że rękaw je zakrywa. Cofam to, co powiedziałam. Moje dzieciństwo skończyło się dawno temu.

Mama nie jest w stanie podnieść mojej ciężkiej walizy ani plecaka, więc sama je ciągnę po schodach, a ona idzie za mną. Pokój jest mały, pomalowany na biało, na drugim piętrze, zaraz

obok wyjścia ewakuacyjnego. Nie ma dywanu, tylko zimne płytki, a łóżka są tak wysokie, że mógłby na nich spać co najmniej Hagrid. Stoją w dwóch końcach pokoju, między nimi jarzy się okno. Obok łóżek są biurka, a obok narzędzia najokrutniejszych tortur: drewniane krzesła. Dwie szafy czekają, aż zostaną wypełnione butami, kondomami, zawalonymi egzaminami albo czym tam studenci wypełniają pustą przestrzeń. Może zawiedzionymi marzeniami.

Moja współlokatorka zajęła już lewą część pokoju, więc rzucam graty po prawej. Mama wyciąga z bagażu pościel, którą wzięłam i zaczyna mi ścielić łóżko. Przyglądam się jej i wiem, że zatęsknię za takimi widokami. Zaglądam do szafy mojej współlokatorki: gitara, wojskowe kurtki i buty trekkingowe. Na biurku rozsypana jest srebrna biżuteria: kolczyki, pierścionki z czaszkami i naszyjniki z kolcami. Tak. Już widzę, że się dogadamy.

Mama kończy ścielić, więc idziemy na dół i siadamy na trawniku, w słońcu. Mama trzyma mnie za rękę i głaszcze kciukiem.

– Przepraszam cię – zaczyna.

– Za co? Że nie urodziłaś mnie tydzień czy dwa wcześniej? Tak bym chciała być spod znaku Bliźniąt. Horoskopy Raka to kupa bzdur.

Mama uśmiecha się gorzko.

– Nie, nie za to. Za... Sama nie wiem. Czuję, że się nie sprawdziłam. Ale podejrzewam, że każdy rodzic tak czuje.

Ściskam jej dłoń.

– Zrobiłaś, co w twojej mocy. Obie zrobiłyśmy.

Kiwa głową i czuję jej uścisk.

– Cieszę się, że mogłam cię mieć w domu przez ten rok. Nawet

jeśli... Było ciężko.

Wiem, jak wygląda żal. Widziałam go na pogrzebie w każdej zmarszczce na twarzy Jacka. Nigdy nie zapomnę, jak wyglądał, choćby porwali mnie Zabadooniańscy i wyczyścili mi pamięć. Mama nosi swój żal jak apaszkę, niby swobodnie, ale mocno związaną pod szyją. Obejmuję ją mocno i chowam twarz w jej ramieniu.

– Nic nie szkodzi. Dobrze się bawiłam. Było ciężko, ale i fajnie, a do tego dużo się nauczyłam. Więcej niż przez całe dotychczasowe życie, więc jestem szczęśliwa, że z tobą zamieszkałam. Dziękuję, że jesteś najlepszą mamą świata.

Głodzi mnie po włosach i zaczyna płakać.

– Kocham cię, Isis.

– A ja ciebie! – Śmieję się, bo z oczu płyną mi łzy. – I będę za tobą tęsknić.

Będę widywać się z mamą częściej niż z Kaylą, ale to i tak boli. Jestem równie dobra w pożegnaniach jak Tarzan w noszeniu ubrań.

Najważniejsze, że Leo jest w więzieniu. Mama przez kilka lat będzie bezpieczna.

Uparła się, żeby zostawić mi starego garbusa. Już od jakiegoś czasu chciała zmienić samochód, a to doskonała okazja. Odwożę ją na dworzec autobusowy i macham, gdy autokar wyjeżdża z parkingu. Obserwuję go ze ściśniętym sercem, które spada jak ptak polujący na coś tuż nad ziemią. Gdy wjeżdżam z powrotem na teren uczelni, serce znów wzlatuje.

Jestem sama.

Nikt na Ohio State mnie nie zna. Muszę zacząć od nowa. Setki studentów pierwszego roku mijają mnie na chodnikach, a niektórzy deptają zieloną trawę i przy okazji moje naiwne serce,

gdy patrzą przeze mnie, jakbym była przezroczysta. Jestem równie anonimowa jak Imperator Palpatine, zanim zdjął kaptur. Na przeszklonej ścianie biblioteki wisi wielki napis: WITAMY PIERWSZAKÓW!

– Chyba pierszraków – rozlega się głos po mojej lewej stronie. Zatrzymuje się obok mnie dziewczyna z siedmioma kolczykami w jednym uchu i okrągłą, zdecydowaną twarzą. Jest ciężka, wysoka i potężna. Włosy ma wygolone po bokach i zafarbowane na róż, choć trochę wyblakły. Glany i flanelowa koszula mówią mi wszystko, co muszę wiedzieć. Suka doskonała. Chciałabym być nią i jednocześnie się z nią bić, żeby móc się chwalić, że mnie walnęła. Mruga orzechowymi oczami, grubo obwiedzionymi eyelinerem.

– Że co?

– Myślałam na głos? Czasem mi się to zdarza. Lekarze mówią, że to prawdopodobnie łagodna postać zespołu Tourette’a, ale moim zdaniem to zapowiedź skoku ewolucyjnego gatunku. Pewnego dnia cały świat będzie taki jak ja. I będzie zajebiście.

Dziewczyna marszczy różowe brwi i wybucha śmiechem. To szczery, prawdziwy śmiech na całe gardło, jak gulasz w porównaniu z cienką zupą, czyli chichotem, który zwykle wydają z siebie dziewczyny. Wyciąga rękę.

– Jestem Yvette. Yvette Monroe.

Ściskam jej dłoń.

– Isis Blake. Ale przyjaciele mówią do mnie Świrusko. Albo Idiotko. Czasem jednocześnie.

Yvette parska śmiechem.

– To jest nas dwie.

Wtedy wpada mi w oko jeden ze zjawiskowych kolczyków z czaszkami. Widziałam takie w moim pokoju.

– Nie wiem, czy nie wyda ci się to trochę paranoiczne, ale nie mogę nie zauważyć, że zdekapitowałaś Jacka Szkieletona i włożyłaś sobie do uszu.

– Cóż mogę powiedzieć? – Yvette wzrusza ramionami. – Lubię kości.

– Ja też. Głównie dlatego, że szkielety wspierają od wewnątrz strukturę mięśniową i bez nich bylibyśmy wielkimi mięsnymi flakami. I nie mielibyśmy środkowych palców, żeby móc je pokazywać ludziom. Mieszkasz w pokoju 14B?

Yvette szeroko otwiera oczy.

– Tak. Czyli jesteś...

– ...moją współlokatorką! – piszczę. Mijający nas chłopak krzywi się i pokazuje mi środkowy palec, więc informuję go na cały głos, że powinien za to podziękować swojemu szkieletowi. Yvette wydaje się rozbawiona. Obejmuje mnie, a ja zapadam się o pięć centymetrów w ziemię.

– Ty pierwsza – oznajmia, prowadząc mnie z powrotem do naszego budynku.

– Do czego? Do wyścigu z trzema nogami? Jeśli tak, to musisz wiedzieć, że mam tylko jedną nadającą się nogę, druga jest nieogolona i nieseksowna.

– Pierwsza opowiadasz swoją historię. Skąd jesteś?

– Z Ohio. To znaczy nie. Z Florydy! Tak. Tam się wychowałam, a tu przyjechałam do ostatniej klasy liceum. A ty? Czeka, niech zgadnę: z piekła. Jesteś z piekła.

– Zdecydowanie tak. Piekło w stanie Kansas.

– Lubię nieugotowany makaron do ramenu i jeżdżę samochodem jak wariatka.

– Ja nienawidzę wszystkiego poza bekonem i piklami. I nie mam prawa jazdy.

– Raz w trzeciej klasie wsadziłam sobie cukierka do nosa, żeby zaimponować jednemu chłopakowi. Uprzedzę pytania: miał to gdzieś.

Za to Yvette chyba jest pod wrażeniem. Potem wzdycha.

– Ja zaczęłam palić, w końcu to pierwszy rok studiów, ale już wiem, że i tak pewnie mnie wyrzucą.

Zabija mnie jej szczerłość. Mówi tak po prostu, szczerze, bez dramatyzowania. Ja nigdy tego nie umiałam. A powinnam. Gdybym potrafiła, może uratowałabym czyjeś życie.

– Moja przyjaciółka popełniła samobójstwo – wyznaję. Yvette patrzy na mnie przez sekundę, przez minutę długą jak godzina, która nie chce się skończyć, bo ona widzi mnie, a nie patrzy przeze mnie, jak wszyscy tutaj. Otwiera drzwi i wchodzimy. Wskazuje na swoje łóżko.

– To jest moja połowa. Tamta jest twoja. – Kiwam głową, a ona się uśmiecha. Zachodzące słońce podświetla od tyłu jej różowe włosy. – To teraz chodźmy się nazreć.

Najpierw fakty: college jest super.

Opieram tę opinię na fakcie, że w stołówce dają zupę z małżów, pizzę, pierożki gyoza i burrito oraz deser. Co wieczór. Jeśli się chce. A ja oczywiście chcę. Czasem. Bo czasem jem sałatkę jak Poważny Dorosły™, którym chyba aktualnie jestem.

Jeśli chodzi o wygodę, to moje łóżko Hagrida jest dość gówniane, ale jestem tak przerażona, że w nocy spadnę w półtorametrową przepaść, że leżę grzecznie na samym środku, starannie okryta kołdrą. Yvette chrapie, a jak odrabia prace domowe, puszcza na cały regulator Metallicę, ale poza tym dobrze się dogadujemy. Nawet lepiej niż dobrze. Bywa bardziej złośliwa ode mnie, co jest warte co najmniej czterech Nagród Nobla, ale jest też mądra. Nie

w tym sensie co Jack, ale nie jest też tak głupia jak on. Jest twarda, zwykle trochę wkurzona, ale śmieje się głośniej i wścieka się szybciej niż ktokolwiek, kogo znam, nie licząc Kayli, kiedy jej mówię, że jest ładna.

Po ubiegłym roku pełnym tajemnic i pasywnej agresji jej otwartość jest odświeżająca. Nie porusza tematu samobójstwa Sophii, chociaż powiedziałam jej już pierwszego dnia. Nie wtrąca się i za to ją uwielbiam. Czasem pali na schodach przeciwpożarowych, czasem chodziłam z nią i też próbowałam, ale zwykle kończyło się na tym, że rzygałam, więc szybko odpuściłam.

Może w swoim czasie opowiem jej o Sophii. A może nie. Może zachowam to w środku, tak jak Bezimiennego. Ale tym razem nie pozwolę się toczyć od wewnątrz. Nie dam się tej myśli ranić, jakbym nosiła we wnętrzu stos potłuczonego szkła. Nauczyłam się na przykładzie jednego gnoja, że tak nie można.

Zajęcia są świetne i całkiem łatwe, choć możliwe, że tylko na początku semestru. Co prawda czworo wykładowców zadało dziesięciostronicowe eseje na przyszły tydzień, ale napisanie czterdziestu stron to dla mnie betka. W moim jęcząco-buntowniczym dzienniku z lat młodszych potrafiłam pisać po dwadzieścia stron dziennie. Jedyne, z czym mam problem, to koncentracja, bo sale to wielkie audytoria, które łatwo można by było przekształcić w arenę dla gladiatorów, gdyby tylko przesunąć katedrę pod ścianę i pozbyć się krzeseł, zwłaszcza że ściany są nudne i znacznie lepiej wyglądałyby zbryzgane krwią. Lampy są wyjątkowo jasne, nie wiem, czy oni tu polerują żarówki? Jak można wypolerować żarówkę? Mają kadre latających woźnych?

Yvette, siedząca obok mnie na naszych miejscach na końcu

sali, informuje, że woźni nie umieją latać. Za to wampiry tak.

– Wampiry są obrzydliwe – orzekam.

– A czytałaś *Zmierzch*?

– Czytałam masę innych rzeczy, które nie są *Zmierzchem*.

– *Zmierzch* jest najlepszy. A najlepsze z najlepszych były wampiry. I sceny miłosne!

Wzdrygam się. Yvette w koszulce z płonąca czaszką i w podartych dżinsach wzdycha jak płocha księżniczka marząca o księciu.

– Wyobraź sobie seks z wampirem – mówi.

– Wyobraź sobie, że idziesz do kościoła i modlisz się do swojego Pana i Zbawcy – proponuję.

Śmieje się i wraca do oglądania Tumblra na laptopie. Uznają wtedy, że najlepsze w college'u jest to, że wykładowcy mają gdzieś, czy ich słuchasz, czy nie. Jeśli tylko ktoś nie zaczyna bluzgać na cały głos, totalnie ignorują surfowanie w Internecie i esemesowanie, które się nagminnie odbywa. W końcu to my płacimy, żeby tu być, nie odwrotnie. Pewnie sielanka się skończy, gdy się zaczną ćwiczenia, ale na razie jestem w Shangri-La i proszę ze mną nie rozmawiać o ćwiczeniach i laboratoriach, bo myśl o tylu łatwopalnych chemikaliach jest tak zachwycająca, że muszę się naprawdę pilnować, żeby się z tych emocji nie posikać w majtki. Niech żyje nauka. Niech żyją materiały wybuchowe.

Mama dzwoni co wieczór, bo tak już mają mamy. Dzwonią i wzdychają. Moja zawsze dużo wzdychała, bo po pierwsze zazwyczaj jest smutna, a po drugie posiadanie świrniętej córeczki byłoby wyzwaniem dla każdego śmiertelnika. Nie licząc Beyoncé, ale wszyscy wiemy, że ona nie jest śmiertelniczką i w ogóle, a poza tym ma swoją Blue Ivy, której nienawidzę, bo to niesprawiedliwe, bo Beyoncé powinna być moją mamą!

– Muzyka Beyoncé jest koszmarna – komentuje Yvette w drodze na obiad.

– A tak – odpowiadam. – Pozwól, że dopiszę to do mojej tajnej listy zatytułowanej „25 Zdań Które Zaprowadzą Cię Ze Mną Do Kotła Wrzącej Lawy w Królestwie Belzebuba”.

– Strasznie często myślisz na głos. To jakaś wada wrodzona?

– Skutek kontaktu z radioaktywnymi cieczami, w których kąpała się moja mama, gdy była w ciąży.

Yvette otwiera usta, żeby coś dodać, ale zamyka je i przybiera barwy kanapki z keczupem: biała na brzegach, czerwona pośrodku. Wędruję za jej wzrokiem utkwionym w grupce dziewczyn, ale zanim zdołam ustalić, która ją tak zainteresowała, Yvette się otrząsa, odchrząkuje i sięga po miseczkę z zupą.

– W każdym razie – występuje z wyraźnym trudem – w Weigel Hall są wieczorki muzyczne. Głównie występują spoceni kolesie wymachujący pałeczkami do bębnow i grający covery Alice in Chains, ale powinnaś przyjść i zobaczyć, na czym polega prawdziwa muzyka.

– Chwileczkę, chcesz powiedzieć, że zignorujemy to, co się przed chwilą...

Yvette natychmiast wylewa sporą zawartość zupy na podłogę.

– Co się przed chwilą? – pyta ostro.

– Nie, nic. Nieważne. Dobra, przyjdę. Trzeba płacić za wstęp? Wyraźnie się odpręża.

– Nie, wchodzisz za darmoszkę. Umawiamy się o siódmej?

Potwierdzam imitacją ostrego gitarowego riffu, a ona się śmieje, a potem sobie idzie. Biorę kawałek pizzy na taras, gdzie zachodzące słońce maluje wszystko na odcień bladego złota i na srebrno. Drzewa rzucają długie cienie, płaczące się z cieniami przechodniów i na nowo się rozplątujące.

I wtedy dostrzegam jego.

Choć bardzo się staram nie widzieć. Naprawdę. Mój mózg trzeszczy i zapominam, jak się przełyka. Cierpnie mi skóra, najpierw rozpalona jak ogień, a po chwili tak lodowata, że równie dobrze mogłabym być na Alasce. Zaczynam się pocić, rozglądam się wkoło i wypatruję dróg wyjścia z tarasu: schody, tylne schody, przez stołówkę i na zewnątrz. Nawet się nie zastanawiam, po prostu działam. Łapię talerz i wyrzucam, zajmuje mi to dwie sekundy, w czasie których panika i przerażenie przejmują nade mną całkowitą kontrolę. Wpadam do stołówki i przez okno obserwuję, jak się zbliża.

Kręcone brązowe włosy spadają mu na oczy. Oczy w kolorze stali, tak ciemnoniebieskie, że nie widać w nich światła. To kolor mieczy i oceanu, jedno i drugie przerażające, ostre i śmiertelnie niebezpieczne. Już zabił niewielką część mnie. Ma wyraziste brwi i ładne usta, gdyby zmrużyć oczy, mógłby uchodzić za członka brytyjskiego boysbandu. Na nosie nadal ma piegi. Te piegi, o których pisałam głupie wiersze. Jest wyższy, niż zapamiętałam, wyższy od wielu chłopaków tutaj, ma też pokaźne bicepsy, widać, że pakuje i większość dziewczyn by na ten widok zemdląła, ale ja powstrzymuję wymioty. Naprawdę mam ochotę się porzygać, tu, na miejscu, do doniczki z kwiatem, za którym się chowam. Za paniką, zmieniającą mój mózg w papkę rozlega się cichy wrzask.

Co! Do! Jasnej! Cholery! Robi! Tu! Bezimienny?!

Tutaj, ze wszystkich miejsc świata, ze wszystkich pieprzonych uczelni! To chyba jakiś żart. Na pewno tylko przyjechał do kolegi albo co. Nie może tu studiować, uczyć się tu i spać w promieniu piętnastu kilometrów ode mnie. Nie może. No po prostu nie. Znalazłam się tutaj, żeby go zgubić. Przeprowadziłam się do

innego stanu, żeby go zostawić za sobą, ale mnie znalazł. Nie, cholera, niemożliwe, że przyjechał tu dla mnie. To przypadek. Jego wstrętne, zastraszające mejle z początku roku były tylko ostatnim tchnieniem, desperacką próbą... No właśnie czego? Przypominają mi się sesje z doktor Mernich, psychologką, do której chodziłam po tym, jak zaatakował mnie Leo. Wracają mocno i boleśnie. Drażnił mnie. To jego sposób. Chciał, żebym go pamiętała. A teraz będzie patrzył, jak pamiętam. Osobiście.

– Hej... Wszystko dobrze?

Podnoszę wzrok. Obserwuje mnie dziewczyna z włosami w kolorze miodu. Jej duże szare oczy wpatrują się we mnie zza okularów. Lekko pachnie różami. Mój nadludzki zmysł obserwacji uczyła mnie na fakt, że cycki ma większe niż Kayla, a do tego duży, miękki brzuch, ale jestem pogrążona w takiej panice, że ledwo zwracam na to uwagę.

– Zdecydowanie niedobrze – odpowiadam piskliwym głosem.

– No właśnie, wyglądasz jak kupa. – Powiedziawszy te słowa, zakrywa dłonią usta i szepcze z przerażeniem: – Ale nie ogólnie. Tylko teraz. Wyglądasz masakrycznie. Albo makabrycznie, raczej tak. Abramakabra, jakby ktoś cię z czarował.

Abramakabra. Widzę przed oczami gwiazdki, bo oto jestem świadkiem historii. Poznałam jedyną na planecie Ziemia osobę, która jest w stanie pobić mnie, Isis Blake, w durnowatych grach słów. I do tego ma rozkoszne krągłości. I pachnie różami. Ale zaraz przypominam sobie, że przecież jestem w trakcie przeżywania całkiem potężnego ataku paniki.

– Jesteś fajowa i w ogóle – mówię szybko – ale właśnie się dowiedziałam, że na tej uczelni studiuje też mój były chłopak, co jest totalnie obrzydliwe. Tak obrzydliwe, jak ciężarówka ślimaczego śluzu. Nie chcesz przebywać w otoczeniu takiej dawki

obrzydliwości, więc gdybyś była tak miła i sobie poszła, wróciłabym do bycia bezradną ofiarą terroru.

Okularnica marszczy czoło i wpatruje się w tłum

– On cię terroryzuje? Bo jeśli tak, nie odpuszczę. Który to?

– Ach, ten z piekielną, okrutną aurą ledwie maskowaną niepokojącymi, socjopatycznymi tendencjami oraz kaloryferem na brzuchu, który właśnie tu wchodzi, o mój Boże, muszę iść. Lecę w kosmos.

Wypadam przez tylne drzwi dokładnie w chwili, gdy Bezimienny wkracza do stołówki. Połykam chłodne wieczorne powietrze i stawiam tak duże i desperackie kroki, że prawie się przewracam. Okularnica w ostatniej chwili łapie mnie za łokieć.

– Słuchaj, może cię zaprowadzę do pielęgniarki?

Przez chwilę rozważam tę propozycję.

– Byłoby miło. Ale najpierw obrzygam ci buty, a potem prawdopodobnie nie będziesz już chciała mnie nigdzie prowadzić ani nawet być dla mnie miła.

– Spoko.

Więc bez zbędnej zwłoki wymiotuję na jej buty. Gdy przestaję już wydawać rozkoszne gulgoty, dziewczyna wybucha śmiechem.

– Mam na imię Diana. A buty są mojej współlokatorce. To suka.

– O rany. – Ocieram usta. – Uwielbiam niszczyć buty sukcom. Robię to notorycznie. Choć najczęściej jednak w odniesieniu do butów jednego takiego głupiego i ślicznego chłopca. A teraz i twoich. Nie, żebyś była ślicznym głupim chłopcem. Chociaż nie wiem. – Zapada cisza. Diana wygląda, jakby się zastanawiała nad tajemnicami swojej płci. – Mam na imię Isis.

– Miło cię poznać, Izydo, egipska bogini płodności. – Diana się uśmiecha.

– Znała mnóstwo magicznych zaklęć i prawie cały czas chodziła nago, co jest superfajne, nie licząc piasku w misi-pisi, ale ja nie zamierzam wychodzić za własnego brata, co jest, że skomentuję na stronie, obrzydliwe, a poza tym chętniej bym usuwała facetów, niż ich posuwała, a w tej sytuacji już na pewno nie zostanę tu na cztery lata tylko po to, żeby zdecydować, jak będę zarabiać na życie, Boże, muszę się położyć.

Więc się kładę. Na chodniku. Diana przygląda mi się z niezdrową ciekawością.

– Trzymasz głowę tuż obok kałuży swoich rzygów – informuje uprzejmie.

Marszczę nos i przesuwam się półtora metra w bok, na trawę. A że trawa natychmiast znika i pojawia się zbocze, turlam się i wdycham zapach świeżych ździebeł. Gdy świat przestaje się kręcić i zatrzymuję się u podnóża, nade mną pojawia się Diana i pyta, czy wszystko w porządku. Z nią nadlatuje subtelny zapach róż i w efekcie zaczynam się śmiać.

Przerażenie miażdżące mi serce zniknęło, gdy się toczyłam. Lodowaty, mocny uścisk Bezimiennego został skruszony. Zapach rozgrzanej na słońcu ziemi i łaskotanie trawy na tyłku przypominają mi, że to minie. On minie. Któregoś dnia umrze i będę wtedy naprawdę wolna, ale i tak świat się jeszcze nie kończy. On tu jest. Ja tu jestem. Ale jesteśmy innymi ludźmi. Po tym wszystkim, co się stało, stałam się silniejsza. Z jego powodu, z powodu bólu. Ale przede wszystkim z powodu Sophii, Jacka, Kayli i Wrena.

Chcę być szczęśliwsza. Jak Sophia teraz. I jak, mam nadzieję, Jack.

Nawet jeśli oboje odeszli. W ogóle, jeśli wszyscy odeszli.

Nawet jeśli zostałam całkiem sama.

Diana przygląda mi się, a potem się uśmiecha i siada obok. To potwierdza moje podejrzenia: albo jest totalną świruską, skoro trzyma się kogoś, kto jej przed chwilą narzygał na buty, a potem sturlał się z pagórka, chichocząc jak naćpany chomik, co by sugerowało, że może być na przykład seryjną morderczynią, albo jest naprawdę miła. Jedno i drugie mocno niepokojące.

– Płaczesz – mówi nagle, zrywa dmuchawca i dmucha. Ocieram twarz.

– Ostatnio często się zdarza. Bo wiesz. Płacz jest fajny, jeśli myśli się o tym jak o maseczce nawilżającej oczy.

Diana chichocze. Wstaję i strzepuję trawę z mojego misternie wyrzeźbionego brzucha.

– No więc było miło, ale muszę iść i zastanowić się nad faktem, że chyba mi totalnie odbija – stwierdzam.

Diana wzrusza ramionami.

– Moim zdaniem po prostu się boisz. College jest straszny. Możemy robić wszystko. Oblewać egzaminy, nie zaliczać roku, pić, palić, uprawiać seks, nikogo to nie obchodzi. Już nie jesteśmy dziećmi. Nie ma rodziców. To, jak będzie wyglądała nasza przyszłość, zależy od decyzji, jakie podejmiemy teraz. I to jest naprawdę przerażające. – Przyglądam się jej twarzy. Diana obejmuje kolana. – Spotykanie swoich byłych, których się od dawna nie widziało, też.

Już mi się odechciewa iść, więc siadam koło niej. Ostatnie, na co mam teraz nastrój, to samotność. Patrzymy, jak zachodzące słońce rozdziera niebo płonącym aksamitem.

– Chłopaki są dziwne – podsumowuje po namyśle Diana.

– Nie wiem nic o chłopakach, poza tym że czasem wydają dziwne odgłosy.

– To się nazywa mówienie.

– Ach.

Diana mruży oczy.

– Jeśli zrobił ci coś złego, mogę mu od ciebie przykopać.

– Często tak chodzisz po ludziach i oferujesz swoje usługi kopiujące?

– Mam czterech młodszych braci. Szkoda, żeby moje umiejętności się zmarnowały.

To moja kolej, żeby zachichotać, ale dochodzące zza moich pleców głosy sprawiają, że podskakuję. Zerkam nerwowo w górę wzgórza, ale to tylko tłumek rozwrzeszczanych dziewczyn.

– Nie mam ochoty żyć, co chwilę oglądając się przez ramię. – Wzdycham. – Na Florydzie było to masakryczne i tutaj też będzie.

– Doradziłabym ci, żebyś go olała, ale podejrzewam, że łatwiej powiedzieć niż zrobić, co?

Kiwam głową. Diana zrywa źdźbło trawy. Już mam powiedzieć coś głębokiego, podniosłego i może nawet rewolucjonizującego nasze życie, gdy wkrada się między nas mocny, jasny głos Yvette. Na plecach ma futerał na gitarę, a jej różowe włosy pasują do zachodzącego słońca.

– Jezu! Idziesz na ten koncert czy nie, głupia pałko?

Wstaję, nadal roztrzęsiona. Jeszcze raz zerkam w stronę stołówki. Kolczasty dławik, który zaciskał się na mojej szyi, zniknął. I Bezimienny też. Jestem bezpieczna. Diana wstaje razem ze mną, więc się do niej uśmiecham.

– W skali od jednego do nie wiem, jak bardzo lubisz muzykę?

Rozdział 6

3 lata, 47 tygodni, 1 dzień

Weigel Hall jest wielką, szklano-ceglaną szopą zbudowaną przez jakiegoś bogatego, pomarszczonego absolwenta, chcącego ujrzeć swoje nazwisko na czymś ogromnym i imponującym, zanim kopnie w kalendarz. Gra tu muzyka i przez całą dobę pałętają się Ludzie, Którzy Za Bardzo Lubią Death Cab For Cutie™. Oni napędzają to miejsce. Odbywa się tu coś w stylu pojedynku kapel, stada grunge'owych studentów grają ambitne indie dla widowni składającej się z takich samych osobników jak oni. Alkohol jest zabroniony, ale ludzie i tak wnoszą, w butelkach z napojami i termosach, śmiejąc się i chlupocząc jak przesiąknięci wodą piraci. Z funduszami powierniczymi. I zadanymi na następny dzień esejami. Nie, żeby piraci pisali eseje. Ale gdyby, to poświęcaliby je śpiewającym papugom, walkom na noże i wypasionym zdobyczom niebędącym kobietami lub będącym jednocześnie kobietami i skrzyniami skarbów, bo to w końcu piraci.

– Trzymaj. Rób mi zdjęcia. Chcę doświadczyć swojej zjawiskowości w technicolorze. – Yvette wciska mi do ręki komórkę. Diana wygląda na trochę zagubioną, ale śmieje się rozkosznie.

– Grasz w kapeli? – pyta, a Yvette patrzy na nią, jakby ją widziała pierwszy raz w życiu.

– N-no, tak. No. W Ale Czad.

– Bez przesady. Nie jest aż tak super – protestuję. – Zdecydowanie za mało osób jest nago.

– To nazwa zespołu, ciołku. – Yvette trąca mnie łokciem. – Wchodzimy następni, jestem spóźniona. Gdyby ktoś odbierał telefon i nie zmuszał mnie do ganiań po całym kampusie...

– Mówiłam ci, że rząd podsłuchuje moje rozmowy, więc przerzuciłam się na sygnały dymne! – Dramatycznie zawieszam głos. – Mają zadziwiająco tanie taryfy. Tylko trzeba pamiętać o zapalkach.

Yvette wywraca oczami i przepycha się wśród tłumu w kierunku sceny. Diana i ja obserwujemy, jak grający właśnie zespół podbija serca tłumu za pośrednictwem gitarzysty masakrującego uszy zebranych zabójczą solówką.

– Jest słodka! – krzyczy do mnie Diana.

– Nie taka słodka jak ja! – odkrzykuję. – Czeka, ale o kim ty mówisz?

– O twojej koleżance. Yvette, tak?

– Ach, tak. To współlokatorka. Pod wpływem mojego dotyku każdy się staje słodki. Będzie jeszcze słodsza, gdy moje zarodniki opanują całe jej ciało i zmienię ją w gotowego na każde skinienie pacholka. – Milknę, a Diana chichocze. – Ale poza tym nie jestem podła.

– Wiem – zapewnia. – Podli ludzie tak często nie płaczą.

Kiedyś tyle nie płakałam i chcę jej to powiedzieć, ale uświadamiam sobie, że opowieść trwałaby za długo. To materiał na jakieś trzy książki. Zamiast więc mówić, zastanawiam się, co dokładnie miało znaczyć, że Yvette jest słodka. Słodka w takim

ogólnym znaczeniu, że jest uroczą dziewczyną, czy raczej: ej, jesteś słodka, mała, wskakuj do mojego łóżka? Nagle przytłacza mnie ogrom pomieszczenia, w którym się znajduję i odczuwam wielkie emocjonalnie wyczerpanie mijającym dniem. Mamroczę jakąś wymówkę i chwiejnym krokiem pcham się przez tłum na zewnątrz. Tam mi lepiej. Ludzie palą, a muzyka nie jest tak ogłuszająca. Siadam, obejmuję kolana, opieram na nich brodę i obserwuję księżyc wschodzący nad szykującym się do snu kampusem. To teraz mój dom, ale nie czuję się jak w domu. Kiedy to się zmieni?

– Jak się dobrze poczujesz – odpowiada ktoś. Moje uszy rozpoznają ten głos bez udziału wzroku i nagle bardzo żałuję, że wyszłam na zewnątrz, wybrałam tę uczelnię i w ogóle się urodziłam.

Uśmiecha się do mnie Bezimienny. Ręce trzyma luźno w kieszeniach džinsów. Jest wysoki, spowija go cień, a ja tracę czucie w opuszkach palców. Siada obok, a mnie ogarnia paraliż połączony z doznaniem wyładowań elektrycznych. Bezwład sięga moich oczu.

– Ale nigdy się tu dobrze nie poczujesz, prawda? Nie, kiedy ja tu jestem. – Patrzy mi prosto w oczy i gdzieś w środku się kulę, czekając na cios.

– Dlaczego? – Udaje mi się wycedzić przez zaciśnięte usta.

Bezimienny wzrusza ramionami i odgarnia włosy z oczu.

– Ciocia i wujek, rodzice Wrena, mieszkają w Ohio. Tata wolał, żebym miał na miejscu rodzinę. Ja chciałem iść na uniwersytet w San Diego, ale wiesz, jak jest. Nie zawsze ma się w życiu, czego się chce. A czasem, nawet jak się ma, to się żałuje. Żadna niespodzianka, nie? – Uśmiecha się, obnaża zęby, a ja zaczynam się trząść. Nogi, ręce, nawet szyja dygoczą i nie mogę nad tym

zapanować. – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela – wzdycha. – Strasznie długo próbował sforsować moje firewalle, koszmarne upierdliwy gnojek. Jak on ma na imię? John? Jake? Nie wiem, w każdym razie już po nim. Od miesiący się nie wtrąca, a z dokumentów waszego liceum wynika, że przestał chodzić do szkoły pod koniec semestru.

– Skąd wiesz? – Przełykam ślinę.

– A jak myślisz? – Śmieje się. – Jeśli masz tylko laptop i ojca, który nie chce cię widzieć, uczysz się różnych rzeczy dla zabawy.

Wbijam sobie paznokcie w dłoń. Mimo narastającej paniki przypominam sobie jego ojca, przerażającego, ogromnego mężczyznę, który za dużo pił i naprawiał motory. Gdy mama Bezimienego odeszła, wyżywał się na nim. Przez najkrótszy z ułamków sekund czuję żal, stary żal, ale wystarczy rzut oka na jego zadowolony z siebie uśmiezek i litość znika.

– Ale pech, co? Wreszcie znalazłaś gościa na tyle głupiego, żeby na ciebie leciał, a i on w końcu zwiął.

– Czego chcesz? – pytam z trudem. On wzdycha.

– Żebyś poznała prawdę. O Jacku. O tym, co zrobił tamtej nocy.

Nie sądziłam, że to możliwe, ale żołądek ściska mi się jeszcze bardziej. „Tamta noc”. Mówi o dniu w gimnazjum, kiedy Sophia straciła Tallie. Wren to nagrał.

– To ty... – Z trudem przełykam ślinę. – Ty przesyłałeś mi zdjęcia ręki Jacka z kijem do baseballu.

– Tak jest.

– Skąd je miałaś?

– Żaden problem. Mam tę taśmę. Całość.

Nie mogę oddychać. Płytkie urywane wdechy to wszystko, na co mnie stać.

– Ale...

– Możesz mnie nienawidzić – przerywa. – Możesz mnie uważać za symbol ostatecznego upadku, ale ja cię znam. Wiem, jaka jesteś ciekawska. Jeśli chcesz obejrzeć tę taśmę, a chcesz, przyjdiesz do mnie. Wcześniej czy później. A ja nie mogę się już doczekać.

Wybuchą śmiechem i szybko, za szybko, klepie mnie po ramieniu. Panika spina mi wszystkie mięśnie i nagle, niezależnie ode mnie, jakbym była marionetką na sznurkach, moje kolano wystrzeliwuje prosto w jego bok. Wydaje zduszony odgłos, jakby się dławił i przyjazna maska, którą nosi, kurczy się, uśmiech zmienia się w okrutny grymas, a dziarski błysk w oku złowrogo ciemnieje.

– Ty mała...

Wyciąga rękę w moim kierunku, ja się kulę, ale nie dzieje się nic więcej, bo ktoś między nami staje.

– To by było tyle.

Ten głos też poznaję.

Ciemne džinsy, flanelowa koszula z podwiniętymi rękawami, znajome plecy, obok których spałam dawno, dawno temu. Ciemnozłote włosy nastroszone z tyłu. To złudzenie. Nie ma innego wytłumaczenia.

– A ty kim, kurwa, jesteś? – syczy Bezimienny.

– Czuję się dotknięty, że mnie nie poznajesz, Will. Tyle grzebaniny w naszych szkolnych kartotekach, a nawet nie zajrzałeś do moich zdjęć? Taki z ciebie leniuszek? Nazwałbym to poważnym niedopatrzeniem. A może i błędem.

Widzę, że Bezimienny szeroko otwiera oczy, ale natychmiast się opamiętuje i z powrotem przybiera neutralną minę. Złośliwy uśmieszek znów rozciąga mu usta, a gdy się podnosi, niemal dorównuje wzrostem nowo przybyłemu.

– A więc wszyscy tu jesteśmy! Wybornie! Impreza może się nareszcie rozpocząć! – Śmieje się. Przygląda się przybyszowi, potem patrzy na mnie i wreszcie odwraca się, żeby ruszyć oświetlonym chodnikiem. Gdy znika mi z oczu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ustępuje także paraliż i desperacko łapię oddech.

– Cholera, dupa, małpie gówno! – Wstaję, otrząsam się i marzę, żeby przestać dygotać. Ale to zajmie kilka godzin. Zwłaszcza że to nie tylko wina Bezimiennego.

Odwraca się do mnie Jack Hunter.

Wydaje mi się, że nie widziałam go całe lata, choć minęło tylko kilka miesięcy. Znacznie się przez ten czas postarzał, wokół oczu ma zmarszczki, których wcześniej nie było. Ma dojrzałą twarz, wyostrome młodzieńcze rysy jakoś złagodniały, nadając mu atrakcyjny, nieco ptasi wyraz. Ale oczy ma tak samo lodowate jak kiedyś. Tak samo marszczy czoło.

– Isis...

Odwodzę zaciśniętą pięść i walę go w twarz.

Jego głowa odskakuje, a ludzie wokół milkną jeszcze bardziej. Ktoś coś mruczy o bójce, ale nikt się nie rusza. Z wyjątkiem Jacka. Powoli odwraca się z powrotem do mnie, a na kości policzkowej godnej Legolasa rozkwita czerwony ślad. Spodziewam się, że jego lodowe oczy zapłoną gniewem, ale nie.

– Isis – powtarza, łagodniej.

– Kim ty, do cholery, jesteś, żeby tak uciekać?! – krzyczę.

Kuli się. Jack? Nigdy. Ale kuli się, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Trzęsiesz się – zauważa.

– Wiem, kurwa! Robię teraz wiele rzeczy i akurat trzęsienie się jest najmniej groźne dla otoczenia! Zostawiłeś nas! Zniknąłeś!

Zostawiłeś swoją mamę, Wrena, cholera, wszystkich. Odszedłeś, a myśmy zostali!

Zmarszczki na czole się pogłębiają. Dostrzegam jego dłonie, zwieszane przy bokach, silne i jednocześnie smukłe jak pajęczne nogi. Chcę ich dotknąć, chcę dotknąć jego, rzucić się naprzód, przytulać go, aż nie będzie mógł oddychać ani znowu odejść, chcę mu powiedzieć, że wszystko jest dobrze i że mu wybaczam, ale furia wywołana przez Bezimiennego mąci mi w głowie i z ust wydostają się słowa przesycone kwasem.

– Mnie też zostawiłeś!

– Isis, proszę cię, pozwól...

– Nie! – uciszam jego cichy, błagalny głos. Jest tak nie w jego stylu, że aż mnie przeraża. Prawie tak samo jak ręka Bezimiennego pędząca w moją stronę. Prawie. – Myślisz, że pieprzony bilet do Paryża mi to wynagrodził? Na jakiej pieprzonej planecie ty żyjesz, skoro ci się wydaje, że jakiś pieprzony świstek zastąpi porządne pożegnanie? W każdym razie nie chcę mieć z tą planetą nic wspólnego!

Jest w furii, obnażyła pazury, łagodny wieczorny wiatr rozwiewa jej włosy, a w cynamonowych oczach odbijają się światła. Lśni w aksamitnym mroku, jest szczuplejsza, niż zapamiętałem, i smutniejsza, ale wciąż pełna ognia. On nie gaśnie. Ogrzewam się w ciepłe jej furii, chłonę słodkospopielające doznanie jej wściekłości i odbieram pełne pasji vibracje, które wywołuje.

Jest tu, w zasięgu dotyku. Myślałem, że mam majaki, gdy ją zobaczyłem, przerażoną, skurczoną u boku Willa. Ale jest prawdziwa, cielesna i wściekła. Może jestem tak spokojny, bo w zasadzie nigdy nie była niewściekła. Zawsze staliśmy

naprzeciwko siebie. Zawsze się ścieraliśmy. Po tylu okropnych miesiącach przyglądanie się mojej piekielnej prześladowczyni... Mojej? Nie, wyrzuciłem do kosza szansę nazywania jej „moją”. Ale to jedyne doznanie, które daje mi spokój. Planety wróciły na swoje miejsca, wszystkie koła zębate zostały wprowadzone w ruch i świat zaczął się znów kręcić, zwyczajnie, tak jak powinien.

– Myślałem, że idziesz do Stanfordu – próbuję.

Jeży się.

– Nie zmieniaj tematu, ropiejący hemoroidzie.

– Powinnaś była iść. To miejsce godne ciebie.

Tam byłabyś szczęśliwsza. Miałabyś cały świat na skinienie. Poznałabyś mądrzejszych i miłszych chłopaków. Takich, którzy nie są mną.

– Wow! – parskam. – Nie sądziłam, że to możliwe, ale wkurzanie mnie idzie ci jeszcze lepiej! Niech ktoś zadzwoni do papieża, bo oto pieprzony cud dokonuje się na naszych pogańskich oczach!

Jest wściekła, ale widzę, że drżą jej ramiona. Na początku nie wierzyłam, że to Isis. Była milcząca, purpurowe pasma we włosach przyblakły. Ale poznałem Willa Cavanaugh. Jak mógłbym go nie rozpoznać? Całymi nocami przyglądałem się jego twarzy w dokumentach, które dostaliśmy, zapamiętywałem każdą zmarszczkę, planowałem, gdzie uderzyć, żeby bolało najbardziej. Ale potulna dziewczyna rozmawiająca z nim to nie mogła być Isis. Ale potem nastąpił kopniak w śledzionę, dziki i wściekły, odruchowy, niepoprzedzony choćby chwilą namysłu i już wiedziałem, że to ona. Tutaj, ze wszystkich miejsc świata! Moje serce wyskoczyło z rytmu, a kolor i ciepło zalały miejsca wyżęte aż do burej szarości miesiącami treningu i poczucia winy. Życie to suka.

– A co z tobą? – dodaje, kiedy się nie odzywam. – Harvard zrobił się ciębie niegodny? Zresztą, po co pytam, nawet królowa angielska jest mniej nadęta niż ty.

– Zaczynam studia tutaj. Nie poszedłem do Harvardu.

– Więc gdzie się, do jasnej cholery, podziewałeś?!

Sący słowa powoli, jak truciznę, mruży oczy. Nie mogę jej powiedzieć. Nie zrozumiałyby. Albo nie, właśnie by zrozumiała. Zrozumiałyby najlepiej z wszystkich i dlatego jej nie powiem. Bo to by nas związało. Początkowo cieszyłem się z tego zlecenia, chciałem się odegrać na Willu, ale teraz, kiedy wiem, że ona też tu jest, żałuję. Ta sama uczelnia zbliży nas do siebie. Bardzo. Na tyle, że znów ją skrzywdzę. Będę ją ranił, aż nie będzie ratunku. Tak jak zrobiłem z Sophią.

Rozkoszuję się ranami, jakie zadaje jej furia, bo ból mnie przekonuje, że tak, wciąż jestem żywy. Chociaż starałem się zabić dawnego siebie, podłego, niszczącego mnie, pogrzebać go w poczuciu winy obok Sophii i Tallie, wystarczy jedna wiązanka z ust Isis i przypomina mi się nasza wojna, nasze słowa, nasza więź. Chcę ją pocałować. Całować tak długo, aż zmieni mnie w popiół.

Ale ona drży. Więc muszę poprzestać na słowach.

– Myślałem, że już nigdy cię nie zobaczę – stwierdzam. Ona prychna. Jej zbroja jest twardsza i bardziej kolczasta niż dotąd. Dzięki mnie. Dzięki Willowi. Dzięki temu, jakimi obaj jesteśmy dupkami.

– Wzięłeś to zdanie z któregoś z szmatławych romansów Sophii...? – Natychmiast zakrywa usta, ale jest za późno. Imię Sophii rozbrzmiewa w próżni, rozdzierając na nowo gojące się rany. – Nienawidzę cię.

Chcę ją przytulać, aż nie będzie mogła mnie znieść, aż ucieknie

w bezpieczniejsze miejsce. Gdzie mnie nie ma.

Ale kiwam tylko głową.

– Wiem.

– Nie. Nie wiesz. Myślisz, że tamta szczeniacka wojenka to była nienawiść. Ale nie. Teraz jest. – Zaciska powieki. – Zostawiłeś mnie. Zostawiłeś mnie jak całą resztę i nie wybaczę ci tego.

– Nie musisz – reaguję natychmiast. – Nie jesteś mi nic winna.

Śmieje się, a twardy pancerz zaczyna jakby pękać. Przez szpary dostrzegam dawną ją.

– Ty też nie jesteś mi nic winien, jak się okazało. Nawet telefonu. Nawet jednego zasranego esemesa, że, nie wiem, hej, właśnie rozkładałam się na dnie rzeki, bo rzuciłam się z mostu, ale jeszcze oddycham, nie czekaj na mnie.

I wtedy do mnie dociera. Jest wściekła nie dlatego, że ją skrzywdziłam. To było powodem gniewu Sophii. I rzeczywiście ją zraniłam. Ale Isis jest zła, bo się martwiła. Bo myślała, że nie żyję, a raczej, bo nie wiedziała, czy żyję. Jest zbyt czuła, zbyt troskliwa, żeby ta furia była czymś innym niż tylko instynktem obronnym. Też to raz poczułam. Wściekłam się tak na Isis, gdy przyłapałam ją w moim pokoju, grzebiącą w moich listach, w mojej głowie, byle dotrzeć do Sophii.

Znam ją długo (niecały rok, ale wydaje mi się, że minęły wieki) i wiem, że kiedy tak drży, już jest po zawodach. Gdy zaczyna się trząść, przeszłość podnosi łeb i zacienia jej umysł. Zawsze się powstrzymywałam przed dotykaniem jej, żeby wszystkiego nie pogarszać, ale chociaż wrzeszczę sam do siebie, że tak ma pozostać, nie mogę.

Nie mogę.

Zbliżam się, obejmuję ją lekko i składam głowę na jej ramieniu, w zagłębieniu szyi.

– Nie mogę już – szepczę. – Próbowałem, próbowałem, naprawdę, Boże, chciałem być tym silniejszym. Zrobić to, co najlepsze dla wszystkich.

Isis sztywnieje i dociera do mnie, co robię. Usiłuję się wycofać. Jakaś desperacja, jakiś mrok, pożerają najgłębszą część mnie. Dotąd powstrzymywało je brutalne szkolenie Gregory’ego i moja tama zbudowana z wypartych uczuć. Ale wystarczył rzut oka na Isis, żeby tama pękła. Zobaczy mnie przez te pęknięcia, prawdziwego. Zobaczy mnie jak nikt dotąd, takiego, jakim udaję, że nie jestem, połamanego, martwego w środku. Muszę stąd iść, ogarnąć się, ale ona nie pozwala, ciasno obejmuje mnie w pasie i przyciska do siebie, do swojego ciepła i zapachu, do pełnej zrozumienia ciszy.

– Próbowałem – wyznaję. – Chciałem chronić ją, ciebie i wszystkich. Ale ją zabiłem. Zawiodłem. Zawiodłem i zabiłem, a ciebie skrzywdziłem. – Zaciskam powieki, czuję pod nimi coś mokrego. – Nie zasługuję, żeby dalej żyć...

Obejmuje mnie mocniej, prawie wydusza ze mnie powietrze.

– Przestań – mówi.

– Ale to prawda...

– Informacja z ostatniej chwili: nie wszystko, co wychodzi z twoich zjawiskowych, durnych ust jest prawdą. – Milknie. – Cholera, użyłam słowa „zjawiskowy” w stosunku do ciebie. Będę musiała popełnić seppuku.

– Ani mi się waż – mamroczę w jej szyję.

– Widzisz? Tak ja się czuję. Kiedy mówisz, że nie zasługujesz, żeby żyć. Wprowadzamy nową zasadę: nikomu nie wolno mówić o samobójstwie.

Łza spływa mi po policzku, ale znika w kołnierzyku jej koszuli. Isis kładzie mi dłoń na głowie i głaszcze.

– Jeśli naprawdę myślisz, że jesteś taki straszny – zaczyna – to właśnie żyj. Żyj i cierp. Pamiętaj wszystko, co zrobiłeś złego. Nie uciekaj, nie idź na łatwiznę. – Zapada podniosła cisza. Po chwili dodaje: – Debilu głupi.

To wyzwisko przywraca mnie do rzeczywistości, jest wiązką ożywczego światła. Pęknięcia we mnie poddają się presji zeszłego roku i jeszcze poprzedniego, woda przepływa powoli, wypuszczam powietrze z płuc. Podnoszę wzrok i obejmuję jej policzki.

– Powiem to tylko raz, więc słuchaj uważnie. – Szerzej otwiera oczy, rozchyła usta, rumieni się. Zauważam, że także w jej oczach jest całkiem sporo łez. – Masz rację – oznajmiam. – Wyjątkowo masz rację.

Ona się uśmiecha i wszystko jest dobrze, robi się jasno, normalnie. Rozłączamy się, a mojemu ciału od razu brak jej ciepła.

– Czekaj! – Patrzy na mnie. – Więc teraz jesteś tutaj? Mieszkasz w kampusie, jak reszta z nas, plebejuszy?

Kiwam głową.

– Siebert Hall, pokój 314. Jakiś czas tu będę.

Jej spojrzenie jest twarde jak kamień.

– Masz wiele do wyjaśnienia. A na wiele już i tak jest za późno. I zadzwoń do mamy. Bardzo się o ciebie martwiła.

– Zadzwoniłem. Miesiąc temu.

– Dobrze. Masz mój numer? Nie wrzuciłeś telefonu do rzeki, gdy wstąpiłeś w szeregi Imperium, dołączyłeś do siedmiu samurajów albo poszedłeś do klasztoru lamerskiej obrzydliwości czy co tam ostatnio porabiałeś?

– Mam.

Zagryza wargę.

– Nie wybaczyłam ci jeszcze. Ale w ciągu osiemnastu lat żywiolowych eksperymentów odkryłam, że jestem znacznie skłonniejsza do przebaczenia, gdy ludzie obcuja ze mną na płaszczyźnie fizycznej. Więc rozmawiaj ze mną. Pisz do mnie. Przysyłaj zdjęcia rozkosznych kociać i wstawiaj dużo mrugających buziek.

– Nie używam mrugających buziek.

– Ale koty możesz przysyłać!

– Nie.

– Tak – upiera się.

– Nie.

– Jezu, popatrz na nas. Czy my nie możemy rozmawiać jak normalni ludzie? O koncertach, o ciastkach, o głębokich przemyśleniach, o kolorze pomarańczowym, nie wiem, o czymkolwiek? – Wpatruję się w nią bezmyślnie, ale trąca mnie łokciem. – Pomarańczowy. No już, spróbuj. Rozmowa o kolorze pomarańczowym.

– Pomarańczowy jest... pomarańczowy.

– Tak jest! Dajcie mu medal! Pomarańczowy jest pomarańczowy. Wow. To była naprawdę superrozmowa. Twoja umiejętność obserwacji jest zastraszająco przenikliwa. Może następnym razem uda nam się dojść do purpurowego? Chociaż, ty znowu możesz zniknąć na całe lata...

– To nie były lata.

– ...a ja zostanę zagubiona i zdruzgotana, a potem ty powrócisz, po pięćdziesięciu latach analizowania kwestii koloru purpurowego, myśląc, ach, tak, nareszcie oszołomię Isis moją dogłębną i wyczerpującą analizą kwestii purpury, ale znajdziesz mnie w domu spokojnej starości, pogrążoną w śpiączce i śniącą o gorących facetach w stadium warzywa, i będziesz się musiał

bardzo spieszyć, żeby powiedzieć mi wszystko o tym purpurowym, bo moi potencjalni potomkowie będą mnie chcieli odłączyć od prądu. A może ty mnie odłączysz? Zapamiętać: nie starzeć się, fuj.

– Już za późno. – Śmieję się.

Ona wydyma policzki i wstaje.

– Tak czy inaczej, lubię cię, ale niszczysz mi życie. Pa.

Rozdział 7

3 lata, 47 tygodni, 2 dni

Wszystko dzieje się cały czas i bez końca, co byłoby mrozącą krew w żyłach konstatacją, gdybym nie była tak oświecona i tak zsynchronizowana z naturalnymi prawami wszechświata, które obejmują, choć się do tego nie ograniczają: A) sałatkę taco, B) sałatkę taco, C) mój zjawiskowy, zadziorny tyłek (czyt. zadziór). Którego rozmiar powiększa się wprost proporcjonalnie do ilości sałatki taco w otoczeniu. Naprawdę, nauka przechodzi sama siebie.

Ale nieważne, jak ogromny wyhoduję zadek, i tak nie wystarczy, żeby zmiażdżyć wielki łeb Bezimiennego. Pomijając fakt, że nie dotknęłabym go żadną częścią ciała, jeśli nie byłaby zaostrzona i/lub zanurzona w jądzie czarnej mamby. A poza tym on ma taśmę, którą od wieków chciałam zobaczyć. Nienawidzę go, ale ma rację, ponad wszystko na świecie chcę zobaczyć, co się stało tamtej nocy, zrozumieć źródło bólu Sophii, żalu Jacka, przerażenia Wrena. Żeby ją obejrzeć, muszę go znieść. Tylko że zupełnie nie wiem jak.

Teraz, kiedy Bezimienny chodzi na moją uczelnię i ma to nagranie, muszę obmyślić, jak się go pozbyć, nie uciekając się do morderstwa. Może przypadkiem potknie się o czarną dziurę?

Przede wszystkim muszę wpaść w histerię. Na tym polu mam wielkie doświadczenie.

– Czy ja w ogóle chcę wiedzieć, co robisz?

Rzucam się na podłogę i obejmuję łydkę Yvette, gdy tylko wchodzi do pokoju. Dla pełnego efektu zachęcająco zawodzę.

– Zastanawiam się nad twoim planem odejścia ze studiów na pierwszym roku.

– Daj spokój. – Yvette rzuca na łóżko torbę z laptopem i podchodzi do biurka. – Ale skoro już tam jesteś, rozwiąż mi sznurówki.

– Jak już mówiłam – rozsznurowuję z zapalem – ostatnio odkryłam, że uczy się tu ktoś, kogo naprawdę nie lubię.

– Ten koleś, z którym rozmawiałaś? Lалуś McPierdington?

– Tak go nazwałam? Bardzo w moim stylu.

– Często to mówisz. Przez sen.

– Yvette! – jęczę. – Nie Lалуś McPierdington. Mam go co prawda na liście gównianego gówna, ale nie na pierwszej pozycji, a poza tym jest cały pomazany na czerwono, bo czasem go tam wpisuję, a czasem wykreślam. – Yvette unosi brwi. – To skomplikowane. Ucieknijmy.

– Nie – odpowiada po prostu.

– CzemUUUUUUUUUUUU? – dociekam życzliwie, acz żałośnie.

– Musimy doświadczyć pełni uniwersyteckiej agonii. Musi nam się urwać film, musimy swoje wypić, na zawsze wyprzeć się mężczyzn, oblać odpowiednią liczbę przedmiotów i spróbować kokainy. To roboty na co najmniej siedem miesięcy.

– Kto tak mówi?

– Wszystkie filmy o wchodzeniu w dorosłość.

– Och! – stękam, puszczam jej nogę i rzucam się na łóżko. Na drewnianej ramie zauważam wyciętego fiuta, więc od razu się

odwracam. – Och!

– Słuchaj, przykro mi z powodu tego chłopaka, dobra? Albo dwóch chłopaków, czy ilu ich tam masz. Pokaż mi, którzy to, to im przykopię. Ale chwilowo muszę się wziąć do eseju z chemii albo mnie wypieprzą. W znaczeniu metaforycznym, bo już od jakiegoś czasu nikt mnie nie wypieprzył.

Sytuacja zmienia się jednak dynamicznie, bo kiedy wracam z kolacji pełna burrito i pukam, żeby mnie wpuściła, zza drzwi dochodzą jęki, a Yvette domaga się, żeby było „mocniej”. Rzucając się do ucieczki, potykam się o cząsteczkę kurzu i płynę na spokojniejsze wody. Jack otwiera mi z rozczochranymi od snu włosami i bez koszulki, a wtedy dociera do mnie, że te spokojniejsze wody będą równie spokojne, jak ludzie, którzy wygrali u Oprah samochód.

– Moja współlokatorka się zbiesiła, więc od teraz mieszkam tutaj – oświadczam i przepycham się do środka.

– Nie możesz – przypomina.

– To samo mówili Kolumbowi i popatrz, jak się skończyło. – Padam na jego łóżko. Wiem, że to jego, bo jest idealnie zaścielone, pościel tylko odrobinę zmarszczyła się od snu. Łóżko jego współlokatora jest litościwie puste i składa się ze skłębionej kołdry i koców. Jack wciąga koszulkę, ziewa i siada obok mnie.

– Masz śpiochy w oczach – informuję. Zaczyna je mocno pocierać.

– Możesz tu zostać, jak chcesz – mówi, wciąż trąc jedno oko. To nieskończenie ludzki, bezbronny gest, jakiego nigdy wcześniej u niego nie widziałam. – Ale ja za piętnaście minut wychodzę.

– Wyglądasz jak dziecko – śmieję się – z chorymi oczami.

– Zamknij się – warczy i pociera mocniej. Policzki ma zarumienione od snu, a włosy sterczą mu we wszystkie strony.

– Nadal się czeszesz na kaczy kuper?

– Nadal szafujesz infantylnymi wyzwiskami, kiedy nie wiesz, co robić?

– To by się zgadzało.

Popycham go, a on opiera się o ścianę i zamyka oczy. Za oknem panoszy się różowawy zmierzch, zachodzące słońce wpada do środka i maluje białe ściany w morelowe paski.

– Co chcesz wiedzieć najpierw? – pyta w końcu Jack.

Do głowy przychodzi mi tysiąc pytań naraz, ale wybieram najmniej konfrontacyjne.

– Dokąd idziesz za piętnaście minut?

– Znajomy zaprosił mojego współlokatora na grilla. Bierze mnie z sobą.

– Kto jest twoim współlokatorem?

– Charlie. Kretyn, ale z pasją. Podobno to się liczy.

– Ależ oczywiście, patrzysz na żywy dowód! – Wskazuję na swoją pierś. Jack parska i uchyla powiekę, żeby na mnie spojrzeć. Poblask zachodzącego na czerwono słońca podbarwia jego lodowate oczy na kolor purpury.

– Nie jesteś kretynką.

– No chyba!

– Jesteś idiotką – poprawia się i znów zamyka oczy, a potem kładzie się na boku. Zastanawiam się, czyby mu nie wyrwać wszystkich palców, jeden po drugim, ale stwierdzam, że są na to za ładne. Przynajmniej chwilowo.

Siadam, obejmuję ciasno kolana i staram się skupić na tym, żeby oddychać normalnie, jak zwykli ludzie. Tacy, których nie ścigają duchy przeszłości. W tym przypadku sadystyczni eks. Zaczynam się właśnie pogrążyć w ciemności, tam, gdzie mieszka potwór, gdzie oddycha i je, ale Jack wyciąga rękę i ciągnie mnie

na łóżko. Wydaję pisk i oto oboje leżymy na jego miękkim materacu, on za mną. Czuję jego ciepło niemal tuż za plecami, ale zostawił mi wolne miejsce na oddech. Zapach mięty i miodu otacza mnie jak koc. Tęskniłam za tym zapachem w najczarniejsze samotne noce, gdy myślałam o naszej wojnie, o jego dłoniach, o tym, jak by to było pocałować go mocno i na serio, a może i więcej, bo może, ale tylko może, jest tą jedyną osobą na świecie, która potrafiłaby całować moje rozstępy, zamiast nazywać je brzydkimi...

– Przestań – mamrocze zza moich pleców.

– Co mam przestać?

– Przestań wyglądać cały czas tak smutno.

Pocieram twarz, a potem uświadamiam sobie z całą mocą obecność jego oddechu na mojej szyi. Przysuwa się, a mnie zaczyna palić w żołądku i słyszę w głowie głośno i wyraźnie lodowaty głos Willa.

„Ale nigdy się tu dobrze nie poczujesz, prawda? Nie, kiedy ja tu jestem”.

Moje serce nagle stwierdza, że jest astronautą i postanawia wykonać czterdzieści salt w tył w stanie zerowej nieważkości. Wyskakuję z łóżka jak z procy. Jack się podrywa.

– Coś się stało?

– Ja tylko... – Zaciskam roztrzęsione dłonie, żeby je uspokoić. Nie chcę, żeby to zobaczył. I żeby pomyślał, że to przez niego.

– Isis. – Jack wstaje i podchodzi, ale wyciągam obie ręce.

– Stój. Zatrzymaj się.

Staje, ale mocno marszczy czoło.

– Dobrze. Zrobiłem coś złego?

– Nie! – Wciągam ostro powietrze, bo wydaje mi się, że coś mi pęka w piersi. – To ja. To zawsze ja. A może nie tylko ja. To on.

Nie mówimy o tym wprost. On. Will. Ale Jack wie, widzę to w jego lodowatych oczach. Ilekroć jest mowa o Willu, pojawiają się w nich sztylety, a płomienie są skierowane przeciwko niemu, nie mnie.

Milczymy, a ja pocieram ramiona, żeby przywrócić krążenie. Atak paniki tak silny i tak błyskawiczny zaskoczył nawet mnie. Już dawno nie było tak ciężko. Jestem sobą rozczarowana, myślałam, że jest lepiej. Myślałam, że robię postępy. Na litość boską, w końcu wtedy w hotelu spałam z Jackiem w jednym łóżku! Już powinno być dobrze.

Ale prawda powoli do mnie dociera i zawisa jak czarna chmura. Jedna noc miałyby mnie w czarodziejski sposób odmienić? Nie mogłaby. Ni mniej, ni więcej. Wciąż jestem uszkodzona, poraniona, niezdolna do zniesienia czegoś tak prostego, jak leżenie przy kimś. Czy to z powodu półrocznego braku kontaktu z Jackiem? Moje ciało zapomniało, kim jest, jaki kiedyś był ważny? Oczywiście, że tak, przecież wykreśliłam go z życia na dobre. W następstwie śmierci Sophii zrobiłam wszystko, żeby go usunąć z pamięci. I oto skutki.

– Mógłbym coś zrobić, żeby pomóc? – pyta ostrożnie.

Oddycham głęboko.

– Pogadajmy po prostu. O czymś innym. D-dlaczego przyszedłeś na tę uczelnię?

– Pracuję.

Panika cichnie, zastępuje ją melasa, ołów i kolce.

– No tak. Chłopaki z bractw sami nie dają rady. Studentki potrzebują ułożonych i doświadczonych poskramiaczy misi-pisi, żeby zniwelowali im poziom stresu, bo wygląda na to, że cały świat ma obsesję na punkcie seksu...

– Nie jestem chłopakiem do towarzystwa – odpowiada

cierpliwie. – Na dobre odszedłem z Rose Club. Pracuję teraz dla kogo innego. Robię inne rzeczy.

– Wow. To była tak niesamowicie wyczerpująca wypowiedź! Już dawno żadna rozmowa nie zaspokoila w takim stopniu mojej potrzeby poznania szczegółów.

– Pamiętasz tych facetów z lasu? Gościa w tweedowym garniturze? Tych, którzy cię gonili w okolicy grobu Tallie?

– Tak, ale...

W tej chwili otwierają się drzwi, a ja i Jack nerwowo od siebie odskakujemy. Wchodzi McGajer Mikrojajeczny, jeden z dwóch-ścigających-mnie-po-ciemku-w-lesie-w-Ohio-bo- -szef-mu-kazał. Ma bursztynową skórę i nastroszone włosy. Zamiera i wlepia we mnie ciemne oczy.

– Ty! – piszczy i dla pewności wskazuje na mnie palcem.

– Ty! – wrzeszcze. – Jakim cudem wciąż żyjesz? Zrobiłam jajecznicę z twoich jąder!

– Co ona tu, do cholery, robi? – warczy chłopak do Jacka.

On wzdycha.

– Isis Blake. Poznaj Charliego Moriyamę.

– Już się znamy – odpowiadamy jednocześnie. Łypię na niego wściekle, a on jeszcze bardziej mruży oczy.

– Słuchaj, nie mamy czasu – zwraca się Charlie do Jacka. – Mieliśmy być na miejscu pięć minut temu. Nie spieprzmy tego, dobra?

Jack wzdycha, wstaje z łóżka i patrzy na mnie.

– Będę później. Wtedy pogadamy.

– Jasne. Idź się bratać z wrogiem. Lata mi to.

– Isis...

– Idziemy! – krzyczy Charlie. Bierze ze swojego łóżka ręcznik, a następnie wychodzi, trzaskając drzwiami. Jack marszczy czoło i

niechętnie podąża za nim.

Ja robię to samo. W odległości co najmniej pięciu metrów i dwóch samochodów. Charlie prowadzi białego nissana z zepsutym tylnym światłem. Mózg mi paruje, gdy prowadzą mnie na autostradę i zaczynają się oddalać od uczelni. Dlaczego Jack się skumał z Tweedowym Ciulem i Mikroajecznym? Tweedowy mówił coś, że chce go zatrudnić, ale nadal nie wiem jako kogo. W każdym razie wygląda na to, że dopiął swego. Czy też, bądźmy precyzyjni, Jack pozwolił mu dopiąć swojego. Wszystko, co się przydarza Jackowi, dzieje się, bo on na to pozwala. Z wyjątkiem mnie. Ale to zupełnie inna historia, pełna łamania prawa i uciechy.

Jack powiedział, że pracuje, czyli że co? Studiuje, ale jednocześnie pracuje dla Tweedowego? Jako kto? Kradnie dobre oceny i rozdaje biednym? Co dla tej firmy może robić dla pieniędzy, z wyjątkiem wyglądanania jak kretyn? To nie ma sensu, a ma go tym mniej, że Charlie wjeżdża na rozległy plac wyłożony białym kamieniem i otoczony luksusowymi apartamentowcami. Strażnik w budce pozwala samochodom wjeżdżać do wielkiego garażu. Nissan Charliego znika, a ja jadę za nim. Strażnik to opalony facet z równo przyciętą brodą.

– Witam. Pani do kogo? – pyta.

– Ja... – Przegrzebuję mózg w poszukiwaniu odpowiedzi i jak inne genialne umysły, łapię pierwsze, co mi wpadnie pod rękę. – Do Jezusa...? Chrystusa.

Mruży oczy i gdy jestem już przekonana, że zaraz uruchomi zastępy kolców, które poprzekłuwają mi opony, uśmiecha się.

– Ach tak, pani pewnie na kolację Kościoła prezbiterian.

– Tak! Właśnie! Chwalmy Pana!

Kiwa głową.

– Proszę jechać. Parking dla gości jest po lewej.

Albo cały świat dzisiaj wyjątkowo zgłupiał, albo ja zmądrzałam. To dzięki college'owi. Czekać, kogo ja oszukuję? College nie nauczył mnie niczego z wyjątkiem nowych odmian ataków paniki i jak nie słuchać profesorów. W takim razie korekta: to dzięki National Geographic.

Parkuję i powoli idę za Jackiem i Charliem, którzy czekają przed drzwiami do windy. Po długich minutach cichej męki, podczas których prawie wykręcam sobie kostkę, chowając się za kolumną, w kierunku której zerka Charlie, drzwi otwiera rudowłosa dziewczyna w czarnym bikini. Trzepocze rękami do Jacka, a ja udaję, że tego nie widzę, tak samo jak zawsze udaję, że nie oglądam ostatniej sceny *Szóstego zmysłu*. Dziewczyna ma cycki podciągnięte prawie pod brodę i piękny uśmiech, a jeśli Jack zmienił upodobania względem dziewczyn, powinien się z nią zdecydowanie przespać, bo wygląda na całkiem zabawną i uroczą, a kimże jestem, żeby stawać na drodze prawdziwej miłości? Nikim. Nikt nie powinien występować przeciwko miłości. Nawet mające dobre chęci zwaśnione od wieków włoskie rody.

Wszyscy troje znikają za rogiem i idą po schodach, a ja z gracją tancerki baletu zatrudnionej w wywiadzie rzucam się do drzwi i zanim całkiem się zamkną, wkładam między nie mały palec.

– O kurczaki w panierce! – szepczę na głos i ssę opuszek, wspinając się po schodach. – Co musi zrobić dama, żeby spotkać się tu z godziwym przyjęciem?

– Może przestać śledzić ludzi?

Odwracam się na pięcie i widzę opierającego się o poręcz Jacka. Zerkam w dół, w stronę drzwi, przez które mogę stąd uciec, potem na jego spokojną, ale poirytowaną twarz, a

następnie wychylam się za barierkę.

– Ile pięter można przelecieć, żeby nie połamać kolan? Takie pytanko z dziedziny medycyny. Po starej znajomości.

– Nie waż się skoczyć.

Skok. Sophia skoczyła. Wzdrygam się, ale Jack stoi niewzruszony jak lodowa wieża, ponury, mroczny i nieprzenikniony. Zbieram się w sobie i wyprężam na całe onieśmielające sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu.

– Wyszłam – oznajmiam z godnością – na przechadzkę. Wcale cię nie śledziłam.

– Śledziłaś. Widziałem twój samochód.

– Ach. No to w tej sytuacji nie da się ukryć, że cię śledziłam.

– Idź stąd – mówi natychmiast. – Może się tu pojawić Bezimienny.

Zgrzytam zębami, ale udaje mi się wydusić:

– I co z tego? Nic mnie on nie obchodzi. Chciałabym natomiast wiedzieć, co ty robisz w firmie Tweedowego i dlaczego. Czy to niebezpiecznie? Mówiłeś, że do niego nie zadzwonisz, że...

– Mówiłem wiele rzeczy. – Jack wzdycha i pociera oczy. – Ale Sophia umarła i wielu z nich pożałowałem.

Ściska mnie w żołądku. Czy wyznanie, że mnie lubi, jest jedną z nich? Kręcę głową. Jestem egoistką. Przestań być tak cholernie skupiona na sobie i skoncentruj się!

– Odkąd to chodzenie na grilla nazywa się pracą? – syczę.

– Od kiedy osoba zarządzająca grille jest obiektem.

– Halo, Ziemia do Jacka. To jest rzeczywistość, nie *Call of Duty*. Tu nie ma obiektów.

– W mojej pracy są. – Sprzeciwia się.

– A jaką masz pracę?

Beznamiętne oczy Jacka lodowacieją. Gdy otwiera usta, stają

się jeszcze bardziej przejrzyste i równie ostre, jak odpowiedź.

– Jestem ochroniarzem, który przypadkiem bierze udział w akcji szpiegowskiej. A teraz wracaj do kampusu i zostaw to mnie.

Trawię te nowiny przez jakieś dziesięć sekund, pocierając dłońmi. Po wielokroć wypowiadam zbitkę liter „szp”, ale nie jest w stanie dokończyć słowa. Jack, jak zawsze wrażliwy na moje spektakularne załamania nerwowe, odwraca się i odchodzi. Ale idę za nim.

– Szpieg? – wykrztuszam wreszcie. – Co za kretyn zrobił z ciebie szpiega?

– Nie jestem szpiegiem. Jestem ochroniarzem, który dostał zlecenie przybycia tutaj.

– Ale ty jesteś... Jesteś... Jakie jest przeciwieństwo kogoś subtelnego?

– Isis Blake – podsuwa.

– Jack Hunter! – protestuję. – Nie jesteś ani trochę subtelny.

– Jestem subtelny, jeśli tylko dziewczyna wydzierająca się na całe gardło na temat szpiegów nie depcze mi po piętach – przekonuje.

– Jesteś ruchomą wieczną zmarzliną, mobilnym lodowcem o zabójczych brwiach i ze sztyletami zamiast oczu. Ludzie nie zapominają Jacka Huntera.

– A szkoda – mruczy. Słowa brzmią płytko i słabo, zupełnie nie w jego stylu. Klepię go w plecy.

– Bzdura! Jesteś niezapomniany! W przeciwnym razie ostatni wielki lodowiec na tej planecie by zniknął, a globalne ocieplenie stałoby się przerażającą rzeczywistością. Jeszcze straszniejszą niż dotąd. I bardziej nieuchronną. I gorętszą. W sensie temperatury, nie ochoty na seks.

Jack zatrzymuje się i patrzy na mnie. Ja patrzę na niego.

Zapada znacząca cisza. Akurat w tym momencie Dziewczyna w Bikini wypada na schody, daje Jackowi pijackiego buziaka w policzek, a następnie bardzo dyskretnie upuszcza różowy pakiecik z prezerwatywą i biegnie z powrotem do środka. Podnoszę go i podaję Jackowi.

– Ptaszek w baloniku, brak dziecka w beciku – upominam. On z kolosalnym zażenowaniem wali się w czoło, a ja poczytuję to za swoje zwycięstwo, bo przynajmniej nie jest już taki smutny. Wygląda inaczej, ale choć to niewiele, zawsze lepiej niż smutek. Podchodzi z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach, ale szybko go tłum.

– Słuchaj, możesz zostać, ale kiedy przyjdzie Bezimienny, powinnaś iść.

– Tak, dzięki, że pozwalasz mi dalej robić to, w czym się specjalizuję od trzech lat.

Jack zamiera z ręką na klamce.

– Przepraszam.

– Przestań. Wydajesz się wtedy prawie miły.

– Bardzo potężni ludzie chcą go dopaść za to, że pomaga bardzo złym ludziom zrobić coś bardzo brzydkiego.

– Świetnie. Ale zanim go aresztujesz za pomocą szpiegowskich okularów czy czego tam, pozwól mi go walnąć.

– Isis...

– Tylko raz. W gałkę oczną. Łyżką.

Jack rozważa to przez chwilę, a potem krzywo się uśmiecha.

– Dobrze. Pod jednym warunkiem.

– Jakim, głupku?

– Ja go walnę w drugie oko.

Debatuję nad tym przez moment, ale kiwam głową.

– Jestem łaskawą boginią.

Ale nawet nie wie, jaka mu jestem wdzięczna. A może wie, bo oczy ma ciepłe i łagodne, mimo lśniącego w nich ostrza wściekłości. Widziałam je wymierzone w siebie wystarczająco wiele razy, by wiedzieć, że tym razem nie ja jestem ich celem.

Tylko Bezimienny.

Nie tylko ja o tym wiem. Jack może nie znać szczegółów, ale wie wystarczająco dużo. Wiele się domyślił. Nie jest wścibski. W jego oczach nie widzę litości ani poczucia winy. Są jasne i patrzą prosto na mnie, a moja tajemnica nie jest już sekretem. Jej ciężar został podzielony na dwie części, a ja usiłuję podziękować, ale jedyne, co mi z tego wychodzi, to uśmiech pełen goryczy.

Spowija mnie tylko połowa tego mroku, co wcześniej.

Jack się odwraca i otwiera drzwi. Wychodzimy z klatki schodowej i otwieram usta tak gwałtownie, jak rozdziawia się bagażnik mojego starego garbusa. Apartamentowiec jest cały z białego kamienia i marmuru, chodniki na wielkim patiu wiją się wśród skupisk hortensji i jesiennych róż. Ludzie spacerują, wyprowadzają psy i siedzą na eleganckich ogrodowych krzesłach przy zabezpieczonym szkłem palenisku, w którym trzaska drewno i lecą iskry. Wokół jacuzzi i wielkiego podświetlanego basenu stoją parasole, a pod nimi stoliki i grille, gdzie pijani studenci przewracają na ruszcie burgery i przerzucają się obleśnymi żartami, w ogóle nie pasując do otoczenia. Charlie rozmawia z dziewczyną w czarnym bikini, jest naburmuszony i podjada chipsy. Inni przepychają się w basenie i piszczą z uciechy w jacuzzi. Jack lekko dotyka mojego ramienia i schyla się do mojego ucha.

– Muszę się trochę posocjalizować. Potrzebuję informacji. Zostań tu, żebym cię widział.

– Nie musisz mnie niańczyć – zapewniam. – Rób swoje. A ja

będę się tu, no wiesz, dobrze bawić. Powinieneś kiedyś spróbować.

Biorę hot doga i siadam na leżaku przy jacuzzi. Patrzy na mnie jakiś blondyn z okazałym sześciopakiem na brzuchu i miłym uśmiechem.

– Hej.

– Cześć. – Dyskretnie wypluwam trochę mięsa.

– Nie masz kostiumu?

– Zostawiłam w domu. Na Marsie.

– A więc dlatego tak się wyróżniasz? Jesteś kosmitką?

– Albo, ale to tylko nieśmiała teoria, jestem seksowniejsza niż wszyscy tutaj razem wzięci – podsuwam.

Chłopak się śmieje.

– A to prawda. Masz zajebiste włosy.

– Ty też. W tym plażowym stylu, który mówi: nie-jestem-z-Kalifornii-o-na-pewno-nie-i-nie-spędzam-pięciu-dni-w-tygodniu-na-siłowni.

Znów się śmieje, teraz nawet głośniej, i wyłazi z jacuzzi, żeby usiąść obok mnie, choć ocieka wodą.

– Właśnie! Bo tylko trzy! I nie mam mięśni zamiast mózgu!

– Dobrze, że mówisz, bo gotowa byłam się pomylić. – Wskazuje na jego brzuch. Klepie się po nim jak Święty Mikołaj, który zjadł za dużo ciasteczek.

– To moja duma i chwała. Jestem głupi i nie mam przyszłości, ale za to mam te pieszczoszki.

– Więcej nie trzeba – zapewniam. – Zrób im zdjęcie i wyślij do Kim Kardashian. Ożeń się z nią.

– Ale musiałbym się bić z Kanye – jęczy.

– Co ty! – Lekceważąco macham ręką. – Wystarczy, że mu powiesz, że ma gówniane okulary. Zwinie się w pozycję

embrionalną i umrze.

Chłopak chichocze.

– Nazywam się Kyle Morris. Miło cię poznać.

– Isis – odpowiadam automatycznie. – Pożeraczka serc i marzeń. Oraz wszystkich ciastek w promieniu trzech kilometrów.

– Jestem z Ravenclaw. – Podaje mi rękę, więc ściskam ją utłuszczoną dłonią.

– Hufflepuff – odpowiadam. Marszczy czoło.

– Serio? Nie wydajesz się aż tak miła.

– Ach! – Wskazuję na niego znacząco resztką hot doga. – Zaczekaj, aż zobaczysz moich przyjaciół. W porównaniu z nimi prowadzę fundację charytatywną.

– Przyszłaś z tamtym gościem? – Wskazuje na Jacka, który wspina się na szczyty łaskawości i pozwala dziewczynie w czarnym bikini zawisnąć na swoim ramieniu i trajkotać. Ona ma kolczyk w pępku, w waginie pewnie też, i głowę daję, że jej imię rymuje się ze słowem hemoroid. Dziewczyny zgromadzone w jacuzzi, z którego wyłonił się Kyle, zaczynają powoli zauważać, jak przystojny jest Jack, więc wypełzają grupowo z wody, przemaszerowują obok niego i emanując paralizującą seksownością, skaczą do basenu, przy którym stoi. Za nimi suną chłopcy niczym stado wygłodniałych psów.

– Tak, ten prostaczek – potwierdzam. – To mój przyjaciel.

– Tylko przyjaciel?

– A cóż to? Dyskretny i subtelny sposób wyciągnięcia ze mnie informacji, czy masz szansę się ze mną przespać? Bo jeśli tak, to wiedz, że nie było aż tak subtelnie, poza tym bez finezji, naprawdę, więc następnym razem spróbuj sobie zamontować na czole neon z napisem: FRAJER SZUKA DYMANKA. Oszczędzisz

czas, bo facetom chyba tylko o to chodzi, zaliczyć łaskę najszybciej, jak się da.

Kyle bierze to na klatę, choć udaje, że został dotkliwie zraniony.

– Ej no, przynajmniej jestem szczery.

Przewracam oczami i idę nad basen, bardzo się starając nie patrzeć, jak panna w czarnym bikini wciska się tyłkiem w biodra Jacka, gdy się na nim wiesza. Ponoszę jednak sromotną klęskę. Charlie przebywa w głębokim końcu basenu z gromadą dziewczyn, ale nawet jego uśmiech, gdy opryskują go wodą, wydaje się naburmuszony. Staję nad brzegiem i obserwuję księżyc, który odbija się w wodzie jak rozedrgany srebrny medalion.

Kyle staje obok mnie.

– Jaki wybierasz przedmiot przewodni na studiach?

– Dopiero zaczęłam, więc jeszcze nie wiem. Termofizyka nuklearna. Albo kulinaria. To będzie zależało, w jakim nastroju obudzę się w dniu wyboru. – Wyciągam obie ręce i balansuję niczym szalkami wagi. – Czy będę chciała wysadzić świat w powietrze, czy upiec tort na cześć wysadzenia świata. Naprawdę, te decyzje kiedyś mnie wykończą.

Kyle wybucha śmiechem.

– Ale ty jesteś fajna!

– A tak, słyszałam to już – przyznaję. – Trudno było nie słyszeć, gdyż był to wrzask moich wrogów. Chwilę przed tym, jak odcięłam im głowy.

Nagle czuję coś na pośladku, jakby uścisk. Podskakuję i wydaję nieelegancki i zupełnie niepotrzebny pisk, a potem z przerażeniem patrzę na Kyle'a. Pierwszy raz ktoś mnie złapał za tyłek. On uśmiecha się zalotnie i wzrusza ramionami. Zaciskam

dłoń w pięść, ale nie mam szansy go walnąć, bo oto Kyle wylatuje w powietrze i żałośnie trzepocząc rękami, wpada do basenu. Na jego miejscu stoi Jack. Jego mina nic nie wyraża.

– Ups – mówi tylko. Hemoroid wybucha śmiechem, inne dziewczyny też chichocą, więc gdy Kyle się wynurza i zaczyna parskać, nie ma innego wyjścia, jak dołączyć do zbiorowej wesołości.

– Cha, cha, nieźle, stary!

Jack pogardliwie unosi brew. Dopływa Charlie i wychodzi na brzeg, a potem odciąga Jacka na bok. Wyrzuca z siebie syczące słowa, Jack odpowiada monotonnym tonem.

– Jest cudowny, prawda? – wzdycha z rozmarzeniem Hemoroid.

– Tak, jeśli żyjemy w galaktykach przeciwieństw i twoje cuda są moimi katastrofami – odpowiadam, ale ona nie słucha. Wyczekuje chwili, gdy Charlie odejdzie i sunie do Jacka, kierując go w stronę basenu. Jack idzie za nią, ale nie ukrywa grymasu. Czemu to robi, skoro nie chce?

– Ty! – Słyszę przy uchu cichy warkot. Odwracam się i widzę Charliego, który jest tak wściekły, że aż się krzywi.

– Ja – przyznaję. – Skoro już się sobie przedstawiliśmy, możemy się napić herbatki.

– Przeszkadzasz mu – warczy Charlie. – Jesteś przekłętą przeszkodą, a on tego nie potrzebuje!

– Słucham?

– To słuchaj dalej. Widzisz tę rudą w bikini? To ważne źródło informacji, które musimy mieć po swojej stronie. Jack owinie ją sobie wokół palca. Już by to zrobił, gdybyś tu nie sterczała. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu lubi twój durny wyszczerz i się dekoncentruje.

– Mylisz się. My się nienawidzimy. Platonicznie.

– Fiut mu mięknie przez ciebie – warczy Charlie. – Wyjazd stąd albo sam cię wyprowadzę.

– Zawsze jesteś tak szarmancki wobec kobiet czy jestem wyjątkiem? A może maniery zachowujesz dla chłopaków? To by było zrozumiałe. Męskie tyłki aż się proszą o odrobinę uprzejmości.

– Już!

Nad jego opalonym ramieniem widzę, jak Hemoroid nachyla się nad Jackiem i muska ustami jego policzek. Jack się nie wzdryga, przyjmuje to niczym lodowy posąg, odrobinę tylko nachyla głowę. Rozumiem, co to znaczy. Rozumiem, bo w końcu nazywam się Isis Blake i na WF-ie zawsze byłam wybierana do drużyny jako ostatnia, zawsze. A cokolwiek nas łączyło, zostało wessane przez pustkę po Sophii, przez ból i lodowatą zbroję, która ma go przed tym wszystkim osłaniać, a którą on nazywa pracą. Świątełko nadziei, które rozbłyskiwało w ciemności, zaczyna mrugać i wyraźnie słabnie.

– I tak już wychodziłam – oznajmiam. Charlie odprowadza mnie wzrokiem aż do garażu. Dopada mnie furia, ale z tych przytępionych, bolesnych i nie ma już po niej śladu, gdy parkuję w kampusie i wspinam się po schodach do mojego pokoju. Yvette na szczęście nie ma. Cztery godziny temu przysłała mi esemesa o treści: „Nocuję u kogoś, nie martw się”. Pewnie znów odpowiedziała na zew chcicy. Nie interesuje mnie to. To jej życie i dopóki jest bezpieczna i zadowolona, niech ma. Może i jestem ciekawa, ale tętniący ból jest silniejszy. Tłucze mi się po głowie, gdy kładę się do łóżka i wpatruję w sufit, a gorące łzy zbierają mi się pod powiekami.

Nie zasnę. Nie, dopóki czegoś nie powiem. Sięgam po telefon i

wysłałam esemesa.

„Wiesz, dupku, ile razy przez Ciebie płakałam?”

Odpisuje później, dużo później. Dźwięk telefonu budzi mnie po dwóch godzinach. Wyobrażam go sobie w jej łóżku, siedzącego na brzegu, nago. Ona też jest naga i śpi obok. Wizualizuję jego poplątane włosy, wyrzeźbione mięśnie i niebieskie oczy posrebrzone przez księżyc.

„Zbyt wiele”, odpisuje. Pół godziny później przychodzi kolejny esemes. „Znajdź kogoś, kto nie będzie Cię doprowadzał do łez. Kogoś lepszego”.

„Wiesz, dupku, ile razy przez Ciebie płakałam?”

Wpatruję się w wiadomość, a mdłe światło wyświetlacza rani mi oczy jak ostrze. Ostrze poczucia winy. Żalu. Nie powinno mnie tu być, a ta marna resztką, która została z mojego serca, wie to od razu po przeczytaniu tych słów. Powinienem być z nią. Jak normalny student, a nie tylko udawać studenta, polując przy tym na przestępców.

Nie spać z byłą dziewczyną przestępcy, żeby wyciągnąć obciążające go fakty.

Było nudno i rutynowo, sekwencja wypadków taka sama jak w Rose Club. Dodałem każdą sztuczkę, jaką mam w arsenale, żeby ją zadowolić, usatysfakcjonować w takim stopniu, że jutro rano będzie mnie na kolanach błagać o więcej. W przyszłym tygodniu też, i jeszcze w przyszłym. Jej usta są jedyną użyteczną częścią jej ciała. Sypie sekretami swojego byłego chłopaka Kyle’a, a przy okazji i jego partnera, Willa.

To był pierwszy raz, kiedy z kimś spałem, od tamtej nocy z Isis w hotelu. Chociaż nie dotykałem Isis od bardzo dawna, jej zapach, wanilii i cynamonu, wciąż mnie otacza. Gdy skończyłem

robić, co do mnie należało, prześladowały mnie jej zranione brązowe oczy, podszyta poczuciem winy, rozdzierająca serce przyjemność wylewała mi na usta jej niemo szeptane imię. Jeśli zamykałem oczy, mogłem udawać, chociaż przez kilka sekund, że leży obok mnie.

„Nie cofaj się przed niczym, jeśli będziesz mógł to wykorzystać na swoją korzyść – słyszę w głowie słowa Gregory’ego z czasów szkolenia. – Pręż tę swoją przeklętą śliczną buźkę. Kobiety dla niej szaleją. Wykorzystaj to”.

Dowód, którego nam trzeba, jest już o krok.

Krok do odkupienia. Odkupienia dla Sophii. Dla Isis. Złapać Willa Cavanaugh, pozbyć się go, żeby nigdy już nie musiała na niego patrzeć. To jedyna dobra rzecz, jaką mogę dla niej zrobić. Ta myśl przeprowadziła mnie przez treningi z Gregorym na ranczu. Doprowadziła mnie aż tutaj. To jedyna dobra rzecz, jaką mogę zrobić, kropka. Jedyne, czym mogę odkupić winę.

Wkładam koszulę, zapinam rozporek i na palcach, żeby nie obudzić współlokatorek, wychodzę z eleganckiego apartamentu. Przystaję w drzwiach, odwracam się i patrzę na zaciemnione mieszkanie, noszące znamiona moich niecznych manipulacji.

Myślałem, że z tym skończyłem. Ze spaniem z kobietami, żeby zdobyć to, na czym mi zależy: pieniądze na operację Sophii albo informacje. Ale to nigdy nie skończyło ze mną.

– Odkupienie – mruczę i wychodzę na dobre. Poczucie winy mnie pożera, trawi moje wnętrze. Muszę sobie ulżyć. Muszę przestać myśleć. O esemesie od Isis. Telefon wypala mi dziurę w kieszeni, rozgrzany od jej smutku i rozczarowania.

Czego ona ode mnie chce?

Nie mogę jej niczego dać. Nic już nikomu nie mogę dać. Moje serce jest puste, połamane i bezużyteczne.

Neony dzielniczy uniwersyteckiej kuszą kolorami: lombardy, kluby ze striptizem, otwarte do późna sklepy monopolowe... To, czego szukam, znajduję w speluncie wypchanej po brzegi smrodem potu i brudnymi ciałami. Siedzę przy barze i skanuję otoczenie, a potem namierzam mężczyznę, który niepostrzeżenie wrzuca pigułkę do drinka jednej brunetki.

Kiedy z nim kończę, krwawi, ma złamany nos i ramię wybite z barku. Trwa to czterdzieści sekund, ale broni się z równym zapalem i kostkami palców rozcina mi łuk brwiowy, a gorąca krew zalewa mi oczy. Na te czterdzieści sekund wszystko zamiera, a ja jestem niczym czyste płótno, poruszam się, jak uczył mnie Gregory, atakuję i uskakuję według jego wskazówek. W głowie nie mam nic oprócz ciosów i bloków, obserwacji i kalkulacji tempa, w jakim porusza się pięść mojego przeciwnika, gdzie wyląduje, jak się uchylić i podciąć go, żeby żarł kamienne schody. Jestem pusty. Nie ma Isis. Nie ma Sophii. Jest tylko smak krwi, wściekłości, potu i bezgłośnego ryku bestii. Ale ten ryk jest inny. Ostry, perfekcyjny i skoncentrowany. Cichszy, ale tym samym bardziej przeszywający.

„Kiedy to coś domaga się ofiary, karm je od razu, ale małymi porcjami. Wtedy się nie zbuntuje, a ty nie zrobisz krzywdy nikomu, kogo nie chcesz zranić. Pilnuj, żeby było najedzone – dźwięczą mi w uszach słowa Gregory’ego. – Dopóki jest syte, ty jesteś panem”.

Ochroniarz nas rozdziela, ale zanim mnie wyprowadzi, kiwam głową do brunetki, która razem z resztą zebrała się, by obserwować walkę.

– Dosypał ci czegoś do drinka. Zamów taksówkę, dobrze ci radzę.

Jest zszokowana, a jej przyjaciółki zaczynają obwąchiwać

drinka, która trzyma w ręce. Jej przerażona twarz jest ostatnim, co widzę, zanim wyrzucą mnie na zbity pysk. Bestia dała mi dość siły, żebym dowlókł się do kampusu i padł na łóżko. Ślepy gniew cichnie nagle, jakby język lawy dotarł do oceanu.

Już nigdy nie zrobię krzywdy komuś, kto na to nie zasłużył.

Rozdział 8

3 lata, 48 tygodni, 4 dni

Kayla wszystko rozumie, bo nie rozumie nic. Jest jak sucha gąbka, na którą wylewam wiadra wody. A czasem nawet sików. Suto przyprawianych octem.

Wreszcie, po tygodniu sporadycznych esemesów, siedzimy obie na Skypie, ja na swoim, ona na swoim, malujemy paznokcie u nóg i gadamy jednocześnie.

– Zabiję się przez ciebie – jęczy Kayla.

– Mam nadzieję, że nie dosłownie. Chyba że chcesz zostać zombi. Myślę, że mogłabym być jedyną osobą na świecie, która ma zombiciólkę.

– Nie, tak naprawdę nie jestem martwa. Tylko rozczarowana. Nie wierzę, że ty i Jack nie... – Unoszę brew, zachęcając ją do kontynuacji. Wzdycha z oburzeniem i nagle tak gwałtownie macha ręką, że prawie rozlewa całą buteleczkę zielonego lakieru. – On wyjechał, ty wyjechałaś, ale nagle znaleźliście się w tym samym miejscu, więc nie rozumiem, czemu nie wykorzystacie tego cudownego zrządzenia losu, żeby parzyć się jak popieprzone króliki?

– Ponieważ, moja słodka Kaylo, w życiu chodzi o coś więcej, niż bycie popieprzonym królikiem. Choć to dziwne, wiem.

– Słuchaj, chodzi mi o to... – Zaciska zęby i starannie maluje na zielono paznokcie dużego palca. – Chodzi mi o to, że nawet jeśli on robi dziwne rzeczy, jak to Jack, wcześniej cię to nie powstrzymywało. Cały czas na niego leciałaś...

– ...żeby mu przywalić. Pięścią w twarz – podkreślam.

– ...kiedy pracował w Rose Club, a teraz, kiedy sypia z jedną laską, żeby wyciągnąć od niej informacje, nagle się wściekasz?

– Bo... Bo... – jąkam się znacząco. – To było wcześniej!

– Wcześniej niż co?

– Zanim... – Patrzy wyczekująco, a ja jęcę. – Wiesz, co powiem.

– Powiedz i tak – żąda.

– Nie!

– Tak! – krzyczy.

– Wchodzisz na ścieżkę dyskursu konfrontacyjnego!

– Nie wykręcaj się intelektem!

– Dobrze! Lubię go! Lubię go, zadowolona?

– A więc go lubisz. – Opiera się na poduszkach. – Chcesz z nim jeść lunch i raz do roku przytulić go bez żadnych zobowiązań.

– Nie, bo to by nas cofnęło do siedemnastowiecznej Anglii.

– Na tym polega lubienie – przekonuje Kayla. – Lubienie to jest taka zabawa na pół gwizdka. Tak naprawdę nic nie znaczy. To jak... Jak ty i ja. Ja cię nie lubię. Ja cię Kocham!

– Ekhm.

– W zakresie, w którym nie zdejmujesz majtek, tak? Kocham cię, a ty kochasz mnie i kochasz też Jacka. Inaczej.

– Kayla...! – warczę ostrzegawczo.

– Cieleśnie.

– Nie.

– W znaczeniu: „przytul mnie, aż stracę oddech”.

– Nieprawda.

– „Szturmuje na mnie swym penisem”.

Wydaję skrzek godzien przerażonego nietoperza i zatrzasnę laptop. Słyszę swoje wściekłe, wzburzone sapanie. Uchylam klapę i przemawiam do ekranu:

– Nie ma mowy o napaściach przy użyciu genitaliów.

– Czyżby? – pyta lekko Kayla i piłuje paznokcie u rąk. – Bo daję ci słowo, że Jack o tym myśli. Bez przerwy. Jak wali konia.

– Kayla! Kiedy zrobiłaś się taka... Taka!

– Zajebista! Wszystko dzięki tobie! – Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko milczę i się gapię. – I Wrenowi – dodaje. – Jest bardzo metodyczny i ma dużą wiedzę. Usłyszałam całą historię prezerwatywy, gdy akurat mu jedną wkładałam.

– Jezu! – Prawie się dławię. – Aż nie wiem, co jest większym cudem, czy fakt, że opowiedział ci to tylko raz, czy że ze wszystkich ludzi w poznanym przez naukę wszechświecie akurat on zrobił z ciebie ekspertkę od seksu.

– Chodzi mi tylko o to – prychna Kayla – że jeśli chcesz się spotykać z Jackiem...

– Przestań! – zawodzę. – Nie, nie, nie, nie, nie! Nigdy już nie będę się z nikim spotykać.

– Dobrze. Jeśli chcesz, żeby Jack z tobą sypiał... – poprawia się Kayla.

– Nie chcę. Co ludzi opętało z tym sypianiem? Przecież sen to bezruch i spokój, a seks... Coś zupełnie przeciwnego.

– Nie możesz tak mówić – wypala Kayla – bo nigdy tego nie robiłaś.

– Raz robiłam. – Bronię się, nagle zupełnie wyczerpana.

– To nie był seks i obie dobrze o tym wiemy.

– Słuchaj, super, że tak miło ci się gada o mnie, Jacku i seksie jednocześnie – wzdycham – ale zapominasz o jednej ważnej

rzeczy: nigdy już nie dotknę żadnego chłopaka. A on nie dotknie mnie. Poza tym Jack nawet nie chce mnie dotykać.

– Chce.

– Jestem gruba.

– Jesteś zaskakująco niegruba.

– Nie jestem tak ładna jak... każda dziewczyna, którą mógłby mieć. Przecież widziałas jego twarz. Miał ciebie. Na litość boską, mógłby mieć nawet pieprzoną Scarlett Johansson, gdyby chciał!

– Tak, jestem przekonana, że cały uniwersytet Ohio State aż pęka od sobowtórek Scarlett.

– W czarnych bikini.

Kayla wzdycha.

– Słuchaj, ja wiem, że jest ciężko. Po tym wszystkim, co się stało. Ale musi być ciężko. I przykro mi. Ale on naprawdę cię lubi. A ty naprawdę lubisz jego. Jesteście sobie ciekawi i rozświecacie jedno drugie jakimś dziwnym, symbiotycznym światłem. A życie jest krótkie. Sophia nas tego nauczyła. Zasługujecie na szansę, zanim się wzajemnie skreślicie z powodu źle pojmowanej martyrologii.

– Wow. Martyrologia! Jesteś chyba jedyną osobą we wszechświecie, która uważa na zajęciach w college'u!

– Zamknij się. – Robi się czerwona i wyciąga rękę, żeby zamknąć laptop. – I nie dzwoń do mnie, dopóki go przynajmniej nie pocałujesz.

Padam twarzą na klawiaturę i miotam się to w jedną, to w drugą stronę, jęcząc przy tym. Akurat w tej chwili do pokoju wpada Yvette, pada na swoje łóżko i zaczyna jęczeć do wtóru.

– Moje życie jest skończone – orzeka.

Wstaję i padam na materac obok niej.

– Wreszcie! Pora umierać.

Zapada długa cisza, podczas której tylko sapiemy w poduszki, prowadząc bardzo naukowe eksperymenty z podduszaniem. Yvette odpada pierwsza, wynurza się, żeby zaczerpnąć tchu i ciężko dyszy.

– Sypiam z kimś – wyznaje.

– Wiem. – Patrzę na nią. – Słyszałam.

Robi się czerwona aż po kolczyki z czaszkami.

– Przykro mi. To znaczy, cholera. Wcale mi nie jest przykro. Było zajebiście.

– Mogłabym spytać kto to?

– Nie mogłabyś.

Taka rozrywka jest mi bardzo na rękę.

– Steven z socjologii.

– Jezu. – Yvette bije brawo. – Dziesięć punktów za wypowiedzenie najgłupszej rzeczy, jaką w życiu słyszałam.

– Brett od dziwnych koszulek.

– Jasne, bo chcę założyć w pochwie hodowlę rzeźączki.

– Daj jakąś odpowiedź. Albo siedemset odpowiedzi. W formie eseju, z cytatai i przypisami.

Yvette krzywi się, jakby coś ją naprawdę bolało. I wtedy to czuję. Zapach, którego nie da się z niczym pomylić. Coś słodkiego i kwiatowego. Róże.

– Dia...?

– Jestem lesbijką – przerywa mi Yvette szeptem, jakby się bała, że w naszym własnym zamkniętym pokoju ktoś ją usłyszy. Wpatrujemy się w siebie w pełnej napięcia ciszy, a potem ja się szeroko uśmiecham i walę ją w ramię.

– Czyli jednak Diana? Jezu, głupi ma zawsze szczęście!

Wytrzeszcza oczy, jakby spodziewała się czegoś gorszego. Krzyków, może wściekłości. Ale w końcu niedowierzenie

zmienia się we wdzięczność i jak to Yvette, chowa twarz w poduszkę, żebym nie widziała.

Wstaję.

– Chodź, idziemy na lody, żeby to uczcić.

Nie rusza się, więc ciągnę ją za nogę. Wtedy jęczy.

– Wstawaj! – nakazuję.

– Nie mogę! – Jej stłumiony głos dociera z głębi poduszki. – Jestem lesbijką!

– Jeśli w ciągu pięciu sekund nie wstaniesz, to płacisz za lody, lesbijko.

Z poduszki wynurza się jedno oko. Wygląda jak przerażone dziecko.

– Nie powiedziałam rodzicom.

– Jeszcze nie musisz – zapewniam. – Nie od razu. Mamy pół roku, zanim nas stąd wyrzucą. Kiedy rodzice spytają, czemu spuściłaś w klopie dwadzieścia tysięcy dolarów, powiesz, że dlatego, że jesteś lesbijką. Uwierz mi, będą bardziej wściekli z powodu kasy niż twojej dziewczyny. – Yvette uśmiecha się nieśmiało i wyciera nos. – Albo druga opcja. Rzuć bombę teraz. Przez telefon. Rzuć wszystkie bomby naraz. Wysadź w powietrze swój dom.

Yvette śmieje się już głośno i lekko klepie mnie w kolano. Potem jemy na spółę deser lodowy i nagle nie jestem już jedyną osobą, która ma problem. Przypomina mi o tym jej odwaga. Nie tylko ja uważam, że miłość i seks są dziwne, trudne i przerażające.

Skoro ona wyznała, że jest lesbijką, skoro sama uporała się z tym zamieszaniem i zmieniającym całe życie odkryciem, ja też mogę się uporać z tym, co spotkało mnie.

Nie będę tak silna jak ona, ale może dam radę.

Jestem to winna sobie i tym, którzy mnie kochają. Mogę przynajmniej, do cholery, spróbować.

W weekend jadę do mamy. To kawał drogi, ale czeka na mnie morze miłości. Mama się uśmiecha, rozkłada ramiona i mocno mnie przytula. Nawet zrobiła kolację! Makaron. Dom jest czysty. Okna otwarte, więc w środku jest przewietrzone, nie cuchnie zatęchłym wnętrzem. Ma zdrową skórę i jasne oczy. Jak nakręcona opowiada o pracy i o koleżankach, które poznała na jodze, a ja siedzę cicho, jem i chłonę jej radość i przemianę.

– A u ciebie wszystko dobrze, skarbie? Przepraszam, że tak trajkoczę, ale po prostu...

– Wszystko w porządku, nie przepraszaj. Po prostu byłam strasznie głodna.

– Karmią cię w ogóle w tej szkole?

– Jem trzy posiłki dziennie. Bogate w pączki i wyrzuty sumienia.

Mama się śmieje, ja też parskam w spaghetti.

– Bez ciebie zrobiło się strasznie cicho – mówi – więc zaczęłam więcej wychodzić. Robić więcej rzeczy, poznawać ludzi.

Dopadają mnie wyrzuty sumienia.

– Przepraszam. Przepraszam, że nie przyjeżdżam częściej, że nie byłam w zeszłym tygodniu, ale...

– Nie szkodzi. Nie chcę słyszeć wymówek. Ale pamiętaj, że obiecałaś. Obiecałaś przyjeżdżać co drugi weekend. Wiem, że jesteś zajęta i że to studia, ale jestem twoją matką. I chcę cię widywać. Muszę cię widywać.

– Przepraszam! – Zaciskam widelec w dłoni. – Strasznie mi przykro...

Mama wstaje, podchodzi, głaszcze mnie po głowie i uspokaja łagodnym szeptem:

– Nie, skarbie. To ja przepraszam. Że cię tak bardzo potrzebuję. Powinnaś być wolna. Muszę w końcu pozwolić ci odlecieć. Rodzice twoich rówieśników nauczyli się wypuszczać ich z gniazda, ale... Mnie jest trudniej. I przez to także tobie. – Przęłykam ślinę. Mama patrzy mi w oczy. – Czasem myślę o złych rzeczach. Trudnych. Idę do doktora Torrandy i próbuję o nich nie myśleć. Ale budzą mnie w nocy. Więc nie śpię. I zaczynam mieć żal do wszystkich, do twojego ojca, do Lea, nawet do ciebie. To jest potworne. Straszne!

Przytulam ją mocno i długo.

– Nie jesteśmy potworne – szepczę. – Jesteśmy po prostu ludźmi.

Przyglądam się Charliemu, jak odrabia pracę domową. Ma tłuste włosy i nie przestaje marszczyć czoła. Nie jest najbystrzejszym ochroniarzem na świecie i nie zastanawia się, zanim coś powie. Można by to zilustrować tak, że ja lekko i z namysłem piszę długopisem, a on przyciska do papieru ciężki od farby pędzel. Obaj robimy, co trzeba, ale każdy na swój sposób. Pewnie dlatego Gregory wyznaczył nas dwóch do tego zadania: tak radykalnie różne metody podwajają szansę na sukces. Teoretycznie.

Bo w rzeczywistości dogadujemy się równie dobrze jak dwa mokre koty w garnku z rosółem.

– Na co się gapisz? – warczy Charlie, nie odrywając wzroku od kartki.

– Chciałem ci podziękować – mówię w końcu.

– Jakoś, kurwa, wątpię.

– Że wtedy na grillu odesłałeś Isis do domu. Ja nie mogłem się na to zdobyć.

– Nie gadaj? – Wywraca oczami. – Coś was kiedyś łączyło albo co?

– Można powiedzieć.

– Więc trzymaj to z daleka od tego zlecenia. Nie życzę sobie, żeby twoje koleżanki do dymania popsowały tę sprawę. Za takie zlecenia dostaje się pieprzony awans.

Zerkam na jego biurko. Nie ma wielu rzeczy, tylko ramkę ze zdjęciem babci, starej pomarszczonej Japonki. Uśmiecha się i obejmuje Charliego na tle małego sklepu z makaronem w okolicy, która wygląda na zamglone San Francisco. On wysyła jej zarobione pieniądze, wiem, bo grzebałem w jego aktach i koncie bankowym. Został sierotą w wieku trzech lat w wyniku zbrodni na tle rasowym. Adoptowała go babcia i ona go wychowała. Teraz ma osiemdziesiąt lat i nie może już pracować, więc Charlie wysyła jej to, co zarobi. Zanim zwerbował go Gregory, działał w gangu w Chinatown.

Jest słabszy ode mnie, nawet jeśli tego nie okazuje.

W końcu ci, których kocha, żyją. To jest słabość sama w sobie. Dlatego ja zawsze będę lepszym ochroniarzem niż on. A w każdym razie myślałem, że będę. Dopóki do gry nie wróciła Isis.

– Nie była koleżanką do dymania – wyjaśniam i staram się opanować płomień wściekłości, który bucha mi w płucach. Nie próbował mi dopiec, te wyzwiska to mechanizm obronny, jak niekończące się żarty Isis.

– Nie wiem, kim była, ale prawie się zagotowała z zazdrości o Brittany. Pogoń ją. Nie pozwól, żeby ci przeszkodziła wycyckać informacje, jasne?

Zazdrosna? Isis?! Nie wierzę. Jest dość inteligentna, żeby wiedzieć, kiedy sprawa jest beznadziejna. Niemożliwe, żeby nadal mnie chciała. Nie po tym, co jej zrobiłem.

„Wiesz, dupku, ile razy przez Ciebie płakałam?”

Biorę kurtkę i wychodzę.

W kampusie panuje cisza, a gwiazdy błyszczą jak rozsypane brylanty. Jak zamroczony okrążam bibliotekę, przechodzę przez parking i docieram do wielkiej granitowej fontanny w kształcie centaury mierzącego z łuku w niebo. Czytam plakietkę: poświęcono komuś tam, zmarłemu wtedy a wtedy. Przysiadam na skraju. Po chwili zauważam, że nie jestem sam.

Mógłbym odejść. Zostawić ją w tę rozgwieżdżoną noc i iść. Postanowić, że nie stworzę tego wspomnienia, nie zaangażuję się. Ale tęsknię. Za kłótniami, wybuchami, docinkami. Tęsknię za nią, chociaż mój doskonały, bezduszny i wykalkulowany plan zakłada, że nigdy więcej się do niej nie odezwę, żeby jej bardziej nie krzywdzić. Ale jestem człowiekiem. I egoistą.

Więc pozwalam sobie na bycie człowiekiem i egoistą, tak jak mnie nauczyła.

– Bu! – straszę ją.

Isis podskakuje i wyciąga z wody dłoń, dotąd leniwie krążącą pod powierzchnią.

– Niech cię puknie Wielki Ptak! Chcesz mnie zabić, zanim osiągnę ostateczne stadium w grze?

– Powiedz. – Siadam obok niej. – Jakie będzie twoje ostateczne stadium? Albo czekaj, zgadnę: szalona czarownica.

– Cesarzowa cyborgów – oznajmia z urażonym parsknięciem. – W małym, ale obrzydliwie bogatym cesarstwie.

Śmieję się.

– Co zrobisz, jak już zasiądziesz na tronie, Wasza Cesarska Mość?

– Poprawię poziom szkolnictwa, zbuduję lepsze drogi, założę harem pięknych, wrażliwych mężczyzn, no wiesz, to co się

zwykle robi.

Unoszę brew.

– Naprawdę? Myślałem, że wolisz bardziej samcze egzemplarze?

– Tak było, aż usłyszałam, że w ludziach bardziej liczy się wnętrze niż wygląd. Nie oglądałeś *Dora poznaje świat*? W cholere kształć. Dowiedziałam się stamtąd wiele na temat traktowania ludzi równo. Oraz jako plecaki.

Parskam śmiechem, a ona chowa krzywy uśmiech w zagłębieniu ramienia.

– Cesarzowa nie powinna ukrywać się w środku nocy za końskim kuprem.

– Nie ukrywałam się! – Marszczy czoło. – Ukrywanie się jest dla dzieci. I dla ninja.

Przesuwamy dłonie pod wodą, ale stykają się tylko wzbudzone przez nas fale. Nasze palce wyglądają jak albinoskie węże wijące się pod powierzchnią, cętkowane światłem gwiazd i cieniami mchu.

– Chcesz gdzieś ze mną jechać? – pyta.

Podnoszę wzrok.

– A gdzie?

– Gdzieś. Gdziekolwiek, byle nie tu. Gdzie Sophia nie miała szansy dotrzeć. Może na księżyc.

Spoglądam na srebrny krąg.

– Tam będzie zimno.

– Weźmiemy kurtki.

Zapada kolejna cisza.

W końcu Isis prychna.

– Co sobie zrobiłeś w łuk brwiowy?

– Wpadłem na framugę – odpowiadam natychmiast.

– Gdzie? W domku Samwise’a Gamgee?

– Samwise mieszkał w chatce ogrodnika, nie w domu.

– Jezu Chryste, co za różnica?! – Wyrzuca ręce w górę. – Chodzi o to, że ta rana wygląda paskudnie.

– Tak. Tym się zajmowałem przez cały ten czas. Oszpecaniem się, żeby już nigdy żadna kobieta nie zwróciła na mnie uwagi.

– Chyba żartujesz – prycha Isis. – Wystarczy, że się zagoi. Będziesz wyglądał jak czarny charakter i będą się za tobą uganiały nie tylko dziewczyny, ale także ich matki. Nawet sobie nie wyobrażasz. Może nawet i ciotki. Boże, życie jest takie niesprawiedliwe.

Przerzuca kasztanowe włosy przez ramię. Urosły już bardzo długie, sięgają za łopatki. Purpurowe pasemka przyblakły, wyglądają jak lawenda z odrobiną bieli. Grzywkę ma rozczochraną, domagającą się skrócenia, osłaniającą najcieplejsze brązowe oczy i podkreślające zarumienione policzki. Usta wciąż są rozkosznie niewielkie i wydęte. Ten rok ją zmienił. Wydaje się jakby wyższa, a dojrzałe piękno zapuszcza pierwsze korzenie w jej twarzy. Rzęsy ma długie i ciemne jak zawsze, ale dopiero gdy mruga nimi cztery razy, uświadamiam sobie, że się gapię, i szybko uciekam wzrokiem.

Jestem jej winien prawdę. Przynajmniej tyle.

– Wyjechałem z Northplains, bo nie mogłem tam zostać – zaczynam. – Nie wiedziałem, co z sobą zrobić. Cierpiałem i bałem się, że moim bólem zranię innych. Na przykład ciebie.

Isis nic nie mówi, ale jej dłoń miesza wodę coraz wolniej.

– Wsiadłem do samochodu i jechałem przez wiele dni. Większości tej podróży nie pamiętam. Gdy się w miarę ocknąłem, byłem w Vegas. Spędziłem kilka tygodni w tamtejszym pokoju motelowym.

– Co robiłeś? – pyta cicho.

– Biłem się. Biłem się i piłem. Był taki klub na obrzeżach, gdzie chodziłem co wieczór, tłukłem się z turystami i przechodzonymi żołnierzami czy kto tam się nawinął pod rękę. Niestety więcej obrywałem, niż miażdżyłem. Ale chciałem cierpieć. Chciałem czuć ból, czuć coś, cokolwiek. Wszystko, tylko nie tę potworną pustkę, która zapanowała nade mną po pogrzebie.

Widzę, że przełyka ślinę i zaciska leżącą na kolanie dłoń.

– Poczucie winy targało mną jak demon. Wciąż trochę szaleje. Ale dzięki Gregory’emu nie połknęło mnie żywcem.

– Jak to?

– Ten facet, który raz z Charliem gonił cię w lesie, to był Gregory. Znalazł mnie. Bóg jeden wie jak. Ale wytropił mnie i akurat gdy kończyła mi się kasa, zaproponował mi pracę i szkolenie. Coś, czemu mogłem poświęcić energię, poświęcić siebie, rzucić się w coś. Od tak dawna się bałem, że stracę kontrolę. Chyba już od śmierci ojca. Wtedy się zaczęło. Straciłem panowanie nad sobą wtedy w lesie i doprowadziłem do śmierci Josepha. Byłem tak przerażony, że trzymałem ludzi na dystans, byle tylko ich nie skrzywdzić. Ale wtedy ty się pojawiłaś. – Wzdryga się, a ja zanurzam dłoń w wodzie i chwytam jej rękę. Przytrzymuję lekko. – To nie do końca źle. Obiektywnie rzecz biorąc, to Leo był czymś złym. Straciłem kontrolę także wtedy. Ale przy tobie odbywało się to w znacznie przyjemniejszy sposób. Zdrowy i wzajemny. Dzięki temu zobaczyłem skomplikowaną sieć emocji, której od tak dawna się wypierałem. Wywabiłaś je na powierzchnię jak słońce kiełki wiosennych roślin. – Robi się coraz bardziej czerwona, a ja się uśmiecham. Wtedy dociera do mnie, że trzymam ją za rękę i szybko puszczam. Takie sytuacje nie ułatwią jej poznania innego

chłopaka. Nic z tego, co teraz robię. A jednak jestem zbyt egoistyczny, żeby przestać mówić i odejść. Łaknę słońca. Chcę znów ogrzać się w jej ciepłe, choćby na chwilę.

– Gregory nauczył mnie panować nad sobą w znacznie głębszy sposób, niż próbowałem sam. Wywiózł mnie na pustynię, na ranczo pośrodku pustkowia i kazał mi pracować. Dźwigałem wodę i drewno, mordowałem się z ogierami. Swoją drogą, konie mnie nienawidzą. Węży też. Ale mnie bardziej.

– Bo różnica między wami jest naprawdę niewielka – podsuwa Isis z uśmiechem. Unoszę kąciki ust.

– Prowokował mnie do walki. Głównie z sobą, a czasem ze swoim pomocnikiem, gigantycznym gościem. Pokazał mi, że kontrola nie jest zniewoleniem, przeciwnie, jest ekspresją, ale w czasie i miejscu, które sam wybiorę. Po trzech miesiącach orzekł, że jestem gotowy dołączyć do jego drużyny. I tak zrobiłem.

– Do drużyny szpiegów.

– Ochroniarzy – poprawiam. – Czasem zbierających informacje.

– Więc szpiegujesz Bezimiennego.

– Jest bardzo skryty i znacznie mądrzejszy, niż myślałem. Ale jeśli będę miał dość czasu, zdobędę dowody, których potrzebuję.

– Co takiego zrobił? Poza tym, że zniszczył życie jednej dziewczynie.

– Pomaga jednym takim, zajmującym się opium, metą i handlem ludźmi. Nieprzyjemny spis. Ale mój pracodawca nie poluje na niego, tylko na jego znajomych. On prawdopodobnie nawet nie wie, do czego się przyczynia, ale ma świadomość, że to nielegalne.

Isis milczy. Wkłada dłonie między kolana i nerwowo się kiwa na brzegu fontanny.

– Boję się. Za każdym razem, jak wychodzę z za rogu, myślę, że będzie tam na mnie czekał.

– Więc co tu robisz sama w nocy?

– On nie lubi ciemności.

– Ciekawe. – Zapisuję te informacje w pamięci, może się przydać. – Nie to, że się boisz – precyzuję szybko. – Tylko że ktoś tak okropny może się bać czegoś tak banalnego.

Wzrusza ramionami.

– Jak był mały, ojciec zamykał go w ciemnej szafie. Na wiele godzin.

Milczymy. W końcu Isis postanawia przełamać napięcie.

– No więc ty i Miss Bikini jesteście razem? Charlie mówił, że chodzi o wyciągnięcie z niej informacji, ale błagam, przecież nie jesteśmy ślepi. Żadna żywa istota wyposażona w przenośną sikającą rurkę nie byłaby w stanie pozostać obojętna w czasie spotkania z kimś tak atrakcyjnym.

– Jest nudna – odpowiadam, a w swoim głosie słyszę gorycz. – Jeśli już musisz wiedzieć.

– Tak się składa, że muszę – odpowiada z udawanym angielskim akcentem.

– Dlaczego? Co się to obchodzi?

– Ponieważ, idioto – odpala – lubię cię. Już dawno temu ci to powiedziałam. Oczywiście nie dziwię się, że nie pamiętasz, pewnie masz takich wyznań na pęczki, więc czemu miałbyś pamiętać akurat to od wkurzającej, wściekłej dziewczynki...

Po tym wszystkim, co jej zrobiłem, ona mnie nadal lubi.

– Skrzywdziłem cię – przerywam. – Zasługujesz na kogoś lepszego.

Marszczy nos.

– Boże drogi, już zapomniałam, jaki jesteś arogancki! Za kogo

ty się masz, żeby orzekać, kto na co zasługuje? – Żadne z nas nie mówi tego na głos, ale ona dobrze wie, o czym myślę. – A Sophia... Sophia cię kochała. Na pewno chciałaby, żebyś był szczęśliwy. Tyle tylko możemy zrobić w tym krótkim życiu. Spróbować być szczęśliwi. Ja wiem, że to cię zabija i że się obwiniasz, ale nie jesteś jedyny...

Milknij, bo na ostatnich słowach załamuje jej się głos.

Nie jestem jedyny. Jak mogłem zapomnieć? Jakim musiałem być egoistycznym dupkiem, żeby uciec, zostawić ją samą, zadręczającą się z mojego powodu i wszystkich innych rzeczy, które powinna była zrobić? Czekala sama, milcząca i przerażona, dzielnie trzymając się tych resztek mojego życia, które zostawiłem, bo byłem zbyt wielkim egoistą, żeby zostać. Nawet gdy ją porzuciłem, była wierna pamięci o mnie, uczuciom, strzegła ich wytrwale, żeby nie zaczęły gnić. Każda inna dziewczyna by się poddała. Do końca życia pielęgnowała nienawiść. Ale nie Isis. Nie moja uparta, odważna, dobra Isis.

– Nie szkodzi. – Podnosi wzrok, uśmiecha się, a w jej oczach widzę łzy. – To miło, że udajesz, że wciąż mnie lubisz, ale... Rozumiem. Jeśli tak nie jest, nie musisz mówić, że bym sobie znalazła kogoś lepszego. Po prostu mi powiedz. Wiem, że mało we mnie wdzięku, jestem dziwna, głośna, niedoświadczona i w ogóle nie w twoim typie. A poza tym mam masę wielkich, głupich traum. Myślę, że komuś z zewnątrz trudno się z tym uporać. Tamta noc w hotelu wydarzyła się dawno temu, więc nie ma sprawy, jeśli wszystko się zmieniło. Nie musisz mieć wyrzutów sumienia, że już mnie nie chcesz. To nic złego chcieć się po prostu z kimś przyjaźnić, nie sypiając z nim. Możemy być przyjaciółmi. Po prostu przyjaciółmi.

Ale ja cię chcę. Chcę bardziej niż tylko jako przyjaciółkę. Chcę

cię w moich ramionach, w moim łóżku, gdzie będziesz bezpieczna, spełniona i cała moja. Chcę ci pokazać, jak przyjemny może być pocałunek. I że życie nie zawsze jest bólem, bywa też przyjemne.

Mój mózg wyrzaskuje te słowa, ale usta ani drgną, skazując mnie na milczenie. Muszę być jak wykuty z kamienia. Najdrobniejsze pęknięcie i wyleję z siebie wszystkie tajemnice, prosto pod jej stopy, że pragnę jej jak wyschnięta roślina deszczu. Że jestem żywy, tak naprawdę, ekstatycznie żywy, kiedy widzę purpurowe pasma w jej włosach, zarys jej ramion i jej uśmiech.

Ale jaką poranioną miłość mógłbym jej zaoferować? Jestem połamany, popękany jak lustro składające się z samych kłamstw. Gdyby próbowała pozbierać te kawałki, tylko by się pokaleczyła. Moja miłość poraniłaby ją bardziej, a ja niczego tak bardzo nie chcę, jak ją uleczyć. Pomóc jej złożyć się w całość, a nie dodatkowo pograżać. Jest zbyt ważna. Każda następna rana zadana przez mężczyznę mogłaby nieodwracalnie zniszczyć jej serce i skazać na wygnanie, z którego nie ma powrotu, gdzie nigdy nie sięgną miłość ani światło. Zniszczyłbym ją na zawsze. A nie mógłbym dalej żyć, gdybym to zrobił.

W końcu była też Sophia. Już raz zmarnowałem życie dziewczynie. Ale raz to może być wypadek. Dwa razy to już niewybaczalna podłość. Stałbym się tym samym, co Bezimienny. Gdybym przedłożył swoje pragnienia i potrzeby nad jej bezpieczeństwo i komfort, nie byłbym wcale lepszy niż on.

Muszę z powrotem włożyć maskę. Tę pozbawioną życia. Którą mi już prawie zdarła. Zostały tylko okruchy, ale jest mi tak bliska, że szybko wypełniam puste miejsca i moja twarz staje się nieprzenikniona.

– Przepraszam – odzywam się – jeśli pozwoliłem ci myśleć, że

jest między nami coś więcej niż przyjaźń.

Na dźwięk tych słów w jej oczach gaśnie światło, a jasność mająca źródło głęboko w niej umiera. To była nadzieja. Ale błyskawicznie się opamiętuje i ukrywa to, zamiata pod dywan rozwścieczoną złościwością. Wiele rzeczy jej się nie udaje, ale w ukrywaniu bólu jest naprawdę bardzo, bardzo dobra.

– Jezu, przestań. Z przeprosinami na ustach wyglądasz obrzydliwie.

– Przepraszam.

Wstaje, podnosi ręce i przeciąga się, wydając pełen zadowolenia pomruk. Ale ja dobrze wiem, co się dzieje. To farsa. Próbuje zapanować nad emocjami i ukryć je przede mną. Potem się do mnie odwraca i uśmiecha się.

– Ale mogę cię chyba o coś spytać, tak normalnie, jak przyjaciela?

Kiwam głową.

– Wtedy, w hotelu, powiedziałaś, że mnie lubisz. To była prawda?

Przełykam ślinę i starannie formułuję słowa.

– Tak. Ale coś się zmieniło i teraz...

– Nie, spoko, rozumiem. – Wybuchą śmiechem. – Naprawdę, nie ma sprawy. Uczucia się zmieniają, hormony, doświadczenia, wszystko się miesza i tkwi w głowach. Szczerze mówiąc, dziwię się, że ludzie są choć trochę stabilni. Cholera, czasem mnie zaskakuje, że przez tydzień bez przerwy czuję to samo do danej osoby, masz tak?

Dla postronnego obserwatora wszystko jest okej. Ale dla mnie cierpienie w jej słowach jest wręcz namacalne.

– Isis...

Wstaję, ale ona gwałtownie odskakuje i podnosi ręce.

– Ejże, ejże! Byłabym wdzięczna, gdybyś się do mnie nie zbliżał. Jest wieczór, ciemno i w ogóle strasznie, a ty jesteś facetem i sam wiesz. Trochę mnie to przeraża. Ale nie bierz tego do siebie.

Ściska mnie w gardle i czuję się, jakbym połknął coś ciężkiego. Jestem dla niej taki sam, jak wszyscy faceci. Kolejnym, który ją rozczarował i skrzywdził.

– No tak. Przepraszam.

– I znowu przepraszasz! – Uśmiecha się szeroko. – Znajdź sobie jakieś hobby albo chociaż wymyśl inne słowo na przeprosiny. Na przykład „naleśnik”. Właśnie! Zamiast „przepraszam” mów „naleśnik” i zobaczysz, że twoje życie będzie milion razy lepsze. I tłustsze.

Szukam odpowiednich słów, takich, które jej nie zranią, ale na to już za późno. Nie mogę cofnąć tego, co powiedziałem. Krzywda już się stała. Isis, jak zawsze szybsza, uśmiecha się i dla żartu mi salutuje.

– No dobrze, chyba nadchodzi sen. Jeśli jeszcze nie nadszedł. Bo może lunatykuję. Rozmawiasz z kimś, kogo wcale nie ma na jawie. Uuuu! – Wydaje złowrogi odgłos, a potem kaszle. – Tak. Dobra. To na razie, Jamesie Bondzie. Postaraj się nie zabić nikogo, kogo nie musisz zabijać. Masa z tym potem problemów.

– Jeśli chcesz, mogę cię odprowadzić.

– Nie, nie trzeba. Mam słuch jak jastrzęb. Poza tym, że jastrzębie nie mają uszu, ale dobra. Czy mają? Sama nie wiem! Ale po to właśnie przyszedłam na studia. Dobranoc.

Odchodzi, a ja boleśnie przypominam sobie, jak to jest być znów zimnym.

Rozdział 9

3 lata, 50 tygodni, 0 dni

W college'u chodzę na imprezy z tego samego powodu, co w liceum: żeby zapomnieć.

W ciągu dwóch tygodni, jakie upłynęły od rozmowy przy fontannie, przypomina mi się, jak ważne są imprezy. Nie jestem pasjonatką tłumów, ale nie mam też z nimi wielkiego problemu. Tłumy się przydają, wokół jest tyle osób, które gadają, śmieją się i ogólnie żyją swoim życiem, że zaczynasz zapominać o własnym. Zatracasz się w nich, w ich energii, w tłumie samym w sobie. Przez te siedem godzin imprezy nie muszę myśleć o Jacku, o tym, jak mówił: „Przepraszam, jeśli pozwoliłem ci myśleć, że jest między nami coś więcej niż przyjaźń”. Na krótką chwilę, między kolejnymi szotami wódki, zapominam, że w ogóle to powiedział, i w mojej piersi kiełkuje nasionko nadziei, które rozgrzewa mnie od środka. Myśl, że wciąż mnie lubi. To iluzja i fałsz, ale przyjemna i dobra, więc robię wszystko, żeby w niej trwać. To jest zaleta imprez.

Gdybyście mnie spytali w liceum, czy na studiach będę imprezową laską, roześmiałabym się wam w twarz. Ja w liceum byłam na to za mądra. Mądrzejsza niż ja teraz. Ale cierpienie robi z ludźmi dziwne rzeczy, a wyparcie jest sposobem na

rozkoszną ulgę, choćby tymczasową.

Więc tak, tańczę. Piję, aż się porzygam. Zasypiam na czyimś łóżku, na podłodze, w jakimś zamkniętym pokoju, żeby nie kusić złego. Potem się budzę i zaczynam od nowa. Jak długo się da, aż trzeba iść na zajęcia albo zacznie dzwonić zaniepokojona Yvette.

Po dwóch tygodniach zaczynam się czuć dobrze. Trochę zobojętniała, ale okej.

A Bóg musiał wysłuchać moich modlitw, żeby wydarzyło się coś dobrego. I Budda. Generalnie każdy bóg, którego kiedykolwiek ktoś czcił na tej cudownej zielonej planecie, bo oto w czwartek Kayla przysłała mi esemesa z niewiarygodnie dobrymi wieściami.

„Wren i ja jedziemy do Nortplains na ferie! Spotkajmy się!”

Wydaję stęknienia radości z wdziękiem dławiącego się osła i odpisuję. Umówimy się w kawiarni niedaleko, a potem oprowadzę ich po kampusie. Wren, jak zawsze cichy i kojący, pyta, czy będzie Jack. Kayla powiedziała mu, że on też tu studiuje, to jasne, więc nawet nie zamierzam się wypierać. A jednak podkreślanie tego faktu sprawia, że skręcają mi się bebechy. Tak, jest tu i Wren o tym wie. Wie też pewnie, że jest i Bezimienny. Mam nadzieję, że nie zamierza z nim spędzać czasu. To by na zawsze zniszczyło moje życie. A na pewno apetyt.

Następnych kilka dni ciągnie się jak krówka ciągutka w ciepły dzień, aż w końcu w blasku weekendowej chwały nadciąga piątek. Wkładam wygodne dzinsy i bardzo puszysty sweter, z którego będę mogła wyciągać kłaczki, jak mi się znudzi czekanie. W kawiarni prawie nikogo nie ma i staram się siedzieć spokojnie, ale nic z tego. Podwójne espresso niespecjalnie pomaga, a myślałam, że pomoże, trudno, bardzo się pomyliłam. A co, a co, jeśli Kayla i Wren są ode mnie o wiele dojrzalsi? Jeśli się uczą

pilnie i na serio i są pełni Ważnych Informacji Których Nigdy Nie Zrozumiem™? Na przykład: jak prowadzić rachunki domowe i zamawiać jedzenie na wynos, nie dostając przy tym ataku histerii? I co, jeśli Kayla ma nowe przyjaciółki, które nie mówią „rowek w dupie” i nie myślą na głos...

– Tu jesteś!

Smuga w kształcie Kayli rzuca mi się na szyję i obejmuje mnie żywiołowo. Delikatnie odwzajemniam uścisk, a gdy się rozdzielamy, widzę, że jej aksamitne brązowe włosy są dłuższe, niż zapamiętałam. Uśmiecha się tak samo, złościście i zaraźliwie, i nic nie poradzę, opromieniam ją moim najlepszym uśmiechem.

– No nie mogę, wyglądasz świetnie! – stwierdzam bardzo podnieconym głosem fakt oczywisty. Ona się śmieje i ogląda mnie od stóp do głów.

– A ty znacznie lepiej. Piękny sweter! I w ogóle, czy ty urosłaś?!

– No chyba? Chociaż trudno stwierdzić, gdy wszyscy wkoło są wzrostu zimowych trolli.

– Zimowe trolle nie mieszkają w pobliżu miast. – Zza pleców Kayli dobiega cierpliwy głos Wrena. – Nienawidzą technologii.

– Wren! – Zarzucam mu ręce na szyję. Poprawia okulary, a gdy się odsuwam, uśmiecha się. Jasnobrązowe włosy ma zaczesane do tyłu, tak jak zapamiętałam, a grzeczne spodnie w kolorze khaki i koszula na guziki jak zwykle porażają ładunkiem najczystszej nudy, którą można zamknąć w jednym ubraniu. Ale to do niego pasuje. Zawsze pasowało.

– Dobrze cię widzieć – stwierdza.

– Ciebie też!

– Ale naprawdę, zimowego trolla łatwiej spotkać...

– Jezu, Panie Dungeons & Dragons, wyluzuj.

– Wstąpił do klubu wielbicieli tej gry. – Kayla do mnie mruga, a

Wren robi się różowy.

– Nieprawda!

– A wcześniej do klubu matematycznego, szachowego, Pomocnej Dłoni i dziesiątek innych, ale i tak najczulszym spojrzeniem obdarzał formularz do klubu D&D. – Kayla śmieje się. – Więc w końcu wypełniłam za niego i zaniiosłam.

Wren pociera grzbiet nosa.

– Po prostu uznałem, że tak nieprzydatny klub nie będzie dobrze wyglądał w CV.

– Raz na milion lat człowiek ma prawo zrobić coś dla zabawy – zapewniam. Uśmiecha się nieśmiało.

– No dobrze. Więc jestem w klubie, mam stanowisko paladyna półelfa i nikomu nie wolno się z tego śmiać, kropka.

– Boże, Wren, naprawdę? Półelfa? Każdy człowiek na świecie oraz jego matka i babcia jej matki chcieliby być półelfami! Jeśli już zamierzasz oddać się rozkoszom RPG, mogłeś wybrać sobie jakąś mniej oczywistą postać! – Wywracam oczami.

Kayla znów wybuchą śmiechem i idzie do barku zamówić herbatę.

– A ty niby kim byś była, o najmądrzejsza? – prychna Wren.

– Wojowniczym karłem. Z gigantycznym młotem. Jeśli w prawdziwym życiu jestem najbardziej obłądną istotą na ziemi, w świecie Dragonsville też chcę być megazajebista.

Spędzamy w kawiarni parę godzin, jemy ciasta i nadrabiamy zaległości w swoich życiorysach. Kayla ma problemy z algebrą, ale poza tym we wszystkim idzie jej świetnie. Wren co jakiś czas daje jej korki, jeśli nie zajmuje się jednym ze stu klubów, do których należy, i nie zbiera dodatkowych punktów za wszystko, co mu podleci pod rękę. Chyba pierwszy raz w życiu nie ma najlepszych ocen z każdego przedmiotu i twierdzi, że to go

wyzwoliło. Jakby zdjęto mu z piersi przymus zdobywania najlepszych stopni ze wszystkiego i bycia zawsze pierwszym. Oczywiście trochę trwało, zanim zdołał wygasić odruch bycia numerem jeden i nie przeszło tak całkiem bezboleśnie, ale udało się.

Ja przekazuję im skróconą wersję moich poczynań w Ohio State University: nadażam z większością przedmiotów, jestem bliska obłania tylko dwóch i mam cudowną współlokatorkę.

– Ale ci zazdroścę! – wzdycha Kayla. – Moja jest straszna. Wszędzie rozrzuca brudną bieliznę, nawet na moim łóżku!

– Mieszkasz z goblina. – Krzywię się. – I to nie taką z kopalni złota, jak w D&D.

– Pod koniec roku akademickiego planujemy wynająć mieszkanie – oznajmia Wren, a potem wymieniają z Kaylą czułe spojrzenia.

– Serio? Tu cudownie! Będę mogła przyjechać i wyjść wam wszystko z lodówki?

– Tylko część – koryguje Kayla.

– Większość – zamykam dyskusję.

Dzwoni dzwoneczek nad drzwiami, ale jestem zbyt pogrążona w targowaniu się z Kaylą, ile płynu do kąpieli będę mogła zużyć, gdy ich odwiedzę, że nie zwracam uwagi, kto wszedł. Wren wstaje i wychodzi do toalety. Moją uwagę zwraca dopiero Kayla, która zerka ponad moim ramieniem i aż ją zatyka.

– Nie mogę, czy to on?!

Odwracam się. Jack Hunter w czarnych dżinsach i kurtce przygląda się wyborowi ciastek. Ale nie jest sam.

– Kupisz mi to? Pliiiiizka! – błaga dziewczyna uwieszona na jego ramieniu.

Poznaję jej głos, jak mogłabym nie poznać? To Hemoroid, laska

z imprezy nad basenem. Staram się nie patrzeć, gdzie się dotykają, bo z jakiegoś powodu wywołuje to u mnie mdłości. Na szczęście nie widzą naszego stolika, tuż przed nami wyrasta tafla fakturowanego szkła, a ja znikam jeszcze głębiej za nią.

– Dobrze, Brittany – wzdycha Jack. – Ale tylko jedno, a potem idziemy.

Kayla patrzy na mnie, potem na Jacka, a potem znów na mnie i mruży oczy.

– Czy on... chodzi z tą laską? – W jej słowach jest tyle nienawiści, że mogłyby być trujące.

– Chyba tak. – Wzruszam ramionami i ze wszystkich sił staram się udawać obojętną. Zdaję się na wyhodowaną w ostatnich tygodniach bierność. – Ale nie wiem, lata mi to.

– Jak to? – Kayla marszczy brwi. – Isis, co się, do cholery, stało? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, byłaś na niego wściekła, ale miałaś ochotę mu nawrzucać. Nie możesz teraz mówić „lata mi to”!

Głos Kayli ściąga wzrok Hemoroida, więc ciągnę ją za rękę.

– Proszę cię, nie tutaj.

– Nie możesz po prostu...

– Jack. – To Wren, który wyszedł z toalety. – Miło cię tu spotkać.

Zamieramy z Kaylą i obserwujemy. Jack nie widzi naszego stolika. Widzi tylko Wrena i w jednej chwili jego oczy lodowacieją.

– Wren – mówi. – Kiedy przyjechałeś?

– Dzisiaj. Wpadliśmy tu na weekend, a potem jedziemy na ferie. To dziwne, że w Ohio i Massachusetts są tak różne terminy.

– Wren się uśmiecha, a ja i Kayla zerkamy na siebie nerwowo. Od kiedy Wren jest zdolny do rozmowy z Jackiem twarzą w twarz?

– Nie nazwałbym tego dziwnym. To raczej normalne – stwierdza Jack. Hemoroid jest za bardzo zajęta swoim croissantem, żeby się wtrącać. Zapada niezręczna cisza. Widzę, że Wren trzyma ręce za plecami, skulone dłonie lekko się trzęsą. Jest zdenerwowany, ale się stara.

– Kim jest twoja przyjaciółka? – Pyta Wren niewinnie. Jack mruży oczy.

– Nie twoja sprawa.

– Gdzie byłeś? – strzela dalej Wren, nie dając się zbić z tropu. – Po pogrzebie Sophii.

W oczach Jacka pojawia się iskierka gniewu.

– Wyjechałem. Jak może zauważyłeś.

– No tak. – Wren wypuszcza powietrze z płuc. – No cóż, jeśli będziesz miał kiedyś ochotę przestać się zachowywać jak wyniosły dupek i porozmawiać ze mną jak z normalnym człowiekiem, który kochał tę samą dziewczynę, co ty, chociaż inaczej, daj znać. Chyba masz mój numer.

Wraca do stolika, a Jack odprowadza go wzrokiem. Dla pewności kulę się za taflą szkła, desperacko się modląc, żeby Jack nie rozpoznał kawałka swetra, który zza niej wystaje. Ale nie. Kupuje Hemoroidowi ciastko i wychodzą. Wren patrzy na nich, a Kayla wstaje tak gwałtownie, że nogi krzesła piszczą na podłodze.

– Gdzie idziesz? – pytam.

– Walnąć go. – Kayla się uśmiecha, ale Wren łapie ją za rękę.

– Odpuść.

– Ty mnie puść! Nie może być z nikim, poza Isis! – Tupie nogą.

– Może – protestuje spokojnie Wren. – I jest.

– Ale... – Kayla patrzy na mnie. – Isis, nie masz z tym problemu?

Już zamierzam powiedzieć, że owszem mam, słowo prawie rysuje się na moich ustach, ale to nie byłaby prawda. Nie mam z tym problemu. Nie mogę mieć, bo cały ten wysiłek, wszystkie imprezy, inni chłopcy, picie i wszystko, co zrobiłam, żeby zwiększyć dystans między nami, poszłoby się paść i wróciłabym do punktu wyjścia: samotności, smutku i zmęczenia byciem samotną i samą.

– Spoko – zapewniam. – To jego życie. Może z nim robić, co mu się podoba.

– Ale nie, kiedy krzywdzi moją najlepszą przyjaciółkę! – rzuca Kayla i rusza naprzód, ale Wren chwytą ją mocniej.

– Proszę cię.

– Tylko na nią popatrz! – Wskazuje na mnie. – Nigdy w życiu nie widziałam, żeby była tak cicha i przyjazna! Jest... Prawie normalna! Musiało się stać coś złego!

– Na wszelki wypadek przypominam, że wciąż tu siedzę – mówię.

Z Kayli jakby schodzi powietrze.

– Przepraszam cię, ale nie żałuję, bo to jakaś totalnie masakryczna sytuacja.

– Nic mi nie jest. – Lekko podnoszę głos. – Naprawdę. Teraz, jak tu jesteście, czuję się naprawdę dobrze. Zostajecie tylko na dwa dni. Nie psujmy tego czasu, dobra? Proszę. Zróbcie to dla mnie.

Wren i Kayla wymieniają spojrzenie. W końcu Kayla opada na swoje krzesło i oddycha głęboko.

– Dobra. Postaram się nie przywalić mu podczas aktualnego pobytu. Ale nic nie obiecuję na okoliczność ferii zimowych.

Chyba pierwszy raz w życiu nie mówię, co myślę. Milczę, słucham, jak Wren stara się zagłuszyć niezręczną ciszę trajkotaniem, a serce ciężkie jak kamień miażdży mi pierś. Tak to

jest, być normalnym? Wielkie rozczarowanie sobą i wszystkimi wkoło, że w ogóle nie można mówić? Powinnam była się odezwać. Wstać, podejść do Jacka i Hemoroida i powiedzieć wszystko, co myślę, że smutno mi, że jest z nią, a nie ze mną. Ale nie zrobiłam tego. Kim ja w ogóle jestem? Czy prawdziwa Isis odleciała z porywającymi Ziemiań Zabadoobiańczykami? Jak mam ją tu ściągnąć z powrotem i zmusić do wypełnienia sobą tej pozbawionej życia skorupy, jaką się stałam?

Nie, nie jestem pozbawiona życia. Robię wszystko, co powinnam: chodzę na imprezy, uśmiecham się, piję, odrabiam zadania domowe, piszę eseje, całuję się. Nic nie mówię. Realizuję plan przewidziany dla studentki.

Więc dlaczego jest mi tak strasznie źle, gdy zobaczę choćby skrawek Jacka?

Poznaliśmy się, zanim poszłam do college'u. Był obok w czasie jednego z najbardziej porąbanych okresów w moim życiu. Zna mnie. Może dlatego jest tak strasznie. Bo nikt inny nie poznał mnie tak jak on, nie przejrzał mnie na wylot, nie dostrzegł prawdy w moim wnętrzu tak szybko i dogłębnie. I może z tego powodu jest źle, gdy widzę go z kimś innym. Albo gdy w ogóle go widzę, kropka. Powinniśmy być razem. Ilekroć na niego wpadam, tym mocniej wbija mi się to w myśli. Ale zaraz pojawia się myśl o Bezimiennym, mroczna, sącząca najgorsze wspomnienia, wmawiająca mi, że jestem beznadziejna, i znów kulę się w mojej instynktownej skorupce.

Czasem patrzenie na Jacka jest jak wyciąganie ręki w stronę horyzontu: wiem, że go nie dotknę, nie chwycę, ale to i tak najładniejsze, co w życiu widziałam.

Gdy jesteśmy z Wrenem i Kaylą najedzeni, oprowadzam ich po kampusie i pokazuję, gdzie mieszkam. Yvette jest w pokoju i jak

raz się uczy.

– Yvette! – Klepię ją obiema dłońmi w ramiona. – Poznaj moich fantastycznych przyjaciół, Kaylę i Wrena. Fantastyczni przyjaciele, poznajcie Yvette, także moją fantastyczną przyjaciółkę.

Yvette uśmiecha się nieśmiało i niepewnie ściska dłoń równie onieśmiałego Wrena. Za to rumieni się, gdy Kayla ją przytula.

– Cieszę się, że was poznałam. Isis ciągle o was nawija.

– O tobie też! – Kayla śmieje się. – Muszę przyznać, że zrobiłam się nawet trochę zazdrosna.

– Tak! – wołam. – Nareszcie! Walczcie na śmierć i życie o moją miłość!

– Nie ma mowy – odpowiada Yvette. – Chyba że na topory. W takim wypadku może się skuszę.

– Dwuręczne czy jedno? – dopytuje Wren.

– Oczywiście, że dwu! Dla zmaksymalizowania efektu.

– Doskonale – chwali Wren. – Ale gdybyś wybrała jednoręczny, mogłabyś mieć dwa. Dwa razy więcej ciosów.

– Podziwiam twój tok myślenia. – Yvette się uśmiecha.

– O mój Boże! – Kayla rzuca się do imponującej kolekcji szminek, które Yvette trzyma na parapecie. – Jakie ładne odcienie!

– Podobają ci się? – Yvette do niej podchodzi.

– I to jak! Gdzie kupiłaś tę? Od wieków takiej szukam!

Oddają się dyskusji na temat wad i zalet barwiących wosków, a my z Wrenem wychodzimy na korytarz. Opieram głowę na jego ramieniu, a on delikatnie mnie po niej klepie.

– Jak się trzymasz? – pyta.

– Spoko jak w Maroko.

– Nawet mimo Wil... Mojego kuzyna?

Odrzucam grzywkę wpadającą do oczu.

– Możesz wypowiedzieć jego imię. Ja też się staram. Willll.... Wiiiiii... Widziałam go w kampusie więcej razy, niżbym chciała, ale to pomaga. Jakoś tam. Jak spotykasz się z czymś dostatecznie wiele razy, staje się to normalne. Myślę więc, że jeśli będę często wypowiadała jego imię, nie będzie to już tak bolesne.

Jedną dłoń Wren trzyma delikatnie na mojej głowie, ale drugą zaciska w pięść.

– Przepraszam cię. Przykro mi, że on tu jest. Gdybym wiedział, ostrzegłbym cię.

– I co? Miałabym tu nie studiować? – Prostuję plecy. – Nie. Nie pozwolę mu wpływać na swoje życie w jeszcze większym stopniu, niż już to robi.

– Ale...

– Bez ale. Chyba że chodzi o piwo.

– Mówię serio.

Zdejmuję jego rękę ze swojej głowy i przytrzymuję z najmiłszym uśmiechem, jaki jestem w stanie wykrzesać.

– Przez prawie dwa lata nic, tylko uciekałam. Przestało mi się to podobać.

– Ja tylko... Martwię się – wzdycha Wren. – Nie śpiesz się, dobra? Każdy jest inny. Jeśli będziesz się starać za bardzo albo za szybko, zrobisz sobie krzywdę.

– Kochany jesteś, że się troszczysz. Ale dam sobie radę. Już nie jesteśmy dziećmi.

Milczy. Mój telefon wibruje od przychodzącego esemesa. Od Heather, laski, z którą chodzę na socjologię. Trochę się zakumplowałyśmy, gdy się okazało, że obie uwielbiamy filmy o gangsterach. Od tamtej pory jest moją agentką i zaprasza mnie na tyle imprez, ile się da. Teraz też pisze w tej sprawie.

Wcale nie chcę iść. Wolę zostać w pokoju z Kaylą i Wrenem, oglądać głupkowate filmiki o kotach i gadać o wszystkim, co się działo, gdy się nie widzieliśmy, ale po spotkaniu Wrena z Jackiem czuję przymus udowodnienia im, że nic mi nie jest. Muszę żyć dalej. Zapewnić ich, że dają sobie radę, żeby się nie martwili.

– Ej, może przypadkiem macie ochotę wypić morze tanich drinków? – pytam Wrena. Wydaje z siebie stłumiony chichot.

– Pewnie tak. Każda wymówka, żeby dłużej przebywać poza domem rodziców, jest jak najbardziej pożądana.

– Tam się zatrzymujecie?

– Taaa.

– W takim razie nie ma o czym mówić. Kayla! Idziemy na imprezę! Idziesz, Yvette?

– To impreza Heather?

Kiwam głową.

– To nie, dzięki. Jest tam trochę za dziko jak na mój gust.

– I o to chodzi! – ćwierkam. – Nie czekaj na mnie. Wrócę późno.

Jedziemy moim autem. Na tylnym siedzeniu jest masa notatek i ciuchów, które wiecznie zapominam zabrać do pokoju. Tak się cieszę, że znów idę na imprezę z Kaylą, jak za dawnych czasów, że Wren musi mi stale przypominać, żebym patrzyła na drogę.

– ...no i poznaście Kierana – snuję. – Heather jest fajna, ale nie aż tak śmieszna, a Tyler to głupek, ale Kieran jest fajny. Ostatnio spędzamy razem czas na imprezach Heather i jest naprawdę spoko.

– Spędzacie razem czas? – Kayla robi w powietrzu znaki cudzysłowów. – Za moich czasów mówiło się „przelizać”.

– *Por que no los dos?*

Kayla wywraca oczami, a Wren się śmieje.

– Od kiedy się uczysz hiszpańskiego?

– Odkąd się dowiedziałam, że to drugi najpowszechniejszy język na świecie. A poza tym Hiszpanie są śliczni.

Kayla poprawia włosy.

– Widziałam lepszych.

– I tak ty jesteś najpiękniejsza na świecie – wyznaje Wren, a ona uśmiecha się promiennie i rozpląwa się na swoim fotelu.

– Dziękuję, kotku.

– Czekać chwilę, muszę się zatrzymać, żeby zwymiotować.

– Czemu? – niepokoje się Kayla.

– Bo jesteście do wyrzygania słodcy.

Wtedy wali mnie w ramię.

Podjeżdżamy pod siedzibę bractwa, do którego należy chłopak Heather. Wszyscy już są. Kiedyś myślałam, że imprezy w liceum są duże, ale jak tylko zobaczyłam pierwszą siedzibę bractwa, zmieniłam zdanie. Każde ma dla siebie cały dom, większy niż wiele domów rodzinnych, po brzegi wypełniony ludźmi. Szaleństwo! Ale jest to także moje szaleństwo, moja prywatna zasilana alkoholem droga do zapomnienia. Muzyka jest tak głośna, że szyby w budynkach przy tej samej ulicy drżą w ramach. Prowadzą Kaylę i Wrena do środka i próbują precyzyjnie nas przez pijany tłum.

– Znasz tu kogokolwiek?! – krzyczy Kayla.

– Hm, raczej nie? – Staram się to zbagatelizować śmiechem. – Znam Heather i Kierana. On ćwiczy w drużynie zapaśniczej, ale więcej nie wiem. O, cześć! Jest Tyler. Raz próbował się do mnie przystawiać i wkrótce dowiedział się, czym jest prawdziwe cierpienie.

Wskazuję na chłopaka ostrzyżonego prawie na łyso, w obcisłych džinsach. Zerka na Kaylę, a potem podchodzi i

gwizdże.

– Witam, witam. Kim jest twoja przyjaciółka?

– Jest zajęta – reaguje natychmiast Wren ze stanowczością, która mnie zaskakuje. Gdzie się podział mały, potulny Wren? Cóż, tu go na pewno nie ma. Ale z drugiej strony już na pewno nie raz musiał odganiać od Kayli obślinionych facetów.

– Dobra, trudno – parska Tyler.

– Słuchaj, Tyler – mówię. – Naprawdę byłabym zobowiązana, gdybyś zdołał przez chwilę okiełznać swój urok człowieka pierwotnego i powiedział mi, gdzie jest Kieran.

Wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Chyba gdzieś na górze.

Przepychamy się obok. Kayla i Wren snują się za mną, ona wygląda na oszołomioną, a on sprawia znacznie groźniejsze wrażenie, niż kiedy weszliśmy. Czuję się jak totalna kupa, bo widzę, że nie bawią się dobrze.

– Drineczki! – oznajmiam, gdy mijamy naprędce zastawiony stół. Drineczek jest dobry na wszystko. Przekonałam się o tym, gdy Jack zaczął się spotykać z Hemoroidem. Łapię dwa galaretkowe szoty i wciskam Kayli i Wrenowi, a sama wlewam w siebie wódkę i wrzeszczę:

– Zdrówko!

Potem zauważam w tłumie ciemną głowę i ruszam w jej stronę. Zachodzę od tyłu i zakrywam tej osobie oczy.

– Zgadnij, kto to? – ćwierkam. Kayla i Wren podchodzą i przyglądają się.

– Tylko jedna osoba na świecie ma tak irytujący głos – stwierdza poważnie Kieran. – Isis.

– Zgadł! – Zabieram ręce, a gdy się odwraca, szczypię go w policzek. – Rośnie na takiego mądrego chłopczyka! Grzecznie

zjada wszystkie warzywka i witaminki. Słuchaj, Kieran, to moi przyjaciele, Kayla i Wren. Kayla, Wren, to mój niemal przyjaciel, Kieran.

– Wow, dzięki – cedzi, ale do Kayli i Wrena się uśmiecha. – Znam ją dopiero od dwóch tygodni, ale czasem wydaje mi się, że to dwadzieścia lat niekończących się tortur.

– Witaj w klubie! – Kayla śmieje się. – Macie tu świetnie!

– Faktycznie imponująco – zgadza się Wren z nieśmiałym uśmiechem. – A tak w ogóle i tak masz szczęście, Kieran. Jack już w pierwszej godzinie znajomości zarobił w...

Kayla daje mu mocnego kuksańca w bok, a on milknie i z przerażeniem patrzy na mnie. Na myśl o Jacku trochę mi wykręca żołądek.

Kieran jest skołowany.

– Coś przegapiłem? Jaki Jack?

– Więcej szotów! – gdaczę i uśmiecham się na siłę do całej trójki. – Pójdę po dolewkę, a wy się poznajcie.

Lecę w dół po dwa schodki.

– Isis! Tu jesteś! – Odwracam się i widzę Heather, czarnowłosą dziewczynę z największymi ustami świata. Obejmuje mnie, gdy wchodzę do kuchni. Pachnie tequilą i przypomina mi Kaylę. Gdy prawdziwej Kayli nie ma, czasem mrużę oczy i udaję, że to ona. Na szczęście dzisiejszego wieczoru nie muszę.

– Cześć! Co robisz?

– Jak to co? Idę grać w piwnego ponga. – Podnosi czerwony kubeczek i mruga. – Super, że przyszedłeś, bo robi się nudno. – Łapie mnie za rękę i ciągnie na parkiet.

– Heather, czekaj, muszę...

– Tylko jedna piosenka, proszę! – błaga. – Ściągniesz innych do tańca i będziesz już mogła robić, co ci się podoba. Ale na razie

można tu umrzeć z nudów. Potrzebujemy cię, nie będę tańczyła sama!

Chcę odmówić i wrócić do Wrena i Kayli, ale potem sobie przypominam, że on wypowiedział imię Jacka. Kocham go, ale tym jednym słowem zburzył cały mur, który dzielnie wybudowałam. Teraz Kieran będzie dopytywał, kim jest Jack, i wszystko pójdzie się paść. A był takim miłym rozproszeniem, z tymi szmaragdowymi oczami, swobodnym śmiechem i poczuciem humoru podobnym do mojego. Pomagał mi pogrzebać wspomnienia. Teraz jednak zostało zasiane ziarno niepewności i trzeba mu będzie powiedzieć, skonfrontować się z tym.

Wszystko stracone.

Idę więc z Heather i tańczę z całych sił. Wsłuchuję się w basy, żeby przepędziły z mojej głowy myśli. Ludzie zaczynają tańczyć z nami, a z każdą dołączającą osobą Heather robi się coraz szczęśliwsza. A ja coraz smutniejsza. Żadna z tych osób mnie nie zna i nigdy nie pozna. Nikogo tu nie obchodzę. Ci, dla których jestem ważna, są na górze. Tam jest moje miejsce. Ale znacznie łatwiej tańczyć tutaj niż iść tam i stawić im czoło. Więc tańczę.

Bo jestem tchórzem.

Bo jak na jedno wcielenie zrobiłam dość trudnych rzeczy.

Ktoś, może Heather, podaje mi drinka. I jeszcze jednego. Muzyka gra tak głośno, że zaczyna mi dzwonić w uszach, ale podoba mi się. Potrzebuję tego. W końcu, gdy już tracę oddech, ktoś mnie ciągnie za rękę. Otwieram oczy i widzę Heather wskazującą na jakąś postać w oddali.

– Ej, to nie jest ta laska, o której mówiłaś? Że jej nienawidzisz?

Ma rację, w drzwiach do kuchni stoi Hemoroid. Jej rude włosy niemal lśnią, a w czarnej sukience wygląda bardzo elegancko.

– Nie nienawidzę jej! – odkrzykuję. – To po prostu... Jedna dziewczyna. Spoko.

– Nieprawda! Ja pamiętam! Powiedziałaś to, jak rzygałaś w bractwie Rho Delta Kappa! Że jej nienawidzisz, bo umawia się z chłopakiem, który ci się podoba.

– Ludzie mówią różne rzeczy, jak są pijani. Grecy mieli nawet powiedzenie na takie okazje: *in vino veritas*.

– Jakie wino?

– Nieważne! – krzyczę.

– Porozmawiam z nią! – krzyczy Heather, a oczy ma jakby ze szkła. Ewidentnie wypłała za dużo. – Ktoś jej musi powiedzieć, żeby się odwaliła!

– Heather, nie! – Łapię ją za rękę. – Odpuść, dobra?

Ale z zadziwiającą siłą jak na kogoś tak pijanego wyrywa mi się, rusza naprzód i prze ku Hemoroidowi. Usiłuję iść za nią, ale tańczący tłum tak zgęstniał, że muszę się dosłownie przepychać.

– Przepraszam, przepraszam, ale nadchodzi mała towarzyska apokalipsa!

Heather coraz bardziej zbliża się do celu, a mój rozdygotany żołądek wpada w tryb totalnej paniki. Jeśli powie coś o mnie, a Hemoroid powie to Jackowi, co on pomyśli? Chociaż nie lubię Hemoroida, nie chcę, żeby coś do mnie miała. Ale Heather już z nią rozmawia, więc może jeśli teraz wybiegnę, wszystko się na zawsze zatrzyma i...

– Co powiedziała?! – syczy Hemoroid i wpatruje się we mnie wzrokiem przenikliwym jak sztylety. – Jak coś do mnie masz, to powiedz!

Uśmiecham się najładniej, jak potrafię, a Heather wygląda na bardzo z siebie zadowoloną.

– Boże, strasznie cię przepraszam za moją przyjaciółkę –

mówię szybko. – Jest pijana i nie ma pojęcia, co mówi. Naprawdę, Hemoroidzie, nie mam nic do...

– Jak mnie nazwałaś?

Zamieram. Tyle razy używałam tego przezwiska w myślach i rozmawiając z innymi, że teraz gładko wypadło z moich durnych, pijanych ust. Twarz dziewczyny wykrzywia się z wściekłości.

– Powtórz to, szmato!

– Przepraszam! Pomyliłam się. Wszyscy czasem popełniamy błędy, prawda? – próbuję się ratować. – Nie chciałam...

Ale Hemoroid na mnie naciera, wściekła, z obnażonymi wymalowanymi pazurami, a Heather wymachuje pięścią.

– Przywal jej, Isis!

Inni się gapią i zaczynają się złościć. Podchodzę do ściany, rozglądam się za kimś, kto mógłby mnie uratować. Muszę stąd uciec, najlepiej wczoraj.

– Nie chcę się bić. – Podnoszę ręce. – To nieporozumienie, dobra?

– Wyzwałaś mnie!

– Tak, ale przepraszam!

– Nieważne, powiedziałaś to, suko.

Rzuca się na mnie, ale robię unik. Chwieje się i wpada na kanapę, a zebrani wkoło głośno wzdychają. Staje, obraca się do mnie i jest jeszcze bardziej wściekła.

– Hej, wyluzujmy. – Staram się mówić spokojnie, chociaż głos mi się trzęsie. – Nie...

Nagle jedyne co widzę, to gwiazdy, a mój prawy policzek rozdziera ból. Hemoroid ma tak kościste palce, że kostki wbijają mi się w ciało jak ostrza noża. Obrywam tak mocno, że walę się na podłogę, a jakaś mikroskopijna ostatnia przytomna część

mojego mózgu zaśmiewa się ze mnie i z tej ironii, że oto oberwałam na imprezie, tak jak sama kiedyś przywalałam Jackowi.

Wśród wiwatów tłumu słyszę, że ktoś mnie woła.

– ...sis? Isis? Co się stało? O mój Boże, ona krwawi! – woła Kayla.

– Zostaw ją – warczy Kieran.

– Musimy ją stąd wyprowadzić – zarządza Wren.

Pocieram oczy, żeby przestały łzawić, a czyjeś mocne ręce zbierają mnie z podłogi. To Kieran. Wyprowadza mnie, a Wren i Kayla depczą nam po piętach. Słyszę cichnące pokrzykiwania Hemoroida:

– Wracaj tu! Wracaj, pieprzona szmato!

Jestem wciąż zbyt oszołomiona, żeby zareagować, gdy Kieran kładzie mnie na tylnym siedzeniu mojego auta. Wren klęka obok i ogląda ranę.

– Chryste, nieźle cię urządziła.

– Masz apteczkę?! – krzyczy Kayla, grzebiąc już w bagażniku. W ręce trzyma kluczyki, które musiała mi wyjąć z torebki, ale nie wiem kiedy.

– Nie – jęczę. – Ale nic mi nie jest, serio.

– Serio? Krew ci leci! – informuje Kieran. – Nie wiedzieliśmy, gdzie poszłaś, a okazuje się, że nas porzuciłaś na pół godziny, żeby się bić!

– Biłam się dopiero pod sam koniec piosenki. – Krzywię się, gdy Wren ściera mi krew z policzka.

– Kto to w ogóle zaczął? – dopytuje Kieran.

– Nie ja – zapewniam. Wszyscy troje wpatrują się we mnie z niemym niedowierzaniem. – No co?! Naprawdę! Na pewno nie ja walnęłam pierwsza. Ale pierwsza ją przezwałam.

– Isis! – wzdycha Kayla.

– To był wypadek! – upieram się. – Przecież wiesz, że moje usta żyją własnym życiem! Wystarczy, że je spuszczę z oka i siup! Sekundę później nazywam ją Hemoroidem.

– Niezbyt miło – stwierdza Wren. – Ale nie na tyle, żeby tak mocno walnąć. Musi coś do ciebie mieć.

– Ta panna jest straszna! – Kayla aż tupie. – Wiedziałam to od razu, jak tylko weszła do kawiarni. Powiem Jackowi, żeby dał sobie spokój...

– Nie! – Wstaję. Wren pcha mnie z powrotem na fotel.

– Spokojnie. Nic nie powiemy – zapewniam.

– Nie powiemy? – reaguje natychmiast Kayla. Wren się do niej odwraca.

– To jest ich sprawa. Nie nasza.

– Ale...

– Co to jest za koleś, ten Jack? – dopytuje Kieran. Kayla już nabiera tchu, żeby odpowiedzieć.

– To...

– Nikt – przerwanym jej szybko. – Kayla, proszę cię. Daj mi kluczyki i wracajmy do pokoju.

– Ale co z...

Wren łagodnie ją obejmuje.

– Może lepiej, żeby Isis znalazła się w spokojniejszym miejscu, jak myślisz?

Kayla jeszcze przez chwilę walczy i wije się pod jego ramieniem. W końcu głośno wzdycha i podaje mu kluczyki. Wren się do mnie uśmiecha.

– Zaczekamy na ciebie. Miło było cię poznać, Kieran.

– Wzajemnie. – Kieran kiwa głową. Nadęta Kayla nie mówi nic. Wren ją odciąga, a ja zwracam się do Kierana.

– Przepraszam, że musiałeś na to patrzeć – mówię. – Wracaj tam i baw się dobrze.

– Nie mogę. – Uśmiecha się krzywo. – Skoro ciebie nie będzie.

– Postaraj się. Tylko nie przesadź!

– Wykuruj ten policzek, dobra?

– Jak się znów zobaczymy, będzie mi z niego wyrastać trzecia ręka.

– Super. – Śmieje się i rusza w kierunku domu.

Jedziemy w milczeniu. Wren robi, co może, żeby Kayla przestała się nadymać. Jest jedyną znaną mi osobą, która nie rezygnuje po dziesięciu minutach. Wiadomo, że jak Kayla raz wejdzie w tryb focha, to w nim będzie, aż się położy spać. I oboje wiemy, że obudzi się znacznie szczęśliwsza, ale chwilowo musimy znieść, że patrzy na nas z niemą wściekłością. Gdy dojeżdżamy do mojego akademika, Kayla idzie do toalety, a ja i Wren czekamy przy jej samochodzie.

– Przejdzie jej – zapewnia Wren, gdy patrzymy, jak Kayla się oddala.

– Wiem. Ale mnie nie.

Śmieje się.

– Pierwszy raz dostałaś, a nie przywaliłaś, co?

Lekko obejmuję policzek dłonią.

– Wszelkie waśnie i spory rozwiązać można bez użycia przemocy. – Wren z powątpiewaniem unosi brew. – Walka jest złem? – próbuję dalej. – Nienawiść nie pokona miłości? Jezu, dobra, nauczyłam się w zeszłym tygodniu na pamięć siedmiu mądrych cytatów i teraz wszystkie mi się mieszają, jakby w moim mózgu załamał się nerwowo didżej na radykalnie house'owej imprezie, będący przy okazji autorem literatury zaangażowanej moralnie.

Przez chwilę rozkoszujemy się ciszą. O ile można się czymkolwiek rozkoszować, mając przetrąconą twarz.

– Nie masz przetrąconej twarzy – zapewnia Wren, nie odrywając wzroku od rozgwieżdżonego nieba.

– Zbuduj mi zamek i daj mi różę, jestem Bestią.

– Sama sobie zbuduj.

– Próbuję! – Gwałtownie unoszę ręce, ale od razu czuję, że jestem na to zbyt zmęczona. – Naprawdę się staram!

– Tęskniliśmy z tobą – wyznaje Wren. – Na tej imprezie. Myśleliśmy, że o nas zapomniałaś.

– Ja tylko... – Krzywię się. – Nie zapomniałam. Nie zapomniałabym. Raczej: chciałam nie pamiętać.

– Czemu?

Wykrzywiam głowę w jedną i w drugą stronę, a potem wypowiadam bezgłośnie słowa, których nie jestem w stanie powiedzieć na głos.

– Ach! – Wren doznaje olśnienia. – Wspomniałem o Jacku. Przepraszam! Nie wiedziałem, że to drażliwy temat.

– To zawsze był drażliwy temat – parskam, a Wren się śmieje i mruży oczy za szklami okularów.

– Fakt. Ale inaczej niż Bezimienny, prawda?

– Jak to?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu... Wydaje mi się, że to nie ten sam poziom. Przecież on nie zrobił nic bardzo złego. Poza tym że umawia się z Hematokrytem.

– Hemoroidem – poprawiam. – A od tej pory będę używać jej prawdziwego imienia, które brzmi... – Namyślałam się: – Mildred.

– Wymieniamy spojrzenia i zaczynamy chichotać. – Jasne – mówię, gdy udaje mi się uspokoić. – Jasne, że nie jest tak zły, jak

Bezimienny. Ale nie znam innego sposobu na odpuście siebie. Rozumiesz? Po prostu nie mówię o tym. Nie myślę o tym.

– Ja też tak robiłem – przyznaje cicho Wren. – Myślałem, że jeśli dodam sobie wystarczająco dużo obowiązków, nie będę taki samotny. Wtedy, jak straciłem Jacka, najlepszego przyjaciela, i Avery, i Sophię. Po tym, co się zdarzyło w gimnazjum tamtego lata, wszyscy zniknęli z mojego życia. Rodziców nigdy nie było w domu. A jak byli, jedyne, co ich interesowało, to moja karta ocen. Więc uczyłem się jeszcze więcej. Stale miałem coś na głowie, żeby nie musieć o niczym myśleć szczerze i na serio.

– I co się zmieniło?

Wren się uśmiecha.

– Poznałem ciebie. Sophia dała mi tę przypinkę z olimpiady matematycznej. Kayla mnie pocałowała po raz pierwszy. Zacząłem się uczyć odpuszczać. Przestać ciągle coś robić i po prostu cieszyć się chwilą. To są teraz moje najważniejsze wspomnienia. Wypalone w pamięci na zawsze. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Jest szczerzy. Zawsze był. Bardziej niż ja będę kiedykolwiek. Jakie są moje najważniejsze wspomnienia? Przez pamięć przewijają mi się obrazy, zapachy i uczucia tańczące tuż pod powierzchnią: kolacja z Kaylą w Red Fern tuż przed wyjazdem na studia, śmiech i udawanie, że jesteście odważne. Sophia, obejmująca mnie i dziękująca, że oddałam jej Tallie, jej miękkie włosy. Zapach Jacka, mięta i miód, i sen, jego lodowate oczy takie zaspane, piękne, w łóżku, tamtej nocy w hotelu, i uśmiech, gdy mnie zobaczył.

Nie mogę od nich uciec. Zawsze tam będą, ze mną, we mnie, czyniąc mnie człowiekiem, jakim jestem.

Tym razem to Wren kładzie mi głowę na ramieniu.

– Nieważne, co się wydarzy między tobą i Jackiem, tobą a mną albo mną, tobą i Kaylą – stwierdza. – Jesteśmy tutaj teraz, razem. A moglibyśmy być gdzie indziej, kiedy indziej, na innej planecie w kosmosie, ale jesteśmy tutaj. Gdyby cokolwiek w naszym życiu ułożyło się inaczej, moglibyśmy się nigdy nie poznać. Ale się poznaliśmy. I nic nie poradzę, że czasem myślę, że to cud. Cud, że cię poznałem. Że w ogóle żyję. – Uśmiecha się, a ten uśmiech lśni jaśniej niż księżyc. – Chyba po prostu chcę ci podziękować.

– Za co? – Ścisną mnie w gardle, a do oczu napływają mi łzy.

– Za to, że jesteś moją przyjaciółką. Że się urodziłaś. Jesteś tutaj, teraz.

Wren to nie Jack, nie daje mi płakać w spokoju. Obejmuje mnie, pyta, co się stało, raz za razem, aż w końcu udaje mi się wykrztusić wśród szlochów:

– Ja też ci dziękuję, wielki głupku.

Gdy Kayla widzi, że płaczę, podbiega, już się nie wścieka, tylko dopytuje, co się stało, czy policzek mnie boli, czy ma tam natychmiast wrócić i przywalić tej pannie w przęłyk, czy może chcę gumę... Opatrujemy moją ranę, a Kayla opowiada wszystko coraz bardziej wścieklej Yvette. Tak się martwi, że upiera się, że zostaną z Wrenem na noc. Zsuwamy z Yvette nasze materace, kładziemy się wszyscy czworo pod górą kołder i koców, machamy palcami u stóp, gadamy, przerywamy sobie, żartujemy na wyrywki i kończymy cudze zdania.

Potem, jedno po drugim, zasypiamy. Ja na końcu. Patrzę, jak spomiędzy żaluzji przesącza się świt i kładzie się na naszych kołdrach i skórze. Uczę się tej chwili na pamięć.

Rozdział 10

3 lata, 51 tygodni, 2 dni

Po wyjeździe Kayli i Wrena płaczę długo i dramatycznie przez jakieś dwie dekady. Ale potem mi przechodzi. Ludzie naprawdę za bardzo dramatyzują.

Wystarczy spojrzeć na całe to Hollywood, dramat za każdym rogiem! Oraz jarmuż. Hollywood uwielbia jarmuż. I dzieci. Broń Boże, żeby nauka wynalazła jakiś sposób na produkcję dzieci z jarmużu, przynajmniej w promieniu tysiąca kilometrów od Los Angeles, bo wybuchnie wojna. Pistolety z cyrkoniami, uzbrojeni kierowcy limuzyn... Wtedy postawię całą kasę na Vin Diesela i Rocka, którzy oczywiście będą w jednej drużynie i staną się najdoskonalszą ekipą ratującą jarmużowe dzieci przed zjedzeniem, a ja będę pełniła funkcję koordynatorki ich garderoby łamane przez wyszczekanej asystentki.

– Isis, muszę cię poinformować, że znowu myślisz na głos o dziwactwach – oznajmia Diana, zrywa stokrotkę i wtyka mi we włosy.

– Posiadanie przyjaciół, którzy kochają cię taką, jaka jesteś, musi być super – burczę. Diana się śmieje, zrywa kolejny kwiatek i wplata do wianka.

– Po prostu bardzo się cieszę, że znów jesteś sobą. Przez

ostatnie tygodnie byłaś jakaś przybita. Nawet Yvette zauważyła.

– Nie! – Udaję zszokowaną. – Nasza gburowata gotka o zakutym łbie i zablokowanym rozwoju emocjonalnym? Zauważyła, jak się czuję? Niebywałe!

– Mało jesz.

– To kwestia dyskusyjna. Co bardziej oświeceni jogini lansują żywienie się powietrzem.

– Nie śpisz po nocach.

– Bo się uczę! Do sesji! – protestuję. – W przeciwieństwie do ciebie, niektórzy z nas, maluczkich, muszą się przygotować, żeby ktoś mógł im złoić tyłek.

– Trzymasz się z... – Diana marszczy czoło. – Z osobami, które nie wydają się w twoim typie.

– Co za bzdury! – Macham ręką. – Heather jest bardzo miłą dziewczyną. Jeśli tylko nie wszczyna bójek w moim imieniu.

Diana wpatruje się we mnie wyczekująco. Podnoszę rękę.

– Dobra, dobra, są jeszcze chłopaki! John, Tyler, Kieran i Erik. Porządni chłopcy! I nic wielkiego nie robię!

Diana marszczy czoło.

– Tak się tylko zastanawiam... Co się stało z tym gościem, o którym opowiadała mi Yvette? Lalus McPierdington czy jakoś tak. Ten, z którym rozmawiałaś na koncercie.

– Kto, kto? – pytam obojętnie i przyglądam się paznokciom.

– Dobrze wiesz kto – złości się. – Włosy ciemnoblond, ładne niebieskie oczy, wysoki. Rozśmieszył cię.

– Miałam anginę – informuję ją. – To był kaszel, nie śmiech. Przypomnij mi, że mam cię więcej nie zabierać w takie miejsca.

Diana wzdycha, związuje końce wianka i wkłada mi go na głowę.

– Po prostu się martwimy i tyle. Jeśli lubisz chodzić co wieczór

na imprezy, to nie ma sprawy. Baw się dobrze, ale...

Uśmiecham się i klepię ją po plecach.

– To miłe, że się martwicie. Ale popatrz na mnie! Jestem dużą dziewczynką. A wręcz gigantyczną! Nic mi nie będzie.

Diana sznuruje ładne usta, ale zanim zdoła coś odpowiedzieć, za jej plecami pojawia się Yvette. Doskakuje do niej i mocno obejmuje.

– Niespodzianka, łajzy! – kracze. Potem rozgląda się szybko i dopiero wtedy cmoka Dianę w policzek. – Cześć, ślicznotko.

– Cześć. – Diana się rumieni.

Padam na trawę. Yvette wacha się pod pachami.

– Chyba aż tak nie śmierdzę?

– Umarłam – rzęzę chrapliwie. – Od nadmiaru rozkoszności.

Yvette robi się czerwona.

– Cicho bądź. Nie zauważyłabyś rozkoszności, nawet gdyby ci podstawiała nogę.

– Fakt. – Śmieję się. – Rozkoszność to nie moja bajka.

Diana marszczy czoło.

– Nieprawda. Jesteś bardzo urocza!

– Cóż. – Poprawiam włosy. – Niech zdecydują goście zgromadzeni dzisiejszego wieczoru w bractwie Phi Omega.

– Znowu idziesz na imprezę? – Yvette wzdycha. – Cholera. Błagam, bądź ostrożna.

– Błagam, ugryź mnie w tyłek – odpowiadam. – Cofam. Nie mam na to ochoty. Chociaż w zasadzie nie wiem, z czego rezygnuję. Ale przewiduję, że gryzienie po tyłkach nie znajduje się na liście moich planów na najbliższą przyszłość. – Widzę, że Yvette robi się zła, więc się poddaję. – Dobrze! Dobrze, będę na siebie uważać. Obiecuję.

Lubię spędzać czas z Yvette i Dianą, ale wcześniej czy później

nadchodzi moment, gdy trochę za długo wpatrują się sobie w oczy, splatają palce nieco zbyt ciasno i intuicja mi podpowiada, że powinnam się zbierać. Wymawiam się więc przygotowaniami do imprezy i wracam do pokoju. Są bardzo zakochane. Nawet paranoja Yvette, że ktoś się dowie, nie powstrzymuje jej przed byciem całkowicie i totalnie zauroczoną. Diana nie ma takich oporów, ale ze względu na Yvette jest ostrożna. Są rozkoszne, wręcz do wyrzygania, ale ogólnie rzecz biorąc, to mnie boli. Ilekroć widzę, jak się dotykają, w mojej głowie pojawia się nowa chmura mroku. Na mnie nikt nigdy nie będzie tak patrzył. Nikt się tak we mnie nie zakocha. Nikt nie będzie mnie traktował z taką czułością. Nikt nie będzie mnie tak kochał.

Brzydka.

Brzydka, brzydka, brzydka.

Nawet Jack.

Nawet on, chociaż podszedł najbliżej, najodważniej przebił się przez skorupę goryczy. Stał na progu mojego serca, ale nawet on nie zdecydował się na zrobienie ostatniego kroku.

Z jakiegoś powodu zawrócił. Coś we mnie go do tego skłoniło. Coś, co jest ze mną nie tak. A ja nigdy się nie dowiem co to, bo nie zapytam. Już go nawet nie widuję. Czasem tylko wpadnie mi w oko jego twarz, gdzieś na korytarzu, ale tylko na tyle sobie pozwalam, na to trwające kilka sekund spojrzenie. Plotki o Hemo..., ekhm, o Mildred, że się o niego pobiliśmy, rozbiegły się po kampusie jak wygłodniałe hieny. Szepczą o tym ludzie, których nawet nie znam. Isis Blake biła się o chłopaka! Wstyd! Mam ochotę skulić się w sobie i więcej nie wyjść. Modłę się do Boga, żeby te pogłoski nie dotarły do Jacka, ale wiem, jakie plotkary były na tej imprezie, więc w zasadzie nawet się nie łudzę. Mogę na niego patrzeć przez kilka sekund. Wszystko inne

byłoby niebezpieczne. Każdy dłuższy kontakt oznaczałby szafę, ciszę i łzy, a potem więcej mroku i więcej dziur, jakie w sobie wydrapię, żeby ciemność mogła się we mnie wedrzeć i rozgościć się na nowo.

W lustrze wyglądam na trochę wyższą. Wyglądam też, jakbym się miała rozplakać, ale naprawdę więcej płaczu mi nie trzeba. Minęło dopiero kilka dni, ale siniak zarobiony w bójkę prawie wyblakł. Uśmiecham się i zaczynam grzebać w szafie. Wybieram czarną spódnicę i czarne podkolanówki. Na moment dotykam palcami różowej bluzki i cofam je tak szybko, jakbym je wsadziła w ogień.

Wspomnienia są jednocześnie cudem i przekleństwem.

Uśmiech Jacka, jego głos, gdy mówił, że jestem piękna, to jak mnie obejmował w łóżku, jego oddech na mojej szyi. Zapach mięty i miodu. Rzadki, ale donośny śmiech. Nasze rozmowy, kłótnie, to, jak po raz ostatni złapał mnie za rękę zanurzoną w wodzie fontanny...

Przełykam falę mdłości i wpycham bluzkę pod grube bluzy z kapturem. Wkładam za to czerwoną koszulę i czeszę się.

Podszedł tak blisko.

A na koniec uciekł. Wszyscy uciekną.

Wydymam usta i maluję różowym błyszczkiem. To tak naprawdę moja wina. Byłam głupia, myśląc, że jest inny od wszystkich chłopaków świata. Oni oczekują, że nie będzie problemów. Chcą słodkich, fajnych i doświadczonych dziewczyn. Nie złych, zgorzkniałych, sarkastycznych i dziewiczych. To, jaka byłam, okazało się dla Jacka zbyt męczące. Zresztą, dla każdego by było. Nie winię go, że zwiewał, aż się kurzyło. Ja na pewno nie chciałabym się mierzyć z zadaniem kochania kogoś tak trudnego.

Ostatni raz sprawdzam eyeliner, olewam fakt, że podkład nie

maskuje cieni pod oczami i upewniam się, że znikąd nie sterczą metki. Biorę telefon i wkładam do stanika dwadzieścia dolarów, na wypadek gdybym musiała kogoś przekupić.

Czuję, że komórka wibruje, i przez tę chwilę, zanim ją wyciągnę, marzę, żeby to był esemes od pewnego lodowatego kogoś.

Ale to mama. Dzwoni. Przygotowuję się.

– Cześć, mamó. Co tam?

– Cześć, skarbie. Jak się masz?

– Wszystko... – Zerkam na siebie w lustrze. Jestem posiniaczonym szkieletem z odrobiną mięsa. – Wszystko dobrze. A ty? Jak w pracy?

– U mnie super. To znaczy powoli, ale chodzę codziennie. Doktor Torrand dał mi nowe cudowne pigułki i śpię jak dziecko.

Rozluźnia się węzeł, który pętał mnie gdzieś od środka.

– To cudownie! Bardzo się cieszę.

– Co się dzieje? Brzmisz, jakby się coś stało.

– Nie, po prostu się cieszę. Przez chwilę myślałam, że... – Że mnie nienawidzisz. – Że ci się pogorszy. Ale jest dobrze. Sen jest dobry. Spanie jest ogólnie najlepsze.

– To prawda. Właśnie zamierzam się do tego zabrać.

– Jadłaś kolację? – sprawdzam.

– Lasagne. – Śmieje się. – Ale nie tak dobrą, jak ta Jacka. Tęsknię za tym chłopcem. Co się między wami stało?

Gryzę się w policzek. Mały ból dobrze odwraca od wielkiego bólu, który grozi, że połknie mnie całą.

– Spotyka się z kimś innym – wyduszam w końcu.

– Och, szkoda. Był dobrą partią, ale w każdym morzu pływają lepsze rybki. A ty zasługujesz na to, co najlepsze. Słodkich snów. Nie ucz się do późna.

– Dobrze. Kocham cię.

– Ja ciebie też.

Włączam silnik. Noc jest zbyt chłodna i za ładna, żeby tkwić w metalowej puszce. Mama nie ma racji. Nie zasługuję na najlepszą rybę. Zasługuję na tę, która najdłużej wytrzyma z moim obciążeniem. Nawet ryba, która mnie rozumiała, akceptowała i której na mnie zależało, nie zamierza zawracać sobie głowy kimś tak pochrzanionym. Jack mi to pokazał.

Mam nadzieję, że jest szczęśliwy z Mildred. Przynajmniej trochę. Wren przypomniał mi, że to nic nie szkodzi. To nic, że nie jest ze mną, jeśli tylko żyje i ma się dobrze. Tego chciałam jeszcze niedawno. Łaknęłam wiadomości, że jest cały i zdrowy, przynajmniej tyle. I jest.

O więcej nie mogę prosić.

Dom bractwa Phi Omega mieści się kilka przecznic od kampusu. To duży, niebieski, kilkupiętrowy budynek stary jak świat i zapewne pełen historii. I trupów. Mam nadzieję, że jednego i drugiego. Nad pokrytym wstęgami papieru toaletowego trawnikiem dudni muzyka. Pukam i od progu uśmiecha się do mnie znajomy chłopak z ciemnymi włosami i zielonymi oczami.

– Isis! Zuch dziewczyna!

– Kieran! – piszczę i walę go pięścią w brzuch, jak to mamy w zwyczaju na powitanie. Zgina się wpół, udając ból, a kiedy podnosi głowę, cmokam go w policzek. – Gdzie jest wóda?

– Prosto korytarzem i w lewo. Na parkiecie można bez ciebie umrzeć z nudów. Rozkręć trochę dziewczyny. Ale postaraj się tym razem nie wdać w bójkę.

– Nic nie obiecuję. – Mrugam do niego.

Dziewczyny i chłopaki leniwie całują się na kanapie, a partia piwnego ponga doszła już do rundy siódmej. Stąd wiem, że

naprawdę się spóźniłam.

– Isis! – krzyczy Heather. – W samą, kurwa, porę! Już miałam do ciebie pisać, żebyś ruszyła tyłek, ale nie pamiętam kodu do komórki.

– 5429, dziewczyno, zmienialiśmy go wczoraj! – przypominam jej. – Gdzie Tyler?

Prycha.

– Nie rozmawiamy z sobą. To dupek.

– Ale i tak będziesz się z nim miziać?

– No chyba! – Wywraca oczami. – Miałaś rację. Jest totalnie w moim typie.

Po tym, jak kiedyś bardzo pijany Tyler próbował wessać moje wargi, dobrze wiedziałam, z kim go spiknąć: z właścicielką legendarnych ust. Od tamtej pory chodzą z sobą niczym dwa opętane krokodyle pożerające sobie twarze. Lubię się bawić w swatkę niemal tak bardzo, jak walić dupków po gębach. Niemal. Serce mi tańczy, gdy widzę tak szczęśliwą parę, nawet jeśli to szczęście ma źródło w namiętnych i licznych kontaktach seksualnych, a nie w prawdziwym związku. Ale kimże jestem, by oceniać? Nigdy nie byłam w prawdziwym związku. Ani nie przeżyłam kontaktu seksualnego, który nie byłby traumą.

Rozlegają się dudniące basy kolejnej piosenki, a Heather piszczy, łapie mnie za rękę i ciągnie na drewnianą podłogę w jadalni, która pełni funkcję parkietu. Upewniam się, że nie ma Jacka ani Mildred i zatracam się w muzyce. Śmieję się, gdy pijana Heather próbuje zmysłowo tańczyć w piętnastocentymetrowych szpilkach. Pochyla się do jakiegoś chłopaka, który nie jest Tylerem i całuje go. W tym momencie uświadamiam sobie, że nie jestem wyjątkowa. Jest tu wiele osób, a może wszyscy, którzy kogoś całują, dziewczynę albo chłopaka, żeby zapomnieć o

pocałunku kogoś innego. Wszyscy wolelibyśmy być całowani przez tę jedną, wyjątkową osobę, ale z jakiegoś powodu nie jesteśmy albo nie możemy być. Taka prawda.

Nie ma we mnie nic nadzwyczajnego. Po prostu trwało trochę dłużej, zanim osiągnęłam poziom większości. Zanim desperacja zrobiła się tak silna, że zapragnęłam zapomnieć.

I już.

Schodzę z parkietu i nalewam sobie rumu z colą, a potem wypijam jednym haustem. Piecze. Ale, cholera, w tych czasach wszystko piecze. Zaczyna mi pękać głowa, więc wychodzę i siadam na schodku, żeby pooddychać świeżym powietrzem.

– Dobra robota – rozlega się nagle czyjś głos. Siada obok mnie Bezimienny, w bluzie dresowej i džinsach, uśmiechnięty od ucha do ucha. – Z tym chudnięciem. Miałaś sporo do zrzucenia. Jestem pod wrażeniem.

– Nie zrobiłam tego dla ciebie – warczę. Skąd on się tu wziął? Mam ochotę uciekać, ale opanowuję się. Nie, nie tym razem. Przyszłam tu, żeby się dobrze bawić. Nie pozwolę mu tego zepsuć, wyprowadzić się z równowagi ani wpłynąć na moje zachowanie.

– Oboje wiemy, że dla mnie. – Śmieje się. – W stołówce ledwie co jadłaś. Zakładaliśmy się zawsze, czy zjesz ten kawałek selera, który sobie nałożyłaś. Był dość obrzydliwy.

Nie jestem już tak słaba jak wcześniej i zamierzam mu to okazać. Nie wpuści we mnie więcej mroku. Nie ma już światła, które mógłby przyćmić. Składam się już tylko z cieni. Próbuje ugasić ognisko, które od dawna jest zalane wodą.

– Pamiętasz, jak zemdliałaś? – Rzy jeszcze głośniej. – Kurwa, to było niezłe! Na WF-ie, jak graliśmy w zbijaka, a ty normalnie... – Sztywnieje jak deska i pada na ziemię. Wstaje, dusząc się ze

śmiechu.

– Czego chcesz? – pytam zimno.

Wzrusza ramionami i wkłada ręce do kieszeni.

– Przyszedłem się przywitać. Znam Tylera i miałem ochotę na whisky, więc wpadłem. No i laski nie są tu takie złe. Ty to inna historia.

Kłamie. Ale kiedyś był w tym lepszy. A może ja się wyszkoliłam w czytaniu kłamców?

– Czego chcesz naprawdę, dupku.

Zaskoczyłam go, bije mi brawo.

– O wow! Dupku! Przez trzy lata nie byłeś w stanie wypowiedzieć mojego imienia, a już na pewno mnie znieważyc. Nieźle! Przekaż gratulacje swojemu terapeucie.

– Nie chodziłam na terapię. Nie musiałam.

Śmieje się.

– Ich możesz zwodzić, ale mnie nie. Wystarczyła połowa mózgu, żeby to widzieć. Chciałaś umrzeć. I nikt cię nie powstrzymał! – Nachyla się i kontynuuje szeptem: – Może też chcieli, żebyś umarła? Myślałaś kiedyś o tym?

Z mojego serca strzela potok wrzącej lawy, oblepia mi płuca, żołądek i wątrobę i od razu je spopiela. Nie mówi o mnie. Mnie kocha mama. I ciocia Beth. Przemawia przez niego jego ojciec. Nie chodzi o mnie. Wyładowuje własne frustracje. Uśmiecha się szerzej.

– To dziwne, jakie słyszałem o tobie plotki. Że Isis Blake zmieniła się w imprezową laskę. Była nikim, a nagle przychodzi na imprezy, urywa jej się film, chleje jak stara i wszczyna bójki.

Przypominam sobie, że mam oddychać, oddychać i nie pozwolić wspomnieniom się sparaliżować. Bezimienny wyciąga z kieszeni papierosa, a potem zapala, a moje serce wystrzeliwuje

w kosmos i słyszę tylko świdrujący w uszach biały szum. Ręce mi się trzęsą, a bliznę na nadgarstku trawi fantomowy ból. Bezimienny uśmiecha się z satysfakcją i dmucha mi dymem w twarz.

– Co jest? Ten nadziany przystojniaczek cię nie chce? Dlatego zaczęłaś pić?

Nie mogę się ruszyć, tkwię jak przyklejona do schodów. Smród dymu, smugi krążą mi wokół twarzy, wplatają się we włosy... Chcę, żeby to zniknęło. Przestało istnieć. Nie chcę już tu być. Ja też chcę nie istnieć, od zaraz. Niech stracę przytomność. Jeśli dostatecznie długo wstrzymam oddech, stracę przytomność i wszystko się skończy.

Bezimienny chichocze, bo moje milczenie jest potwierdzeniem, jakiego oczekiwał.

– To mądry, utalentowany, przystojny chłopak. Za wysokie progi na twoje nogi, więc ci pokazał, gdzie twoje miejsce. Świetny facet. Moje zdanie na jego temat zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. – Nachyla się do mnie, a żółć ze ściśniętego gardła podchodzi mi do ust. – A może... Może chodzi nie tylko o to. Może mu powiedziałaś, co się między nami stało. I on już nie chciał się z tobą pieprzyć. Nie po tym, jak...

– Isis? Co się dzieje?

Straszliwe czarne zakłęcie pryska, mogę znów się ruszać, znów myśleć. Odwracam się i widzę w drzwiach potężną sylwetkę Kierana. Bezimienny się do niego uśmiecha i wchodzi z powrotem w tryb czarującego chłopca.

– Nic takiego. Mała pogawędka starych przyjaciół. Wiesz może, gdzie jest Tyler?

Kieran patrzy na niego ze złością, a potem podnosi palec.

– Na górze.

Bezimienny wstaje i klepie go w ramię.

– Dzięki.

Znika, a Kieran siada na schodkach.

– Hej. Wszystko dobrze?

– Tak. – Odchrząkuję. Ból znika. – To stary przyjaciel.

– Nie wyglądałaś na usposobioną bardzo przyjaźnie.

– To nic... Nie przejmuj się.

Kieran wypuszcza powietrze z płuc.

– Dobra. Słuchaj, ja, Ulfric i jeszcze dwie dziewczyny chcemy skoczyć do miasta. W jakimś klubie mają imprezę rave. Chcesz jechać?

Kieran może i jest wielki, trenuje zapasy i zawala wszystkie zaliczenia z angielskiego, ale ma kochane zielone oczy, jak szczeniak, i jest zaskakująco wrażliwy. Jak zobaczył moje oceny z angielskiego, poprosił o pomoc w nauce i od tamtej pory się kumplujemy. Zawsze wie, co powiedzieć albo zrobić, żeby ktoś się poczuł lepiej i ma jakiś szósty zmysł łamane przez niewidzialne czułki odbierające nastroje innych. Pod tym względem jest podobny do Wrena. Wie, że już nie chcę tu być, skoro przyszedł Bezimienny. Kiwam głową.

– Jasne. A kto prowadzi?

– Ja. – Kieran krzywo się uśmiecha. – Zostałem wyznaczony niepijącym kierowcą, ale możesz do mnie mówić Sir Szofer. Będziesz trzymała strzelbę.

– Chciałabym mieć strzelbę – mamroczę, idąc za nim do jego PT cruisera. Obok czekają już dwie dziewczyny w obcisłych sukienkach i wielki blondyn przypominający wikinga.

– Tak? – Kieran się śmieje. – I co byś z nią robiła?

– Poszła na piknik. Założyła kapelę. Zabiła konkretnego kogoś.

– Będziemy zabijać? – Dziewczyna w czerwonej sukience

klaszcze. – Zaczniemy od profesora Summersa. Zrobimy światu przysługę.

– Nie jest taki zły. – Kieran wywraca oczami i odpala silnik, a potem wyjeżdża tyłem.

– Wczoraj zaglądał Tessie pod spódnicę. Użył długopisu z lusterkiem. Widziałam to. – Ta w czerwonej sukience trąca dziewczynę w zielonej, która najwyraźniej jest Tessą we własnej osobie, bo nieśmiało zapada się w fotelu. Czerwona sukienka się uśmiecha. – Cześć tak w ogóle, jestem Livy.

– Isis – odpowiadam i patrzę na Tessę. – Zgłosiłaś to?

Tessa kręci głową, ale nie patrzy mi w oczy. Za to Livy parska.

– Przecież gównem z tym robią. Biorą te skargi i upychają głęboko w szufladzie, żeby nikt do nich nie dotarł. Widziałam to. Równie dobrze możesz iść powrzeszczać do ceglanego muru.

Tessa w końcu podnosi wzrok.

– Nawet jakbym powiedziała, dziewczynie nikt nie uwierzy. Spytają mnie tylko, co miałam na sobie. To nigdy nie będzie jego wina, tylko moja.

Zaciskam dłonie. Kieran wzdycha z rezygnacją.

– To nie fair – mówi z mocnym akcentem Ulfric i marszczy czoło. – W Danii, na moim poprzednim uniwerku, wywalali zboczeńców.

Wypowiadając słowo „wywalali”, wykonuje w powietrzu cios karate.

– No to witaj w Ameryce. – Livy wzrusza ramionami. – Kraju dającym zgodę na molestowanie kobiet. Ojczyźnie pozornej odwagi i wewnętrznego tchórzostwa.

– Profesor Summers, mówisz... – mruczę. Kieran patrzy na mnie ostrzegawczo.

– Ani się waż!

– Ale że co? – zgrywam niewiniątko.

– Wiem, że to ty w zeszłym tygodniu wrzuciłaś spaghetti do torebki Sarah.

– Ty to zrobiłaś?! – Livy zgina się w pół i chichocze. – Ja pierdzielę, Tess, słyszałaś? To ona zrobiła piekło w torebce Sarah!

– Sarah? – Tess wygląda na skołowaną.

– Tej laski, która ściągała na kolokwium z algebry! Isis włożyła jej makaron do torebki!

Aż mnie zatyka.

– Jak śmiesz mnie oskarżać! Potwarz! Oszczerstwo!

– Przed następne cztery dni śmierdziałaś sosem pomidorowym. – Kieran dorzuca niezbity dowód.

Uśmiecham się.

– Kiedy mówisz o tym w ten sposób, wydaję się sobie taka odważna. Może wręcz zniewalająca!

W samochodzie zapada niezręczna cisza. Ulfric jęczy.

– Lubisz się wyzywać na ludziach, którzy według ciebie na to zasługują – orzeka Kieran. – Wypryskałaś samochód Tylera od środka serpentyną w sprayu, gdy próbował cię pocałować. A teraz chcesz zrobić numer Summersowi.

– Jakim prawem mnie o to oskarżasz, Sir Szoferze? Spójrz na mnie! Czy ja bym wpadła na coś tak zjawiskowego, jak podrzucenie krowiego łajna pod drzwi jego gabinetu? Albo wymazanie mu peruczki margaryną? Albo schowanie pajaków do jego szuflady? – Cisza trwa. – O, albo krople do oczu! Zastąpione wyciągiem z pieprzu!

Po namyśle Livy mruczy z aprobatą. Kieran wzdycha i wjeżdża na parking przed rozświetlonym klubem z neonową nazwą ETERNITY. Wysypujemy się z auta. Livy bierze Tessę za rękę i ruszają przodem. Ulfric patrzy na mnie jak na rozwścieczonego

tygrysa.

– Jesteś niebezpieczną kobietą – stwierdza.

– Z twoich ust, Leifie Uważaj-Synu-Bo-Zetną-Ci-Głowę-Samym-Tylko-Przedramieniem to prawdziwy komplement. – Klepię go po ramieniu.

Wygląda na urażonego.

– Nigdy nikomu nie ścinałem głów!

– To spróbuj. Bardzo odprężające.

– Jak już skończycie planować morderstwo – wtrąca się Kieran – dajcie znać, kupimy jakieś drinki.

– Jak moglibyśmy zapomnieć o priorytetach wikingów? – Klepię Ulfrica w plecy. – Po pierwsze cycki, po drugie krew, po trzecie gorzałka.

– Po pierwsze cycki, po drugie gorzałka, krew nigdy – poprawia mnie.

– Jezu, nie bądź takim sztywniakiem, Ulfie! Bogowie domagają się hulanki! Ruszamy do Walhalli!

Wygląda na wstrząśniętego, jak wszyscy śmiertelnicy obdarzeni nadludzkim szczęściem poznania mnie w aktualnym wcieleniu, ale rusza do tętniącego od muzyki klubu. Pokazujemy bramkarzowi nasze dokumenty. Dokumentowi Tessy przygląda się dłuższą chwilę, a potem wpatruje się w moje prawko (jedno z wielu). Wszystkie kupiłam od Yvette.

– Vanessa Gergich? – pyta. – Masz trzydzieści jeden lat?

Zaczynam się pocić. To minus posiadania dwunastu fałszywek.

– Jestem bardzo zdrowa – zapewniam. – Łykam witaminy. I nawilżam skórę. Po prostu non stop!

– Ona jest ze mną – włącza się Kieran. Bramkarz patrzy to na mnie, to na niego, a potem wzdycha.

– Dobra, Kir, ale jak coś wykręci, powiem gliniarzom, że to

twoja wina.

Kieran się uśmiecha, a potem ciągnie mnie do baru.

– Rum z colą dla pani! – przekrzykuje muzykę, a potem zwraca się do mnie. – Lubisz to, prawda? Zauważyłem, że dużo tego pijesz.

– Tajest! – Kiwam głową. – Ale nie musisz mi nic kupować. Jestem silną, niezależną...

Wciska mi w dłoń chłodną szklankę i przesuwa po barze pięć dolarów. Kołyszę lekko napojem, żeby sprawdzić, czy nie utworzy się gęsta pianka, mogąca wskazywać na obecność pigułki gwałtu. To znaczy, ufam barmanowi i Kieranowi. Jakoś tam. Ale ostrożności nigdy dość. Sączę powoli i tylko stoimy, przyglądając się wijącemu się kłębowisku krótkich spódniczek i nacierających na siebie koszulek polo. Tessa tańczy z Ulfrikiem, nadal lekko onieśmiałym, ale już zaczynającym się uśmiechać. Livy wywija z jakimś gościem wyglądającym na Włocha i o co najmniej cztery lata dla niej za starym. Mieszanka potu i perfum utrudnia oddychanie. Stroboskopowe światła przeszywają gałki oczne i wypalają dziury w pokładach cierpliwości do elektronicznej muzyki tanecznej.

– Czy ktoś... – milknę i wsłuchuję się w rytm – powtarza bez przerwy słowo „dupa”?

Kieran zamiera, rozgląda się i zaczyna nasłuchiwać.

– Tak, masz rację! Co się stało prawdziwej muzyce?

– Do gry weszły pieniądze – zgaduję. – Głównie to. Ale ja obwinałabym spandeks i auto-tune.

Kieran się śmieje, a Livy odrywa tyłek od krocza włoskiego gościa i podchodzi do nas, zdyszana i uśmiechnięta.

– Co tak stoicie? Chodźcie!

Idziemy za nią, ciekawi, gdzie nas prowadzi. Lądujemy w

korytarzu przy toaletach, wymalowanym sprayem i zasnutym skrawkami papieru toaletowego. Livy wyciąga coś ze stanika. Wciska do ręki Kieranowi, a potem mnie. To małe, białe pigułki w kształcie króliczków „Playboya”.

Kieran unosi brwi.

– Skąd to masz?

– Od Heather, a skąd? – prychna Livy. – Rozdawała jak cukierki.

– Czy to jest to, co myślę? – pytam.

– A myślisz, że to molly?

– Nie chcę. – Spinam się.

– Luz. – Liv wywraca oczami. – To tylko jedna tabletki. Nie zabije cię. A Heather zawsze kupuje od pewnego gościa, nie ma żadnego syfu.

Kieran oddaje swojego króliczka.

– Nie mogę. Dzisiaj prowadzę.

– Zaraz nie będzie po tym śladu – zapewnia. – Wyparowuje szybciej niż alkohol.

– Wizje wielkich czerwonych słoniobestii to nie jest mój ulubiony sposób zabawy. – Łypię na tabletkę podejrzliwie, ale Livy się uśmiecha i klepie mnie w rękę.

– Słuchaj, to nic takiego. Po tym się nie ma halucynacji. Są bezpieczne, słowo. Łykałam to setki razy.

„Ten nadziany przystojniaczek cię nie chce? Dlatego zaczęłaś pić?”

„Może nie chce się z tobą pieprzyć?”

„Nikt cię więcej nie zechce”.

„Nikt cię więcej nie zechce”.

Kładę pigułkę na języku i popijam ostatnim łykiem rumu z colą. Słowa przestają dzwonić mi w uszach. Kieran też połyka swoją. Idę w kierunku parkietu i czekam na śmierć. Albo na

dobłą zabawę. Zależy, co będzie pierwsze. Kieran sunie za mną jak cień, tańczy ze mną, chociaż jest trochę sztywny i trochę zbyt białoskóry, w tym sensie, że cały jego taniec polega na kiwaniu się. Ale i tak się uśmiecham. Życie bywa gówniane, ale taniec zawsze dobrze mi robił. Mogę odpłynąć, myśleć o wszystkim i o niczym, a muzyka trzyma ciemność z dala.

Nie wiedziałam, że Heather kupiła narkotyki. Nie wiedziałam też, że rozprowadza je na imprezach bractw. W hierarchii złych uczynków to prawie to samo co dilerka. Tak? W sumie nie mam pojęcia o narkotykach, a jeszcze mniej wiem o sprzedających je dilerach. Tylko tyle, że sporo osób je łyka i życzę im wszystkiego najlepszego, ale są niebezpieczni. Choć z drugiej strony, od tamtej nocy przy fontannie ja piję prawie codziennie, więc jakie mam prawo ich oceniać? Kim jestem, żeby się wściekać? Zapijam ból, ale to nie działa. Muszę spróbować czegoś innego. Nie ma większego niebezpieczeństwa niż to czyhające w moich wspomnieniach.

Jaskrawe stroboskopowe światła robią się jeszcze jaśniejsze i bardziej kolorowe, zielenie zmieniają się w czerwień i biel, mają dwa kolory naraz. Mrugam, ale barwy nadal się przenikają. Uwydatniają makijaże dziewczyn i ich biżuterię, w powieki wbijają mi się przyjemnie krople koloru drogocennych kamieni. Wszyscy wyglądają na szczęśliwych, miłych i dobrych. Nikt nie zrobi mi krzywdy. Wkoło są sami dobrzy ludzie. Ciemność mnie nie znajdzie.

Kieran się uśmiecha, ja uśmiecham się do niego i to dobry znak, a on jest znacznie przystojniejszy niż wcześniej myślałam. Taki śniady. Po piracku śniady, jak Sparrow (nie używamy tego imienia), silny, barczysty, obroniłby mnie przed mrokiem, prawda? Przez cały czas próbowałam bronić się sama, ale ciężko

mi szło. Jestem strasznie zmęczona robieniem wszystkiego samodzielnie. Miło byłoby mieć pomoc. Kieran mógłby pomóc. Jack nie chciał już pomagać, ale nie szkodzi, ja jestem trudna, niewarta tego całego zachodu, naprawdę, nawet jeśli on jako jedyny dotknął mnie w dobry sposób i skusił moje serce do zrzucenia pancerza. Ale to było głupie i ja byłam głupia, że myślałam...

„Nikt cię więcej nie zechce”.

Krzywię się i padam na Kierana. Obejmuję go w pasie. Przestaje tańczyć.

– Isis?! – krzyczy. – Wszystko dobrze?!

– Wszystko... Wszystko niedobrze. – Śmieję się. – Nie. No nie.

– Dobra, spokojnie. Chodź, pooddychasz świeżym powietrzem.

Wiszę na jego ramieniu, gdy wiedzie mnie przez tłum do drzwi wyjściowych. Patrzę na bramkarza, gdy go mijamy.

– Nie mam trzydziestu jeden lat – wypalam.

– No co ty? – Wywraca oczami.

Kieran wyprowadza mnie na schodki, ale wzdrygam się, gdy widzę w ciemności rozżarzone końcówki papierosów. Dostrzega to i prowadzi mnie jeszcze dalej, na chodnik. Desperacko łapię powietrze. Krztuszę się wszystkim i niczym jednocześnie. Czeka cierpliwie i wpatruje się w upstrzone gwiazdami niebo. Gdy ciśnienie przestaje mnie aż tak przygniatać i świat robi się nieco mniej jaskrawy, szukam słów.

– Przepraszam – mówię. – Idź tam. I baw się. Tu nie ma nic zabawnego. Tu tylko ja sobie umieram.

– Nie umierasz. – Śmieje się.

– Ależ tak. Trochę szybciej niż inni ludzie.

Kieran chyba nie wie, co powiedzieć, ale dla mnie słowa Sophii są przyjemną ulgą po Bezimiennym. Jego głos brzmi jak warkot

wściekłego psa rozszarpującego mi gardło, a jej jak kryształowe dzwoneczki i krople deszczu.

Nic dziwnego, że Jack ją kochał.

Nic dziwnego, że się załamał, gdy ją stracił.

Nic dziwnego, że nie chce nikogo więcej. Nikt nie ma do niej startu.

Śmieję się, ale ten śmiech brzmi dziwnie, więc gryzę się w rękę, żeby przestać. Kieran odciąga moje ramię od ust i dostrzegam na koszuli czerwony ślad.

– Zwariuję przez ciebie – mówi cicho.

– Wiele osób przeze mnie wariuje. Taka już jestem. Przy ulicy Wiązów by mnie kochali. Ale poza tym nikt. Tylko moja mama. Mama jest super, ale czasem czuję się strasznie, że ją zostawiłam.

Kieran milczy. Mrok mnie opuszcza, a światła latarni są jasne i tłuste jak wielkie bursztynowe ćmy.

– Jest taki chłopak – dodaję i dalej się śmieję. – Ale tak jest z każdą dziewczyną, prawda? Zawsze jest chłopak. Jakiś chłopak. Jakiś chłopak, który czegoś tam nie zrobił. A ja go lubię.

– Jeśli go lubisz, to podejdź i go pocałuj – radzi Kieran.

– Chyba nie do końca wiesz, jak to wszystko działa, prawda?

Kieran się śmieje, a ja łapię się za głowę i opieram na jego ramieniu. Noc jest strasznie ciemna, on jest strasznie miękki, a ja potrzebuję czegoś stałego. Kogoś stałego. Kogoś, kto powstrzyma mnie przed rozplnięciem się w cieniach spowijających moje życie. A może już na to za późno? Może już się rozplnęłam i ciemność zawsze tu będzie, z wyjątkiem krótkich przeblysków światła. A nie odwrotnie. W moim żołądku zaczyna się kłębić poczucie winy. Kieran nie powinien tracić czasu na dziewczynę pełną cieni. Co go to w ogóle obchodzi? Co obchodzi kogokolwiek?

I wtedy do mnie dociera. Jest tylko jeden powód, dla którego chłopakowi może zależeć.

– Lubisz mnie? – pytam. To dość bezpośrednie pytanie, ale przecież to ja, bezpośrednia i głupia.

Kieran kaszle.

– Ja... No...

– To proste pytanie. Tak albo nie.

– Tak – odpowiada. – Lubię.

„Nikt cię więcej nie zechce”.

– A chcesz mnie? – Przywieram piersiami do jego ramienia, tak jak Hemoroid do Jacka. Kieran odchrząkuje.

– Tak. To znaczy, odkąd cię poznałem...

Zbliżam się i go całuję, a on odwzajemnia pocałunek, łagodnie, ale łapczywie. To nie jest Jack. I to już nigdy nie będzie Jack, a ja nie chcę płakać, więc całuję go mocniej i dłużej, dłonie Kierana wsuwają się pod moją bluzkę, a ja im pozwalam...

– Ty! – słyszę za plecami krzyk.

– Jak możesz słuchać takiego gówna? – warczy Charlie i wyłącza moją muzykę operową.

– Rozumiem, że nie jesteś fanem Włochów wyśpiewujących rozpacz z powodu złamanego przez kobietę serca?

Charlie przeczesuje nastroszone włosy i zmienia trochę ich układ.

– Jakbym chciał posłuchać dupka uzalającego się z powodu suki, tobym sobie włączył Biggie Smallsa. Albo Nasa.

– Tak, a mówienie o kobietach „suki” daleko cię w życiu zaprowadzi – informuję go i skręcam w lewo.

– W dupie mam suki, jasne? Tylko jęczą, chcą twoich pieniędzy, żebyś się ładnie ubierał, kupował im lody i pierścionki z wielkimi

diamentami. Dość mam tego. Chcę się skupić na odłożeniu kasy na chatę, a potem sobie kupię jakąś sukę.

– Nie kupisz sobie ani suki, ani chaty. Kupisz dom dla babci.

Charlie robi się czerwony i łypie na mnie spode łba.

– Co ty pierdolisz? Jak słowo daję, jesteś codziennie głupszy.

Parkuję przed obskurnym klubem o nazwie Eternity. Nawet nie mogę się zmobilizować do obdarzenia go lodowatą pogardą. Jest miękki w środku, a stara się zgrywać twardego.

Kogoś mi przypomina.

– No cóż – stwierdzam tylko. – Mam w takim razie nadzieję, że ty mądrzejesz, bo przynajmniej jeden z nas musi być na tyle ogarnięty, żeby wyciągnąć informacje z właściciela klubu.

Charlie coś burczy i pod długim rękawem zakłada na rękę kastet.

– Nie będziesz potrzebował – zapewniam. Włączam dyktafon w telefonie, żeby mieć twarde dowód.

– Mam taką zasadę, że wkładam je do każdego klubu – prycha Charlie. – Zwłaszcza do takich z dilującymi złamasami.

– On ma na imię Terrance – przypominam. – Nie Dilujący Złamas.

– W dupie mam jego imię. Trzeba go porządnie stłuc.

– Nikt nie będzie nikogo tłukł – oznajmiam tonem twardym jak ze stali. – Brittany mi o nim opowiadała. To biznesmen. Nie lubi przemocy. Bez trudu przekonam go za pomocą kilku logicznych argumentów, z którymi chętnie cię zapoznam.

Charlie jęczy.

– Wali mnie to. Chodź już. Możesz sobie z nim gadać, aż się zesrasz, ale jak nie zadziała, przechodzę do planu B.

– Groźba przemocy jest czasem skuteczniejsza niż sama przemoc. Ktoś tak miękki i bogaty jak Terrance podda się bez

jednego ciosu. – Wsiadam z auta. On za mną, a po jego minie widzę, że się zastanawia.

– Jak raz możesz mieć rację. – Pokazuje bramkarzowi dokument, ja też, a ten macha, że możemy wejść. – A tak przy okazji, jak ci się układa z Brittany?

– Dobrze – odpowiadam automatycznie. – Jest bardzo uparta.

Nie wspominam nic o plotkach, bo jestem przekonany, że je słyszał. Brittany wdała się w bójkę z jakąś dziewczyną, na imprezie, o mnie. Jest zaborcza do granic. Nie wspominam też, że jest tylko rzeczą, środkiem do osiągnięcia celu. Nieustannie mnie z tego powodu mdli, jak wtedy, gdy pracowałem dla Blanche i Rose Club. Brittany jest jak pusta marionetka, którą wypełniam wspomnieniami o dziewczynie, z której zrezygnowałem.

– Uparta? Tak byś to ujął? – Charlie wybuchą śmiechem przypominającym warkot. Okrążamy zgromadzony w klubie tłum. – Non stop wali pięściami w nasze drzwi. Z trudem się powstrzymuje przed wskoczeniem na twojego lodowatego fiuta do czasu, aż wyjdę z pokoju.

Wzruszam ramionami, a Charlie uważnie mi się przygląda.

– Mówiłeś, że co się z tobą działo, zanim cię znalazł Gregory? – dopytuje. – Bo nawet najprzystojniejsi goście nie mają tak, że panny się ślinią na ich widok w biały dzień. Co w tobie jest takiego wyjątkowego?

– Wiem, jak się powinno traktować kobiety – odpowiadam. – Zasada pierwsza: nie mówić o nich „suki”.

– Chyba że je to kręci – precyzuje Charlie.

– Bardzo niewiele kobiet wchodzi w upokarzanie, a nawet jeśli, akceptują to tylko w sypialni. Poza łóżkiem nigdy ich nie obrażaj.

Charlie usiłuje przyswoić wiedzę, a ja idę do wejścia dla VIP-ów. Broni go dwóch bramkarzy. Jeden wyciąga rękę, żeby mnie

powstrzymać.

– Coś ty za jeden? – pyta.

– Zostaw go! – Charlie wysuwa do przodu brodę. – Przyszliśmy w interesach.

– Nazwisko albo jazda stąd – upiera się bramkarz.

– Jack Hunter – przedstawiam się. – Przyszliśmy na spotkanie z Terrance'em. Czeka na nas.

Bramkarz odwraca się, łapie się za ucho i zaczyna z kimś rozmawiać. Po kilku sekundach patrzy znów na nas i łapą wielką jak poleć mięsa otwiera drzwi. Charlie wchodzi, a po drodze saltuje. Ja wślizguję się za nim. Muzyka jest przytłumiona, a w kubelkach z lodem na stolikach z czarnego szkła chłodzi się szampan. Stoją skórzane kanapy z prawdziwej skóry, lśniącej w świetle lamp. Siedzi na nich dwóch następnych bramkarzy. Popijają szampana z kieliszków i stukają palcami w wyświetlacze komórek. Są wielcy i umięśnieni, ale to nic, z czym Charlie by sobie nie poradził, gdyby tylko zdołał ich zaskoczyć. W walce zamienia się w rozwścieczonego diabła tasmańskiego, a mnie zostaje tylko pozamiatać.

Gdy wchodzimy, podnoszą wzrok i szybko nas przeszukują. Charlie marudzi, ale uciszam go wzrokiem, bo właśnie wchodzi kolejny mężczyzna. Ma doskonale uszyty garnitur w prążki i chociaż jest otyły, wygląda bardzo dobrze. Włosy ma cienkie i siwe, na czubku głowy przerzedzone. Jego oczy są wyblakłe, a skórę ma brązową od obsesyjnego opalania w solarium. Nosi kilkanaście pierścionków, o ile dobrze widzę z prawdziwymi klejnotami. Nienagannymi, bez skaz. Jest bardzo bogaty i ma kontakty.

– Panowie! – Uśmiecha się, zaciera dłonie i dopiero potem wyciąga do mnie rękę. – Witam w moim gabinecie. Dziękuję, że

udało wam się przyjść tak szybko.

– To my dziękujemy za zaproszenie – odwzajemniam uprzejmość i uścisk dłoni. Siadamy, a Terrance zaczyna rozlewać szampana.

– Napijcie się?

– Dziękujemy – mówię stanowczo. – Nie chcemy marnować pańskiego czasu.

Unosi brwi, a potem śmieje się na całe gardło.

– Zwarci i gotowi do interesów! Podoba mi się. W waszym pokoleniu rzadko spotyka się takie oddanie sprawie. – Opróżnia kieliszek i składa dłonie. – No dobrze. Jaką macie dla mnie propozycję? Mam już w kampusie dostawców, z których jestem zadowolony. Co więcej możecie mi zaoferować?

– Informacje – oznajmiam.

– Czyżby? Znacie kogoś lepszego?

– Najpierw chciałbym wykorzystać pańskie zasoby wiedzy. Chodzi mi o nazwiska.

– Ale musisz zrozumieć – cmoka – że nie mogę ich podać bez gwarancji, że dostanę za nie coś dobrego. To nie w porządku. Lubię tych chłopaków. Rezygnowanie z nich na podstawie złośliwych plotek byłoby wbrew moim zasadom.

– Posłuchaj, cwaniaczku... – wyrywa się Charlie. Bramkarze się podrywają, a ja kładę rękę na jego piersi, żeby go powstrzymać.

Potem patrzę Terrence'owi prosto w oczy.

– Nasz szef wiele nam o panu mówił, ale ten wspaniały klub mówi więcej. Jest pan bardzo dobry w tym, co robi.

Terrance się rozluźnia, a ochroniarze wraz z nim.

– To prawda. Dziękuję. Miło zostać docenionym, jeśli się na to zasługuje.

– Zakładam więc, że tak utalentowany biznesmen jest

zainteresowany raczej pomnażaniem zysków niż stratą.

Terrence mruży oczy.

– Mów dalej.

– Wiem o pewnych ludziach, którzy bardzo zainteresowali się pana chłopakami.

W jego oczach rozbłyskuje gniew i odruchowo zaciska pięści, ale mówi spokojnie i cicho. Prawdziwy profesjonalista.

– Czyżby? A o jak ważnych ludziach mówimy?

Uśmiecham się.

– Przykro mi. Bez nazwisk nie mogę powiedzieć więcej.

Widzę, jak uruchamiają się trybiki w jego głowie. Powiedziałem mu właśnie, że przedstawiciele prawa są zainteresowani jego pośrednikami w sprzedaży ecstasy. Gatekeepersi dają mu duże upusty, a że w tym klubie toczy się imprezowe życie kampusu, nie wątpię, że zyski są olbrzymie. Ponieważ jednak nie wie, co to za władze, nie chce podać nam nazwisk i ryzykuje, że straci dogodne warunki sprzedaży. Jeśli chodzi tylko o miejscową policję, może ich przekupić. Ale jeśli to mniej skorzy do brania łapówek urzędnicy z DEA...

– Bill – mówi w końcu. – Wydaje mi się, że jeden nazywa się Bill. Albo Will. Coś w tym stylu. Nazwisko ma trudniejsze. Coś na C. Caraway? Carlsbad?

– Cavana...? – podpowiadam z udawaną niewinnością.

– Cavanaugh, tak jest – potwierdza. – Teraz ty mów, kto ma na nich oko, a podam ci drugie nazwisko.

– A skąd wiemy, że ich nie ostrzeżesz? – warczy Charlie. Terrence uśmiecha się do niego jak do dziecka.

– O to bym się nie martwił. Z pośrednikami, w sprawie których toczy się postępowanie, zrywamy kontakty. Dla naszego bezpieczeństwa, na pewno to rozumiesz.

Terrance patrzy znów na mnie, a ja nachyliłam się i ściszone głosem podsuwam kłamstwo:

– DEA. I cyberprzestępstwa. Twój chłopcy pomagają większej grupie działającej na czarnym rynku internetowym. Głównie hakerom.

Terrance kiwa głową i przykłada palec do ust.

– Hacking to nie moja bajka. Ogólnie się nie znam na Internecie. Interesy prowadzę w tradycyjny sposób.

– Dlatego dobrze by było się ich pozbyć – stwierdzam. – To sprawa znacznie większa niż prochy w klubie. Mówimy o mecie. O handlu ludźmi.

– Nie macie dowodów – odpowiada szybko. Wtedy wyciągam jeden z pendrive'ów, na których Vanessa umieściła informacje o przestępstwach Willa.

– Jeśli potrzebuje pan więcej czasu, żeby się z tym zapoznać, nie ma sprawy – zapewniam i podaję mu pamięć USB.

Przygląda jej się, a potem patrzy na mnie i przez zaciśnięte zęby wsysa powietrze. Potem oddaje mi pendrive'a.

– Niech ich szlag! Wiedziałem, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe! Oni zawsze są bardziej wypaczeni, niż się człowiekowi wydaje, prawda? Kyle Morris, to drugie nazwisko dla was. Łatwiejsze do zapamiętania. A teraz przepraszam. Muszę wykonać kilka telefonów.

Wstajemy, wymieniamy uściski dłoni i zostajemy szybko wyprowadzeni z saloniku. Znów wali w nas ostra muzyka, a smród potu i zwiędzłych perfum jest niemal nieznośny. Idę za Charliem do drzwi. Odzywa się dopiero, gdy wychodzimy na zewnątrz.

– Czemu skłamałeś? Nie jesteśmy z DEA.

– Jesteśmy znikąd – przypominam. – Jesteśmy ledwie

najemnikami wykonawcy, sponsorowanymi przez nie wiadomo kogo. Musieliśmy blefować.

Charlie się krzywi, ale nic nie mówi.

– Gregory miał rację, że cię tu wcisnął. Wiesz to i owo.

To chyba najbliższe komplementu, na co mogę liczyć z jego ust, ale prawie nie słucham. Widzę bowiem, że przy krawężniku stoi dwoje studentów. Namiętnie się całują. Chłopak ma ciemne włosy i potężne ramiona, a jego dłoń wjeżdża pod czerwoną bluzkę dziewczyny, bluzkę, którą rozpoznałbym wszędzie po tamtym dniu w liceum, kiedy pewne jej zdjęcia zostały porozklejane po całej szkole. Nigdy nie widziałem jej w tak ciemnym i mocnym makijażu. Wygląda na bardzo szczupłą i drobną w jego potężnych ramionach i przy jego twarzy, gdy spotykają się ich usta. Włosy ma rozsypane, a namiętność pocałunku jest tak wyraźna i namacalna, że moje ciało przestaje reagować na cokolwiek, czuję tylko, jak żyłami mknie wrząca krew, a bestia budzi się do życia.

– Ty! – krzyczy Charlie. Chłopak się odsuwa, a Isis Blake patrzy zaskoczona.

Sam ściągam sobie łańcuch, wciągam się do wewnątrz, żeby nie wybuchnąć. W trybie przyspieszonym przypominam sobie lekcje Gregory'ego i jego wskazówki. Kroki i zasady, wszystko, byle odzyskać panowanie nad sobą. Ona całuje kogoś innego, a ja nie mam na to wpływu. Nie mam prawa. Zraniłem ją i porzuciłem, a ona może całować kogo chce. Zasługuje na miłość do tego kogoś, kogo sobie wybierze. Ja nie mam prawa. Nie mam prawa! Nie jest moja i nic mi do tego, straciłem swoją szansę, a on jest lepszy niż ja, jest dla niej dobry, lepiej, żeby był, bo inaczej wyrwę mu tchawicę przez usta...

Isis uśmiecha się i podnosi rękę.

– Cześć, Mikrojajeczny – zwraca się do Charliego. – Co słychać? Charlie aż się stroszy.

– Mikro co? Pierdol się!

Już mam go złapać, ale ciemnowłosy chłopak mnie wyręcza. Doskakuje do Charliego, a jego zielone oczy płoną z wściekłości.

– Coś ty powiedział?

Zanim Charlie zdąży mu przywalić, wkraczam pomiędzy nich i wpatruję się w oczy chłopaka. Jest mojego wzrostu, ale ramiona ma znacznie potężniejsze, a jego postać emanuje mięśniami i siłą. Sportowiec. Ciekawe, nigdy bym się nie spodziewał, że poleci na jednego z nich.

– Bardzo przepraszam – zaczynam lodowato – za zachowanie kolegi. Czasem nie potrafi nad sobą zapanować.

Ośmielam się zerknąć na Isis ponad jego ramieniem, a kiedy pierwsza odwraca wzrok, czuję, jakby przeszywały mnie kolce. Myśl, że go całowała, że całowała kogoś, kto nie jest mną, z tak namacalną pasją, sprawia, że mnie mdli. Ale przełykam ślinę. Nie mam prawa się tak czuć.

– Kieran, spoko – mówi Isis. – Nic się nie stało, naprawdę. Znam ich. On tylko żartuje.

Przyspieszony oddech Kierana uspokaja się, ale choć odchodzi kawałek, nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Dobrze. Ale jeśli powie to jeszcze raz...

– Nie powie – przerywam. Charlie otwiera usta, żeby zaprotestować, ale posyłam mu najbardziej mordercze z moich spojrzeń i rezygnuje. Odwracam się z powrotem do Kierana i Isis. – Pójdziemy już. Raz jeszcze najmocniej przepraszam, że wam przeszkodziliśmy.

Po raz pierwszy od tygodni znalazłem się tak blisko niej. Ma zapadnięte policzki, choć starała się zamaskować to różem.

Ciemne sińce pod oczami są tak wyraźne, że patrzenie na nie aż boli. Ale mimo tego bólu jest urocza, bardziej urocza niż jakakolwiek inna dziewczyna. Ten czerwony jedwab, kocie cynamonowe oczy... Zamierzone znieczulenie zmysłów, nad którym ciężko pracowałem, żeby znieść namolność Brittany, słabnie, a mięśnie błagają, żebym do niej podszedł, przytulił ją, pogłaskał po rozwichrzonych włosach, pocałował zmarszczki, których jeszcze niedawno nie było.

Charlie odchodzi pierwszy i burcząc pod nosem jakieś przekleństwa, kieruje się do samochodu. Kładę dłoń na ramieniu Kierana i ściszam głos, żeby tylko on mnie słyszał.

– Proszę cię – odzywam się – bądź delikatny. Bądź dla niej dobry. To wyjątkowa dziewczyna.

– Dla ciebie? – burczy Kieran.

Tak. Dla mnie.

– Ogólnie – mówię. – Jest ważna dla wielu osób. Wszyscy chcemy, żeby była szczęśliwa.

Kieran milczy, a Isis nerwowo przestępuje z nogi na nogę i obejmuje się ramionami. W końcu Kieran przerywa ciszę:

– To ty jesteś tym chłopakiem, co?

– Jak to?

– Tym, o którym mówiła. – Ostro wciąga powietrze. – Jezu, człowieku, ty wiesz, co jej zrobiłeś? Jak jej narąbałeś w głowie?

I wtedy to zauważam, choć jego słowa paraliżują mnie poczuciem winy. Podchodzę do niej i łapię za lewą rękę.

– Co ci się stało?

Isis drży i ucieka wzrokiem, byle nie spojrzeć mi w twarz.

– Nic.

– Jak to nic? Isis, krew ci leci! – Klnę pod nosem, gdy podciągam zaplamiony rękaw i odsłaniam ślady zębów, z których wycieka

ciemna krew. – Kto ci to zrobił?

– Nikt! – jęczy. – Sama zrobiłam. Chyba? Nie wiem. W każdym razie nie boli. Nie wiedziałam, że jest tak źle.

– Spójrz na mnie – rozkazuję. Wije się, ale powtarzam bardziej stanowczo: – Isis, popatrz na mnie.

Odwraca twarz powoli, oczy ma zawstydzone i tak obce, że z trudem je rozpoznaję. Poznaję za to powiększone źrenice, pot i tempo jej oddechu.

– Co jej dałeś?

– Co?! – Kieran podnosi ręce w obronnym geście. – Chwileczkę...

– Mów! – Rzucam się do niego, a Kieran, ważący dobre trzydzieści kilo więcej od mnie, robi się jakby zdenerwowany. – Gadaj!

– Nic! Cholera, nic! Koleżanka dała nam trochę molly. Nic więcej, przysięgam.

– Ty też wziąłeś?! – krzyczę. – Pozwoliłeś połknąć jej i sam też połknąłeś? Co z ciebie za kretyn? A gdyby zareagowała gorzej? Jak byś jej pomógł, skoro sam jesteś naćpany?

– Ale nic jej nie jest! – wrzeszczy. – Wszystko było dobrze, aż przyszliście!

– Dobrze?! – ryczę. – Popatrz na jej rękę! Patrz! – Kieran się kuli. – Ugryzła się, debilu! Wiele można o niej powiedzieć, ale nie, że jest dobrze! Ale ty to olałeś, byle jej wsadzić język do gardła!

Oczy Kierana rozbłyskują i zanim jego pięść wystrzeliwuje w stronę mojej twarzy, widzę, jak napinają mu się mięśnie. Szkolenie Gregory'ego zrobiło ze mnie niemal automat. Odsuwam się na bok i podcinam go. Pada na chodnik i sapie, zbierając się do kupy.

– Dość! – krzyczy Isis. Odwracam się do niej. Jej wściekłość rozpaliby ogień w najmroźniejszy z zimowych dni. – Nie musiał mi na nic pozwalać. Sama to zrobiłam, daj mu spokój.

Nieruchomieję i ciężko oddycham. Kieran gramoli się z chodnika i patrzy na mnie z nienawiścią. Pociera nos, ale teraz w jego furii dostrzegam też niemy wstyd. Prowokuję go wzrokiem, żeby ruszył do ataku, ale on tylko siedzi i przeklina. Zwracam się z powrotem do Isis.

– Trzeba to komuś pokazać. Chodź, mam w samochodzie plastry...

– Nigdzie z tobą nie idę – mówi stanowczo. – Sama się tym zajmę.

– Słuchaj, jesteś ranna. Musisz...

– Nie udawaj, że cię obchodzę. – Śmieje się.

– Nie udaję. Obchodzisz mnie.

– Więc przestań. Nie jestem twoją dziewczyną. Nie jestem już nawet twoją przyjaciółką. Nie trać na mnie czasu. Nie jestem dla ciebie nikim ważnym... – Przeszywa ją dreszcz, więc obejmuje się mocniej i głośniej się śmieje. – Nikim ważnym.

Jesteś słońcem, chciałbym powiedzieć. Jesteś najważniejsza. Jesteś jedynym światłem, które przeniknęło przez mój pancerz. Jesteś szczęściem, iskrą i jedyną dziewczyną, która nie uciekła, nie stchórzyła, gdy zobaczyła, jaki jestem naprawdę. Nigdy już nie spotkam kogoś takiego jak ty i nigdy nikogo nie będę tak bardzo pragnął.

Ale nie wolno mi tego powiedzieć, więc milczę. Kieran w końcu wstaje i ją obejmuje.

– Pójdziemy już – mruczy. Gdy mnie mijają, Isis nie patrzy mi w oczy. Znikają za rogiem i wracają do klubu. Przez sekundę otacza mnie jej zapach, a ja zatrzymuję go w rozedrganych

palcach jak najdłużej i czuję, że wzbiera we mnie ulotna prawda, taranująca mury z kłamstw, które zbudowałem (nie jesteś dla niej wystarczająco dobry, nigdy tak naprawdę cię nie chciała), wymówki, których używałem, żeby odmówić sobie szczęścia (skrzywdzisz ją, już ją skrzywdziłeś, nic innego nie robisz, tylko ją ranisz) i nienawiść do siebie (ty powinieneś umrzeć, nie Sophia). Świadomość tego, jak jest, rozbłyskuje jasnym światłem, wybucha w ciszy, rujnuje przeszkody i pozostawia jedynie najprawdziwszą z prawd.

– Tęsknię za tobą – szepczę do pustego chodnika.

Rozdział 11

3 lata, 51 tygodni, 6 dni

Moja wymyślona, ale mimo to bardzo realna *Księga Rzeczy, Które Mi Nie Podchodzą* wzbogaciła się o nowy rozdział. Narkotyki wskoczyły na piąte miejsce w rankingu, pomiędzy musem jabłkowym a džinsowymi szortami. Na przestrzeni dziesiątek lat bycia idiotką, konkretnie dwóch dziesiątek, a jak wiemy, dwie dekady to niemal wieczność, nie zrobiłam sobie nic gorszego niż połknięcie molly. Nie licząc wkręcenia się w dość poważne zaburzenie odżywiania na kilka miesięcy.

Nie no, tak na serio, to w mojej wymyślonej, ale mimo to bardzo realnej *Księżce Rzeczy, Które Mi Nie Podchodzą* zaburzenie odżywiania plasuje się na pierwszym miejscu, a narkotyki na drugim. Na trzecim jest patrzenie na zjawiskową i cierpiącą twarz Jacka Huntera, który wygląda, jakbym ja mu zrobiła krzywdę, choć jest dokładnie odwrotnie.

Po dwóch masakrycznych dniach, w czasie których śpię, opuszczam zajęcia i chodzę do gabinetu lekarskiego, do Jemmy, głównej pielęgniarki, która zmienia mi opatrunki i daje antybiotyki, postanawiam powrócić na łono cywilizowanego społeczeństwa.

Choć każdy krok w kierunku wykładu z angielskiego sprawia,

że mam ochotę cofnąć się o trzy kroki.

Przyszłam wcześniej, żeby się nie spieszyć pustą salą, ale i tak jest superdziwnie, bo mało, że jest pusto, to drzwi do pomieszczenia testowego są zamknięte. To mały pokoik dla studentów, którzy muszą coś poprawiać, i nigdy nie jest zamknięty, chyba że ktoś go używa.

Jak przystało na elegancką i absolutnie niewścibską osobę, którą oczywiście jestem, zakradam się do szybki w drzwiach. I natychmiast tego żałuję.

Po drugiej stronie widzę profesora Summersa. Siedzi na biurku, włosy i kamizelkę ze swetra ma w lekkim nieładzie. Rozmawia z kimś, a kiedy lekko przekrzywię głowę, widzę z kim: trzyma dłoń w talii jakiejś dziewczyny i ciągnie ją sobie na kolana. A przynajmniej próbuje. Bo ona się broni, a pełen zadowolenia uśmiech na jego twarzy sprawia, że zaczyna mnie mdlić. Dziewczyna też nie jest zadowolona, krzywi się. Znam tę minę: nieskończone obrzydzenie i bezradność.

Otwieram drzwi, a profesor podrywa się do pozycji stojącej. Dziewczyna wykorzystuje fakt, że zwolnił uścisk i obiega mnie, a potem wypada z sali. Dalszego potwierdzenia, że jej się to nie podobało, nie potrzebuję. Ona jest jego studentką! On ma ze czterdzieści lat, a ona jest na pierwszym roku! Zwalczam odruch wykrzyknienia: „Ty zboczeńcu!” i zaczynam się jąkać:

– O rany, przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Chciałam tylko...

Wygląda kamizelkę i odchrząkuje.

– Nic się nie stało. Anabel i ja... Szukaliśmy pióra, które zgubiła. Bardzo drogiego, dostała je od ojca.

– Och. – Milknę na chwilę, a panika w jego oczach daje mi wielką satysfakcję. Muszę rznąć głupią. Znów się uśmiecham. –

No tak. Znaleźliście?

– Nie. – Mija mnie i wraca do biurka. – Ale jestem pewien, że się znajdzie.

Tak, w twojej kieszeni. Pewnie zamierzałeś jej zaproponować, żeby tam poszukała, oblechu.

Ale nie mówię tego. Wymawiam się koniecznością wyjścia do toalety i ganiam jak wariatka w poszukiwaniu dziewczyny. Znajduję ją na dziedzińcu. Chowa się za kolumną i panicznie wystukuje coś w telefonie. Oczy ma trochę zaczerwienione i wytrzeszcza je na mój widok.

– Ja nic nie robiłam... – szlocha. – To nic takiego, rozumiesz?

– Spokojnie. – Mówię najłagodniejszym z moich głosów. – Nie obwiniam cię. Ten facet to zboczeniec.

Zagryza wargę.

– Nie posłuchałam przyjaciółki. Mówiła mi, jakie plotki chodzą na jego temat, ale to olałam. Myślałam, że porozmawiam z nim o ocenach, może doradzi mi coś w kwestii esejów, bo jestem w tym beznadziejna, ale wtedy on... – Otrząsa się, chowa telefon do kieszeni i patrzy mi w oczy. – Uratowałaś mnie.

– E tam. Po prostu znalazłam się we właściwym miejscu o właściwej porze.

Obejmuje się ramionami.

– Chciał, żebym mu zrobiła laskę. Miał mi za to postawić lepszą ocenę. A ja nienawidziłam siebie, bo przez sekundę, może krócej, przez ułamek, zastanawiałam się, czy tego nie zrobić. Muszę mieć dobre oceny. Moja mama strasznie ciężko pracowała, żebym mogła tu studiować, i nie mogę jej zawieść, a teraz on mnie obleje...

Kładę jej dłoń na ramieniu.

– Nie obleje cię. A jeśli tak, pójdę do rektora i powiem, co

widziałam. Nie może! To by było niesprawiedliwe.

– A co, nie słyszałaś? – Ociera oczy. – Wszyscy mówią, że dziewczyny już nieraz składały skargi, a nikt nic nie zrobił! Na tej uczelni mają to w dupie albo on ma jakieś mocne plecy. A może po prostu nie wierzą w to, co mówimy.

– Pewnie wszystko naraz – przyznaję. – Ale posłuchaj, nie musisz do niego chodzić. Dam ci numer do centrum korepetycyjnego. Tam są świetni ludzie. Między innymi moja współlokatorka, która jest genialna z angielskiego.

– Dzięki – mówi dziewczyna, gdy wpisuję numer do jej komórki. – Jesteś bardzo miła. A tak w ogóle, mam na imię Anabel.

– Isis. – Uśmiecham się. – Mój numer też ci wpisałam. Gdybyś potrzebowała pomocy albo gdyby ten zbok znów czegoś chciał, po prostu wyślij mi esemesa. Mam sposoby na takich jak oni.

Macha mi i rusza w stronę akademika, a ja wracam na wykład Summersa i cały czas spędzam na dziurawieniu zeszytu końcem ołówka.

To niesprawiedliwe. Po prostu nie fair, że ludzie mający przewagę tak ją wykorzystują. Ktoś musi ich powstrzymać. Jeśli szkoła nie słucha, trzeba krzyczeć na tyle głośno, żeby nie mogli tego zignorować. I nie zrażać się.

Mój mózg zaczyna działać jak dawniej, plany i strategie gromadzą się jak wściekłe, złodowaciałe duchy. Ale kiedyś moje plany były śmieszne i dla jaj. A teraz jestem zła.

Teraz jestem starsza.

Yvette nie jest zachwycona moją nową dietą.

– Czy ty jesz... Nachosy z lodami?! – pyta.

– Umysł mam potężny, ale wolę słabą – mamroczę, wpychając

do ust kolejną łyżkę.

– Przynajmniej coś jesz... Co się stało z Isis, która potrafiła wsunąć całą pizzę za jednym posiedzeniem?

– Znudziła się – odpowiadam. Yvette wygląda, jakby doznała poważnego szoku. – Jedzeniem! Nie pizzą. Boże, nie! Ludzie, którzy potrafią znudzić się pizzą, są na wskroś podli.

– Jak tam twoje ranny wojenne? – Rzuca się na swoje łóżko, a ja podciągam rękaw i przyglądam się opatrunkowi. Wzruszam ramionami.

– Pielęgniarka dała mi antybiotyki, który smakuje jak kupa. Mam zmieniać opatrunek co dwa dni. Ale jak na razie to całe gojenie jest jak letni spacer po parku. Jeśli park jest pełny zakażonych zombi i min przeciwpiechotnych. Zresztą i tak Kieran oberwał najbardziej, złamany nos boli jak cholera.

Dianie i Yvette powiedziałam, że dostałam w czasie awantury w klubie. Ostatnie, czego bym chciała, to żeby fajni ludzie myśleli, że łykam prochy na imprezach.

– Tak, ale szybciej się goi – oponuje Yvette. – I boli tylko przez sekundę.

– Tak? A skąd ty możesz wiedzieć?

– Bo kiedyś dostałam pięścią! – chwali się. – Na koncercie.

– Czyim?

– A co za różnica? Chyba przegapiłaś sedno mojej wypowiedzi: ja też miałam złamany nos. – Kiedy jednak wpatruję się w nią bez mrugnięcia, mamrocze: – Taylor Swift.

– Byłaś na koncercie Taylor Swift?! – skrzeczę przeraźliwie.

– Z młodszą siostrą! – odpisuje nerwowo.

– Dlaczego brzmicie, jakbyście były klatką pełną kanarków? – Diana wchodzi do pokoju i aż się krzywi.

– Di, ona się ze mnie śmieje – skarży się Yvette. Elegancko

pokazuję jej środkowy palec.

– Gdybyś się ze mną umówiła w pizzerii, tak jak prosiłam – przypomina Diana – nie byłabyś tu i nie mogłaby się z ciebie nabijać.

Yvette jęczy, stacza się z łóżka i idzie grzebać w szafie w poszukiwaniu kurtki. Diana siada na łóżku obok mnie i się uśmiecha.

– Cześć.

– Nie patrz na mnie. Jestem obrzydliwa – szepczę i wpycham do ust kolejną łyżkę rozmoczonych w lodach nachosów. Śmieje się i wygładza bluzkę z dużym dekoltem, w której jej wielki biust jest jeszcze bardziej imponujący.

– Jakie masz plany na ten uroczy, piątkowy wieczór?

– Jedzenie. Spanie. Złożenie kozy w ofierze Mantorokowi, bogu kościotrupów.

Zerka na sto woreczków ze sztuczną krwią leżących na moim biurku i unosi brwi.

– Jasssne.

– To na eksperyment z socjologii! – bronię się. – Ma tytuł: „Sprawdź, ile osób ucieknie, kiedy opryskasz je sztuczną krwią”. Wynik spodziewany: wiele.

– No dobra... Tylko niech cię nikt znowu nie uszkodzi, dobra? To nowość, że co weekend doznajesz nowego urazu i chciałabym, żebyś z tym skończyła. Na zawsze.

– Czyli jest nas dwie.

Yvette prezentuje wojskową parkę, a ja i Diana wiwatujemy. Potem znikają, zanim zdołam mrugnąć, a Yvette gdacze na odchodnym coś o pepperoni i jalapeños. Mój żołądek wydaje ostrzegawczy bulgot, więc odkładam miseczkę z lodami i sięgam po laptop. Włączam Skype'a i szukam zdjęcia Kayli, ale jest

offline, a przezroczysta kropka przy jej imieniu sprawia, że robi mi się smutno.

To miłe, że Diana się martwiła. Znamy się od dwóch miesięcy, a jednak ona i Yvette traktują mnie, jakbyśmy się przyjaźniły od lat. Czasem jest mi z tego powodu lepiej, ale czasem to tylko pogarsza sytuację. I jeszcze bardziej tęsknię za Kaylą. Nie powiedziałam jej, co się stało w Eternity i chyba nawet nie chcę. Jakaś część mnie wzbrania się przed trajkotaniem o wszystkim, jak kiedyś. Co by pomyślała o tym, że łyknęłam molly? Ale ona i tak widziała mnie w akcji. Dianie i Yvette nie powiedziałam nic. Nikomu nie powiedziałam.

Kayla byłaby rozczarowana? Znienawidziłaby mnie? Nawet ja jestem sobą rozczarowana, że to połknęłam. Nie byłaby też zadowolona na wieść, że Jack i ja zachowujemy się wobec siebie jak obcy. I na pewno wściekłaby się, że piję na imprezach bractw. Nie zrozumiałaby. Zawiodłabym ją. Moje życie nie jest rozkoszne i romantyczne jak jej, nie jest eleganckie i zorganizowane. Moja historia to niekończący się ciąg porażek i łez.

I jeszcze to, znowu. Zazdrość. Przełykam myśl o niej i staram się przekształcić w to, na co zasługuje: w kupę.

Wstaję, przeciągam się i lekko dotykam bandaża na ręce. Jack musnął mnie tu i chociaż głupio mi nawet o tym pomyśleć, czasem, gdy jestem sama, dotykam tego miejsca i marzę, żeby wszystko było inaczej. Ale dzisiaj nie jest dobry wieczór na użalanie się nad sobą. Wkładam dżinsy, luźną koszulkę, a do torby pakuję masę woreczków ze sztuczną krwią, gumę do żucia, szczypce i kartę kredytową.

Dziś dzień zemsty.

Oczywiście, gdy idę przez zalany słońcem kampus wśród

klejących się do siebie radosnych par i wypindrzonych lasek zmierzających na imprezy, doznaję niewielkiego objawienia, że być może nie powinnam tego robić. Ale szybko otrząsam się z tej bzdurnej myśli – oczywiście, że powinnam! Robienie maksymalnie nielegalnych rzeczy, za które mogą mnie wyrzucić ze studiów, takich jak włamanie do gabinetu profesora Summersa i przekazanie mu pewnej wiadomości, jest zajebiście bardziej interesujące niż siedzenie na kolejnej imprezie w bractwie i czekanie na śmierć. Ludzie się na mnie gapią. Ale za drugiej strony, zawsze się gapią. Uśmiecham się i im macham.

Przeprowadziłam prywatne śledztwo w kwestii profesora Summersa, rozpytywałam na imprezach i bez specjalnego trudu znalazłam dziewczyny, które molestował wcześniej. Robi to dyskretnie: podsuwa długopisy z lusterkiem, zachodzi je od tyłu po zajęciach, przyciska do tablicy i proponuje, żeby przyszły w sobotę. Za łaskę stawia piątkę. Jest stuprocentową gnidą. A najgorsze jest co? Że wcale nie wygląda na gnidę. Jest prawie słodki! Ma mysie włosy, bródkę i niebieskie oczy. Z drugiej strony, ci najgorsi ludzie rzadko wyglądają na najgorszych. Nauczyłam się tego od Avery.

Gabinet profesora Summersa mieści się w budynku Denneya, co wydaje się totalną ironią w piątkowy wieczór na uczelni w Midweście. Budynek zamykają o siódmej, ale udaje mi się wślizgnąć do środka o szóstej pięćdziesiąt i ukryć w toalecie. Niestety woźna sprawdza kabiny przed zamknięciem i każe mi wyjść, ale jęczę i wrzucam do toalety woreczek z krwią. Wydaje satysfakcjonujący plusk, więc ona wzdycha i każe mi wyjść, jak tylko będę mogła.

Słyszę, że ciągnie swój wózek ze sprzętem sprzątającym korytarzem i wydaję zwycięski syk. Pakuję wszystko z powrotem

do torby, spuszcza dowód rzeczowy i na palcach wychodzę. Mijam gabinet Fergusona, potem Vacroix i tuż za rogiem...

Dzwonek telefonu przeraża mnie tak, że wnętrzności prawie wypływają mi przez odbyt.

– Przeraziłeś mnie tak, że wnętrzności prawie wypłynęły mi przez odbyt! – mówię do słuchawki.

– Gdzie jesteś? – pyta Kieran. Słyszę w tle dudnienie basów. – Mówiłaś, że przyjdiesz do Rho Alpha Alpha, ale nie mogę cię znaleźć.

– Jestem zajęta. Oczywiście nie w sensie matrymonialnym.

Kieran milknie, a potem zniża głos.

– Isis, powiedz, że nie robisz tego, co myślę, że robisz.

– Nie robię! – ćwierkam.

Jęczy.

– Robisz! Wiem, że robisz. Złapią cię i wyrzucą. Zapomnij o Summersie i chodź na imprezę!

Sprawdzam godzinę w telefonie.

– O rany już tak późno? Muszę lecieć, mój książę, żegnaj.

– Isis...!

Rozłączam się i sunę korytarzem z gracją naoliwionego grzechotnika. Gabinet Summersa jest ostatni po prawej. Kucam i zabieram się do pracy. Trzy minuty męki zajmuje mi stwierdzenie, że uniwersyteckie zamki są znacznie bardziej skomplikowane niż którykolwiek z tych, z którymi miałam do czynienia w liceum. Nie ma mowy, żebym weszła do środka.

Na tym etapie większość ludzi zobaczyłaby nad swoimi głowami gigantyczny napis: GAME OVER.

Na szczęście Isis Blake nie jest większością ludzi.

Wyciągam z torby woreczki z krwią i biorę się do roboty. Jestem w połowie, gdy słyszę z toalety nawoływanie woźnej.

Serce zaczyna mi walić gdzieś w gardle i ostatnie słowa wypisuję już w pośpiechu. Jej kroki dobiegają z za zakrętu, akurat gdy wrzucam rzeczy do torby i znikam za przeciwnym rogiem.

Widzę, że woźna mruży oczy. Ma chyba kiepski wzrok, ale i tak z tamtego miejsca nie byłaby w stanie zobaczyć ściany, którą ozdobiłam. Wzdycha i zawraca, a ja dodaję gazu, żeby wyprzedzić ją przy drzwiach. Lecę po dwa schodki, aż czuję na twarzy chłodne wieczorne powietrze.

Jeśli zauważy napis, zmyje go i cała moja chwalebna odwaga pójdzie na marne. Ale jeśli nie zauważy, to jutro...

Tłumię śmiech i przywracam się na stanowisko najlepszej na świecie we wszystkim na świecie. Odurzenie jest tak znajome i zniewalające, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym. O zwycięstwie, o tym, jak uniknęłam złapania na gorącym uczynku, o karze, jaka spotka tego zboczeńca Summersa, jeśli ktokolwiek oprócz niego zobaczy, co napisałam. Może to nie jest dowód i może nie przekona wszystkich, ale zasieje ziarno wątpliwości, a wątpliwość to najbardziej zdradliwa rzecz.

Dzisiejszego wieczoru nie potrzebuję żadnych imprez, żeby utrzymać z dala ziejącą przepaść niemej rozpacz. Jestem na haju, naćpałam się moim autorskim narkotykiem: najczystsza i najgłupsza brawura. Zmywam z rąk sztuczną krew i śmiejąc się pod nosem, zmierzam do gabinetu pielęgniarki na zmianę opatrunku.

Jestem coraz bardziej szalona i nie wiem, jak to powstrzymać.

Nie wiem, jak powstrzymać tę straszliwą ciemność przed pożarciem mnie żywcem, a nikt na świecie mi nie pomoże.

Jestem sama.

Dzisiaj niepotrzebne mi imprezy, ale i tak idę do Rho Alpha

Alpha, bo już mi to weszło w krew. Oto, kim teraz jestem i kim byłam zawsze. Kiedyś. Bo kiedyś byłam głupią czternastolatką, która piła i paliła z najfajniejszymi ludźmi w desperackiej próbie wyglądanania na równie fajową. A wtedy zrobiłabym wszystko, żeby uchodzić za fajową, bo jak się jest tak grubym, jak ja wówczas, inni widzą tylko wagę, zapominają, że jesteś człowiekiem z uczuciami. Ale jeśli jesteś gruba i imprezujesz, to mimo wszystko bliżej ci do fajowości niż dalej. A jak jeszcze pozwalasz, żeby się nabijali z twojej wagi (wieloryb!, spaślak!, świnia!), dostajesz dodatkowe punkty.

Rozglądam się wśród imprezowiczek, szczupłych, opalonych, lśniących od makijażu i ładnych, i wiem, że gdybym była dawną sobą, one pierwsze nazwałyby mnie spaślakiem. Teraz się do mnie uśmiechają. Heather, Livy i Tessa uśmiechają się, ale potrafią się bardzo szybko zmienić, gdybym tylko była dawną sobą, stałyby się podłe i brzydkie. Nie lubią mnie za to, kim jestem, nie są Kaylą ani Wrenem, ale próbuję wpasować je w luki, które po sobie zostawili, i jestem na nich o to zła.

Nienawidzę ich. I każdego na tej imprezie. Chociaż nawet ich nie znam.

Podchodzi Kieran z rumem z colą w ręce. Marszczy czoło, ale uśmiecham się i przyjmuję drinka z wyćwiczoną gracją markizy alkoholowej.

– Nie patrz tak na mnie, Kir. – Wzdycham. – Wiesz, ilu takim profesorom jak on uchodzą płazem gówniane zagrywki? Dostanie to, o co się prosił. Ja tylko trochę przyspieszyłam proces.

– Położyłaś cegłę na pedale gazu – precyzuje.

– Położyłam cegłę na pedale gazu – zgadzam się, a potem upijam łyk. – Zdrowie Ameryki!

Kieran czeka na przerwę w muzyce, a potem mówi:

– Moja siostra też robiła takie szalone rzeczy.
– Robiła?
– Teraz jest w szpitalu psychiatrycznym.
– Koszmarne miejsce – stwierdzam. – Przykro mi. Powinieneś ją uwolnić. – Gapi się, więc wzruszam ramionami. – Jeśli nie chcesz, ja to zrobię.

– Nie uratujesz wszystkich.

Nie wiem, o co mu chodzi, głupieję.

– Wiem, że nie uratuję wszystkich – zgadzam się ostrożnie.

Kieran kręci głową.

– A jednak próbujesz. Chcesz powstrzymać wszystkie niesprawiedliwości świata i wszystkich przed nimi ocalić. Tylko nigdy nie ratujesz siebie.

Milczę. Bierze mnie za rękę i ściska.

– Na co czekasz? – dopytuje.

Patrzę na nasze złączone dłonie i szepczę:

– Chyba że ktoś to zrobi za mnie.

Nachyla się i mnie całuje. Smakuje tequilą, limonką i solą, a przez moment jego usta nie należą do niego, tylko do Jacka i nie znajdujemy się w siedzibie bractwa, tylko u Avery i wszędzie jest mniej brokatu, wysokich obcasów i doświadczenia, ale równie dużo alkoholu i przekleństw – siedemnastolatki nie różnią się aż tak od osiemnastolatków – a pocałunek rozprasza ciemność, przegania ją, gdzie raki zimują. Ale potem otwieram oczy, widzę zielone tęczęwki Kierana i wzdrygam się. Muszę mu powiedzieć. Nie mogę go wykorzystywać, ale robię to, bo bycie z nim jest lepsze niż bycie samej, a ja jestem tchórzem. Zanim którekolwiek z nas zdecyduje się na przerwanie niezręcznej ciszy, podbiega Heather i łapie mnie za rękę.

– Jesteś! Wszędzie cię szukam. Chodź, twój przyjaciel chce z

tobą pogadać.

Rzucam ostatnie spojrzenie w kierunku Kierana i idę za nią. Z zaskakującą siłą wpycha mnie na schody i kieruje do odpowiedniego pokoju.

– No... – zaczynam elokwentnie. – Kto chce ze mną porozmawiać?

– Taki chłopak. – Dostaje czkawki. – Bardzo nalegał. Mówi, że jest twoim przyjacielem.

Widzę, że stara się wynagrodzić mi bójkę, w którą mnie wpakowała. Przyjaciół chce porozmawiać. Jack? Nie, on mnie wykreślił ze swojego życia. Czyli została tylko jedna osoba. Bezimienny. Patrząc na zamknięte drzwi, jakby były wściekłym niedźwiedziem. Za nimi ujrzę jego twarz, twarz, która wyzwoli lawinę najgorszych wspomnień.

On ma to nagranie.

Nie widziałam go. A zawsze chciałam, odkąd Wren mi powiedział, że tamtej nocy miał kamerę, a Avery kazała mu „to” filmować. Czymkolwiek „to” było. Nagranie jest najlepszym zapisem tamtej koszmarnej nocy, która prześladowała Sophię aż do śmierci, a Wrena i Jacka dręczy do dzisiaj. Jeśli je obejrzę, po dwóch latach błędzenia po omacku dowiem się, co się stało.

Ma je Bezimienny. Ale moje pragnienie poznania prawdy jest silniejsze niż panika. Z trudem przełykam ślinę i otwieram drzwi. Bezimienny siedzi na łóżku i uśmiecha się, rozkłada ramiona.

– Tu jesteś, Isis! Chcesz ze mną obejrzeć film?

Heather chichocze, a potem klepie mnie w ramię, mruga i zbiega po schodach.

Bezimienny odchrząkuje.

– Wchodzisz albo wychodzisz, decyzja należy do ciebie.

– Nie wejdę. – Próbuję być dzielna.

– Wejdiesz – zapewnia. – Jeśli chcesz obejrzeć pewien film.

Uwięzi mnie. Wiem o tym. Ponad wszystko chce widzieć, jak się wiję, bawi się ludźmi, jakby byli pacynkami stworzonymi po to, żeby dostarczyć mu rozrywki. A ja? Zawsze lubił mnie dręczyć. Zwłaszcza teraz. Zwłaszcza po tym wszystkim.

Trzyma w ręce tablet, a ekran odbija się w jego oczach.

– To bardzo ciekawy film – rzuca nonszalancko.

Jest tu. Niecałe trzy metry ode mnie. Odpowiedź na wszystkie moje pytania. Przekraczam próg, ale drzwi zostawiam otwarte. Bezimienny chichocze.

– Nie, nie, bądź tak miła i zamknij za sobą.

Nie wiem, co robić. Bezimienny na moment włącza dźwięk i słyszę Sopię wołającą Jacka. Serce pęka mi na pół. Drżącymi rękami zamykam drzwi, a on się uśmiecha.

– Jesteś spięta. Wyluzuj – mówi. – Nic ci nie zrobię.

Desperacko rozglądam się wkoło i chwytam leżący na komodzie pilnik. Zaciskam go w dłoni jak nóż. Bezimienny śmieje się jeszcze głośniej.

– Zdążyłem już zapomnieć, jaka jesteś zabawna.

Jeszcze mocniej zaciskam dłoń i cofam się pod same drzwi. Przez moment zastanawiam się, czyby go nie nastraszyć, wyłączając światło, ale niestety, obok ma lampkę nocną.

Bezimienny wpatruje się we mnie z namysłem, a potem zaczyna powoli bić brawo. Każde klaśnięcie jest jak pocisk przeszywający moją spiętą w panice pierś.

– Gratuluję, że wybrałaś sobie na życiowego wroga kogoś tak niebezpiecznego.

Mrużę oczy.

– Mówisz o Jacku?

– O nim – potwierdza.

– Wiem, że ukradłeś ten film federalnym.

Śmieje się na cały głos.

– Ukradłem? Nie wygłupiaj się. Nawet ja nie umiem się włamać do archiwów FBI. Dali mi go. No, może nie mnie, ale moim przyjaciołom. Pracujemy razem jako niezależni internetowi konsultanci cyfrowi. Federalni skontaktowali się z nami i dali nam to nagranie, żebyśmy maksymalnie poprawili jakość. Chcą wiedzieć, co tam się dokładnie stało. – Uśmiecha się, a ja przełykam ślinę. – I tak też zrobiliśmy. Ale nagrania nie oddaliśmy. W każdym razie jeszcze nie. Chciałem, żebyś jako pierwsza obejrzała je w pełnej krasie.

– Dlaczego?

– Dowiesz się, z kim się bawisz – odpowiada gładko Bezimienny. – Jack nie jest porządnym gościem. Cieszę się, że już z sobą nie rozmawiacie, bo mogłoby ci się coś stać.

W moich płucach płonie niezdrowy, czarny ogień. To on mnie skrzywdzi. Nie Jack. Bezimienny uśmiecha się złośliwie w reakcji na moje bezradne milczenie, a potem rzuca mi tablet z wielką ikonką „play” na środku ekranu. Palce mi drżą, zwlekam.

– No dalej – zachęca i uśmiecha się jeszcze szerzej.

Po miesiącach zastanawiania się, irytujących domysłów i półprawd wreszcie mam całą prawdę na wyciągnięcie palca.

Włączam odtwarzanie.

Przez dwie sekundy nic się nie dzieje, potem rozlega się szelest suchych iści. W dolnym rogu widać godzinę: 21:45:01 i datę: 15 sierpnia 2011. Szybko przeliczam: Jack miał trzynaście lat.

– *Zdejmij pieprzony dekielek! – Wściekłe mamrotanie może należeć jedynie do Avery. – Boże, jak na takiego kujona jesteś strasznym idiotą.*

Słyszę stłumione burczenie, w którym od razu rozpoznaję Wrena, młodszego, o wyższym głosie, ale na pewno to on. Z obiektywu kamery znika zakrywka i widzę zasypaną liśćmi ziemię i wysokie drzewa, znajome. Młoda, bardzo młodziutka Avery, jeszcze pozbawiona kobiecych kształtów, ubrana jest w top bez ramiączek, białe spódniczko-szorty i gumowe sandały. Wygląda równie władczo i bezczelnie jak zawsze. Wyrywa Wrenowi kamerę i prycha.

– Tak masz trzymać. – Nakierowuje kamerę na Wrena. Jest chudy i niski, a okulary zasłaniają prawie całą przerażoną, niewinną twarz. Policzki ma po dzieciennemu pucułowane. Ubrany jest w bojówkowate szorty i koszulę w paski, którą na pewno wybrała dla niego mama. Na chudym nadgarstku pyszni się ze dwa razy za duży zegarek.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł – szepcze. Avery powiększa jego twarz.

– Jeśli spękasz, powiem wszystkim w szkole, że twoja mama zdradza twojego tatę. Więc lepiej tu siedź i filmuj, jeśli nie chcesz wyjść na kretyna.

Wren blednie jeszcze bardziej. Obraz skupia się na jego twarzy, potem robi się czarno.

Nagrywanie włącza się ponownie o 22:07:15.

Jest znacznie ciemniej, a Avery klnie.

– Cholera! Co tak długo?

– Czy ta kamera ma lampę? – pyta nieśmiało Wren. Avery przewraca oczami, ale ledwo to widać.

– Tak, będziemy filmować z ukrycia oświetleni gigantycznym fleszem.

– Więc jak...

Kamera się trzęsie i nagle obraz zmienia się na filmowany w

podczerwieni: wszystko jest zielone i w odcieniach czerni i szarości. Żrenice Avery są białe i lśnią przerażającym światłem, gdy oddaje Wrenowi kamerę.

– Skup się na niej, jasne?

Obraz drży, jakby Wren nie mógł opanować rąk.

– Avery, ja nie chcę. Już nie chcę tego robić...

– Cicho! – syczy Avery. Nagle pada na brzuch i ciągnie go za sobą. – Jest. Kręć.

Zapiera mi dech w piersi. Wren powiększa bladą postać przedzierającą się między drzewami.

Sophia.

Trzynastoletnia Sophia.

Włosy ma krótkie, ale w tym samym co zawsze odcieniu zimowego księżycy. Niesie latarkę. Jest chuda, ale i tak pulchniejsza niż wtedy, kiedy ją znałam. Ma pucułowate policzki i jej kształty zaczynają się robić kobiece. Twarz ma zarumienioną i podskakuje. Skacze! W życiu nie widziałam, żeby Sophia przemieszczała się szybciej niż tym swoim leniwym krokiem, jakby unosiła się w powietrzu. Ubrana jest w letnią sukienkę w kwiaty, z falbankami wokół łydek. Rozgląda się i woła:

– Jack?! Jack, gdzie jesteś?! Chodź już, bo zaraz umrę ze strachu!

– J-Jacka tu nie ma? – szepcze Wren.

– Oczywiście, że nie, debilu – rzuca Avery. – Podrobiłam jego pismo i włożyłam liścik do jej torebki. Są taataak zakochani, że uwierzy we wszystko.

Kamera przybliży twarz Sophii, już porządnie wystraszonej. To jednocześnie dość potworne, ale i rozdzierające, widzieć ją żywą i szczęśliwą. Tak bardzo inną.

Światło latarki omiata wszystko wkoło i ląduje na krzaku, za którym czają się Avery i Wren. Dają nura na ziemię, a snop

światła ich omija, bo Sophia obraca się wkoło. Zamiera i zaczyna się cofać.

– Kim jesteście?

Kieruje latarkę na brodatego mężczyznę w średnim wieku, który uśmiecha się okrutnie. Ma na sobie kombinezon roboczy, a z kieszeni wystaje wymazana smarem szmata.

– Tylko ją nastraszą, tak? – dopytuje desperacko Wren. Avery nic nie mówi, wpatruje się w Sophię. – Av, tak? – powtarza Wren. Obraca kamerę na Sophię, a ręce muszą mu się trząść znacznie bardziej, bo i obraz podskakuje. Spomiędzy drzew wychodzi drugi mężczyzna, a potem kolejny. W sumie pięciu. Jeden ma kij do baseballu, a drugi coś, co wygląda na łom. Ten w kombinezonie mówi cicho do Sophii, która cofa się między drzewa, a jej twarz wykrzywia przerażenie. Słysząc tylko jej wysoki, spanikowany głos:

– Zostawcie mnie! W domku są moi przyjaciele! Jak krzyknę, wezwą policję!

To oświadczenie wywołuje śmiech mężczyzny, wyraźnie zaraźliwy, bo za chwilę rzą już wszyscy. Otaczają ją jak stado hien. Sophia jest tak bezbronna, że mam ochotę wsadzić rękę przez ekran i wciągnąć ją tutaj, gdzie będzie bezpieczna.

– Av! – syczy Wren. – Odwołaj ich.

Ale Avery uśmiecha się jeszcze szerzej,

– Jeszcze nie. Jeszcze jej porządnie nie wystraszyli.

– Ale oni nie... Nie dotkną jej, prawda?

Avery łypie na niego.

– Nie. Kazałam im tylko napędzić jej stracha. Nie mogą jej dotknąć. Zabroniłam im.

Wren kieruje kamerę z powrotem na mężczyzn, którzy otoczyli Sophię zwartym kręgiem. Ona próbuje uciekać, ale jeden ją łapie i

popycha na ziemię. Śmieją się jeszcze głośniej.

– Zostawcie ją!

Rozlega się jeszcze jeden głos, młodzieńczy, silny i wściekły. W takim brzmieniu nigdy go nie słyszałam, ale od razu wiem, do kogo należy. To Jack, dumny i jasnowłosy, zwraca na siebie uwagę tych facetów. Jego niebieskie oczy nie są skute lodem, przeciwnie, płonie w nich białoniebieski ogień. Wciąż ma po dziecinnemu zaokrąglone policzki, ale jest wysoki i smukły, jak to chłopcy, którzy za szybko wystrzelili w górę. I już jest irytująco przystojny. Ale to nie Lodowy Książę, którego znam, emocje w nim buzują, są wyraźne i czytelne, widać je w każdym napiętym mięśniu i w zaciśniętych pięściach. Jest jak lew, młody król, wściekły, uczciwy i szczery.

Dwóch facetów wyciąga do niego ręce, ale on się uchyla i podbiega do Sophii. Trzeci się na niego rzuca i padają na ziemię, wzbijając obłok igieł i pyłu.

– Jack! – krzyczy Sophia. Jack klnie, kopie i wierzga jak dzikie zwierzę, ale dołącza się dwóch następnych i wykręcają mu ręce, zmuszając do ukłęknięcia.

Wśród drzew zaczyna się kłębić rozrzedzona mgła. Pozostali wracają do Sophii, która tuli się do pnia, jakby drzewo mogło ją ochronić.

– Zostawcie ją! – wrzeszczy Jack, a ten przeszywający krzyk rozrywa mi serce na milion kawałków. – Pieprzony gnoju, wybierz kogoś, kto może się bronić! Nie! Tylko nie Sophia! Sophia, uciekaj!

– Nie... – Głos Avery jest stanowczy, chociaż Wren wydaje się sparaliżowany, całkowicie skupiony na Sophii i Jacku. – Nie tak miało być. Wycofajcie się. Idźcie stąd.

Ale jej wydawane szeptem polecenia nie skutkują. Mężczyźni zbliżają się do Sophii, a ona chowa głowę w dłoniach.

– Jack, pomóż! – krzyczy. Mężczyźni zataczają się, ewidentnie są pijani. Zaczynają szarpać jej sukienkę. Czuję w gardle falę mdłości, ale Jack reaguje szybciej. Trzymający go facet krzyczy i pada na ziemię, a Jack podrywa się i łapie aluminiowy kij, który tamten wypuścił. Następnie zamierza się na niego, raz za razem. Avery klnie. Dwóch następnych rusza na Jacka, ale on wyslizguje się z ich ogromnych łap i celuje w czaszki, a po lesie roznosi się przyprawiający o mdłości dźwięk, jaki wydaje kość w zetknięciu z metalem. Czwarty szamocze się z czymś, co ma pod kurtką, może to pistolet, ale Jack ukrywa się za pierwszym, który zdołał pozbiierać się z ziemi i kula trafia w ramię jego, a siła postrzału ponownie rzuca go na poszycie. Jack wykorzystuje tę chwilę na atak i zamierza się kijem na szyję faceta z bronią. Ten pada jak szmaciana lalka, a pistolet znika wśród liści.

Przez cały czas Jack uśmiecha się jak szaleniec, a na ustach i twarzy ma ślady rozprysniętej krwi.

Piąty mężczyzna, który przygwoździł Sophię do drzewa, wycofuje się w panice. Jack wali go kijem w bok, a on szamocze się wśród liści, sięgając po pistolet. Ale Jack zadaje kolejny cios, a Sophia krzyczy. Coś pęka i nie jest to kij. Facet podnosi rękę i w obrazie noktowizyjnym widać zgruchotaną kość, skotłowane mięśnie i wiszące strzępy skóry. Mężczyzna wpatruje się w swoje ramię całkiem oszołomiony, ale potem ból się przebija do jego świadomości, więc zaczyna płakać, czołgać się i błagać:

– Proszę, stary, my nie chcieliśmy... Nic byśmy nie...

Podnosi się i zaczyna uciekać, ale Jack odrzuca głowę, śmieje się, a następnie pędzi za nim. Znikają w mroku i kamera traci ich z oczu. Ale nie łkającą Sophię, która podnosi się i próbuje włożyć sukienkę. Cała się trzęsie. Próbuje odejść, ale potyka się o coś i leci w dół wzgórza, nie bardzo daleko, ale tocząc się, uderza o drzewa,

aż samoczynnie się zatrzymuje. Zapada złowroga cisza, mijają minuty, Sophia porusza się, rozlega się dziwny chlupot i ponownie zamiera, a białe włosy rozsypują się na igłach.

– Ja pierdolę – szepcze Avery. – Ja pierdolę...

Z ciemności wyłania się Jack i przeszywa mnie dreszcz. Uśmiech zniknął. Jego miejsce zajmuje jeszcze bardziej przerażająca mina, ta, którą znam bardzo dobrze.

Maska.

Już ma maskę.

Ale tylko przez kilka sekund, bo potem dostrzega Sopię, wydaje zduszony dźwięk i podbiega do niej, odrzuca umazany krwią kij i porywa ją w ramiona.

– Soph – szepcze. – Sophie, Sophie, proszę cię.

Patrzy na swoją rękę całą we krwi. Sophia się nie rusza. On klepie dłonią w ziemię wokół niej i znów wydaje ten zduszony dźwięk, jak skowyt dzikiego zwierzęcia. Krew. Wokół jej miednicy kałuża krwi, kwiatowa sukienka cała nią umazana.

Rozlega się dźwięk, jakby Avery się poruszyła i łamie gałązkę. Jack podnosi głowę, a jego oczy w podczerwieni lśnią nieludzkim światłem. Sięga po kij i jego twarz wykrzywia wściekłość. Avery klnie i rzuca się do ucieczki, a w miarę zbliżania się Jacka paraliż Wrena ustępuje. Rzuca kamerę na ziemię i widać jeszcze jego buty, gdy odbiega. Ułamek sekundy później przelatują większe buty Jacka.

– Zabiję cię! – krzyczy echo. – Wszystkich was, kurwa, pozabijam!

Krzyczy dalej, a dźwięk to się oddala, to przybliża, jakby biegał w koło. Rozlega się metaliczny dźwięk kija uderzającego o pnie drzew, a wrzaski są silne, wściekłe i podszyte bólem. Na ich tle rozlega się głos Bezimiennego.

– Krzyczał tak dalej. Potem wezwał karetkę. I nagranie się skończyło.

Wyświetlacz tabletu robi się niebieski, a potem czarny. Moje dłonie bardzo chciałyby zacząć się trząść, ale opanowuję je. Bezimienny wpatruje się we mnie, wyczekując reakcji. Jestem poruszona i czuję pod powiekami łzy, ale nie pokażę mu tego.

– No i? – pytam. – Czego miałam się z tego nagrania dowiedzieć?

Unosi brew.

– Nie wystraszyłaś się? Zrobił z czterech facetów miazgę, a piątego zabił.

– Ostatni spadł z klifu, bo było ciemno – odpowiadam gładko. – Jack go nie zepchnął. Myśli, że zabił Josepha, ale on zabił się sam.

– Nie uciekałby, gdyby Jack go nie gonił – przypomina Bezimienny. – Nie broń go. Zabił człowieka i jak tylko oddamy taśmę federalnym, pójdzie za to siedzieć.

– Nikogo nie zabił, a poza tym nie ma ciała – odpowiadam. – Nikt mu niczego nie udowodni.

– Belina Hernandez. Znasz ją, prawda? Byłaś u niej w odwiedzinach.

– Skąd wiesz o...?

– Nie było trudno się dowiedzieć. Belina Hernandez to żona Josepha Hernandeza, mężczyzny, który spadł z klifu. Twój żądny krwi wróg wypłaca jej pieniądze na dzieci pod przykrywką państwowej fundacji. Robi to z poczucia winy. Myślisz, że jak przysięgli to zinterpretują? On sam jest tak przekonany, że zabił Josepha, że z przekonaniem sędziów nie będzie kłopotu.

– Bronił Sophii – warczę.

– Obrona to jedno. A nieopanowana agresja to drugie. Na tej taśmie wyraźnie widać różnicę.

Zaciskam tablet w palcach i zastanawiam się, jakie mam szanse go zniszczyć, ale Bezimienny wybucha śmiechem.

– Wiem, o czym myślisz, ale daruj sobie. Mam wiele kopii na różnych twardej dyskach, więc tylko popsułabyś całkiem porządny tablet. – Wstaje, a ja kulę się w sobie, bo nagle do mnie dociera, jak blisko siebie jesteśmy. – Chciałem ci tylko pokazać, w kim jesteś zakochana, a przynajmniej tak myślisz. On nie jest mną, to na pewno. Jest gorszy niż ja. To morderca. Skrzywdzi cię bardziej.

Uchyła się w ostatniej chwili, bo ciskam tabletem w jego głowę. Oddycham ciężko. Tablet trafia w ścianę i zostawia odprysk w różowej farbie.

– Pieprz się – cedzę przez zęby. – Już nigdy nikt mnie tak nie skrzywdzi jak ty. Nie pozwolę na to.

Drzwi za moimi plecami nagle się otwierają i wkracza chłopak. Ma dzikie oczy i afro.

– Ups, sorry. Zły pokój.

Rzucam się za nim na korytarz, ale Bezimienny mnie woła.

– Miło było pogadać! Wiem, że tego nie lubisz, ale będziesz musiała mnie znosić.

– Czemu? – pytam szeptem, a on się uśmiecha.

– Widziałem, co zrobiłaś w gabinecie Summersa. Nagrałem sobie nawet filmik. Ciekaw jestem, co na to powie rektor.

– Dlaczego? Dlaczego, do kurwy nędzy, nie możesz się ode mnie odczepić?

– Bo – przekrzywia głowę jak średnio zainteresowany sprawą ptaszek – jesteś moja.

Czuję się, jakbym połknęła bryłę lodu, a on się śmieje.

– Zawsze byłaś moja, Isis. I dobrze o tym wiesz. Nikt, nawet śliczny chłopiec w lśniącej zbroi, nie stanie między nami. Nie po

tym, co nas połączyło.

Jak oparzona wybiegam z pokoju, a potem z domu. Gdy jego głos w końcu przestaje mi rozbrzmiewać w głowie, padam na kolana i wymiotuję na trawnik.

Rozdział 12

4 lata, 0 tygodni, 0 dni

Spotkanie Bezimiennego i rozmowa z nim to jedno.

Spotkanie z nim i rozmowa w dzień przed kolejną rocznicą tego, co mi zrobił, to zbyt wiele, żebym uwierzyła w przypadek. Musiał to zaplanować. A może nie? Może tylko ja pamiętam dokładną datę, kiedy wszystko się skaszało? On pewnie ma to gdzieś.

W ostatnich kilku latach mojego niezbyt długiego, ale zjawiskowego i masakrycznie zrąbanego życia, jeszcze na Florydzie, szłam tego dnia na wagary, snułam się po plaży z jedzeniem z McDonalda, liczyłam kraby i zbierałam kamyki kolorowe jak klejnoty. Próbowałam być dla siebie dobra, bo nikt inny się ze mną tego dnia nie cackał. W zeszłym roku nic nie zrobiłam, bo byłam za bardzo pochłonięta wojną z Jackiem.

W sumie powinnam już wtedy zdać sobie sprawę, że chłopak, który zdołał odwrócić moją uwagę od bólu, jest wyjątkowy. Wyjątkowy i wart trzymania przy sobie. Zresztą, może podświadomie o tym wiedziałam, bo jakoś tam próbowałam go zatrzymać, na własny sposób, polegający na tym, że „cha, cha, podrzuciłam ci lipne zioło do szafki i grzebałam w twojej przeszłości!”, co, przyznaję, prawdopodobnie nie było najlepszą

drogą. Ale jakoś nigdy nie szło mi prośenie ludzi, żeby zostali moimi przyjaciółmi i byli przy mnie. Tylko na tyle było mnie stać. Na bycie wkurzającą i głośną, żeby ludzie mnie zapamiętali i może, może, zechcieli się mnie trzymać.

Może.

„A jednak próbujesz. Chcesz powstrzymać wszystkie niesprawiedliwości świata i wszystkich przed nimi ocalić. Tylko nigdy nie ratujesz siebie”.

Wyrzucam z głowy słowa Kierana i dokonuję szybkiej oceny sytuacji. Bezimienny odda federalnym nagranie i Jack znajdzie się w kupie po uszy. Ale to nie wszystko: ma nagranie, na którym bezczeszczę gabinet Summersa. Czy on mnie prześladowuje? Mój nienasycony pęd ku sprawiedliwości mnie zaślepił i totalnie mnie poniosło. Ale to nic nowego. Nowość polega na tym, że tym razem mogę wylecieć za to ze studiów.

Studia! Studyjne studia! To nie liceum. To Prawdziwy Świat™ czekający tylko, aż się potknę, żeby mógł otworzyć paszczę i mnie pożreć. Studia to najprawdziwsze wszystko albo nic, wielkie, zajebiste coś, co trzeba zaliczyć, żeby dostać dyplom, który można powiesić na ścianie albo użyć jako podpalki, gdy spłata kredytu studenckiego pożre wszystkie pieniądze. Podejrzewam, że czasem pomaga w znalezieniu pracy, ale wszyscy starsi koledzy z mojego liceum poszli na studia, zdobyli dyplom, a potem pracowali w Starbucksie, więc jestem przekonana, że bardziej nadałby się na papier toaletowy albo, jeśli ktoś miałby ochotę wyjątkowo dosadnie uczcić swoje uniwersyteckie doświadczenie, na wielką podpaskę. Ciężko pracowałam, żeby się tu znaleźć, tak? Chyba tak. Nie do końca pamiętam, liceum to dla mnie rozmazana smuga prac domowych, głupich żartów zaczynających się od „A ty...” i

kiepskich paluszków rybnych. Gdyby mnie wywalili z college'u, przyniosłabym wstyd rodzinie, tata byłby rozczarowany, mama pewnie szczęśliwa, że wróciłam, a ja zmiażdżyłabym swoją przyszłość, dla pewności wgniatając ją młotem w ziemię i skazałabym się na życie polegające na przewracaniu hamburgerów na ruszcie, a z nieba zaczęłby lecieć krwawy deszcz albo coś w tym stylu. „Wszyscy idą na studia”. To coś, co robi się w Ameryce Środkowej, a już na pewno robią to uprzywilejowani mieszkańcy Ameryki Środkowej.

Ale skoro wszyscy to robią, czemu ja się tu czuję jak foka w stawie rybnym?

Czemu w ogóle muszę studiować? Żeby się dowiedzieć, co chcę robić w przyszłości? Ale ja już dawno wiedziałam, co chcę robić: wyjechać z tego stanu. Uciec. Lecieć do Europy. Tylko nie mogłam zostawić mamy, więc zrezygnowałam.

Kładę nogi na biurku i marszczę czoło.

Bycie wyrzuconym z college'u to nic w porównaniu z aresztowaniem za zabójstwo.

Wciąż mam przed oczami kadry z taśmy. Młoda twarz Wrena, zdrowa Sophia, i wściekły, zrozpaczony Jack. Wpakowałam się w to wszystko, nie biorąc pod uwagę ich uczuć. Wcisnęłam się do najbardziej gównianej, najciaśniejszej króliczej nory, na dodatek ich króliczej nory, a oni jakimś cudem mnie tam znieśli.

Jeśli na zbyt długo zamknę oczy, słyszę krzyk Jacka.

Jeśli na zbyt długo zamknę oczy, miesza się z nim śmiech Bezimiennego i sprawia, że nie mogę myśleć.

Boli mnie ręka i przypominam sobie, że miałam iść na zmianę opatrunku, więc ruszam do przychodni.

– Isis?

Poznaję ten głos. Kiedy go ostatnio słyszałam, wrzeszczał. I

faktycznie, to Mildred, ze stosem zeszytów w objęciach. Oczy ma łagodniejsze, niż zapamiętałam.

– Jezus, cześć. Strasznie cię przepraszam za tamtą imprezę... – zaczynam, ale ona podnosi rękę.

– Przestań. Nie mam ochoty o tym mówić. Nie lubię cię i nie chcę cię lubić, ale chciałabym przeprosić.

Marszczę czoło, a ona wzdycha i przerzuca przez ramię pasmo włosów.

– Chodzę z Jackiem, tak? Najseksowniejszym gościem w kampusie. A na pewno najseksowniejszym gościem, jakiego w życiu widziałam. I myślałam, że mam zajebiste szczęście, ale potem tamten koleś zaczął ze mną gadać, na jakiejś imprezie. Ten inny, nie Jack.

– Jaki koleś? – Mrużę oczy.

– Całkiem słodki. Ciemne włosy, szare oczy, intensywnie spojrzenie.

Wypisz wymaluj Bezimienny, ale czemu miałyby to robić? Chociaż, Boże, świetnie wiem czemu. Żeby mnie zranić. Żeby mi cierpieć w każdy możliwy sposób. Żeby jeszcze ktoś nienawidził mnie tak jak on. Przestałam się zasłaniać, a on do mnie strzelił z zupełnie nieoczekiwanego kąta i nawet nie widziałam pocisku.

– W każdym razie zaczął mi mówić, jak to ty i Jack się kumpłowaliście w liceum. A ja byłam strasznie pijana i... – Zagryza wargę. – Gadał to wszystko, a ja uwierzyłam. Więc jak cię zobaczyłam następnym razem, właśnie na tej imprezie, nie wytrzymałam.

– Nie ukrywajmy, że sama się prosiłam tym, jak cię nazwałam – przypominam, a potem daję sobie mentalnego kopniaka za to, że przypominałam. Ale ona tylko wzrusza ramionami.

– Pewnie tak. Ale to nie fair, że słuchałam obcego gościa, a

potem tak szalałam z powodu tego, co mi powiedział. Tylko że był bardzo przekonujący, a mnie się wszystko poprzestawiało. Ale przez ostatnie tygodnie czułam się megaźle z tego powodu i chcę przestać się tak czuć. Tak że: przepraszam.

– Ja też przepraszam.

Mildred prycha.

– A tak w ogóle, mam na imię Brittany. Żebyś już nie musiała wymyślać przezwisk.

– Jasne. Dobra. Cześć, Birttany.

– Cześć – odpowiada i po raz ostatni przygląda mi się od góry do dołu. – Pa.

Patrzę za nią i kilka razy otwieram usta. Chcę coś powiedzieć, ale za każdym razem mnie zatyka. W końcu mi się udaje.

– Brittany!

Podbiegam, a ona litościwie czeka.

– Co jest?

– Czy Jack... – Z trudem przełykam ślinę. – Wszystko u niego dobrze?

Brittany marszczy czoło.

– Jak to?

– No czy... Uśmiecha się? Je?

– A skąd mam wiedzieć? Nie mieszkamy razem. Ale uśmiecha się. Jak normalny człowiek.

Rozluźnia się supeł w moim gardle, choć nawet nie czułam, jakie jest ściśnięte. Szczerzę zęby w uśmiechu.

– To super. Dzięki. Miłego dnia.

Odwraca się i idzie dalej, a ja patrzę, jak się oddala. Jest bardzo ładna, bardzo szczerza i bezpośrednia. Przeciwnieństwo mnie i może tego właśnie chce Jack. Może tego potrzebuje.

Przełykam resztki supła i ruszam w kierunku przychodni.

Jemma jest ładna, ma brązowe włosy i duże ciemne oczy łani. Sadza mnie na fotelu, jak tylko wchodzę i ostrożnie zrywa plaster. Pojawia się zapach gnijącego ciała i zjełczałej waty, ale ona nawet nie marszczy nosa.

– Ładnie się goi. Bierzesz antybiotyki, które ci dałam?

– Zrobiłam z nich naszyjnik i żuję na zajęciach.

Mierzy mnie lodowatym spojrzeniem.

– Dwa dziennie przed posiłkiem.

– Bardzo dobrze. – Uśmiecha się. – Nawet nie wiesz, ile świństw ludzie mają w ustach i jak to może wpłynąć na ranę.

Wiercę się, kiedy robi mi nowy opatrunek i w przelocie mój wzrok pada na słój pełen prezerwatyw, który stoi na blacie.

– Jesteś aktywna seksualnie? – pyta Jemma.

– Nieeee tam.

– A planujesz?

– W obrębie wieczności, jaką jest przyszłość żyjącej istoty ludzkiej, mam nadzieję, że tak. Ale wie pani, jak jest. Wszystko może się zmienić. Może w nas walnąć meteoryt. Słońce może zamarznąć, masło orzechowe może przestać być obrzydliwe, a ja mogę zmądrzeć.

Jemma się we mnie wpatruje, strasznie badawczo. Jak to pielęgniarka. Jej brązowe oczy są duże i mądre i mogłabym przysiąc, że mnie zna, wie o mnie wszystko, jakbym była obrzydliwie przezroczysta. Potem jej wzrok łagodnieje i wiem, że wie. Chociaż prawie nic nie powiedziałam, ona wie, co się stało.

I robię się zła, że jestem tak przewidywalna. I za słaba, żeby to dalej ukrywać. Siniaki, alkohol i całowanie się na każdej imprezie z kim innym jeszcze bardziej mnie osłabiły, a ja tego nie chcę. Chcę być silna. Lepsza. Bardziej doświadczona.

– Mam pewne problemy – oznajmiam ostrożnie. Jemma

wyjmuje kartkę powoli, jakby się bała, że na ten temat nie będzie mogła robić notatek.

– Gdzie cię boli? – pyta.

Mam chwilę, żeby wstać i wyjść, i zostawić ją z mniej skomplikowanymi problemami, takimi, którym dają radę pigułki, gips i zastrzyki.

– Próbowałam różnych rzeczy – mówię w końcu. – Na przykład szotów z wódki. Ale nic nie dały, bo to tak nie działa. Nie można ciągle się znieczulać i znieczulać, i łudzić się, że to coś pomoże. – Jemma nic nie mówi, tylko notuje. – Dzieją się złe rzeczy, ale mówisz sobie, że takie jest życie, bo żyjesz już trochę i wiesz, że złe rzeczy się po prostu dzieją, więc próbujesz żyć dalej, chociaż zło już się wydarzyło, bo wiesz, że nie jest tak do końca źle i istniejesz, starasz się, zwiększasz dystans między sobą a tym czymś złym, żeby o tym zapomnieć, ale ono i tak cię zawsze dogania, siada ci na plecach i sprawia, że się potykasz, akurat kiedy próbujesz wyjść na prostą i iść naprzód. I to jest do dupy. – Ugniatam sobie czoło kostkami palców. – Masakrycznie do dupy. – Widzę przez okno parę siedzącą na ławce, trzymając się za ręce, a ja chcę być nimi i obrzygać ich, jednocześnie. – A czasem potykasz się tak często i tak mocno, że stwierdzasz, że może już zostaniesz na ziemi. Rozumie pani? Że może zasługujesz, żeby się nie podnieść, że tak ma być. I że tak będzie łatwiej. Zresztą, i tak nie masz siły, żeby zwlec dupę z chodnika.

– Brzmi strasznie – komentuje cicho.

– Bo jest straszne. – Śmieję się. – To dokładnie to, czego nikt nie chce. Myślisz, że jesteś silna i że kochasz życie i chcesz żyć, ale czasem jesteś za bardzo zmęczona.

– Często?

Wzruszam ramionami.

– Czasem. Ale nazywam się Isis Blake i jestem przeciwieństwem zmęczenia. Einezczemz. Bycie zmęczonym to nie moja bajka.

– Każdy czasem jest zmęczony – zapewnia Jemma. – Nie ma wyjątków.

– Ale przecież ja jestem wyjątkowa! – jęczę. – Nie rozumie pani. Szaleństwo to ja, ja stale coś robię, robię superrzeczy i nigdy nie przestaję się ruszać, chyba że sikam, a czasem nawet wtedy. Dlatego sprzątaczkę mnie nienawidzą.

Jemma zakrywa usta dłonią i parska śmiechem. Widzę iskierki rozbawienia w jej oczach i nagle ja też się śmieję. Ale to inny śmiech niż wściekłe, krótkie parsknięcia, które wydawałam ostatnio. Śmieję się głośno i radośnie, coraz głośniej i coraz radośniej, i lekko; już od bardzo, bardzo dawna tak się lekko nie czułam.

– A to nawet nie był mój najlepszy żarcik. – Wzdycham, kiedy obydwie się uspokajamy. – I złamałam zasadę numero uno.

Jemma ociera oczy.

– Czyli?

– Nie śmieję się z własnych żartów, bo to oznacza, że prawdopodobnie nie są najlepsze, a ty wychodzisz na niewymagającego, zadowolonego z siebie dupka.

– Rozumiem, o czym mówisz. Ktoś taki jak ty, zabawny i pełen życia, rzadko jest zmęczony. Taki stan musi być dla ciebie bardzo dziwny.

– To tak, jakbym... Straciła nogę, ale nadal próbowała brać udział w wyścigu – tłumaczę. Jemma kiwa głową, a potem bierze głęboki wdech.

– Wiem, że to zabrzmiało niedelikatnie, i proszę cię, żebyś nie odebrała tego negatywnie. Nie próbuję cię diagnozować, bo nie

mam do tego uprawnień, ale czy ktoś w twojej rodzinie miał może depresję?

Kulę się na fotelu i burczę pod nosem:

– Moja mama. Ale ja tego nie mam! – Prostuję się gwałtownie. – Przysięgam, że na pewno tego nie mam, bo ciężko na to pracowałam i jestem cały czas szczęśliwa, więc nie mam. Nie miałam. I nie będę miała.

Jemma kiwa głową i notuje coś w swoich papierach, ale moje słowa są tak puste i brzmią tak fałszywie, że muszę zastąpić je prawdą. Mocno zaciskam dłonie.

– Chyba że kiedyś. Jak miałam czternaście lat.

– Czemu tak myślisz?

– Nie lubiłam siebie. Nadal się trochę nie lubię. Ale wtedy naprawdę, bo byłam ogromna, a myślałam, że to jest złe, chociaż nie jest, ale kiedy jest się zakochanym, a chłopak ci mówi, że jesteś brzydka i gruba, zaczynasz w to wierzyć. A poza tym to nie była miłość. To znaczy może i była. Ale raczej nie, bo czułam się okropnie, a miłość powinna sprawiać, że czujemy się dobrze.

– Niektórzy mówią, że miłość sprawia, że czujemy się dobrze i okropnie jednocześnie.

– W takim razie są głupi i się nie znają. – Zadzieram butnie głowę. – To tylko... Poetyckie gładzenie starych dziadów. Ludzie lubią zgrywać głębokich, dlatego mówią, że ból jest częścią miłości, ale nie jest. Miłość to...

– *Nie ma w nich nic brzydkiego – mówi Jack. – Mogę?*

Waham się, ale kiwam głową. Sięga za moje plecy, chwyta moją dłoń i unosi. Delikatnie przesuwając palcem po bliznach po przypalaniu papierosem. Po każdym kółku przejeżdża kciukiem, delikatnie, bardzo delikatnie.

– *Wygląda jak galaktyka. – Uśmiecha się. – Pełna gwiazd,*

supernowych, kriogejzerów i innych cudownych zjawisk, które mógłbym wymieniać dalej, ale pewnie umarłabyś z nudów.

– ...miłość to bycie akceptowanym i uwielbianym za to, kim się jest, z bliznami i wszystkim.

W oczach mam mokro i na kolanach, więc zwijam się w kłębek i obejmuję ramionami.

Teraz znam różnicę.

Wiem już, czym jest miłość, a czym nie jest.

Jemma odkłada notatki i zamyka mnie w objęciach, a ciemność chlusta z moich ust prosto w jej sweter.

– Zostałam... Zostałam zgwałcona. Gdy miałam czternaście lat. Przez chłopaka, którego chyba kochałam.

Wyznanie wylewa się ze mnie, kapie na podłogę, tworzy kałużę na płytkach i spływa mi po policzkach. Cztery lata milczenia zalewają gabinet pielęgniarstwa i jej kolana, a przecież ja jestem kimś obcym i na pewno jest na mnie za to wściekła, ale tylko przytula mnie mocniej, a ja siebie nienawidzę, nienawidzę tego, kim byłam i kim próbuję być, a ludzie, których kocham, mnie zdradzili i ja zdradziłam sama siebie. Ale chowałam to, zamiast powiedzieć komuś, komukolwiek, milczałam, zamiast poprosić o pomoc kogoś, kogokolwiek, a teraz cały ten ból wydobywa się ze mnie bez mojej woli, kolce kaleczą mi usta i oczy i tak to musi być, jak się umiera, tylko że ból się nie kończy, trwa całymi godzinami, a Jemma mnie przytula, płacze ze mną i szepcze: „Wiem, wiem”, raz za razem, bo wie, bo też przez to przeszła i nie jestem sama, już nie.

Rozdział 13

Gregory Callan jest zapracowanym mężczyzną, prowadzącym lukratywną firmę ochroniarską, ale to go nie powstrzymuje przed czerpaniem radości z życia. Na przykład z nachodzenia swoich pracowników bez ostrzeżenia. Gdy rano otwieram drzwi do naszego pokoju, widzę go na progu z dwoma kubkami kawy, w garniturze i z radosnym uśmiechem.

– Dzień dobry, chłopcy!

Ja jęczę, ale Charlie rusza do drzwi, żeby go powitać, i łasi się jak szczenię. To prawie wzruszające, z jakim zaangażowaniem wepchnął Gregory’ego w pustą przestrzeń, jaka została w jego życiu po męskim, ojcowskim autorytecie. Gregory’emu to najwyraźniej nie przeszkadza, bo uśmiecha się i klepie go po plecach częściej niż innych.

Ale tym razem, zanim Charlie albo ja zdążymy choćby wypowiedzieć słowo, Gregory nakazuje nam ubrać się i zejść z nim na śniadanie. Bar, który wybrał, jest mały, pełen plastiku, pokryty tak grubą warstwą tłuszczu, zniszczony i tandetny, że nawet studenci trzymają się od niego z daleka. W takich miejscach desperacko błagałem o pracę, gdy miałem zaledwie czternaście lat i dowiedziałem się o chorobie Sophii. Kelnerka nie jest w stanie wykrzesać z siebie zmęczonego uśmiechu, ale Gregory i tak wylewnie jej dziękuje.

– Czemu zawdzięczamy wizytę, szefie? – dopytuje Charlie, upchnąwszy w policzkach pół talerza jajeczniczy.

– Babcia nie nauczyła cię przeżuwać? – pytam złośliwie, ale Charlie tylko pokazuje mi środkowy palec i wpycha do ust plastry bekonu. Za to Gregory’ego moja uwaga bawi, bo chichocze.

– Widzisz, Charlie? Dlatego żaden z twoich dawnych partnerów nie wytrzymał z tobą dłużej niż tydzień. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie lubią, gdy ktoś jest nieuprzejmy.

Charlie przełyka.

– Ogólnie rzecz biorąc, ludzie mogą mnie pocałować w dupę. – Milknie, a potem cicho dodaje: – Proszę pana.

Gregory wybuchą głośnym śmiechem i zerka na mnie.

– Jego odzywki zaczynają się składać z czegoś więcej niż czterech brzydkich słów. Masz na niego dobry wpływ.

Charlie patrzy na mnie nieufnie i odsuwa się z krzesłem.

– W życiu.

– Ale w sumie on ma rację – zwracam się do Gregory’ego. – Czemu przejechał pan taki kawał? Mogliśmy przesłać informacje esemesem albo mejlem.

Gregory odchrząkuje.

– Byłem po prostu... ciekawy.

– Fekafy? – powtarza Charlie z ustami pełnymi tostu.

– Jak się dogadujecie.

Charlie i ja najpierw zamieramy, a potem jednocześnie pryhamy. Gregory uśmiecha się, jakby go to wyjątkowo uradowało.

– Ale widzę, że niepotrzebnie się obawiałem – stwierdza. – A jak tam status waszego projektu? Gdy ostatnio rozmawialiśmy, udało wam się odciąć źmii jeden z łbów, wreszcie.

Mówi o Terransie i akcji w klubie. Pozbawienie Willa i jego przyjaciela Kyle'a jednego z dużych klientów tu, w kampusie, oznaczało znaczące ograniczenie przychodów, a tym samym utrudnienie w podejmowaniu radykalnych kroków jak błyskawiczna ucieczka czy unowocześnianie sprzętu, żeby w jeszcze większym stopniu ukryć swoje działania.

Charlie wygląda na zagubionego i szeroko otwiera oczy, ale szybko doznaje olśnienia.

– Aaa, chodzi panu o tego gościa z klubu, od Willa Cavanaugh! Tak, tym się zajęliśmy.

– Mam taką nieśmiałą sugestię – mówię lodowato. – Może nie będziesz rzucał nazwiskami na cały głos, tak żeby wszyscy mogli je usłyszeć?

– Wszyscy? – Charlie zerka na zmęczoną kelnerkę wycierającą w kącie stoliki i mężczyznę za stalową ladą w kuchni. – Tu jest jak na cmentarzu.

– Jack ma rację – popiera mnie Gregory. – To małe uniwersyteckie miasteczko. Nazwiska się roznoszą, zwłaszcza gdy ktoś je wykrzykuje.

Charlie zaciska widelec w dłoni i syczy:

– Dobra, szefie, przepraszam. Ale mówiłem, że nie jestem dobry w tym szpiegowskim szajsie. Chciałem mieć miłą, łatwą pracę, do której zostałem wyszkolony, ale pan posłuchał nowego...

– Nie przyjąłem tego zlecenia ze względu na niego. Nikt nie wpływa na mnie w większym stopniu niż ja sam. Przecież wiesz o tym. – Gregory marszczy czoło, a Charlie łypie spode łba w talerz. – Wziąłem tę robotę, bo dla was obydwu to dobra okazja, żeby się przekonać, czego naprawdę chcecie od życia. To nie jest praca na zawsze, mięśnie i trening będą was niosły tylko do

czasu, aż zaczniecie się starzeć. Reszta chłopaków już to wie, ale wy jesteście za młodzi, żeby to zrozumieć.

– Ale szefie... – zaczyna Charlie, jednak Gregory podnosi rękę i zapada cisza.

– Tu jest wasze miejsce, w szkole, gdzie powinniście pracować na lepszą przyszłość. Jeśli po zakończeniu tego zlecenia będziecie chcieli zostać ze mną, w Vorteksie, przyjmę was. Ale jeśli odejdziecie, zrozumiem. – Opiera się wygodnie i ociera usta serwetką. – Potraktujcie tę pracę jak test papierkiem lakmusowym. Bycie ochroniarzem to nie tylko stanie jak kij i wygląkanie groźnie. Jesteście najemcami, musicie robić to, co każe klient. Bez względu na to, jakie to niecodzienne czy obleśne. Czasem zleceniodawca oczekuje dziwnych rzeczy, bo tylko one zapewniają mu poczucie bezpieczeństwa. Jedną z nich może być zbieranie informacji. I będziecie musieli to zrobić. Na tym to polega: musicie robić, co wam każą, czy chcecie, czy nie.

– Mnie to pasuje – przekonuje Charlie.

– Pasuje ci, jak niczego wielkiego się od ciebie nie wymaga – poprawia Gregory. – Jeśli dzieje się coś nietypowego, robisz awanturę.

– Dobrze mi idzie z tym szajsem! – odpala Charlie. – Niech pan spyta Batmana.

Patrzy na mnie wyzywająco, ale pod tym złowieszczym ogniem widzę iskierkę nadziei, małą, ale błagalną. Może o tym nie wie, ale wprost błaga o potwierdzenie jego słów, żeby dobrze wypadł w oczach Gregory'ego. Jak mógłbym odmówić?

Kiwam głową.

– Daje radę. Umie się podlizać komu trzeba.

Charlie się rozluźnia i wygląda na niemal wdzięcznego, a Gregory uśmiecha się szeroko.

– Wiedziałem, że się sprawdzi! Mówiłem ci, gnojku, masz charyzmę.

Charlie robi się czerwony aż po cebulki włosów i szybko wypija szklanekę wody. Widzę, że nie jest przyzwyczajony do pochwał. Gregory zerka teraz na mnie.

– A tobie jak idzie, Jack?

– Też w porządku.

– Tak? Ta praca nie jest zbyt podobna do poprzedniej, prawda? Powstrzymuję wzdrygnięcie.

– Nie, proszę pana.

– A jednak sypiasz z dziewczyną, żeby wydobyć z niej informacje na temat naszych nowych przyjaciół – zauważa cicho.

– Dlaczego ty? Czemu nie Charlie?

– Bo to on jej się spodobał, szefie – odpowiada Charlie. Oczywiście Gregory doskonale wie, co robimy, bo o wszystkim go informujemy.

– Tylko tyle? – dopytuje.

– I dlatego, że jest przystojny czy jaki tam.

– To prawda. – Gregory na mnie patrzy. – Jesteś przystojny. A ja nakazałem ci używać każdej broni, jaką masz w arsenale, byle wykonać zadanie. I robisz to. Nawet zbyt skutecznie.

Mrużę oczy.

– Jak mam to rozumieć?

Gregory milczy i wpatruje się we mnie bez mrugnięcia okiem. Charlie nic nie rozumie i patrzy to na mnie, to na niego. W końcu Gregory prosi o rachunek, a Charlie odchodzi i przekłada moje resztki do pudełka. Gregory i ja patrzymy sprzed baru, jak to robi, starannie i metodycznie.

– Jego babcia nie jest zamożna – tłumaczy Gregory. – Szybko nauczył się szacunku do jedzenia.

– Jest bardzo w pana wpatrzony – mówię. Wyciągam papierosa i już mam zapalać, kiedy mija nas roześmiana dziewczyna o purpurowych włosach, z przyjaciółką. Wracam myślami do Isis, do blizn na jej nadgarstku i powoli odkładam papierosa.

Gregory niczego nie zauważa, śmieje się.

– Tak, wiem o tym. Dlatego chciałbym, żeby się poważnie zastanowił nad pracą w mojej firmie. To dobry dzieciak. Nieokrzesany, ale porządny. Przypomina mi mnie z młodości. Zasługuje na więcej niż długie godziny pracy i samotność, tego jestem pewien.

– A ja? – pytam cicho. – Co pan wie o mnie?

Gregory zezuje w moją stronę i pociera szczękę.

– Ty też mi przypominasz mnie z młodości, ale pod innym względem. Widzę w tobie moją bestię. – W zamyśleniu drapie się po głowie, a ja milczę. – Wiem, że miałeś przesrane dzieciństwo. Wiem, że byłeś smutny i ostro trenowałeś na ranczu, żeby się tego smutku pozbyć. Chciałeś wypocić to, co zrobiłeś. Ale podobno przeszłość lubi się powtarzać, a ja zaczynam w to wierzyć.

– Jak to?

– Blanche. Mówiłem ci, prawda? Znałem ją. Opowiadała mi o tobie. Wiem, co robiłeś, kiedy u niej pracowałeś. Kobiety, pieniądze... – Kręci głową. – A potem zacząłeś pracować dla mnie i robisz to samo: seks w zamian za coś.

– To tylko narzędzie – mówię chłodno. – Nic ponad to. Sam pan to mówił.

– Tak, wiem. Mówiłem to, bo nie chciałem ci łatwo odpuścić. Zamierzałem wykorzystać twój potencjał, żebyś mógł wziąć to, na czym ci zależało. Ale czy to to? Tego naprawdę chcesz? Nie będzie z tego dobrych pieniędzy. Nawet zadowalających. A praca

ciężka. Kontuzje, całe godziny pracy...

– Will Cavanaugh zapłaci za to, co zrobił – przerywam. – Bez względu na wszystko.

– A potem? – warczy Gregory. – Zapłaci i co? Co się stanie z tobą?

Nic nie mówię. Nie myślałem o tym. Nie chciałem. Skazanie Willa na poniesienie kary było moim ostatnim życzeniem, jedynym, co niosło mnie naprzód. Jeśli stracę i to, wywiążę się z tego zobowiązania, nie zostanie mi nic.

– Dobry z ciebie dzieciak. I bystry – dodaje. – Ale nie dlatego cię zatrudniłem. Zobaczyłem w tobie żądzę krwi, którą tak dobrze znałem, i poczułem się winny. Że ktoś jeszcze na tym świecie ma się tak podle i jest taki wściekły jak ja kiedyś. Więc zacząłem cię ścigać, grzebać w twoich sekretach. A gdy i to nie podziałało, przyjechałem do Vegas, przekupiłem tuzin cwaniaczków, żeby cię znaleźć, i znalazłem, bo byłem tobą. Dwadzieścia pięć lat temu byłem tobą, i to mnie zmasakrowało od środka. Musiałem ci wszystko przekazać. Pokazać ci to, czego sam się nauczyłem, rozdierając się na strzępy, zanim ty zrobisz to samo.

Przełykam z trudem ślinę, a Gregory kładzie mi rękę na ramieniu.

– Nie jesteś taki jak Charlie. W nim tli się zwyczajny gniew. Wszyscy się tak wściekają. Ale ta wściekłość nim nie rządzi jak nami.

– Ale pan mnie nauczył – przypominam. – Nauczył mnie pan, jak sobie z nim radzić...

– Zrobiłem, co w mojej mocy – mówi Gregory. – Ale nigdy nie będzie łatwo. To nie jest jak z włącznikiem światła, jest/nie ma. Będziesz musiał całe życie nad tym pracować. Ale podejmiesz ten wysiłek, jeśli będziesz chciał żyć, iść naprzód. Dopóki Will

Cavanaugh jest twoją jedyną motywacją, nie zajdziesz daleko. Bez względu na to, jaki jesteś silny i ile się ode mnie nauczyłeś. Potrzeba ci więcej. Musisz mieć powody. Potrzebujesz ludzi.

Patrzę na swoje dłonie. Świat wiruje, gdy myślę o wszystkim, co zrobiły. Krzywdzę ludzi. Niektórych z nich kochałem. Ścigałem jednego mężczyznę, aż umarł. Nie ocalałem Sophii. Porzuciłem przyjaciół, tych, którzy mi jeszcze zostali.

Porzuciłem Isis.

– Dokonałem wielu gównianych wyborów. – Łamie mi się głos. Gregory ściska moje ramię.

– Wszyscy tak mamy. Ale o życiu nie świadczą gówniane wybory, tylko to, co z nimi robimy.

Milczę, a po chwili wkrada się między nas głos Charliego.

– Szefie! Idzie pan?

Gregory przywdziewa uśmiech i odwraca się do Charliego, udzielając odpowiedzi na jego gorliwie zadawane pytania. Potem się rozdzielamy. Gregory jedzie na północ, do Columbus, na spotkanie z nowymi klientami. Po drodze do domu Charlie wydaje się nieco szczęśliwszy niż zwykle. Nie jest jak zawsze skrzywiony, nawet się lekko uśmiecha.

– Porządny z niego gość, nie? – pytam. Charlie wzrusza ramionami i marszczy czoło.

– Tak. Chyba tak.

– Bardzo go lubisz.

Marszczy się jeszcze bardziej.

– Bo ja wiem?

Jego niechęć do mówienia o uczuciach kogoś mi przypomina, chociaż ten ktoś serwuje znacznie więcej żarcików. Patrzę na drzewa migające za oknem. Mieszkam i pracuję z Charliem prawie od dwóch miesięcy.

„Potrzebujesz ludzi”. Słowa Gregory’ego odbijają się echem.

– Gregory znalazł mnie w hotelu – zaczynam mówić po chwili.

– Zakrwawionego i zmasakrowanego. Miałem wybity bark, złamane trzy palce i nos.

– A co zrobiłeś? – burczy Charlie.

– Biłem się. Piłem, biłem się i czekałem, aż ktoś mnie zabije.

Charlie zerka na mnie i mruży oczy. Przez chwilę patrzy na drogę, potem się odwzajemnia.

– Gregory raz mnie złapał, jak jeszcze był policjantem.

Unoszę brew.

– Serio?

– No. – Kiwa głową, a potem cicho prychnie. – Miałem przy sobie dziesięć gramów koki od poprzedniego szefa. Sprzedawałem bogatym dzieciakom z liceum. W San Francisco są ich tysiące, łatwa kasa. Mój gang je znał i wykorzystywał.

– Czyli Gregory był gliną w San Francisco?

– Jakiś czas. Potem odszedł i założył Vortex, a ja poszedłem z nim.

– Więc znacie się od dawna?

– Wystarczająco. To stary cwaniaczek. Ale nie jest taki zły.

Dobrze widzę, co się kryje pod tą pozorną zniewagą: uśmiecha się, gdy to mówi. Opieram się wygodnie.

– Co robimy dalej?

Charlie wzrusza ramionami.

– Brittany powiedziała ci o gościu, który kupuje prochy od Kyle’a i Willa, tak? Jego dopadliśmy. Powiedziała ci, jakich programów używa Will, tak? Próbowaleś je zhakować.

– Ale wiele nie zdołałem.

– Nieważne, w każdym razie się starałeś. Co jeszcze wiesz?

– Że Will Cavanaugh boi się ciemności.

- Brittany ci to powiedziała?
- Nie. – Kręcę głową. – Isis.
- Ona go zna?
- Kiedyś znała. – Ściska mnie w żołądku.
- Super! Niech Szczekaczka z nim pogada. Może wyciągnie więcej.
- Nie.
- Dlaczego nie? Przecież...
- On jej zrobił krzywdę. – Stanowczość, z jaką wypowiadam te słowa, robi wrażenie nawet na mnie. – Jeśli nie musi, nie rozmawia z nim.
- Sukinsyn – burczy pod nosem Charlie. – Faceci, którzy biją dziewczyny, to największe gnoje.
- Nie wyprowadzam go z błędu, ale patrzę z uznaniem. Skręca w prawo i zerka na mnie.
- Potrzebujemy twardych dowodów. Na któregoś z nich.
- Poszliśmy na imprezę basenową na osiedlu Kyle’a – przypominam. – Pytałem Brittany, które mieszkanie jest jego, ale nie wiedziała. Widocznie wprowadził się, jak już nie byli razem. Ale Will mieszka w kampusie, więc z nim powinno być łatwiej.
- A teraz wiemy, że boi się ciemności. Trzeba zamknąć jego komputer w ciemnym pokoju i mamy go.
- To nie takie proste. – Marszczę czoło. Charlie się śmieje, a robi to bardzo rzadko.
- Nic nie jest proste. Ale to mnie nigdy dotąd nie powstrzymało. – Kiedy nic nie mówię, wzdycha. – Trzeba mi było wcześniej powiedzieć, że Isis zna Willa.
- Bo co?
- Bobym jej tak szybko nie pogonił. Może zdobyć przydatne informacje. Jezu, w ogóle zdaje się, że ma porządniejszą

mózgownicę niż Brittany. Mogłaby się nam przydać.

– Mówimy o chłopaku, który ją dręczył – rzucam. – Nie narażę jej na to.

– A pytałeś, czy ona nie chce się na nim zemścić? – pyta Charlie lekko. Znow milczę, więc prychna. – Nie można się od razu zabierać do ratowania wszystkich, debilu. Musisz pozwolić podejmować własne decyzje.

– Ale jeśli to zrobi, on...

– Skrzywdzi ją? – kończy Charlie. – Bardziej niż dotąd? Nie sądzę. Teraz ma ciebie. Mówisz, że ją lubisz, a potem się okazuje, że nawet nie spytałeś, czy chce wyrównać z nim rachunki. Zdaje się, że jesteś hipokrytą.

– Nie masz o niczym pojęcia – warczę.

– Nie mam – zgadza się. – I ona też nie. Przez ciebie.

Z wściekłością wpatruję w drzewa w oddali. O Charliem Moriyamie można powiedzieć wiele: że jest prymitywny, arogancki i gburowaty, ale nie jest idiotą.

I akurat może mieć rację. W moim sercu rozlega się szepta nadziei: mógłbym poprosić Isis o pomoc. Mogłaby się zgodzić. Moglibyśmy pracować razem, choćby przez chwilę byłbym przy niej. Zaczyna się od ziarenka, które w ciągu nocy zmienia się w wielkie drzewo, potem w cały zagajnik, a w końcu w olbrzymi las. Moglibyśmy znow być razem i nawet jeśli nie oznaczałoby to niczego więcej, jak tylko milczące przebywanie w swojej obecności, wystarczyłoby. Wystarczy, że mógłbym patrzeć na jej twarz, na zmarszczki wokół oczu, na zmarszczone brwi, na uśmiech, którzy czasem widuję w snach. Wystarczyłoby, żebym mógł słuchać jej głosu, żartów, śmiechu. To by wystarczyło.

Leżę w łóżku, gapię się w sufit i przysięgam sobie, że wystarczy.

Ale nie.

Wkładam kurtkę i biorę kluczyki. Jazda jest krótka, a jesienny chłód grozi ostudzeniem zapachu. Ale nie dam się. Isis zasługuje na więcej. Zawsze zasługiwała.

Dzwonię do drzwi i czekam. Brittany otwiera. Ma na sobie piżamę i nie wie, co się dzieje.

– Jack, co ty tu...

– To koniec – oznajmiam. Pochmurnieje.

– Czego?

– Ciebie i mnie – precyzuję. – Koniec.

Odwracam się, zanim coś powie, ale łapie mnie mocno za rękę i ciągnie z powrotem. Obawiam się, że będzie wściekła albo wpadnie w histerię, ale jest tylko smutna.

– Powiedz przynajmniej dlaczego.

Kawałek mojego serca pęka. Ten, który odpowiadał za obietnicę, że już nigdy nikogo nie skrzywdzę z premedytacją.

– Popęliłem błąd – mówię. – Przepraszam.

Myśli chwilę, a potem puszcza moją rękę i kiwa głową.

– No tak. Dobra.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi. – Prawie się śmieje. – Ty przynajmniej zrobiłeś to osobiście. Nikt wcześniej nie powiedział mi tego w twarz. Zawsze przez esemesa albo telefonicznie. Więc w sumie dzięki.

Zamyka mi drzwi przed nosem i ma święte prawo. A mnie znika z ramion jakiś ciężar, mam lżejszą głowę, bardziej pustą.

Ból nadal jest, we mnie i spowodowany przeze mnie, ale mogę się postarać bardziej.

Mam więcej do dania niż tylko ból.

Rozdział 14

4 lata, 0 tygodni, 1 dzień

W całej historii planety Ziemia nie było głupszej istoty niż ja. Z wyjątkiem Boga albo Wielkiego Wybuchu, jak zwał, tak zwał, bo stworzył to miejsce i nas. A to, obiektywnie rzecz biorąc, było bardzo kiepskie posunięcie.

Tak czy inaczej, Bóg i ja jesteśmy *ex aequo* dwoma największymi głupkami w historii, bo ja zrobiłam coś równie idiotycznego, jak on: krzywdziłam sama siebie. Przez lata. Ukrywając przed światem swój brudny sekret.

Myślałam, że jestem silniejsza niż ta trauma, co jest świętą prawdą, nie licząc tej części, w której zapominam przyznać, że to faktycznie była trauma, a jak powiedziała Jemma po tym, gdy urwał mi się film na jednej z leżanek w jej gabinecie i ocknęłam się na dźwięk śpiewu ptaków i pod wpływem zapachu kawy ze styropianowego kubka, który mi podała, nieważne, co się stało ani jak długo trwało, stało się. Fakt, że nie działo się to notorycznie ani nie doszło do penetracji, nie znaczy, że to nie gwałt.

Przytrzymał mnie i masturbował się, kończąc na mnie.

To był gwałt.

Jemma zaprasza, żebym przyszła jeszcze w przyszłym

tygodniu porozmawiać przy okazji zmiany opatrunku, a ja się zgadzam. Nie jest terapeutką i nikt jej za to nie zapłaci, a jednak poświęca swój wolny czas na rozmowę ze mną i jestem jej za to wdzięczna. Poza tym że obolała, wykończona i psychicznie zmasakrowana wyrzuceniem z siebie wszystkiego naraz, ale przede wszystkim wdzięczna i gotowa na dziewięć pizz.

Chodzę inaczej, jakbym nie miała wnętrzości, tylko hel. Nie dźwigam już ciężaru na barkach, mam lżejszą głowę. Zamaszyście zarzucam włosami, mijając jakąś parę, i dociera do mnie, że już nie mam ochoty ich obrzygać.

Bezimienny to inna historia.

Schodzę do recepcji i nalewam sobie wody, a rozmowa pracujących tam kobiet odprowadza mnie do drzwi.

– Summers? Niemożliwe. Taki atrakcyjny mężczyzna. – Wzdycha jedna z nich.

– Cóż, zrobił to ktoś ze studentów – odpowiada druga. – A była już przecież rok temu skarga na niego, tylko że rektor nie zareagował, pamiętasz? Tamta dziewczyna odeszła, biedaczka.

– Więc myślisz, że to prawda?

– Studenci robią głupie rzeczy – stwierdza ta pierwsza. – Ale nie sądzę, żeby zawracali sobie głowę wypisywaniem słowa „zboczeniec” sztuczną krwią, gdyby nie mieli ku temu wyraźnego powodu.

– Jeśli zachowywał się nieelegancko w stosunku do dziewczyn, to jak słowo daję...

– Ochrona uczelni rozmawia teraz z jego studentkami...

Drzwi się zamykają i więcej nie słyszę, ale to nie koniec rozmów o moim dziele. Przed wydziałem nauk kulinarnych siedzi kilka osób i jedzą kremówki.

– Faj, krwią?! – Marszczy nos dziewczyna.

– Zasłużył, żeby to wypisać głównem – syczy chłopak.

– Zawsze uważałem, że jest zbyt miły – mówi drugi i kręci głową.

– Ale dlaczego facet z takim wyglądem musi molestować dziewczyny? To jakaś paranoja – syczy ten syczący.

Idę dalej. Grupa chłopaków z bractwa widzi Summersa przechodzącego przez trawnik i gwizdzą za nim, a on wypuszcza stos papierów i niezdarnie je zbiera. Szydercze spojrzenia i pełne wątpliwości szeptki dowodzą, że nastawiłam przeciwko niemu całą uczelnię. Czyli wciąż mam moc, słodko-piekielny dotyk Isis, który zasiewa grozę w sercach nikczemnych mężczyzn, gdziekolwiek się znajdują...

– Isis! – Podbiega Kieran. Widzę, że jest niezadowolony. – Mówiłem ci, żebyś nic nie robiła!

– No tak, ale ja i rozkazy kiepsko się dogadujemy. To znaczy dogadujemy się, ale nie idzie gładko i przykro się na to patrzy.

– Namierzą cię! Tu wszędzie są kamery!

Żołądek nieprzyjemnie mi się ściska, ale zbywam jego uwagę.

– Nie bój się, dokonają samozapłonów pod wpływem mojej powalającej seksowności.

– Niczego nie dokonają, a ciebie wyrzucą!

– Więc musimy korzystać póki czas.

– Isis... – Łapie mnie za nadgarstek i przyciąga do siebie. Obracam się na pięcie i odchrząkuję.

– Wiem, że tamten pocałunek był fajny – mówię. – I że całowaliśmy się dużo, jak na dwoje ludzi, którzy poznali się obok kolesia bez koszulki rzygającego na grządkę petunii, a ty jesteś naprawdę miły i wyglądasz na Szkota, co jest zawsze spoko, kobiety kochają kilty, może niekoniecznie ja, ale większość „kobiet”, w cudzysłowie, czyli jakieś siedemdziesiąt procent

damskiej populacji w wieku od osiemnastu do trzydziestu ośmiu lat. I wiem, że mnie lubisz i że chciałbyś się ze mną spotykać, i że dobrze się dogadujemy, ale oto ja, obracająca w niwecz wszystkie nadzieje i marzenia. Nie chcę się z nikim spotykać. Chociaż może to nie do końca prawda, ale dupek, z którym chcę się spotykać, nie chce spotykać się ze mną. Więc. Więc starałam się po prostu o nim zapomnieć. I wykorzystywałam w tym celu twoje usta jak naprawdę podła osoba z filmu, jak czarny charakter, ale z drugiej strony zawsze byłam czarnym charakterem albo złym smokiem i przepraszam. Bardzo, bardzo cię przepraszam. Jestem smokiem i czasem coś spalę. Przepraszam.

Zielone oczy Kierana są zszokowane, a jego uścisk słabnie. Odwracam się i zostawiam za plecami kolejną osobę, którą skrzywdziłam, i żałuję tego, ale nie będę się za to biczować. Mam dość łożenia bez przerwy ze skatowanym sercem.

Odchodzę tak zdecydowanie, że nawet nie zauważam Diany. Piszczy, robi w tył zwrot i mnie dogania.

– Isis! Tu jesteś! Wszędzie cię szukamy!

– Nie teraz, księżycowa bogini. Mam na liście paru chłopców do odptaszkania.

Wybuchła śmiechem i zwalnia.

– A co z wesołym miasteczkiem dzisiaj? Mówiłaś, że chcesz iść.

– Będę! – odkrzykuję i wchodzę do męskiego akademika. Lecę na górę po dwa schodki i mocno pukam do drzwi. Przez jakieś trzy sekundy nic się nie dzieje, ale potem się otwierają. Jack wygląda, jakby przed chwilą skończył przebiegać przez maszynkę do mięsa, która miele dusze przystojnych młodzieńców.

– Cześć – zaczynam dziarsko. – Chciałabym, żebyś mi pomógł zabić Willa Cavanaugh. – Widzę w lodowatych oczach Jacka

zdziwienie, gdy po raz pierwszy od lat wypowiadam pełne imię i nazwisko Bezimiennego. Przypomina mi się jednak, jakie są priorytety. – Ale się nie pali. Najpierw chciałabym, żebyś poszedł ze mną do lunaparku. Jeśli Brittany nie chce, żebyś szedł, mam to gdzieś. I tak idziesz.

Spodziewam się, że odmówi albo będzie zły, ale w kącikach jego oczu pojawiają się zmarszczki. W języku Jacka to uśmiech.

– Dobrze.

– Ja prowadzę.

– Dobrze.

– Przed wydziałem psychologii o dziewiątej.

Kiwa głową i już otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale szybko się odwracam i odchodzę. Nie mogę z nim dłużej rozmawiać, najpierw wmuszę przećwiczyć swoją kwestię. Na opracowanie jej mam sześć godzin minus najazd na szafę. Yvette przygląda mi się z uprzejmym zainteresowaniem przypadkowego świadka huraganu, gdy przerzucam przez ramię skarpetki, spodnie i koszule.

– Ale gdzie byłaś, tak na serio? – pyta w końcu. – Myślałyśmy z Dianą, że...

– Rozmawiałam z jedną miłą panią – odpowiadam. – Pomogła mi uświadomić sobie pewne rzeczy. Wbrew powszechnym przekonaniom, obcy ludzie przydają się przy wyrzucaniu z siebie paskudnych sekretów.

Wyciągam różową bluzkę, a Yvette ćwierka:

– Tę weź, tę!

Isis z wczoraj zmarszczyłaby nos i odrzuciła tę bluzkę. W sumie powinnam to zrobić nawet teraz. Ale z jakiegoś powodu ściągam koszulkę i wkładam ją. Oceniam sytuację, kręcąc się przed lustrem. Czekam na głosy, ale panuje cisza. Bezimienny

nie szepcze, jaka jestem brzydka. Jak raz nic się nie dzieje. Nie słyszę go, patrząc na swoje odbicie. Żadnych wyzwisk, parsknięć, nic.

Odszedł.

Znaczy, nie odszedł, bo jest tu gdzieś, w kampusie, w moich bliznach i koszmarach sennych, ale w lustrze już go nie ma.

Bluzka jest lekka i przyjemna, a falbanki unoszą się z każdym ruchem. Yvette pomaga mi wybrać krótkie dzinsowe spodenki i pożycza starą, zniszczoną kurtkę wojskową, która wygląda megazajebicie i świetnie się nadaje na chłodny jesienny wieczór. Na koniec zbiera mi włosy z szyi i wiąże w kucyk.

– Tak wyglądasz superseksownie.

– To dobrze. Chcę, żeby ludzie patrzyli na mnie i myśleli: Chcę jej dać milion dolarów w gotówce.

– Czemu masz taką obsesję na punkcie pieniędzy?

– Bo za nie można kupić rzeczy oraz przedmioty.

Yvette się śmieje i kręci głową.

– Ja mogę ci dać dychę. W sensie: dziesięciocentówkę.

Wyciągam rękę i czekam, aż przeszuka portfel. Monetę wkładam do stanika na szczęście.

Ćwiczę w głowie, co chcę powiedzieć, raz za razem, na wszystkie strony. Analizuję potencjalne kruczki, wymyślam kontrargumenty i żarciki, przygotowuję parsknięcia, ale wszystkie wylatują mi z głowy na widok Jacka czekającego niedaleko parkingu. Opiera się o drzewko brzoskwiniowe, włosy ma uczesane, ale jakimś cudem wciąż nieulożone, ubrał się w czarne dzinsy i czerwoną flanelową koszulę. Ma strasznie długie nogi, szerokie ramiona, a twarz dumną i piękną jak u lwa. Wtedy mnie to uderza: on dojrzeva. I ja też. Czas na nikogo nie czeka. Zmarnowałam cztery lata życia na oplakiwanie kogoś, kto nie był

tego wart.

Ale ten chłopak... Ten głupi, cudowny chłopak może być wart wiele.

– To nie będzie święto drwali – mówię, podchodząc. Patrzy na koszulę pod skórzaną kurtką, a potem się odzywa, nawet się do mnie nie odwracając.

– Lubię flanelę.

– Ty i cała hipsterska populacja Seattle.

Parska śmiechem i idzie za mną do auta. Jedziemy w całkowitej ciszy, ale to nie jest dziwna cisza. Po jakimś czasie pojawiają się namioty i czubek podświetlonego na neonowo rollercoastera.

– Mam bilety – oznajmiam, wjeżdżając na parking. – Więc dostąpisz zaszczytu postawienia mi wszystkiego, co będę chciała zjeść.

– Wszystkiego? Kobieto, ty jesteś gotowa pożreć równowartość miesięcznej racji żywniowej Trzeciego Świata!

– Czy to oznacza, że jestem łakoma albo niecna?

– Jedno i drugie – podsumowuje i bierze pakiecik kuponów, który mu podaję. Zatrzymuje się pod łukowatym wejściem na teren lunaparku, a światło księżycy sprawia, że każde drzewo jest czarne, a chmury srebrne. Światełka na diabelskim młynie, rollercoasterze i wahadle faraona migoczą, czuć tłusty popcorn i hot dogi, a z nimi miesza się zapach kruchych jesiennych liści.

– Ostatni raz byłem w wesołym miasteczku z Sophią – odzywa się w końcu Jack. Moje serce zmienia się w tonę ołowiu spadającą na głowę bohatera z kreskówki, tyle że głowa znajduje się na wysokości mojego splotu słonecznego.

– Cholera. Chodźmy stąd – reaguję szybko. – Nie musimy. Nie chciałam...

Czuję na nadgarstku ciepłe palce Jacka. Obejmuje mnie, ale nie tak mocno jak Kieran. Ostrożnie. Mogłabym się wyrwać, gdybym chciała, ale nie chcę.

– Nie – odpowiada Jack. Łagodnie, ale zdecydowanie. Potem patrzy mi w oczy. – Chcę to zrobić, z tobą.

Trochę się topię na brzegach, ale zaraz przypominam sobie, kim jestem, wystawiam język i przechodzę przez bramę.

– Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegałam.

Zmuszam go do kupienia mi lodów, hot doga w kukurydzianej panierce i napoju z kruszonego lodu.

– Milady – przeciąga samogłoski, jakby był Anglikiem. – Ma pani apetyt jak koń.

– A ty masz twarz jak koń, więc się zgadza.

– Jesteśmy na studiach. Mamy oficjalny zakaz mówienia „A ty...”

– Ale to dziewięćdziesiąt pięć procent mojego repertuaru!

– No właśnie. – Wzdycha. – Jak teraz zarobisz na życie?

– Nie mogę zarabiać na życie jako studentka – protestuję. – Powinnam być spłukana, cały czas pić i robić brzydkie rzeczy... wszędzie. To bardzo wymagająca lista obowiązków.

– Nie musisz realizować planu Hollywood. Możesz być po prostu sobą. – Jego oczy łagodnieją.

– Czasem mi się wydaje... że jestem w niewłaściwym miejscu. Czuję, że powinnam robić coś więcej ze swoim życiem. Rozumiesz?

Jack czochra mi włosy, a ja patrzę na niego zszokowana. Uśmiecha się odrobinę, w ten swój ledwo dostrzegalny sposób.

– Rozumiem.

Mam niebieski język i aż mnie boli od wszystkich słodczy, które wchłonęłam. Jack mówi, że umrę, a ja odpowiadam, że

moja wola jest silniejsza od cukrzycy, on się ze mnie śmieje, a potem ja się śmieję z niego, kiedy idziemy na wahadło i wygląda, jakby miał zrobić kupę w majtki.

– Żyjesz?! – krzyczę na widok jego bladej twarzy. Usta ma tak zaciśnięte, że tworzą cienką linię, zaciska też pięści, ale odkrzykuje:

– Wszystko w najlepszym porządku!

– Tak? Bo wyglądasz jak wampir. Jeśli jesteś wampirem, lepiej mi powiedz, zanim zjem pałeczki chlebowe z czosnkiem. – Wskazuję na odpowiedni stragan w dole.

– Nic mi nie jest! – ucina.

Podnoszę ręce i krzyczę, gdy docieramy do wierzchołka. Nasze żołądki wyrywają się na wolność, a on puszcza cudowną wiązkę przekleństw i przerzuca ręce przez moją klatkę piersiową, żeby mnie trzymać, co jest zupełnie niepotrzebne, bo zapięłam pasy.

– Boisz się wysokości! – wykrzykuję bez tchu, gdy zsiadamy. Jack lekko się zatacza i w końcu musi się chwycić kosza na śmieci.

– Nie boję się! – wmawia mi, cały zielony na twarzy. – Odczuwam tylko całkowicie usprawiedliwiony niepokój, kiedy jestem zawieszony piętnaście metrów nad ziemią w dziko rozkołysanym wahadle.

– Grawitacja jest po naszej stronie. – Klepię go współczująco po plecach. – Moglibyśmy zginąć jedynie w sytuacji, gdyby coś się obluzowało. Albo gdybyśmy ważyli trzysta sześćdziesiąt trzy kilo.

Biorę watę cukrową ze stoiska i patrzę na niego wyczekująco, licząc, że zapłaci. Mamrocze coś pod nosem i wyciąga pięć dolarów z portfela.

– Jak tak dalej pójdzie, będziesz ważyła trzysta sześćdziesiąt trzy kilo przed końcem wieczoru.

– Będę równie seksowna, jak teraz – oznajmiam wyniośle i odgryzam kłęb waty. Jack parska śmiechem i nachyla się do mojej twarzy tak blisko, że mam wrażenie, że mnie pocałuje. Wszystko zamiera, światła mrugają dwa razy wolniej, głosy dochodzą jakby ze słoika, a słowa są tak rozciągnięte, że niezrozumiałe, ale on tylko wgryza się w watę i odchyła z powrotem. Czas wraca do siebie. Postanawiam go ukarać i ruszam w kierunku rollercoastera. Jęczy przeraźliwie, ale posłusznie idzie za mną.

Robi mi się go w końcu żal, gdy prawie rzyga do kolejnego kosza na śmieci, którego się łapie, i prowadzę go dla odmiany do alejki konkursowej. Łowienie złotych rybek, rzucanie do celu balonami z wodą, strzelnica, jest wszystko, co trzeba. Jack sunie za mną.

– Ej, zwolnij! – mówi.

– Twoja prośba została drobiazgowo rozpatrzona przez Zarząd Mnie, a następnie odrzucona.

– Naprawdę powinnaś wziąć tu Kierana – stwierdza.

– A niby czemu? Nie lubisz wesołych miasteczek?

– Nie, ale on jest... – Marszczy czoło. – Czy ty i on nie...?

– Nie. Jest fajny jako kolega. Ale nie. Zbyt prosty. Uroczy, ale za normalny. Na dłuższą metę normalność odpada. Bycie seryjnym mordercą także, ale normalność jest zaraz na drugim miejscu. A może nawet na miejscu jeden przecinek pięć.

Czuję, że Jack mi się przygląda, i gdzieś w środku wije się niepewnie, więc łapię za strzelbę i celuję mu w czoło. Wygląda na przerażonego.

– W drugą stronę – informuje mnie poważnie.

– Właśnie, że w tę.

– Proszę pani, cele są za panią! – woła nerwowo licealista

obsługujący strzelnicę. Odwracam się i patrzę na niego, potem na rozpiskę zasad, a następnie na wielką pandę, która jest nagrodą za zestrzelenie wszystkich pięciu celów. Idealna! Jak Panna Muffin, tylko wielka. To Pan Muffin. Chcę go.

– Wypoć więcej kulek, młodzieńcze – mówię. Dławi się i nerwowo zerka na czarne plamy pod pachami.

– Słucham?

– Sześć strzałów nie wystarczy. Muszę mieć zapas.

– Sześć to aż za dużo – włącza się Jack i podaje chłopakowi kupon, a ode mnie bierze strzelbę. – Patrz młody i ucz się.

– To będzie dobre! A mówiąc dobre, mam na myśli zjawiskowe.

– Opieram się o ladę i patrzę, jak Jack przybiera pozycję, mruży oko, pociąga za spust i strzela w sam środek pierwszego celu, który wybuchą różową farbą. Jack się do mnie odwraca i zawadiacko unosi brew, jakby chciał powiedzieć „A nie mówiłem?”. – Wielkie rzeczy. Ćwiczyłeś z pistoletem na wodę, nie popisuj się.

Przechodzi do następnego celu i zestrzeliwuje go, tak jak trzeci i czwarty. Każdy za pierwszym razem i trafiając w sam środek. Chłopak gwizdże i szybko mruga, jakby bał się, że to jakieś złudzenie, a przed oddaniem piątego strzału Jack na mnie spogląda.

– Szkoła dla ochroniarzy dobrze ci zrobiła – przyznaję. – A może jednak jesteś seryjnym mordercą?

– Mam talent do ranienia. – Opiera strzelbę o biodro i jest to gest tak nieznośnie arogancki, że mam ochotę wepchnąć go do baseniku z piłeczkami tuż obok i/albo rzucić się na niego, żeby go pocałować. – Ale to wiedzieliśmy od zawsze, czyż nie?

Śmieje się, ale trochę rozpaczliwie, oczy ma zimne i już żałuję swojego komentarza o mordercy, ale zanim zdążę przeprosić,

ustawia się ponownie i zestrzeliwuje piąty cel. Chłopak przedstawia mu nagrody do wyboru, a Jack analizuje sytuację przez jakieś pół sekundy, a potem decyduje się na wielką pandę. Podaje mi ją, a mnie zatyka.

– Co ty...

– Widziałem, jak się do niej ślinisz. Jest twoja.

– E tam. – Oddaję mu pluszaka – Daj Hemoroidowi. To twoja dziewczyna.

– Nigdy się tak naprawdę nie spotykaliśmy. – Sadza mi pandę na głowie, a jej dyndające nogi wpadają mi do oczu. – A poza tym wczoraj jej powiedziałem, że nie chcę się z nią więcej widywać.

Tłumię dreszcz, który przeszywa moje żyły i przybieram wyniosłą minę.

– Ach, ach! Nadal wykorzystujesz kobiety, a potem wyrzucasz jak zużyte chusteczki.

– Zasadniczo częściej to kobiety wykorzystywały mnie – stwierdza ponuro. Przytulam do piersi pandę i staram się nie zwracać uwagi na ból w jego głosie. Zawsze dobrze go ukrywał, ale dziś słyszę go wyraźnie. Naprawdę się starzejemy.

– Myślisz czasem o tym? – pytam, truchtając wśród budek z grami, bo zależy mi, żebyśmy się poruszali, żeby nie było zapaści.

– Może tamta praca wpłynęła na ciebie bardziej, niż chcesz przyznać?

– Mówiłem ci już, ale powtórzę, że to nic dla mnie nie znaczyło, nic nie czułem...

– Czułeś się wykorzystywany – przerywam. – Nie chciałeś tego robić, nieważne, ile razy będziesz powtarzał, że to była obustronna korzyść. Niechęć to nie jest zgoda. Niechęć to niechęć.

Milknę. Ja za to wskazuję na diabelski młyn i uśmiecham się.

– No chodź! To jest wolne, jak nie patrzysz w dół, w ogóle nie czujesz, że wisisz milion kilometrów nad ziemią.

Wagonik się kołysze i Jack wygląda na trochę zmulonego, ale światła lunaparku w dole są tak śliczne, że nawet on nie może zaprzeczyć. Przyglądamy się różowym i zielonym łukom i wysepkom niebieskiego i białego, które rozbłyskują i gasną, gdy się wznosimy. Muzyka cichnie. Nasze kolana niemal się stykają.

– Jak tam twoja ręka? – pyta. Zerkam na plaster i wzruszam ramionami.

– Nie zmienię się w zombie więc to już coś.

– Martwiłem się – mówi ostrożnie. – Wiem, że nie mam prawa się o ciebie martwić, ale strasznie się niepokoiłem i nic nie mogłem na to poradzić. Cieszę się, że dobrze się goi i że wszystko z tobą w porządku.

– Ze mną wszystko w porządku? – Śmieję się. – Sama nie wiem.

– Wyglądasz lepiej – stwierdza. – Nie masz już takiej smutnej twarzy.

Wyglądam przez okno. Strasznie chcę powiedzieć mu to, co Jemie, ale to zły moment. Gdybym powiedziała, w wagoniku diabelskiego koła znalazłby się Bezimienny, a ja chcę, żebyśmy byli tu we dwoje, nikogo więcej.

– Jak zmrużysz oczy, lunapark wygląda jak galaktyka – stwierdzam. – Bez kriogejzerów.

Parska śmiechem.

– No nie wiem. Budki z lodami są wystarczająco zimne.

Gdyby to był film, karuzela by się zacięła, wystrzeliłyby fajerwerki albo coś w tym stylu, ale wagonik tylko na chwilę zatrzymuje się na samej górze, Jack patrzy mi w oczy, mój żołądek kurczy się i pęcznieje jednocześnie, a ja powinnam coś powiedzieć, bo to jest ta chwila, w której coś się mówi, wiem to z

każdego filmu, jaki oglądałam, ale chwila mija, a wagonik rusza w dół, tylko że ja już nad sobą nie panuję, zwłaszcza że jestem w podświetlanym ledami gigantycznym kołowrotku dla chomika i...

– Isis, znów myślisz na...

– Kocham cię – wypalam. – Przepraszam. Przepraszam, że to mówię, ale cię kocham. Nie musisz... Nie musisz nic z tym robić ani nic mówić, no wiesz, mogę cię po prostu odwieźć do domu i jeśli po tym wszystkim nie będziesz chciał już ze mną rozmawiać, zrozumiem, bo dziewczyny pewnie wyznają ci miłość cały czas i możesz mieć już dość, nie zdziwiłabym się, ale ostatnio uświadomiłam sobie wiele rzeczy, a najważniejsza jest ta, że chyba cię kocham, choć nie jestem pewna, tak sądzę, tylko że to nie jest zbyt romantyczne ani przekonujące, że nie jestem pewna, ale nic nie poradzę, bo w zasadzie nie wiem, czym jest miłość, znam tylko definicję, ale to, co do ciebie czuję, spełnia zasadnicze kryteria i chciałabym dowiedzieć się na ten temat więcej, a ty mógłbyś mi pomóc, ale tak zasadniczo, to po prostu cię kocham, bez żadnego dowiadywania, po prostu cię kocham, głupi idioto, więc gdybyś mógł, gdybyś potrafił mnie też po prostu kochać, byłoby naprawdę fajnie, ale jeśli nie możesz, to rozumiem, to jest ogólnie trudne, a do tego ja jestem ciężkim przypadkiem i nie w twoim typie i dla kogoś zrozpaczonego to za dużo pracy, więc może mógłbyś zamiast tego udawać, że mnie kochasz i nie napracować się aż tak, mogłabym być miłą rozrywką, mógłbyś też wykorzystać mnie do..., nie wiem, do seksu albo do odwracania uwagi od przykrych spraw, albo do bycia mniej zrozpaczonym, a ja nie miałabym nic przeciwko, bylebyś tylko udawał...

Jack się nachyla i tym razem naprawdę mnie całuje. Moja dusza nie staje w ogniu ani nie kręci mi się w głowie, jak to pisali

w książkach, ale czuję jego smak i zapach i wiem, że całuje mnie, ze wszystkich dziewczyn świata właśnie mnie, a gdy się odsuwa, uśmiecha się tym uśmiechem, którym obdarzał tylko Sopię, a teraz uśmiecha się tak do mnie, złoisty, słodki i szczery, a potem opiera czoło na moim czole i ten uśmiech jest sto razy lepszy niż fajerwerki. I może jednak trochę kręci mi się w głowie.

– Głupku. Nie będzie żadnego udawania – mówi. – Bo ja też cię kocham.

Zamieram, drzę, nie ośmielam się wierzyć.

– Ale... Ale naprawdę? – szepczę. – Naprawdę, naprawdę tak myślisz? Bo... Bo nie mogę znów mieć nadziei. Nie zniosłabym, gdyby tym razem nic z nich nie wyszło. Rozumiesz? To boli.

Śmieję się, choć mam łzy w oczach, a Jack obejmuje moją twarz dłońmi i patrzy mi prosto w oczy swoimi lodowatymi oczami, jasnymi i radosnymi.

– Kocham cię – powtarza. – Chciałem móc cię kochać od tamtego wieczoru w morskim pokoju. Chciałem zdjąć z ciebie ból, objąć się i chronić, rozśmieszać cię, sprawić, żebyś się uśmiechała i pokazać ci, co to jest miłość. Od tak dawna chciałem udowodnić, że jesteś warta miłości dokładnie taka, jaka jesteś. Ale próbowałem się tego wyprzeć, wmówić sobie, że nie jestem dość dobry, że tylko bym cię ranił. I raniłem. I przepraszam cię za to. Ale się bałem. Bałem się kochać kogoś tak delikatnego, pięknego i niezwykłego jak ty. Wiedziałem, że będę miał tylko jedną szansę i przerażała mnie myśl, że wszystko zepsuję, a ty będziesz tylko smutniejsza i jeszcze bardziej przekonana, że nie zasługujesz na miłość. Przerażały mnie moje wady i z tego powodu cię skrzywdziłem.

Prycham, a Jack ściera kciukami łzy, które wymykają mi się spod powiek.

– Przepraszam cię bardzo – szepcze. – Kocham cię i przepraszam.

Łapię go za kołnierzyk koszuli i całuję jeszcze raz i potem kolejny, a on przesuwając dłonie po moich plecach, delikatnie obejmuje dłonią mój policzek, a ja nigdy niczego bardziej nie pragnęłam, niż żeby ta chwila nigdy się nie kończyła, ale jednocześnie nie mogę się doczekać jej końca, bo chcę więcej, więcej niż to, jestem głodna i pusta, a chcę być pełna i gdy obsługujący diabelski młyn otwiera drzwiczki do naszego wagonika, wyciągam Jacka na zewnątrz i prowadzę go ze śmiechem, a wiatr suszy mi łzy, gdy trochę biegniemy, a trochę zataczamy się po drodze do samochodu, zatrzymując się przy budkach z rzutkami i przy stoisku z pączkami, żeby zrobić przerwę na pocałunek. Do włosów przyczepia nam się zapach cukru i potu, a gdy na ciemnym parkingu usiłuję otworzyć samochód, Jack całuje mnie w szyję, ja daję mu kuksańca, żeby przestał, a on się śmieje i idzie do drzwi od strony pasażera, a potem przez całą drogę powrotną do akademika łaskocze wnętrze mojej dłoni.

– To może wszystko zepsuć! Po tym wszystkim możemy już nigdy, w całej historii wieczności, nie być przyjaciółmi. Jeszcze jest czas, żeby zmienić zdanie – oznajmia Isis, gdy wsiadamy z jej auta i zamyka drzwi. Obchodzę samochód i biorę ją za rękę. Ściska moją dłoń i się rumieni. – Jeszcze możemy być przyjaciółmi. Albo wrogami. Wrócić do tego, co było.

Coś ściska mnie w piersi i bez namysłu wplatam palce w jej włosy i ciągnę ją do siebie, żeby ją namiętnie pocałować. Przez sekundę jest w szoku, ale zaraz łapczywie odpowiada, oddycha w moje usta słodko, szybko i całą sobą, a potem ja się odsuwam.

– Chcę cię, Isis. Nie jako przyjaciółkę. Nie jako wroga. Jako najpiękniejszą dziewczynę, jaką znam.

Zapada cisza, a moje słowa wiszą w powietrzu jak rozkołysana nić. Isis się uśmiecha.

Ciągnie mnie i popycha jednocześnie i oboje się śmiejemy, gdy prawie wpadamy na szklane drzwi do jej akademika. Chwilę szamocze się z kluczami, ale zaraz drzwi do jej pokoju stoją otworem, a jej współlokatorka, jak mnie informuje, nocuje dziś u kogo innego. Myśl, że mam ją całą dla siebie w zamkniętym pokoju z miękkim łóżkiem sprawia, że po kręgosłupie szaleją mi dreszcze niecierpliwości. Całuje mnie znów i zrzuca buty, więc ja też zdejmuję swoje, i ciągnie mnie w stronę skłębionego łóżka nakrytego wzorzystą narzutą. Jest jak płomień, który pali się coraz jaśniej i wypala mi myśli w mózgu. Czuję jej palce na piersi i zrzucam kurtkę, żeby ułatwić jej dostęp i poczuć ją bardziej. Kąsam jej wargę, a ona odpowiada tym samym i ukłucie prawie bólu popycha mnie w stronę przepaści. Jej dłonie szaleją, czuję je na ramionach, na plecach, zsuwają się w kierunku pępka...

– Isis. – Łapię ją za ręce i patrzę w oczy. – Posłuchaj mnie. Nie mogę... nie mogę ci dać wszystkiego, o czym marzysz. Dopiero zaczynam zbierać się do kupy. To twoja ostatnia szansa. Powinnaś znaleźć sobie kogoś, kto nie jest tak przeczołgany jak ja.

Marszczy czoło i nachyla się do mojej piersi, mrużąc pod nosem:

– Jezu, co za nudy.

– Isis, mówię poważnie, zasługujesz na kogoś lepszego...

– Właśnie! – Podnosi oczy pełne ognia i buntowniczo wysuwa brodę. – Mam gdzieś, co możesz mi dać, a czego nie. Ja chcę ciebie. Nawet przeczołganego. Nikogo innego. Tylko Jacka.

Nieoczekiwana fala podniecenia niemal boleśnie uderza w moje serce. Walę się jak zamek z suchego piasku pod wpływem jej słów i z nieoczekiwaną siłą popycham ją na łóżko. Potem zamieram i podnoszę się, przerażony, że będzie zła, przestraszona albo zacznie się trząść, ale ona tylko się śmieje i wyciąga ręce.

– Chodź, debil.

Jej włosy rozsypują się na poduszce, a bluzka lekko się podnosi i odsłania kawałek śmietankowego biodra. Powoli nachyliłam się i całuję to miejsce, a potem podsuwam bluzkę nosem i ruszam z pocałunkami w górę. Najpierw chichocze, a potem, gdy docieram do stanika, zaczyna rozkosznie jęczeć. Podnoszę się i patrzę jej w oczy, pociągając za ramięczko.

– To ma zniknąć.

Unosi brew, a potem siada i podciąga moją koszulkę.

– To też. Musi być sprawiedliwie.

Szybkim ruchem ściągam T-shirt przez głowę i widzę, jak jej oczy się rozświetlają, gdy na mnie patrzy. Przywiera ustami do mojej skóry i całuje obrys każdego mięśnia, a gdy dociera już bardzo nisko, nie jestem w stanie stłumić głośnego oddechu, który wyrywa mi się z ust.

– Isis...

Wciska nos w moją skórę i wacha.

– Dobrze pachniesz. Miodem.

Warczę i lekko pcham ją na poduszki.

– A ty... – Wącham jej nadgarstek, włosy i miejsce między piersiami, za co obrywam w głowę, a ona piszczy. – Ty pachniesz latem i cynamonem. Mógłbym cię zjeść. I zjem cię – ogłaszam, a ona się rumieni.

– Gdybym wiedziała, że to się wiąże z kanibalizmem, na pewno

bym się nie zgodziła.

– Ale już za późno. – Śmieję się i liżę jej szyję. – Teraz jesteś moja. *Bon appétit*.

Wzdycha cicho, a gdy za bardzo łaskoczę, napina mięśnie. Śmiejemy się, a potem powoli i ostrożnie zdejmuję jej bluzkę. Nie może na mnie patrzeć i ucieka wzrokiem, gdy jej się przyglądam.

– Mogę? – pytam. Kiwa głową, znów wysuwając brodę. Muskam palcami jej brzuch, biały jak mleko i miękki, z jaśniejszymi kreskami biegnącymi poziomo na wysokości pępka.

– Są obrzydliwe – mówi. – To rozstępy. Przepraszam.

Pochylam się i całuję je, każdy z osobna, a potem przenoszę się na nadgarstek i ślady po przypalaniu papierosem, całuję każdą bliznę, która wpadnie mi w oczy, a ona wydaje zduszony okrzyk i ciągnie mnie na górę, do siebie, i całuje szaleńczo, wygłodniałe, namiętne i jeszcze zapalczywiej niż wcześniej. Nagle to ona jest na górze, całuje moją szyję i obojczyk, ramiona, pierś i znów pępek, otacza go wirem miękkich ust i gorącego oddechu.

– Isis, czy ty...

– Ćśś. – Reaguje błyskawicznie i z aż niepokojącą niecierpliwością rozpina mi rozporek, a potem ściąga mi dżinsy aż do kostek. Uśmiecha się na widok moich czarnych bokserek, ale potem patrzy na mnie.

– Rób, co chcesz – proponuję, a ona nuci coś radośnie i mnie dotyka. Rozpadam się na milion kawałków. Wyobrażałem sobie tę chwilę milion razy, ale nic nie może się równać z rzeczywistością. Z prawdziwą Isis uśmiechającą się pod nosem, zarumienioną i półnągą. Wszystkie moje zbereżne fantazje ożywają, całe bolesne pragnienie jej dotyku kulminuje się w tej jednej chwili.

Ale nie. Nie tak powinien wyglądać nasz pierwszy raz.

Obracam nas z powrotem tak, żeby była na dole, ale piszczy i wydyma dolną wargę. Całuję ją, mrużąc w przerwach:

– Będzie jeszcze... Wiele okazji... Żebyś ty dręczyła mnie – oznajmiam, a w każdej przerwie mieści się długi pocałunek. – Ale dzisiaj... Ty jesteś najważniejsza... I ja zrobię dla ciebie wszystko.

– Więc możesz leżeć cicho i dać mi sprawdzić, o co chodzi z tą całą histerią na temat fiutków.

– Już ci mówiłem, będzie czas. Dzisiaj ja rządzę. Sprawię, że będziesz odprężona. A potem będziesz krzyczeć. W tej kolejności.

Piszczy i zakrywa twarz.

– Nie mów takich głupot, idioto!

Śmieję się cicho, a potem rozpinam jej stanik i zaczynam powolutku zsuwać.

– Ej! – protestuje i krzyżuje ramiona na piersiach. – Nie patrz!

– Ale ty widziałaś moje! – jęczę.

– Bo twoje są małe i żałosne.

– To prawda. – Muskam ustami skórę jej dekoltu, śledzę trasy, jakimi biegną żyłki. – W porównaniu z tym, co ty zakrywasz, moje są naprawdę bardzo nieciekawe.

– I obwisłe – dodaje odruchowo, ale mnie nie sprowokuje.

– I obwisłe, tak – zgadzam się. Powoli się odpręży, bardzo powoli, zadziorność wyparowuje i pojawia się rumieniec, gdy z ociąganiem przenosi ręce na oczy.

– Dobrze. Patrz sobie.

Zwykły człowiek mógłby przegapić jej kształty, bo tego właśnie chciała. Zawsze nosiła trochę za luźne ubrania, o rozmiar za duże, specjalnie tak dobrane. Ale ja widziałem dość migawek tu i tam, żeby domyślać się, jak jest naprawdę. Teraz te domysły okazują się rzeczywistością. Jej piersi są miękkie, okrągłe, w kształcie idealnej kropli, przy czym prawa jest ledwo

dostrzegalnie większa. Trzęsą się i wtedy do mnie dociera, że ona drży.

– Hej – mówię. – Co się dzieje?

Kręci głową.

– Są dziwne.

– Isis? Popatrz na mnie.

Zerka ponad ręką, którą zakrywa oczy.

– Oboje zgadzamy się, że widziałem w życiu wiele damskich biustów? – pytam. Marszczy czoło i kiwa głową.

– Tak, rozumiem. W porównaniu z setkami idealnych, jakie widziałeś, są naprawdę dziwne...

– Są piękne.

– Tylko tak mówisz.

– Nie, nie mówię. – Schylam się i całuję jedną z nich. – Są najpiękniejsze, jakie widziałem. I strasznie mnie kręcą. Całe twoje ciało podnieca mnie do nieprzytomności. Ale to już chyba wiesz.

Uśmiecham się, a ona sięga do rozporoka swoich dzinsowych szortów. Pomagam jej rozpiąć guzik, ale łapie mnie za rękę.

– Ptaszka zapakować. No... Żeby nie żałować.

Wybucham śmiechem, ale posłusznie przeszukuję kieszenie porzuconej wcześniej kurtki. W końcu wyciągam prezerwatywę.

– Zawsze mam jedną przy sobie – oznajmiam. – Z przyzwyczajenia.

Marszczy się i jest wyraźnie niezadowolona na myśl o wszystkich kobietach, które pomogły mi wyrobić ten nawyk. Całuję ją w szyję, a potem jadę w stronę ucha i mruczę:

– Oj przestań. Od miesięcy jesteś jedyną, o której myślałem, używając prezerwatyw. Jedyną. Boże, Isis, naprawdę, jesteś tylko ty. Chciałem cię od tak dawna...

Nie daje mi skończyć, bo mnie całuje, wysuwa język, a mój już czeka na spotkanie. Odsuwam się, muskam palcami jej to napinający się, to rozluźniający się brzuch. Pomaga mi ściągnąć spodenki i rzuca je tak, że lądują na jej komputerze, z czego oboje się śmiejemy. Zamieram, dotarłszy do gumki majtek, białych z zieloną kokardką, i patrzę jej w oczy. Nie trzęsie się, to dobrze. Nie jest sztywna ani spięta.

– Jeśli źle się poczujesz, powiedz mi.

– Dobrze. – Przełyka ślinę.

– Mówię poważnie. Jeśli nie będziesz już chciała tego robić w którymkolwiek momencie, powiedz. A ja przestanę.

Kiwa głową, a ja wzdycham, nachylam się i opieram czoło na jej czole.

– Isis, proszę cię. Obiecuj. Obiecuj, że będziesz się ze mną komunikować. Widzę pewne rzeczy, ale nie czytam w myślach.

– Wiem. – Też wzdycha. – Przepraszam. Dobrze. Dobra. – Oddycha głęboko, a w jej oczach dostrzegam twardą determinację. – Obiecuję. A teraz się zamknij, pocałuj mnie i ściągnij te głupkowate bokserki.

I ściąga, ale nie zwraca uwagi na to, co się z nich wyłania, skupia się na mnie.

– W porządku? – Podnosi wzrok i patrzy w panice.

– Zrób to jeszcze raz – żądam.

Więc robi, a potem jeszcze raz i jeszcze, aż mocno go obejmuję ramionami i niemal miażdżę udami. Jego palce są inne niż zwykle, dłuższe, smuklejsze, sięgają miejsc, których ja nigdy nie sięgnęłam, sprawiają, że dyszę, wiercę się, aż w końcu, w końcu!, bezgłośnie wybucham.

– Ej, głupku?

Siada.

- Co jest?
- A co z tobą?
- Wkraczasz na niebezpiecznie terytorium.

Syczy przenikliwie. Łód w jego spojrzeniu zmienił się w wiosenne źródło, oczy ma łagodne i zamglone przyjemnością. Odrzuca głowę, a ja całuję go w odsłonięte gardło, ale nagle padam znów na poduszki, a on trzyma mnie za ręce. Grzywka zasłania mu oczy. Liże mnie po szyi i zjeżdża w dół, do piersi, a ja wyginam się w łuk. Potem słyszę cichy odgłos rozrywanej folii i pojawia się uczucie napierania. Powinnam się bać, że będzie bolało bardziej, w końcu mózg i przeszłość podpowiadają, że będzie boleśnie i przerażająco, ale czuję się bezpiecznie, gdy się wślizguje powoli, ostrożnie.

Jestem pełna i trochę to niewygodne, ale uczucie dyskomfortu szybko mija, a ja nie chcę mu jeszcze nic mówić. Nie teraz, kiedy na jego twarzy maluje się wyraz tak porażającej przyjemności. Mruczy chrapliwie i obsypuje moją szyję pocałunkami.

– Przepraszam. Wszystko dobrze? Powinienem był spytać, uprzedzić cię...

– Nic się nie stało – zapewniam. – Naprawdę. Wcale nie bolało. Nie wygląda na przekonanego, więc się uśmiecham.

– Mówię prawdę.

– Słowo?

– Słowo – potwierdzam. – Tylko... Może na razie jeszcze się za bardzo nie ruszaj. Przez chwilę. To nowe terytorium.

– Chcesz powiedzieć, że dziewicze? – parska śmiechem. Zadaje mu cios małym palcem. A potem leżymy sobie, on oddycha, ja oddycham, przyzwyczajam się do obecności kogoś innego. W końcu napięcie słabnie.

I czuję go, po raz pierwszy tak naprawdę, i jęcę cicho.

– Jack, ja...

– Powiedz to jeszcze raz.

– Jack. – Oplatam się wokół niego, moje nogi samowolnie wędrują w górę i obejmują go w pasie.

– Cholera. – Warczy prosto w moje ramię. – Tęskniłem za tobą. Tęskniłem, Isis. Tak cholernie dobrze usłyszeć, jak wypowiadasz moje imię.

Wypowiadam je jeszcze wiele, wiele razy. Głośno i nagle.

Rozdział 15

0 lat, 0 tygodni, 1 dzień

Jack nie jest specjalnie zachwycony, że nakrywam się wszystkimi kocami we wszechświecie.

Ani że patrzę na niego, kiedy śpi.

Wiem to, bo: A) znam Jacka i wiem, że nie lubi być obiektem zachwyty, chyba że ktoś mu za to płaci, B) ilekroć naciągam na siebie kołdrę oplataną wokół jego nóg, krzywi się przez sen jeszcze trochę bardziej. Robię więc to, co każda porządna istota ludzka, szanująca zdanie innej osoby i ciągnę dalej.

Jack jęczy i zakrywa oczy, a poranne słońce maluje jego rozczochrane włosy na złoto. Promienie padają na jego pierś i rzucają cienie na nagi brzuch, szyję i gardło. Chciałabym zakopać nos we wgłębieniu jego ramienia i zostać tam na zawsze. Wydaje mi się to wszystko aż niemożliwe, jakby w każdej chwili mógł zadzwonić budzik, jak w jednym z tych wkurzających filmów dla nastolatków, przeszyć mi bębenki i przywołać z powrotem do rzeczywistego świata, mojego prawdziwego łóżka, w którym leżałabym sama, zmarznięta, smutna i przekonana, że nikt mnie nigdy nie pokocha.

Ale on mnie pocałował.

Całował moje rozstępy i blizny.

Potraktował mnie jak człowieka, który zasługuje na szacunek, jak kogoś godnego uwielbienia i obchodził się ze mną jak z naczyniem z najdelikatniejszego kryształu.

Pocałował najbardziej przerażoną część mnie i strach minął.

Jest tu. A ja nadal nie mogę w to uwierzyć.

Naprawdę, trudno mi pojąć, że chłopak tak przystojny, zjawiskowy, mądry, dobry i interesujący chciał – pragnął – spać ze mną.

A Jack chce. Taką, jaka jestem.

Jeszcze bardziej niesamowite jest to, że został po wszystkim, że nadal tu jest, nie zmienił zdania i nie wyszedł. Nie wymyśliłam go sobie. Jest tu, prawdziwy i pachnący tak jak jego pokój, a ja nurzam się w tym zapachu, próbuję wyssać każdą sekundę tej cudownej, złotej pory, ciepłego, skotłowanego łóżka i śpiącego rozczochranego chłopca, którego lubię niepokojąco bardzo, bardzo.

W końcu Jack uchyla zaspane niebieskie oko, widzi, że się na niego gapię i śmieje się chrapliwie.

– Dzień dobry, upiorna, piękna istoto.

– Planowałam – tłumaczę się – jak najskuteczniej zamordować cię we śnie.

Jack się podnosi i lekko całuje moją dłoń.

– Tylko niech będzie długo i wyczerpująco. Uwielbiam cierpieć.

– Właśnie dlatego pójdzie szybko i w ogóle trzask-prask! A konkretnie, to trzaśnie twój kark.

Klepie mnie po ramieniu.

– Nie skreśliłabyś mi karku, choćbyś chciała.

Gramolę się, siadam na nim i usiłuję objąć dłońmi za szyję. Broni się bez przekonana, a w końcu wybucha śmiechem i ciągnie mnie na siebie.

– Jesteś okrutna!

– Co ty powiesz? – szepczę mu do ucha.

Leniwie głaszcze mnie po plecach.

– Jak się masz? Nie boli?

– Jestem złamana na pół i nigdy już nie będę mogła chodzić – oświadczam poważnie.

– Świetnie – syczy i mocniej mnie przytula. – Więc mi nie uciekniesz.

Przewracam oczami i złążę.

– Chodźmy. Dzień już wstał, piękny i pełen szans na nowe rozczarowania. Oraz jedzenie.

On nie wstaje, tylko patrzy, jak wkładam spodenki i T-shirt. Potem jęczy i wtula twarz w poduszkę.

– Nie chcę iść. Nienawidzę świata. Wolę tu zostać na zawsze.

– Nie mam w pokoju wystarczającego zapasu chipsów, żeby starczyło na „na zawsze” – informuję, a potem się krzywię, gdy miednicę przeszywa mi ból.

– W porządku?

– Wszystko mnie boli i umieram.

– Ostrzegalem.

– Nieprawda! W ogóle mnie nie uprzedziłeś! Nic, tylko pieprzna gadka i pieprzna gadka.

– I śmiech. Dużo dobrego śmiechu.

Rumienię się, a on mnie obejmuje i ciągnie na łóżko. Wtula nos w moje włosy i wzdycha.

– Od lat się tak nie śmiałem. Dziękuję ci za to.

– Aj, aj, cóż z ciebie za zawodowiec? To ja powinnam ci dziękować za seks. Albo ci zapłacić. – Schylam się z łóżka i majtam ręką w poszukiwaniu czegoś poza kurzem. Natrafiam palcami na dziesięciocentówkę ze stanika, którą dała mi Yvette, i

wciskam mu do ręki. – Proszę bardzo. Za twoje usługi.

Jack warczy i gryzie mnie w szyję.

– Myślę, że jestem wart nieco więcej.

– No nie wiem – nucę. – Będziesz to musiał udowodnić.

Przewraca mnie na plecy, a ja piszczę. Opiera się czołem o moje czoło.

– Udowodnić? A co robiłem wczoraj przez całą noc?

– To była rozgrzewka – oceniam. – Przystawka. Ale nie mieszajmy do tego motywów gastronomicznych. Nie chcę być porównywana do restauracji.

– Jesteś najlepszą restauracją świata. Daję ci trzy gwiazdki Michelina – zapewnia Jack. Odpycham go, a on się śmieje i zaczyna wkładać bokserki. Właśnie w tej chwili wkracza Yvette i staje twarzą w twarz z ptaszkiem Jacka. Wpatruje się w niego, potem we mnie, potem patrzy na Jacka, a następnie kiwa głową niczym wytrawny krytyk sztuki i oświadcza:

– Daję dziewięć na dziesięć.

Ja, Isis Blake, oświadczam, że seks jest okej.

Mam ogromny mentalny rejestr tego, co jest okej, a co nie, i w ciągu dwóch tygodni seks przeszedł z rubryczki nie okej do tej drugiej. Jack i ja przenosimy się z mojego pokoju do jego i z powrotem, zależnie od nieobecności naszych współlokatorów. Wykradamy codzienności ciche chwile i sprawiamy, że stają się nie tak ciche. Poznaję każdy jego pieprzyk, każdą bliznę z dzieciństwa i wszystkie słabe punkty. Wisi nad nami masa beznadziejnych spraw, na przykład nagranie, które ma Bezimienny, ale odpycham je, razem z Bezimiennym, na bok i rzucam się w otchłań mojej najnowszej obsesji, którą jest Jack. Były Lodowy Książę ma łaskotki za uszami, pod kolanami i na

biodrach (kościstych, smakowitych biodrach), ale nadal zostało w nim wiele z Księcia: jest opanowany, chłodny i logiczny. To, co się między nami stało, niewiele zmieniło. A prawdę mówiąc nic. Bałam się, że seks nas rozdzieli albo zrobi z nas bezkształtną cikliwą papkę. Ale nic z tych rzeczy. Ja coś mówię, on się odgryza. Wciskam żelkowe misie do jego żalosalnej gęby, a on mnie trzyma, żebym nie pobiegła za idiotą, który przejechał mi po nodze na desce. Kłócimy się. Przepychamy. Dyskutujemy na najbardziej podniosłe tematy w historii ludzkości.

– Święty Mikołaj istnieje – oznajmiam i odbieram zza lady moje burrito.

– Nie, nie istnieje – stwierdza Jack i ustępuje drogi pracownikowi stołówki, niosącemu górę naczyń.

– Trzy słowa jeszcze nigdy nikogo w żadnej sprawie nie przekonały.

– Owszem. „Co za gówno”.

– A to w jakiej sprawie?

– Prequelu do *Gwiezdnych Wojen*.

– Ach, no widzisz, masz rację i teraz muszę cofnąć to, co mówiłam. Przekonałeś mnie, używając zaledwie trzech słów. Uch. Nie znoszę nie mieć racji.

– A ja uwielbiam mieć!

Kopię go pod stołem, ale jest za szybki i celuję w krzesło. Piszczelą.

– Auć.

Całuje mnie w głowę.

– Sama chciałaś.

Rzucam się na stół i udaję, że łkam.

– Wszędzie mam siniaki. Jestem uprawą siniaków. Magnesem na siniaki. Singnesem. Pewnego dnia ludzie przyszłości, którzy

nie będą wiedzieli, co to jest siniak, bo ich cywilizacja będzie zbyt rozwinięta, żeby nabijać sobie siniaki, przyjdą do mnie, a ja pokażę im moją skórę i będzie to mój największy wkład w historię tego gatunku.

Robię na Jacku na tyle duże wrażenie, że upija łyk napoju.

Czasem tylko przyłapuję go na tym, że patrzy na mnie z uśmiechem, gdy wygaduję bzdury. Ale to jedyne, co się zmieniło.

Kiedyś seks był dla mnie dziwną, przerażającą mieszanką koronkowych majtek i kobiet w pornosach krzyczących, jakby działa im się krzywda oraz wątpliwości typu: co, jak będę dziwnie pachnieć, albo: co, jeśli mój podróbek będzie wyglądał grubo z jakiejś perspektywy. Myślałam, że do końca życia będę się musiała codziennie golić wszędzie, żeby być gładka jak delfin i żeby chłopak się mnie nie brzydził. Byłam wściekła na seks i na wszystko i zgorzkniała, bo uważałam, że jedyna osoba, którą myślałam, że kocham, mnie skrzywdziła. Seks jawił mi się jako miecz, którym nie chciałam zostać ponownie zraniona, tygrysem, który już raz mnie poturbował, i wolałabym dobrowolnie zanurzyć się w dole pełnym żrącej substancji niż po raz drugi wejść do jego jamy.

Wychodzi więc na to, że Jack Hunter jest dołem pełnym żrącej substancji. Ale to już w sumie wiadomo.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – odzywa się nieoczekiwanie. – Nie jestem żadnym kwasem.

Całuję go w policzek i wstaję.

– Idę do biblioteki, żeby podrażnić się ze zwierzętami głupszymi ode mnie. Wliczając chłopców.

– Tylko ich nie zachęcaj! – Jack przewraca oczami. – Jeszcze się w tobie zakochają i będę musiał ich unieszkodliwić.

Patrzę na niego stanowczo.

Wzdycha i precyzuje:

– Ostrożnie. Zgodnie z wytycznymi ONZ. – Wystawia usta do pocałunku, a ja się schylam. Żartobliwie skubie mnie w dolną wargę. – W takim razie do później.

– U mnie czy u ciebie? – Śmieje się.

– Na dzisiaj chciałbym ci zaproponować coś innego.

– Co ty powiesz?

– Muszę się zgłosić do mojej zleceniodawczyni – oznajmia. – Ale chcemy to zrobić jak najnaturalniej, żeby nie budzić podejrzeń. Zaprosiła mnie na kolację. Gdybyś poszła ze mną, byłoby jeszcze bardziej zwyczajnie.

– W życiu! Widziałam dużo filmów i wiem, że zaprowadzisz mnie prosto do agentów CIA, którzy mnie porwą i będą na mnie przeprowadzać eksperymenty.

– Żadnych eksperymentów. Będzie za to crème brûlée.

Rozważam tę propozycję przez ciągnące się w nieskończoność dwie przecinek pół sekundy.

– Dobra.

– Przyjdź do mojego pokoju o ósmej i włóż sukienkę.

– Po prostu chcesz mnie zobaczyć w sukience, zboczeńcu!

Uśmiecha się znacząco.

– Chcę cię zobaczyć we wszystkim. I w niczym.

W bibliotece jest o wiele ciszej i mniej seksualnie niż w miejscach, w których przebywa Jack, ale jakoś to przeżyję. Chwilowo mam na głowie kogoś znacznie mniej zmysłowego.

Bezimiennego miałam na liście spraw do załatwienia już od dawna, ale dopiero teraz znalazłam w sobie siłę do doprowadzenia go do ostatecznego upadku. Wystarczy mi odwagi, żeby skierować moje mistrzowskie poczynania oraz furję prosto w jego tętnicę szyjną. Wiem już, że się myli, że

zawsze byłam doskonała i warta miłości i dzięki temu mogę z nim walczyć, a nie uciekać. Jack musi na mnie wpływać pod wieloma względami, a fakt, że nie wparowałam jeszcze do pokoju Bezimiennego i nie dźgnęłam go nożem, jest najlepszym dowodem, że nauczyłam się kontrolować gniew jak prawdziwy Lodowy Książę. Ech. To straszne!

Podobno powinno się siebie kochać. I ja próbowałam. Bóg jeden wie, że przez ostatnie cztery lata próbowałam jak jasna cholera.

Ale teraz, gdy wiem, że kocha mnie ktoś inny, łatwiej będzie mi się zebrać na odwagę i zacząć kochać siebie.

Pewnie nie pójdzie szybko i nic nie wydarzy się od razu.

Ale się zaczęło.

Do Ohio wzięłam jedną sukienkę: zieloną plisowaną, którą kupiłam na bal kończący szkołę, ale nigdy nie włożyłam. Jack ma na sobie białą koszulę i wizytowe spodnie, więc natychmiast wpadam w panikę, że jestem niedostatecznie elegancka.

– Wyglądasz ślicznie. – Jack uśmiecha się, a ja dygam.

– Czy ta restauracja jest totalnie i nieznośnie ekskluzywna? – pytam. Idziemy do jego samochodu, a ja przyglądam spódnicę i wsiadam z gracją pijanej kury z wielkim tyłkiem.

– Niespecjalnie. – Jack wyjeżdża z parkingu.

– Wyrzucą mnie, jeśli obleję się zupą? Bo uwielbiam oblewać się zupą. To umacnia moją renomę flei.

– Dopóki nie zaczniesz się wydzierać na temat kosmitów, będzie dobrze.

– Co?! Kosmici są stałym elementem mojej dziękczynnej modlitwy do bogów deseru!

Obdarza mnie przeciągłym spojrzeniem, które można

przetłumaczyć jako: „nie wrzeszcz nic na temat kosmitów”.

– Jezu, dobrze! – pry cham. – Będę udawała normalną. Ale nie zdziw się, kiedy nagle upadnę na podłogę i umrę z powodu zatoru płucnego. Wywołanego nudą.

Podnosi do ust moją rękę i bez słowa całuje.

Restauracja mieści się w niedużym budynku z czarnego szkła. Jack otwiera przede mną drzwi, wślizguję się do środka, a kelnerka wita mnie zjawiskowym uśmiechem, choć Jacka bardziej olśniewającym. Pyta o stolik Vanessy, a ona prowadzi nas wśród boksów z czarnego drewna oświetlanych przez świece. W jednym z nich siedzi kobieta z długimi, gęstymi czarnymi włosami, w ładnej sukience z niebieskiego jedwabiu, i miesza lód w szklance z mrożoną herbatą. Wstaje i z dziwnie wymuszonym uśmiechem nachyla się, żeby mnie uściskać.

– Sto lat! – Śmieje się i przytula Jacka. Wszyscy siadamy, ale mój tyłek jest nieco bardziej pogubiony niż ich tyłki.

– Hm. Cześć – odzywam się. – Mam na imię Isis i też nie wiem, co się dzieje.

– Jack tyle mi o tobie opowiadał! – Vanessa się uśmiecha. Potem podnosi wzrok, bo przychodzi kelner. – Napijcie się czegoś?

– Poproszę wodę – stwierdza Jack i zerka na mnie. Ja się wiję.

– No... Cola wystarczy.

Kelner kiwa głową, a Vanessa i Jack przyglądają mu się tak badawczo, że naprawdę się dziwię, że nie dostał krwotoku z pleców.

– Jest groźny? – pyta Jack szeptem, udając, że zajmuje się menu.

– Nie. – Kręci głową. – Ale przyszedł tu za mną z hotelu, więc trzeba uważać.

– Przepraszam, kto? Ten koleś? – szepczę. – Wygląda zupełnie normalnie.

Vanessa się uśmiecha.

– Najlepsi zawsze tak wyglądają. Trzeba go oszołomić żywiołową rozmową. Spróbujemy? Jak tam na uczelni, Isis?

Podnosi głos, a ja robię to samo, chociaż nie mam pojęcia, co się dzieje.

– Nie zaliczę chemii. – Wzdycham. – Nienawidzę jej. Jest milion razy gorsza niż algebra. A poza tym pierdnęłam na egzaminie i jestem pewna, że profesor Brown wie, że to ja, bo zmarszczył nos, węszył, a potem postawił mi C – za „nieodpowiednie wyprowadzenie wzoru”, co jak sądzę, w slangu chemików oznacza pierdnięcie.

Vanessa wybucha śmiechem.

– No ale przynajmniej dzięki temu już wiesz, jakiego kierunku nie wybierzesz na studiach magisterskich. – Patrzy cały czas na mnie, ale zniża głos i na jednym oddechu zwraca się do Jacka: – Masz nagrania?

– A ja za to lubię chemię – oświadcza głośno Jack. – Ale nie wybrałbym jej na kierunek przewodni. Wiem, że po trzecim roku robi się znacznie trudniej, więc myślę o innym przedmiocie ścisłym. – Następnie i on zniża głos. – USB jest w serwetce.

Vanessa współczująco kiwa głową.

– Gdy byłam w waszym wieku, zmieniłam kierunek przewodni z biologii na nauki ścisłe. Mniej oślizgłych komórek, więcej eleganckich cyfr. O wiele łatwiej.

– Może, ale biologia ma też jasne strony – wtrącam się. – Jak na przykład wombaty. Widziałś kiedyś, jakie mają rozkoszne uszka? Liczba nigdy nie dorówna wombatowi. No, chyba że osiemdziesiąt trzy. – Jack i Vanessa patrzą na mnie jak na

wariatkę. – Gdy się ją przekrzywi, wygląda, jakby ktoś udawał kotka!

Martwa cisza, która następuje po tym ostatecznym przykładzie mojego geniuszu, sprawia, że zaczynam się wić na krześle. Nagle Vanessa upuszcza serwetkę i marszczy nos.

– O nie!

– Proszę. – Jack podsuwa jej swoją. – Weź tę.

Vanessa uśmiecha się i rozkłada ją na kolanach.

– Dziękuję. Więc jak, Isis, jesteś gotowa do sesji? – pyta gładko.

– Jeśli jestem na cokolwiek gotowa, to na krewetki. – Stukam w menu.

– Jasne! Na pewno umieracie z głodu. Oczywiście nie, żeby wasza uczelnia źle karmiła. Przeciwnie, słyszałam, że mają duży wybór dań.

– Głównie burrito. Ale ja nie narzekam. W przeciwieństwie do moich wnętrzności. A jeśli już o tym mowa, muszę siusiu. Gdzie jest...?

Vanessa wskazuje tył restauracji i z uśmiechem mówi:

– Po lewej stronie.

Mijam Jacka, który łapie mnie za rękę i ściska.

– W porządku?

– Błagam cię, będę jadła jedzenie! Nigdy nie jest bardziej w porządku.

Uśmiecha się i mnie puszcza, a ja ruszam w stronę toalety. Wpada mi w oko nasz kelner, który bacznie mnie obserwuje, ale gdy nasze spojrzenia się spotykają, szybko odwraca wzrok. Jaki dyskretny cwaniaczek!

Nawet toalety są eleganckie: marmurowe blaty i mydło, które pachnie inaczej niż to w kinach. Przyglądam się sobie w lustrze. W makijażu wyglądam raczej jak kot niż szop i dociera do mnie,

że dorosłam. Nie bardzo. Trochę.

Ale się zaczęło.

Isis znika, a ja zwracam się do Vanessy.

– Jest bardzo ładna. – Uśmiecha się. – Znacznie ładniejsza, niż sądziłam.

– Słucham?

– Nie, nic. Ale dziewczyna, którą opisałeś przez telefon... One zwykle nie są takie ładne. Poczucie humoru rzadko idzie w parze z urodą.

Jej dwuznaczny komplement nie zbija mnie z tropu. Odchrząkuję tylko.

– Zeznanie Terrance'a jest na pendrivie, który ci dałem. Oba nazwiska wypowiada bardzo wyraźnie.

– Ale słowa dilerów nie wystarczą. Choć oczywiście pomogą. To i rejestr używanych klawiszy powinien wystarczyć moim ludziom.

– Jak mam zamontować keylogger? – Marszczę czoło. – Will na mnie uważa. Kilka razy próbowałem go podejść, ale zawsze się wymyka. Kyle jest głupszy, ale Will go ostrzegł i teraz obaj mnie unikają.

Vanessa wpatruje się we mnie, a ja już dość wiem o jej mowie ciała, żeby zrozumieć: mam zmienić temat.

– Spotykamy się już – mówię szybko – od kilku tygodni. Jest moją pierwszą prawdziwą dziewczyną od dawna.

– No tak. – Vanessa się uśmiecha. – Zawsze byłeś typem playboya.

– Mogę już przyjąć państwa zamówienie? – Nieoczekiwanie pojawia się kelner, a ja się szeroko uśmiecham.

– Tak, dziękuję. Dla nieobecnej pani krewetki, a ja poproszę fileta z łososia.

Kelner kiwa głową i badawczo przygląda się naszemu stolikowi. Nie mam wątpliwości, że szuka dowodów. Czyżby to był kolega Willa?

Vanessa stuka palcem w menu.

– Ja poproszę paszteciki z homarem i sałatkę. Dziękuję.

Kelner kiwa głową, zabiera nasze karty i szybko odchodzi.

– Nie jest specjalnie dyskretny, prawda? – pyta Vanessa i znów miesza rurką w szklance, a ja kiwam głową.

– Will nie jest dobrze do mnie usposobiony. Musiał powiedzieć swoim kumplom w mieście, żeby na mnie uważali.

– I co zrobimy? – Vanessa z namysłem zaciska usta. – Ten tu na pewno przekaże Willowi, że się spotkałeś z podejrzaną niestudentką. Jeszcze bardziej się opancerzy i za nic nie zbliżysz się do jego komputera.

– Więc co? – pytam.

Vanessa się zastanawia.

– Isis. Mówiłeś, że zna Willa, tak? Kiedyś ją skrzywdził, a teraz dręczy ją na uczelni. Mogłaby wystąpić w roli przynęty...

– Nie pozwolę na to. – Reaguję natychmiast. – Nigdy.

– Przecież będziesz obok.

– To nie wystarczy – odpowiadam. – Nie poproszę jej, żeby zrobiła coś, z czym nie będziesz się czuła dobrze, kropka.

– Dobrze. Ale poza tym mamy niewielkie pole manewru, skoro Will i Kyle są tak ostrożni. Jest nadzieja, jeśli poprosimy ją o pomoc.

– W czym? – Isis wraca i prześlizguje się na swoje miejsce. – Plotkowaliście o mnie, gdy mnie nie było? Dziesięć milionów lat ciężkich robót dla obojga!

Milczę, Vanessa też nic nie mówi. Ale Isis, która ma alergię na ciszę, nie odpuszcza.

– Mówię poważnie! O czym rozmawialiście?

– O niczy...

– Potrzebujemy kogoś, kto zamontuje mały sprzęt w komputerze Willa Cavanaugha, żeby zebrać dość przesłanek do aresztowania go. – Vanessa nachyliła się do niej i tłumaczy szeptem. – Słyszałam od Jacka, że go znasz.

Zakładam, że na twarzy Isis zobaczę dyskomfort albo ból, ale nie, tylko zadziornie podnosi brodę.

– Tak. Nienawidzę go.

Vanessa się uśmiecha.

– Cudownie. Więc na pewno jeszcze bardziej niż my chcesz go zobaczyć za kratkami.

– Albo martwego – rzuca Isis lekko. Zbyt lekko. Tak lekko, że trochę mnie to przeraża. – Nie jestem wybredna.

Vanessa uśmiecha się jeszcze szerzej, a Isis przekrzywia głowę, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Pracujesz dla rządu, prawda? – pyta.

– Tak.

– Isis, nie zrobisz tego – oświadczam stanowczo. Ona się do mnie uśmiecha.

– Oczywiście. Jedyne, co zrobię, to zjem moje krewetki, a potem może deser.

Kelner zostawia nasze dania i odchodzi. Jemy, prowadząc sztuczną rozmowę, która z jakiegoś powodu sprawia, że czuję się źle. Vanessa jest aż zbyt miła dla Isis i oglądają zdjęcia kotów na jej telefonie. Nie pozwolę jej wciągnąć w coś, co może być dla niej przykre albo i gorzej. Widzę, że źle zrobiłem, zabierając ją tutaj, na linię ognia.

Teraz, kiedy wreszcie ją mam, już nigdy jej nie stracę.

Kolacja dobiega końca i Isis zamawia szarlotkę. Vanessa płaci

rachunek i uśmiecha się do mnie.

– Muszę lecieć. Ale wy zostańcie, ile chcecie.

– Dze ydziesz? – pyta Isis z ustami pełnymi szarlotki.

– Mam sprawy do załatwienia – rzuca Vanessa, a potem kiwa w naszą stronę głową. – Dobrego wieczoru.

– Pa! – Isis macha żywiołowo, a potem spogląda na mnie. –

Lubię ją.

Ścieram jej kawałek jabłka z policzka.

– Ona jest tajną agentką. Nie lubi cię. To jej praca.

Isis się zasepia.

– Ale wiesz co? Mogłabym to zrobić.

– Co?

– Zamontować to coś. Will lubi mi dokuczać. Na pewno wpuściłby mnie do pokoju.

– Isis, nie! Nie będziesz się z nim konfrontować. – Ona w zamyśleniu zlizuje z palca bitą śmietanę. – Po prostu nie! Zostaw to mnie. To moja robota, nie twoja.

– Dobrze.

– Spójrz na mnie. Jestem poważny.

– Poważny jak atak serca – zgadza się. – Obiecuję, że tego nie zrobię. To twoja zabawa, kochanie. Jezu. Czy ja powiedziałam do ciebie kochanie? No ale jesteś kochaniem. Głupim kochaniem z ładnym tyłkiem.

Nie mogę się na nią długo gniewać, więc chociaż w moim uśmiechu widać napięcie, uśmiecham się.

W samochodzie odchrząkuję.

– Jeśli Will kiedyś czegoś spróbuje, jeśli będzie ci groził, masz przyjść do mnie. Wiesz o tym, tak? Ja się nim zajmę.

– Wiem – odpowiada bezmyślnie i dalej wygląda przez okno.

– Obronę cię – zapewniam. – Przysięgam.

– Zamknij się. – Nachyla się do mnie. – I mnie pocałuj.

Jej usta płoną i smakują szarlotką i cynamonem. Pod ich wpływem wszystkie zmartwienia wylatują mi z głowy. Nawet nie dojeżdżamy do domu. Parkuję pod pobliskim parkiem, a Isis siada mi okrakiem na kolanach i całujemy się tak długo, aż słońce znika za drzewami. Wsuwam dłoń pod jej sukienkę, a jej zapach i westchnienia wypełniają samochód soczystą, obezwładniającą mgłą. Jest już na granicy utraty kontroli, gdy wciska mi twarz w szyję i kasa.

– Kocham cię – szepcze. – Kocham cię, głupi idioto.

Przestaję robić to, co robiłem, a ona protestuje. Przyglądam się jej twarzy, pogrążonej w przeżywaniu rozkoszy, naznaczonej pragnieniem. Pot skrapia czoło i brodę, w którą ją całuję.

– Przepraszam – zaczyna. – Przepraszam, że nazwałam cię idiotą. Ale błagam...

Śmieję się i wracam do działania, a ona wzdycha.

– Oboje jesteśmy idiotami – mruczę jej do ucha.

Później, znacznie później, wiele dni później, gdy jesteśmy już całkiem pijani od swoich ciał i doprowadziliśmy się na skraj przepaści i z powrotem więcej razy, niż mógłbym zliczyć, wracam do restauracji i pytam o tamtego kelnera. Gospodyni sali informuje mnie, że odszedł, ale przekazuje mi list, który zostawił na wypadek, gdyby ktoś go szukał.

Jack,

mam nadzieję, że dobrze się z nią bawisz. Bóg jeden wie, że ja się dobrze bawiłem.

Zagładałeś ostatnio do Beliny Hernandez?

Z wyrazami szacunku,

Will

Czuję się, jakbym połknął bryłę lodu. Skąd on wie? Isis mu powiedziała? Nie, nigdy by tego nie zrobiła, a ja muszę zacząć doceniać jego umiejętności. Oczywiście, że wie. Przekazywałem Belinie pieniądze, ale nigdy jej nie odwiedziłem. To było zbyt bolesne. Czasem siedziałem w aucie przed jej domem i starałem się zmusić do wejścia do środka, ale nigdy się nie udało.

Ale skoro Will wie o Belinie, wie też o tamtej nocy i o Josephie. Jeśli jej powiedział, co zrobiłem...

Moje stopy niemal unoszą się nad chodnikiem. Powiedział jej pierwszy. Zepsuł wszystko, do czego zbierałem się od lat. Ona mnie nienawidzi. Wezwie policję, a oni mnie wezmą na przesłuchanie. Wsadzą mnie do więzienia. Nie będę mógł widywać Isis, przytulać jej, chronić przed Willem. On tego chce. Chce się mnie pozbyć, a wie, że pogrążona w rozpacz widowka ma w sobie dużo gniewu na tego, kto zabił jej męża, z premedytacją czy nie.

Wykorzystał tamtą noc, żeby się mnie pozbyć.

Po drodze do Northplains łamię co najmniej kilka ograniczeń prędkości, a zachodzące słońce zalewa horyzont jak krew. Dom Beliny wygląda tak samo jak zawsze, ale tym razem nie mogę pozwolić, żeby lęk powstrzymał mnie od zapukania do drzwi. A boję się dwa razy bardziej, bo ona już wie, co zrobiłem. Doprowadziłem do śmierci jej męża. Boję się, że zaraz zwymiotuję, ale usiłuję się uspokoić, biorąc długie, głębokie wdechy.

Muszę to zrobić. Jeśli tego nie zrobię, mogę już nigdy nie zobaczyć Isis.

Ta myśl jest jak pożar, napędza nogi do ruchu, ramiona do otwarcia drzwiczek do auta. Każdy stopień schodów pokonuję z takim wysiłkiem, jakby na plecy sypały mi się tysiące cegieł.

Własną dłoń pukającą do drzwi widzę jakby w zwolnionym tempie. Oczekiwanie jest torturą, ale w końcu kobieta o okrągłej twarzy otwiera. Włosy ma spięte w koczek, a wokół oczu widzę zmarszczki ze zmęczenia. Ubrana jest w poplamiony fartuch, jakby cały dzień sprzątała. Przesuwa po mnie ciemnymi oczami pozbawionymi wyrazu. W końcu się odzywa.

– Jack, prawda? Wejdz.

Zaczynam mówić:

– Proszę pani, ja...

– Chodź – powtarza łagodnie i otwiera szerzej. Zapada między nami gęsta cisza, płomienie z mojej głowy docierają do serca i spopielają je żywcem. Zaplanowała zemstę? Wabi mnie, żeby ułatwić policji aresztowanie?

Nie, nie mam prawa jej o nic podejrzewać. Odebrałem jej męża. Oddycham głęboko i wchodzę, a ona za mną zamyka. Wnętrze jest proste i czyste, białe ściany żółkną, a nad drzwiami wiszą krzyże. Pachnie rozkosznie jedzeniem, ale denerwuję się tak strasznie, że odbieram tylko przebłyski. Prowadzi mnie do salonu, gdzie stoją kanapy nakryte wzorzystymi kapami oraz prehistoryczny telewizor.

– Proszę. – Wskazuje na sofę. – Siadaj. Napijesz się wody? A może soku? Mogę też zrobić kawę.

– Nie trzeba – zapewniam szybko. – Proszę pani, przyjechałem, bo...

– Wiem, dlaczego przyjechałeś. Widziałam nagranie.

Szalejące w moim ciele płomienie spopielają mnie w jednej chwili, zostaje tylko żar. Ręce zaczynają mi się trząść. Will pokazał jej film? Skąd on go w ogóle ma? To już koniec. Wszystko widziała, a ja jestem potworem, oficjalnie, bezsprzecznie. Żadna suma pieniędzy nie ukryje tego faktu. Nie zdołam jej tego

zrekompensować, choćbym zrobił wszystko.

Czuję, jak coś pęka, i ulatuje ze mnie powietrze. Coś, co pielęgnowałam długo i troskliwie. Spuszczam głowę i zaciskam złożone na kolanach dłonie.

– Przepraszam. Bardzo, bardzo przepraszam. Cokolwiek pani postanowi, przyjmę to – udaje mi się powiedzieć zachrypniętym głosem. – Nie ucieknę.

– Wiem o tym. – Uśmiecha się blado. – Nie uciekłeś, gdy pięciu dorosłych mężczyzn o złych zamiarach zaatakowało dziewczynę, którą kochałeś. Dlaczego miałbyś uciekać teraz?

Kulę się, ale czuję jej dłoń na swojej i podnoszę wzrok. Ma łagodne oczy.

– Joseph jest ojcem moich dzieci. Wiele lat temu zbudował dla mnie ten dom. Kochaliśmy się przez jakiś czas, przez jakiś się nienawidziliśmy. Z czasem lat nienawiści było coraz więcej. Pewnego dnia podniósł rękę na moje najmłodsze dziecko. – Uśmiecha się, a ja nie mogę oddychać. – To była ostatnia kropla – kontynuuje. – Złożyłam pozew o rozwód. To popchnęło go jeszcze dalej w ciemność i zaczął pić. – Kładzie na mojej ręce drugą dłoń, a oczy ma szczerze i zdecydowane. – Kiedy zobaczyłam na filmie, jak dręczył tę dziewczynę, zrozumiałam, że to nie był mężczyzna, za którego wyszłam. I pomyślałam, że może lepiej się stało, że zniknął. Zanim zrobił krzywdę moim dzieciom albo komuś innemu.

– Belino, przysięgam...

– Ćśś. – Podnosi rękę. – Widziałam to, Jack. I wiem dwie rzeczy: byłeś młody, byłeś dzieckiem, a on robił coś bardzo złego. Przeraziłeś się, ale on nadal to robił. Nie chcę przeprosin. Nie chcę policji ani prawników. Chcę tylko usłyszeć prawdę.

Więc mówię jej. Wszystko. Opowiadam o każdym uderzeniu

kijem, każdym przesłanym dolarze, wszystkich sznurkach, za które pociągnęli rodzice Avery, o każdej chwili życia Sophii. O moim życiu. Gdy opowieść dobiega końca, Belina mnie obejmuje i mocno przytula.

– Byłeś bardzo dzielny, Jack, przez bardzo długi, długi czas.

Siedzimy tak, patrzymy na księżyc za oknem, a potem czuję, jak po policzku spływa mi łza.

Rozdział 16

0 lat, 1 tydzień, 5 dni

Jesteś zwolniona ze stanowiska mojej najlepszej przyjaciółki! – wrzeszczy Kayla.

Chociaż jest druga rano, jej twarz w okienku Skype’a jest nienaganna niczym u Beyoncé. Chciałabym być nią, ale nie do końca, bo myśl o chodzeniu z Wrenem to niemal kazirodztwo, jest dla mnie młodszym braciszkiem, a poza tym ona ma tak gigantyczne piersi, że na pewno bym się przez nie przewracała w najmniej pożądanym chwilach, na przykład w zoo, podczas zagładania na wybieg lwów, co skończyłoby się co najmniej śmiercią.

– Przestań gadać o moich cyckach! Jesteś zwolniona!

– Ale Kayla... – jęczę zachęcająco. – Kayla, posłuchaj, nie jestem zwolniona i uważaj, bo dostaniesz rozwolnienia z tej złości.

– Bo jestem zła! – Odstawia szklankę z wodą z takim impetem, że rozchlapuje ją wkoło. – Czemu mi nic nie powiedziałaś?!

– Bo! – Rumienię się. – Bo. Bo byłam zajęta!

Prycha ze znaczącym uśmieszkiem, a ja krzyczę:

– Cicho!

– Nawet nic nie powiedziałam!

– Nieważne! I tak cicho!

– Wreszcie! – Olewa moje prośby. – Boże, zajęło wam to wieczność!

– Nie taką wieczność, tylko rok z kawałkiem.

– Długo! Mogłabyś w tym czasie urodzić dziecko.

– Jezu, błagam, żadnych pędraków. Obiecuj mi, że nie będziesz miała pędraka.

– Będę miała dziewięćset pędraków, żeby ci zrobić na złość. A skoro już mowa o pędrakach, używacie prezerwatyw, tak?

– Tak!

Chichocze.

– Są dziwne, nie? Takie śmieszne, plastikowe skarpeteczki.

– Włożę ci taką na głowę i cię uduszę.

– Przepraszam! – Podnosi ręce w geście poddania się. – Ale po prostu się cieszę, że wreszcie dostałaś od życia to, czego chciałaś!

– Jack nie jest wszystkim, czego chcę. – Wywracam oczami. – Chcę też stabilnej, ale satysfakcjonującej pracy w branży, jaką sobie wybiorę oraz wielkiego domu zrobionego z pączka z dziurką.

– I Jacka.

– Jack będzie mógł czasem spać w moim domu z pączka z dziurką, tak.

Kayla wpatruje się we mnie, a w jej uśmiechu widzę coraz większy ładunek rozkoszności.

– Czego?! – rzucam.

– Naprawdę jesteś zakochana.

– Pff!

– Naprawdę! Jakiemu innemu chłopakowi pozwoliłabyś spać w swoim domu z pączka z dziurką?

– Heathowi Ledgerowi.

– Dobrze, ale on nie żyje.

– Jezu! Nawet ludzie, którzy nie żyją, mogliby spać w moim domu z pączka z dziurką!

– Czekaj! – Kayla wygląda, jakby trafił w nią piorun i/lub jakby wysnuła najdoskonalszą hipotezę w historii nauk ścisłych o nastoletnich dziewczętach. – Czy domek z pączka z dziurką jest metaforą?

Wydaję przeciągły jęk, zawijam się w kołdrę i turlam się po podłodze w charakterze wielkiej parówki w kwiatowy wzór. Skype buczy, oznaczając inne połączenie, więc się podrywam.

– Czekaj chwilę, mam drugi telefon.

Przełączam się na przychodzące połączenie i wita mnie twarz Vanessy.

– O, cześć, to ty!

– To ja – przyznaje. Bez makijażu wygląda zupełnie inaczej. Siedzi w jakimś eleganckim pokoju hotelowym. Poznaję, bo łóżko jest zasłane aż nazbyt idealnie. – Domyślam się, że znalazłaś notatkę, którą zostawiłam w twoim telefonie?

– Tak! Jestem pod wrażeniem, że zdołałaś to wszystko napisać, udając, że oglądasz zdjęcia.

„Jeśli nadal jesteś zainteresowana, skontaktuję się z Tobą na Skypie między północą a trzecią rano. Mój login to kv2009diamsn.com”.

Znalazłam tę wiadomość w apce z notatkami dzień po kolacji.

– Nie chciałam, żeby Jack widział – wyjaśnia. – Byłby wściekły, że ci to proponuję, a nie może się rozpraszać.

– Więc... – Wpatruję się w wyświetlacz. – Mam zamontować jakieś urządzenie w komputerze Willa, tak?

– W rzeczy samej.

– Dobrze. Bardzo chętnie to dla ciebie zrobię i w ogóle, ale będę potrzebowała jakiejś motywacji.

Vanessa kiwa głową.

– Naturalnie. Chętnie ci zapłacę...

– A nie. Nie chcę pieniędzy. To znaczy chcę, zawsze, ale nie od ciebie.

– Więc co mogę ci zaproponować?

Sznuruję usta i rozważam konsekwencje zdradzenia agentce rządowej bardzo mrocznego sekretu. Jej twarz jest skupiona i pełna determinacji i wtedy uświadamiam sobie, że ona ma gdzieś sprawy innych. Moje słowa potraktuje po prostu jak informację, kolejne kroki prowadzące do zakończenia sprawy. Jej celem jest Will.

– No więc, Jack coś zrobił. Dawno temu.

– Mówisz o zniknięciu Hernandeza?

Wiercę się.

– No tak. A skąd o tym...

– Wiem, co muszę wiedzieć.

– Więc wiesz także, że federalni mają nagranie tego, hm, incydentu i przekazali je przyjaciołom Willa. Żeby poprawili obraz.

– Niestety wiem.

– A czy wy nie polujecie na kumpli Willa? Dlaczego...?

– Komunikacja i współpraca między nami a rządem federalnym jest na kiepskim poziomie – odpowiada szybko. – Możesz to nazwać rywalizacją albo dumą, w każdym razie takie poplątanie zdarza się często. My im nie mówimy, co robimy i komu, więc czasem aresztujemy osoby, które są ich informatorami.

– No tak. W takim razie. Zamontuję ten keylogger. Ale. Ale chciałabym, żeby to nagranie zniknęło. Żeby już nie wróciło do federalnych. Ani do nikogo. Nigdy.

Teraz Vanessa sznuruje usta.

– Prosisz o bardzo wiele. Chcesz, żebym majstrowała przy dowodach w sprawie prowadzonej przez FBI.

– Wiem. Ale. Ale jeśli to zrobisz, zrobię to coś z keyloggerem. Dzisiaj. Zaraz. Tylko niech nagranie zniknie.

Cichy głosik w mojej głowie podpowiada, żebym poprosiła też o unieszkodliwienie nagrania, na którym dewastuję gabinet Summersa. Ale sprawa Jacka jest ważniejsza. Może się skończyć więzieniem. Moja tylko wyrzuceniem z uczelni i od razu wiadomo, co jest gorsze. Więc nie ulegam.

Vanessa przez chwilę myśli, potem wzdycha.

– Dobrze. Ty dzisiaj zamontujesz keylogger, a ja wykonam kilka telefonów.

– Dziękuję. – Brakuje mi tchu. – Dziękuję bardzo.

– Mój współpracownik podrzuci keylogger w brązowej papierowej torebce do pierwszego kubła ze śmieciami od prawej strony za Ciao Bella. To kawiarnia w waszym kampusie.

– Serio? Jezu, wiem, byłam tam tysiąc razy! – Mierzy mnie surowym wzrokiem, więc się zamykam. – Włożysz keylogger do jednego z portów USB w jego komputerze, upewnij się tylko, czy wszedł do końca. Wszystko jedno, do którego. Musi tam zostać na cztery godziny, później będę miała dostęp do jego twardego dysku, kiedy mi się spodoba.

– Port USB, do końca. Jasne.

– Dowiem się, że to zrobiłaś. W ciągu najbliższych kilku tygodni skontaktuje się z tobą mój współpracownik. Da ci znać, że twoje „wynagrodzenie” jest gotowe.

– Super.

– Isis? – dodaje na koniec Vanessa. – Bądź ostrożna. Will nie jest dobrym człowiekiem.

– Już się zorientowałam.

Vanessa się rozłącza, a ja wracam do Kayli.

– Wszystko dobrze? – pyta. – Wyglądasz dziwnie.

– Nie dziwnie, tylko zjawiskowo – poprawiam ją.

– Nie zjawiskowo, tylko jakbyś miała zwymiotować.

Milczę i wpatruję się w jej mroczną sypialnię, a ona wpatruje się w moją, tysiąc kilometrów od siebie.

– Kayla?

– No?

– Będiesz dalej moją przyjaciółką, jeśli zrezygnuję ze studiów? Marszczy czoło.

– Oczywiście, durnoto. A co, nie podoba ci się?

– Myślałam, że mi się spodoba. Myślałam, że naprawdę chcę tu być. Że będzie świetnie i w sumie jest fajnie, ale. Nudzi mi się – wyjaśniam. – Szkoła jest nudna. A ja chcę wyjeżdżać, poznawać nowe rzeczy. Nowe rzeczy, o których nie piszą w podręcznikach. Chcę podróżować! Wyjechać z tego stanu i z tego kraju. Chcę po prostu... jechać. Ale...

– Twoja mama – kończy za mnie. – Ale tak długo się nią opiekowałaś. Zaslugujesz na wakacje z dala od rodziny.

– Tylko że ona będzie... Ona i tata będą mną rozczarowani. I wydali tyle pieniędzy, żebym mogła tu przyjechać...

– No to pomyśl, że jak odejdziesz, to więcej nie zapłacą. – Kayla się śmieje. – I nie wiem, jak twój tata, ale znam twoją mamę. Jest kochana. Chce, żebyś była szczęśliwa, a nie udręczona.

– A nie sądzisz, że to głupie? Że na zawsze rujnuję swoją przyszłość albo co?

– E... Nie? Przecież ty jesteś Isis Blake! Nie jesteś mną, Wrenem ani nawet Jackiem. Nie jesteś taka jak inni. Tylko obłądna, bystra i dobra, a co najważniejsze, jesteś sobą. Nic ci nie będzie,

nieważne, co zrobisz ze swoim życiem. A poza tym nic nigdy nie rujnuje się na zawsze. Za to ja zawsze będę twoją przyjaciółką.

Mam oczy pełne łez, ona tak samo. Śmieje się i ociera policzki.

– Jeśli tylko będziesz robić to, co cię uszczęśliwia, wszystko się ułoży. Słowo!

Osiem godzin później ze wszystkich sił staram się wyglądać, jakbym nie miała szpiegowskich zamiarów. Włożyłam jasnożółtą spódnicę i koszulę w kwiaty, uśmiecham się i ze wszystkimi się witam, nawet z Heather. Szpiegdy nie są przyjacielscy. W ten sposób nikt się nie dowie, że jestem prawie szpiegiem.

– Jesteś prawie szpiegiem?

– Jezu Chryste Matko Jedyna Boże! – wykrzykuję i odwracam się błyskawicznie, żeby ujrzeć badawcze oczy Charliego. – Jak... Skąd... – Nachylam się do niego i szepczę: – Umiesz czytać w myślach?

– Myślałaś na głos – stwierdza bez mrugnięcia powieką. – A ten żółty kolor jest obrzydliwy. Na przyszłość: jeśli chcesz się bawić w szpiega, ubierz się na czarno.

– Nie bawię się w szpiega! – Ludzie się odwracają w moją stronę. Natychmiast ściszam głos. – Nie bawię się w szpiega. Po prostu wyrzuciłam ważną notatkę. Niechący. Właśnie!

Charlie przygląda się mojej ręce zanurzonej w śmietniku, a następnie przenosi wzrok na mnie.

– Wiele notatek – poprawiam się szybko. – Cały notes. Pełen notatek.

– Masz. – Wsadza do śmietnika rękę i wyciąga papierową torebkę z przyklejoną skórką od banana. – Świrze. Jak chcesz kupić prochy, zrób to jak normalny człowiek, od dilera. Nie będziesz musiała grzebać w śmieciach. I wszyscy będą

zadowoleni.

– Właśnie. Tak. Dzięki, pa!

Odchodzę najszybciej, jak się da, nie biegnąc. I natychmiast wpadam na szklane drzwi do mojego akademika. Na cały głos przeklinam diabła i szatana i rozcieram obolałe czoło.

– Jezu, ty naprawdę nie umiesz być dyskretna – odzywa się Charlie. Chowam się za kolumną.

– Odjedź! – szepczę. – A sio!

– Zwykle jesteś bardziej rozmowna.

– Po prostu boli mnie głowa, gdy ludzie mówią za dużo głupich rzeczy naraz.

– Nie wiem, czy to cię obchodzi, ale wolę ciebie niż tę lalę Brittany. Tylko że odkąd jej nie ma, ja i Jack musimy wszystko robić po staremu.

– Co to znaczy?

– Skradać się i tak dalej. Nie znoszę tego.

– Fakt, wtedy w lesie skradanie się szło ci fatalnie – przyznaję.

– Gonilem cię, bo myśleliśmy, że znasz Jacka.

– Nie wyglądało to jak pogoń, więc domyśl się, jaki byłeś do dupy.

– Ale krzyczałaś.

– Cóż, wszyscy popełniamy błędy.

Przewraca oczami, a ja przestępuję z nogi na nogę.

– Słuchaj, miło, że tu jesteś i robisz różne fajne rzeczy, na przykład oddychasz, ale naprawdę muszę lecieć.

– Ej!

Czuję na nadgarstku uścisk i odwracam się z impetem.

– Co znowu?

– Nic, tylko... – Robi się czerwony od czubków włosów po kości dolnej szczęki. Nie jest w stanie patrzeć mi w oczy. – Chciałem

przeprosić.

– Za co?

– Że cię goniłem. I brzydko do ciebie mówiłem. Po prostu...
Sorry, dobra?

Wiem, że nie było mu łatwo. Chyba niezbyt często przeprasza.
Uśmiecham się i czochram go po głowie.

– Wybaczam.

– Nie dotykać towaru! – skrzeczy, a ja wybucham śmiechem i odchodzę.

Wbiegam po dwa stopnie naraz i zostawiam go, żeby w spokoju przeanalizował największy błąd swojego życia, jakim była rozmowa ze mną. W pokoju otwieram papierową torebkę: keylogger to płaski kawałek czarnego plastiku wielkości paznokcia.

– Co to za szajs?

Odwracam się i chowam urządzonek między palcami. Yvette siedzi na łóżku i maluje paznokcie na ten co zwykle rozkoszny odcień wampirzej czerni.

– As w rękawie mojej duszy – odpowiadam. – Gram z szatanem o wysoką stawkę. W sumie to całkiem zabawne. Chcesz pomóc?

Yvette zerka na mnie podejrzliwie.

– Tym szatanem od rogów, czerwonej skóry i groźnych wideł?

– Poniekąd. Ma więcej włosów i mniej ostrych końcówek, ale poziom zła się zgadza.

– Czyli to chłopak.

– Tajest. Muszę wejść do jego pokoju i coś zostawić, ale nie chcę, żeby mnie uwięził, a robi to przy pierwszej okazji. Uwielbia mnie dręczyć.

– Pieprzony sadysta – cedzi. – Dobra, czyli ty tam wchodzisz, a ja cię odbijam. Tak?

– Ale dyskretnie.

– Czyli? – Marszczy nos.

– Czyli nie dobijasz się do jego drzwi i nie dajesz do zrozumienia, że to zaplanowałam. Musisz wprowadzić jakieś rozproszenie.

– Jakie rozproszenie? – pyta Diana, która właśnie wchodzi do naszej pokoju. – I czy mogę pomóc?

– Masz tę robotę. – Yvette wprowadza ją w szczegóły, a ja grzebię w szafie w poszukiwaniu odpowiedniego stroju na bitwę. Czegoś uroczego, ale bez przesady. Chcę mu przypomnieć, co zepsuł, i zawrócić mu w głowie jego „triumfami” na tyle długo, żeby nie zwrócił uwagi na to, co robię. Wybieram czarne rurki i obcisłą koszulę, chociaż robi mi się niedobrze na myśl, że mam mu pokazać moje ciało. Ale robię to dla Jacka. Żeby nie skończył w więzieniu z powodu tego głupiego filmu, który zniszczył życie jemu, Sophii, Wrenowi i Avery.

– Możemy odpalić alarm pożarowy – podrzuca Diana. – Chłopaki wyjdą ze swoich pokojów, a pewnie nawet on nie będzie tam siedział w wyciu syren.

– Bosko! Jesteś genialna! Moja dziewczyna jest genialna! – Yvette całuje ją w policzek, a Diana się rumieni.

– Oj przestań!

Ale Yvette już leci do okna, otwiera je i krzyczy:

– Moja dziewczyna jest genialna!

Szeroko otwieram oczy i zerkam na Dianę, której rumieniec zlodowaciał na zszokowanej twarzy. To spektakularny gest odwagi i miłości, tak bardzo inny od dotychczasowej Yvette, która miesiąc temu szeptała swój sekret w poduszkę. Diana do niej podchodzi i zaczynają się całować, a ja odchrząkuję, dopiero kiedy zauważam języki.

– Przprszm! Uwaga, brygada bojowa!

Obydwie się śmieją i niechętnie się rozklejają, potem obie salutują, ale zderzają się przy tym nosami i nogami i ze śmiechem padają na podłogę, a ja nie mam cienia wątpliwości, że wszystko będzie dobrze.

Bez względu na to, co się wydarzy jutro i dalej, dam sobie radę.

Ustalamy, że Yvette i Diana włączą alarm pożarowy, jeśli nie wyjdę w ciągu dziesięciu minut. To mi daje dwie minuty na wejście po schodach i osiem na zagadanie Willa do tego stopnia, żebym zdążyła wsadzić keylogger, gdzie trzeba. Ale jeśli spieprzę sprawę...

Kręcę głową. Nie ma spieprzenia sprawy! Dziś tego nie podają. Ani nigdy. Nigdy przedtem ani nigdy potem. Pieprzenie sprawy jest jak paluszki rybne w Wielkim Menu Życiowych Opcji: nikt tego nie lubi i nikt nie zamawia.

Pędzę po schodach i łapię oddech dopiero pod drzwiami Willa. Przyglądam włosy i staram się wyglądać, jakbym właśnie nie pokonała trzech kondygnacji pod górę. Ręce mi się trzęsą i boję się, że zwymiotuję.

Wtedy dzwoni mój telefon.

Szybko odbieram, zanim zwróci uwagę Willa.

– Halo? – szepczę i oddalam się od jego pokoju.

– Co ty sobie do jasnej cholery wyobrażasz?! – warczy Jack. Brzmi, jakby bardzo szybko szedł. – Jazda stamtąd, ale już!

– Nie przychodź tu – żądam. – Mówię poważnie. Nie zbliżaj się. Skąd w ogóle...

– Charlie mi powiedział, że dziwnie się zachowujesz. Isis, nie możesz tam wejść. Musisz się trzymać z daleko od tej sprawy. To moja robota, nie twoja. Może ci się coś stać.

– Warto spróbować – oznajmiam. – A jeśli to zrobię, tobie nic

się nie stanie. Więc. Pozwól mi. Proszę.

– Nie! Nie! Idę po ciebie...

– Jack! – Zbieram w sobie wszystkie siły, jakie mam do dyspozycji. – Uciekłeś po pogrzebie Sophii, bo musiałeś. Ja muszę tam wejść. Sama. To identyczna sytuacja.

Jack milczy, a potem wydaje przepełniony frustracją warkot.

– Nie.

– Tak.

– Nie, Isis, proszę cię, nie!

– Tym razem nic mi nie zrobi.

– Nie wiesz tego!

– Nie wiem. Masz rację. W ogóle nic nie wiem. Nie wiem, czy jutro wstanie słońce, czy zachoruję na coś strasznego, czy wpadnę pod samochód i czy Will coś mi zrobi. Nie wiem, gdzie będę za trzy lata, a już na pewno za dziesięć. Nie wiem, czy *Gra o tron* się kiedyś skończy! Czy ktoś, kogo kocham, nie umrze niedługo, czy meteoryt w nas nie łupnie i nie zmieni wszystkiego w garść popiołu. Ani czy jutro na śniadanie zjem jajecznicę, czy nie. – Śmieję się. – Wiem tylko, że cię kocham. To... To naprawdę jedyna rzecz, jaką wiem na pewno.

– Isis...

– Proszę cię, Jack. Daj mi to zrobić. Wrócę w jednym kawałku. Obiecuję.

– Obiecujesz – powtarza cicho, beznadziejnie i chłodno.

– Obiecuję, idioto.

– Kocham cię – mówi. – Boże, cholernie cię kocham, głupku.

On rozłącza się pierwszy. A ja wracam pod drzwi. Tyle że nie ma żadnych drzwi. Jest klatka piersiowa Willa Cavanugh, na wysokości mojej twarzy. Szybko się cofam, a on chichocze.

– Isis! Jak miło, że wpadłaś! Słyszałem twój głos i wstałem, żeby

to sprawdzić, a tu proszę bardzo, ty we własnej osobie! Cóż za miła niespodzianka.

Staram się, żeby moja mina niczego nie zdradzała.

– Chciałabym z tobą porozmawiać. Na osobności.

– Ależ oczywiście, że byś chciała – prychna. – Wejdz. Mój współlokator poszedł na kolację. O tej porze chyba wszyscy są w stołówce.

Wpuszcza mnie do swojego pokoju i zamyka drzwi.

– Tylko nie na klucz – mówię, udając, że jestem przerażona. Ale on i tak zamyka, dwa razy sprawdza zamki i uśmiecha się.

– Przecież nie mogę dopuścić, żebyś mi uciekła, prawda? Mamy ważne sprawy do omówienia!

Klaszcze w dłonie i siada na łóżku, a potem wskazuje mi krzesło w pobliżu swojego biurka. I komputera. Bingo.

– No więc! – odzywa się. – Ty zaczynasz czy ja? A może będziesz jak zwykle siedziała jak ciele i pozwolisz mi się sobą zająć?

– Chciałbyś, co? – warczę, a on wydaje odgłos udawanego przerażenia.

– Więc jednak mamy w sobie iskrę? A już myślałem, że zniknęła. Wszystko dlatego, że Jack cię zerznął? Jakie to przewidywalne.

– Nie jesteś wart choćby oddechu, który trzeba zaczerpnąć, żeby coś do ciebie powiedzieć. Ale i tak to powiem, bo powinnam była to zrobić już dawno temu.

– Niech zgadnę! Czy masz na myśli jedno ze swoich sławetnych „pieprz się”? Uwielbiam je. Tęsknię za nimi. Ale odkąd wróciliście do siebie z Jackiem, nawet na mnie nie patrzysz.

– A tobie się to nie podoba?

Z namysłem stuka się palcem w brodę, a potem kiwa głową.

– Oczywiście. Już ci powiedziałem: jesteś moja. A Jack to kretyn, skoro myśli, że parę żalonych numerków wystarczy, żeby mi cię odebrać.

Wstaje, okrąża mnie, a potem chwyta za rękę. Wyrywam się, a panika dodaje mi siły, ale on otwiera moją zaciśniętą dłoń i wyjmuję z niej keylogger.

– A cóż my tu mamy? – Śmieje się.

– To nic – jąkam się. – Śmieć, który znalazłam.

– To jest keylogger. Naprawdę myślałaś, że nie wiem? Patrzyłem, jak łązisz z Jackiem, jak się całujecie i robicie do siebie głupie miny. Od razu wiedziałem, że cię w to wciągnie. Ona chce mnie dopaść, jego pieprzony partner chce mnie dopaść, a teraz i ty chcesz. Ale nic z tego, bo... – Z szerokim uśmiechem łamie przedmiocik na pół. – Jestem odrobinę od ciebie mądrzejszy.

Wpatruję się w pokruszone resztki. Nie wie, że to nie był mój jedyny keylogger, a ja nie mogę dopuścić, żeby zauważył. Will pada z powrotem na łóżko i wzdycha.

– Ale brawo, że próbowałaś. Przynajmniej miałem trochę rozrywki.

– To wszystko...? Tym dla ciebie byłam? – wykrztuszam. – Rozrywką? Nic z tego, co nas łączyło, ani razu nie stało się dlatego, że mnie lubiłeś?

– Nie zrozum mnie źle. Bardzo cię lubiłem. – Uśmiecha się. – Myślałem, że wiesz.

– Ale... Nie można kogoś lubić i go wyzywać. Nie można kogoś lubić i go...

– Tak? – dopytuje. – No dalej, dokończ.

Zaczerpuję tchu, głęboko. Wypełniam płuca siłą, zapachem Jacka, wspomnieniami jego śmiechu i jego dłoni, żartami Diany i

Yvette, uśmiechem Kayli przez ły. Patrzą w ciemne oczy Willa, a on podtrzymuje spojrzenie.

– Nie można kogoś lubić i go zgwałcić.

Szeroko otwiera oczy i powtarza szeptem:

– Zgwałcić? Myślisz... Myślisz, że to był gwałt? Boże, nie! Ja tylko chciałem uprawiać z tobą seks! Bo tak bardzo cię lubiłem!

Chciałabym zamknąć oczy, żeby wyprzeć wspomnienia, ale zmuszam się do wpatrywania się w niego bez mrugnięcia, do patrzenia na przestrzał.

– Mówiłam ci, żebyś przestał. Kilka razy powtórzyłam to wyraźnie.

– Tak. Mówiłaś. Ale wiesz, dziewczyny są dziwne, nigdy nie mówią, czego naprawdę chcą. A ja wiedziałem, czego chciałaś. Snułaś się za mną jak wygłodzony kundel żebrzący o resztki. Byłaś głupią małą dziewczynką, która ciągle zmieniała zdanie i nie wiedziała, czego chce, więc po prostu ci pomogłem.

Ostatnie słowa zmieniają się w syk, gniew w nim buzuje. Oto prawdziwy on, ten, którego ukrywa za fałszywymi uśmiechami.

– Nie byłam głupia – odpowiadam powoli. – Po prostu cię nie chciałam.

Podrywa się w jednej chwili, jakby go coś wystrzeliło z łóżka.

– Chciałaś.

– Nie, nie chciałam.

Will nie panuje nad sobą. Zwykle zakrywa twarz jedwabistym woalem i liczy, że nikt nie będzie wnikał. Ale ja wnikałam jak nikt. Uderzyłam go tam, gdzie najbardziej boli, prosto w ego, a jego przystojna twarz wykrzywia się w potwornym grymasie i wygląda jak gargulec, prastary wampir.

– Ty pierdolona szmato! – Wali pięścią w biurko. Komputer podskakuje i grzechocze. – Byłaś grubą, pieprzoną tłustą suką!

Miałaś szczęście, że pozwoliłem ci za sobą łązić! A jeszcze większe, że chciałem dotknąć twojego tłustego, cuchnącego cielska! Nikt inny nie chciał. I nikt nie chce. Nawet ten pierdolony śliczny chłopczyk. Pieprzy cię, bo mu cię żal. Widzi, jaka jesteś żałosna i brzydka i się nad tobą lituje. Jesteś idiotką, skoro myślisz, że cię chce. Akurat ciebie, ze wszystkich dziewczyn!

Siedzę bez ruchu i wpatruję się w jego twarz, nie odrywam od niej wzroku. Zawsze uciekałam, bo bałam się, że jego oczy obudzą wspomnienia. Ale teraz Will zbliża do mnie opętaną furią czerwoną twarz i tylko tyle mogę zrobić, żeby nie wyskoczyć przez otwarte okno, byle dalej od niego.

– Ja cię miałem pierwszy! – Aż w nim kipi. – Dostał mój złom, wyrzygany posiłek, moje pierdolone śmieci! Jesteś niczym. Beze mnie jesteś niczym. Dzięki mnie miałaś przyjaciół, popularność, ja cię, kurwa, nauczyłem palić, pić, kraść i nie być pieprzoną, żalosną ofiarą. Jesteś moja! Jesteś moja, a dla wszystkich innych jesteś pustą, bezużyteczną suką. Pierdolonym. Nędznym. Śmieciem.

Z każdym jego słowem coś głęboko we mnie wyrywa się na wolność. Było twarde i poczerniałe jak zaschnięta strużka żywicy na pniu drzewa, ale teraz zsuwa się kawałek po kawałku. Will się śmieje jak szaleniec.

– Podobało ci się to. Wiem, kurwa, że ci się podobało.

Wtedy to coś się odrywa, odpada od kory mojego wnętrza i ulatuje przez czubek głowy, a ja czuję się lekka i wyczerpana jednocześnie.

Cokolwiek Will robił w moich wspomnieniach, cokolwiek uczynił mojej przyszłości, to wszystko nagle rozluźnia uścisk i wzlatuje w powietrze. Ot tak. Wszystko naraz, po niekończących

się latach bólu.

– Nigdy mnie nie kochałeś – mówię ochrypłym głosem. – A ja nie mogłam tego znieść.

– Nienawidzisz mnie. – Szczerzy się jak opętany. – Zawsze będziesz mnie nienawidzić. I zawsze będziesz o mnie myśleć, nieważne, gdzie się znajdziesz.

– Nie, po prostu jest mi ciebie żal. – Wstaję i wzdycham. – Wyjdę stąd i nigdy już o tobie nie pomyślę.

To się dzieje tak szybko, że tracę równowagę i upadam na podłogę. Rzuca się na mnie i przyciska kolanami. Przerazenie paraliżuje mi plecy, kręgosłup i twarz jak lodowate pazury potwora zbudowanego z żyletek.

– Puść mnie! – wrzeszczę. – Spierdalaj!

– Myślisz, że jesteś lepsza? – cedzi, a jego ślina wpada mi do oczu. Chwyta mnie za ręce i przyciska do podłogi. – Myślisz, że masz prawo mnie żałować? Ja ci pokażę, co to znaczy żałować. Będziesz żałować tak, że ci się odechce...

Spluwam mu w twarz. Ślina ląduje na jego brwi i spływa mu do oka. Przez ułamek sekundy wygląda na przerażonego, ale potem daje mi kopniaka kolanem w żebra. Krzyczę, usiłuję się wyrwać i uderzyć go, ale nie mam czym, bo swoim ciężkim, opętanym cielskiem unieruchamia mnie całą.

To się stanie jeszcze raz.

To się stanie jeszcze raz.

To się stanie jeszcze raz, a ja nic na to nie poradzę.

Nie.

NIE.

Mogę go powstrzymać. Muszę to powstrzymać raz na zawsze!

Wykręcam się i kopię go mocno, trafiając stopą w obrzydliwe, miękkie ciało między jego nogami. Will wyje i zsuwa się ze mnie.

Nie do końca, bo jest na tyle uparty, że nadal leży, ale wystarczy, żebym kopnęła go jeszcze raz jak kleszcza, którym jest, i podbiegła do wyłącznika światła.

– Nie! – piszczy, ale w pokoju zapada całkowita ciemność. Jedyne światło pada z latarni za oknem, a on gramoli się na łóżko i siada w tym małym jaśniejszym kwadracie.

– Ty szmato! – rzuca i cały się trzęsie. – Ty pierdolona pizdo! Zabiję cię, jak cię znajdę. Jeśli się do mnie zbliżysz, zabiję cię!

Trzymam się nisko, na ugiętych nogach, skradam się jak lampart. Sytuacja się odwróciła. To ja jestem drapieżnikiem, dziczą czającą się w ciemności i wykorzystującą jego koszmary. Otwieram drzwi, na wypadek gdybym musiała uciekać. Ale coś czuję, że nie będzie potrzeby. Jest przerażony, słyszę po głosie. Mam przewagę i upajam się nią, uśmiecham się z satysfakcją i z trudem tłumię śmiech.

– Jesteś żaloszny – mówię. Will od razu rzuca się w kierunku, z którego dochodzi mój głos, ale się usuwam, a gdy zaciska palce w powietrzu, cofa się i kuli w plamie światła. – Jesteś obrzydliwy.

Znów uskakuję, a on dziko młóci rękami w pustce po mnie.

– Pieprz się! – wrzeszczy.

– Żal mi ciebie, bo nigdy się nie dowiesz, jak to jest być kochanym. – Śmieję się ponuro i ochryple. – Tatuś cię nie nauczył. Pokazał ci coś przeciwnego. A biorąc pod uwagę twoją podłą naturę, nikt na świecie tego nie zmieni.

– Zamknij się! Stul tę pieprzoną gębę!

– Zgnijesz od środka – szepczę. – Będziesz się zawsze bał ciemności, tej prawdziwej, tej, którą masz w sobie. Zostanie tam na zawsze. Nikomu nie będzie na tobie zależało na tyle, żeby ją z ciebie wyrwać. I ty sam nie będziesz dla siebie tak ważny, żeby to zrobić. Ale mnie na sobie zależało. Przez wiele lat próbowałam i

wreszcie się udało. Mogę cię zostawić w przeszłości. – Widzę przez mrok, że się krzywi, i się uśmiecham. – Więc tak, podsumowując, żal mi ciebie, Will.

Drzwi za moimi plecami się otwierają i wlewa się światło z korytarza. Do pokoju wpada Jack, wściekły i bez tchu, ocenia sytuację, podbiega do mnie i bierze mnie w ramiona.

– Za długo nie przychodziłaś. Dotknął cię? – Obejmuje moją twarz dłońmi i przygląda się uważnie i badawczo, jak lekarz.

– Nie. – Uśmiecham się do niego. – A w każdym razie nie bardzo.

Jack się spina, a jego oczy lodowacieją do najniższej polarnej temperatury, jaką w nich dotąd widziałam. Gdy jego wzrok spoczywa na Willu, w pokoju robi się przenikliwie zimno. On wpatruje się w drzwi za naszymi plecami, a potem rzuca się w ich stronę, ale nie zachodzi daleko, bo Jack go łapie i dwie sekundy później przyciska do podłogi. Rękę wykręca mu za plecami, a wrzaski Willa roznoszą się echem.

– Pieprz się! Puść mnie, gnoju!

Jack się rozgląda, a potem staje na ręce Willa i używając go jak podnóżka, sięga do lampy na suficie. Wykręca żarówkę, a potem ciska nią o ścianę. Kawałki szkła rozpryskują się wkoło.

– Isis? – mówi Jack spokojnie. – Lampka.

Posłusznie przechodzę nad Willem, ociągając się trochę, żeby lekko nastąpić mu na twarz. On klnie, ale po chwili przeklina jeszcze głośniejszym głosem, bo wyciągam wtyczkę z gniazdka. Już mam cisnąć lampką o ścianę, ale Jack mnie powstrzymuje.

– Nie. Łóżko. Ja go przytrzymam. Przywiąż go kablem.

– Nie! Kurwa, kurwa, nie! Nie możecie! Nie możecie mi tego zrobić! Isis, nie pozwól mu!

Ignoruję te błagania, a Jack przekłada jego ramiona tak, żeby

obejmowały metalową nogę ramy wpuszczonej w podłogę. Oplatałem jego ręce dwa razy, a Jack trzeci, sprawdzając supeł.

– Zacznie świtać za jakieś siedem godzin – ocenia. – Na pewno damy radę namówić twojego współlokatora na spędzenie nocy w jakimś miłszym, cichszym miejscu.

– Okno – rzucam swobodnie. – Trzeba zasłonić okno.

– Nie!

– Wiesz co? Dobry pomysł. – Jack się uśmiecha, ściąga z łóżka koc i zarzuca na karnisz, odcinając cały dopływ światła z zewnątrz.

– Isis! Isis, błagam! – dyszy Will. Po twarzy płyną mu łzy, z nosa ciekną gluty. – Nie możesz tego zrobić! Ja cię lubiłem! Zależało mi na tobie...!

Jack wymierza mu cios tak mocny, że słyszę trzask pękającej kości. Potem nachyla się, podnosi Willa za kołnierz i cedzi mu w twarz:

– Już nigdy się do niej nie odezwiesz.

– Isis, pro...

Odwracam się, żeby uniknąć widoku drugiego ciosu, ale potem patrzę, bo mi się należy. Krew z nosa płynie mu po brodzie i ustach, a on dyszy. Czoło ma spocone, jego twarz wyraża paniczny strach, gdy razem z Jackiem zbieramy się do wyjścia.

– A, miałam ci powiedzieć coś zabawnego! – Śmieję się. – Ten keylogger, który zniszczyłeś, co nie? Był lipny. Wycięłam go z puszek po coli. Naprawdę myślałeś, że jestem aż tak głupia, żeby przyjść z jednym? Ten prawdziwy zamontowałam od razu, gdy zamykałeś drzwi. Ciekawe, ile godzin im potrzeba, żeby się dowiedzieć, jakie paskudne rzeczy robiłeś na tym komputerze. Pewnie więcej niż tobie zajmie czekanie na świt.

– Nie! Nie!

– Aha, jeszcze te wrzaski – stwierdza Jack. Grzebie w stojącej niedaleko komodzie i wyjmuję koszulę. – Mam czynić honory?

– Ja to zrobię – odpowiadam. Rozrywam miękką bawełnę i podchodzę do tego żalostnego chłopaka, którego kiedyś kochałam. Will jęczy, ale strach przed kolejnym ciosem powstrzymuje go od mówienia.

– Powiedz mi – proszę, kucając na jego poziomie. – Dlaczego mnie skrzywdziłeś?

Patrzy na Jacka, którego twarz nic nie wyraża. Próbuje się uśmiechnąć.

– Nie skrzywdziłem cię! Ja cię lubiłem! Myślałem, że o tym wiesz.

Szamocze się słabo, gdy wtykam mu materiał do ust. Nie do gardła, bo nie chcę go zabić. Myślałam, że chcę, ale jednak nie. Chcę, żeby żył. Żeby bał się ciemności tak jak ja dotąd. Tylko że on będzie to robił do końca życia.

Wracam do Jacka, Will stłumionym głosem krzyczy coś po raz ostatni, a potem zamykam drzwi i pochłania go całkowita ciemność.

Udaje mi się znaleźć Dianę i Yvette, zanim zbliżą się do alarmu pożarowego. Jestem zbyt wyczerpana, żeby kogokolwiek szukać, więc biorą na siebie odnalezienie współlokatora Willa, myszowatego chłopaka w wielkich okularach, a potem mówią mi, co się stało. On wzdycha z ulgą, mówi, że nienawidzi Willa, i dziękuje nam, że go wykończyliśmy. Zostaje na noc w pokoju Diany, a dziewczyny, bardzo zaciekawione, zostają z nim. Ja jestem za bardzo zmęczona, żeby cię czymkolwiek interesować.

Jack prowadzi mnie do mojego pokoju i kładzie się ze mną na łóżku.

Ja płaczę, on gładzi moją twarz i ręce i czeka.

Rozdział 17

dwa lata później

Stwierdziłam, że słońce chce mnie wykończyć.

Wiele rzeczy może mnie wykończyć: rak, animowane dinozaury i ogólnie śmierć. Ale z wszystkich złowrogich i niebezpiecznych zjawisk na świecie słońce jest najgorsze. Dobrze, dzięki niemu rośnie jedzenie i jest nam ciepło w naszej kolebce zawieszanej w niekończącej się czasoprzestrzeni, więc wmawia nam, że powinniśmy być mu wdzięczni, ale naprawdę trudno jest być wdzięcznym za coś, co oślepia człowieka radosnym ostrzem promieni UV.

– Uch. – Przekręcam się na ręczniku plażowym. – Możesz wyluzować chociaż na pięć minut?

Błyskotliwie odrzuca moją propozycję. Upijam łyk różowego jak Barbie drinka ze szklanki w dziwacznym kształcie i udaję, że słońce nie istnieje.

– Gdzie, do diabła... – Udaje mi się wreszcie namacać okulary i wkładam je na nos. – Ach, ulga! Jak słodko, jak chwilowo, jak Gucci.

– *Madmoiselle!* – rozlega się głos. Jęczę i podnoszę się, żeby ujrzeć Gregory'ego mknącego ku mnie po piasku. Chociaż mieszkańcy wiosek na południu Francji są przyzwyczajeni do

jaskrawych i kolorowych śródziemnomorskich ubrań, na jego obrzydliwą zielono-pomarańczową hawajską koszulę gapią się z niesmakiem. Kiedy mówiliśmy „wpadnij, do nas, odpoczniesz”, nie doczytał chyba dopisku, że nie widzimy się na tropikalnej wyspie.

– Zęby bolą, jak się na ciebie patrzy – marudzę. Gregory wybuchając śmiechem i podaje mi rękę, a potem zerka na mój biały kostium z nisko wyciętym tyłem.

– A na ciebie wręcz przeciwnie, *madame*.

– O nie! – protestuję i się podnoszę. – Nie, nie, nie, spójrz na te uda! Jestem stanowczo za młoda na *madame*. Spróbuj znowu za jakieś siedem tysięcy lat.

Chichocze.

– Niech będzie. Chodźmy, przysłał mnie po ciebie, a jest wściekły jak pieprzona osa, nie wiem czemu.

– Wściekły? Jack? – Unoszę brew, a potem zbieram swój ręcznik i drinka, wkładam sandały i człapię po piasku za Gregorym. – Czy mówimy o tej samej istocie ludzkiej, z którą pozostaję w regularnych bezpośrednich kontaktach?

– Teżę samej!

– Zamierzasz go znowu zatrudnić? Powiedz, że tak, proszę! Chcę znów dostać te obłędne małe czekoladki z Paryża, pragnę ich całym moim małym, durnym serduszkiem!

– Bóg jeden wie, że na nie zasługujesz, znosząc go przez cały czas – rzuca Gregory. – Ostatnio jest nieznośny. Oczywiście tego nie widzę, ale przecież są mejle.

– Och, wiem. – Kiwam głową. – Widziałam je. Ciągłe tylko jęczysz i jęczysz, żeby wrócił do Vorteksu.

Gregory się śmieje.

– A dziwisz mi się? W końcu to Jack!

– W końcu to Jack – przyznaję mu rację. – Dlatego właśnie odszedł. Jak pewnie wiesz, nauczanie to znacznie bardziej opłacalna ścieżka kariery.

Oczy Gregory’ego marszczą się w kącikach i wygląda, jakby był ojcem Jacka.

– Będzie dobrym nauczycielem. A to spojrzenie mordercy? Jego uczniowie będą chodzili jak w zegarku.

Wychodzimy na wąską ulicę, która dzieli wioskę na pół. Pierwszy raz przyjechaliśmy tu z Jackiem dwa lata temu, a w końcu zostaliśmy na stałe, ale mieszkańcy wciąż traktują amerykańską parę z nieufnością. Ale zdobędę ich! Albo zadręcę. Zależy, co się trafi pierwsze. Macham do mijanych akurat sąsiadów tak radośnie, jak tylko mogę.

– *Bonjour! François! La bouche un petite chienne!* Cholera, nie wygląda na zadowolonego.

– Bo to nie brzmiało najlepiej – zapewnia Gregory i burczy jakieś *pardon* w kierunku urażonych przechodniów. Ja natomiast dziarsko wkraczam na brukowaną drogę. Wioska jest malutka, dzieciaki z deskami do surfowania lawirują wśród jadących na rowerach albo idących zbyt wolno dorosłych. Dwóch staruszków w czapkach z daszkiem gra w szachy i pije wino, chroniąc się pod dachem kwaciarni.

Wioska się kończy, a razem z nią bruk, który zastępuje polna droga. Po obu jej stronach kołyszą się wysokie letnie trawy. Zbieram żółte, purpurowe i białe kwiaty, a jedna pszczoła walczy ze mną o wyjątkowo piękny pomarańczowy pąk.

– Idź sobie! – Przeganiem ją. – Masz tu tysiące innych, możesz sobie pozwolić na przekazanie jednego na rzecz przedstawiciela żalosnej ludzkości!

Gregory znów chichocze, a potem wpatruje się w morze i małe

domki, które mijamy.

– Będę tęsknił za tym miasteczkiem. Wybraliście chyba najlepsze na świecie miejsce do osiedlenia się.

– Ej! Nikt się nigdzie nie osiedla! W przyszłym roku lecimy do Kambodży.

– A co złego w osiedlaniu?

– To, że oznacza minivana i niemowlęce rzygi. Za to bazę mają podróżnicy najwyższej klasy. Po Grecji wracamy do Ohio.

– Taki jest plan?

– Tak. – Kopię przed sobą kamyk.

– Tęsknisz za rodziną? – pyta łagodnie, a ja kiwam głową.

– Na początku przez dwa tygodnie mieszkaliśmy z moją mamą i planowaliśmy. Teraz często gadamy przez Skype’a, ale dobrze będzie zobaczyć się z nią twarzą w twarz. I z resztą jej ciała.

Gregory wybuchła śmiechem. Przyglądam się mieszkańcom wioski i dają się zahipnotyzować ich tanecznym ruchom. Dzień po konfrontacji z Willem wyrzucili mnie ze studiów. Nawet nie musiał im pokazywać nagrania, na którym masakruję gabinet profesora. Sama im powiedziałam. Może chciałam, żeby mnie wyrzucili. A może po prostu zależało mi, żeby pozamykać wszystkie sprawy.

Uściskałam Dianę i Yvette, obiecałam, że będziemy w kontakcie, potem się spakowałam i razem z Jackiem ruszyliśmy do Northplains, do mojej mamy. Następne dwa tygodnie wspominam jako najlepsze w moim życiu. Spędzaliśmy razem dużo czasu, graliśmy w gry planszowe, byliśmy w zoo i gotowaliśmy wspólnie pyszne rzeczy. Byłam tak szczęśliwa, że kiedy dowiedzieliśmy się o aresztowaniu Willa, najwyżej mrugnęłam powieką. Ale jednak mrugnęłam. Dostał siedem lat za współpracę z organizacją przestępczą i wtedy słyszałam o nim

po raz ostatni.

Vanessa też się już więcej nie odezwała. Ale cztery dni po tamtym wieczorze dostałam mejla od kogoś przedstawiającego się jako jej „przyjaciel”. Napisał, że wszystkie nagrania z Jackiem i Sophią zostały zniszczone. Łatwo było lekceważyć obietnicę Vanessy. Ale gdy w wiadomościach tak szybko pojawiły się wieści o aresztowaniu Willa, wiedziałam, że nie zostawiłaby tej sprawy niedokończonych. Ja zrobiłam dobrze jej, ona mnie.

Gdy powiedziałam Jackowi, przytulił mnie bardzo mocno, bez słowa.

Wkrótce potem odszedł z Vorteksu. Charlie przyjechał do mojego domu, walił w drzwi i domagał się, żeby Jack wrócił, bynajmniej nie dlatego, żeby jakoś wyjątkowo go lubił. Jack do niego wyszedł, pogadali i w końcu Charlie odjechał, a jego nastroszone włosy lekko przyklapły, tak był rozczarowany. Później przyjechał Gregory i przekazał Jackowi jego część honorarium za zlecenie Vanessy. Wystarczyło na podróż. Jack chciał wyjechać, a ja chciałam znaleźć się gdziekolwiek, byle nie w Ohio.

Ale najpierw musieliśmy się pożegnać.

Kayla i Wren nie mogli przyjechać, więc postanowiliśmy zrobić przesiadkę w Bostonie i stamtąd lecieć do Europy. Polało się wiele łez szczęścia, wiele włosów zostało poczochranych i złożono liczne obietnice bycia w kontakcie. Które są dotrzymywane, codziennie, dzięki łączu internetowemu i mimo licznych stref czasowych.

Ale pożegnania zaczęły się przed wejściem do samolotu.

Pożegnałam się z mamą w jedyny sposób, jaki znam, czyli łzami, przytulaniem, buziakami w policzek i przysięgami, że wrócę. Mama śmiała się, też mnie przytulała i przekonywała, że

świetnie da sobie radę sama. Dzwonimy do siebie codziennie, czasem rozmawiamy na Skypie i w ten sposób poznałam Harolda, okrągłego, pyzatego mężczyznę o ciepłym uśmiechu i nieodzownej wełnianej kamizeli, który traktuje mamę jak najcenniejszy kryształ i królową z diamentów. Nie sądziłam, że po doświadczeniach z Leem będzie jeszcze tak szczęśliwa, jaka się teraz wydaje, ale nie zmienia to faktu, że po powrocie do Ohio sprawdzę tego Harolda. Nie, żebym mu nie ufała. Po prostu nie ufam nikomu. Ale tymczasem wydaje się w porządku.

Potem odwiedziliśmy mamę Jacka. Pani Hunter otworzyła drzwi pokryta plamami farby i jak zwykle z rozczochranym koczkim, a na widok Jacka wypuściła słoik z brudną od pędzli wodą, rzuciła mu się w ramiona i łkała. Oczywiście najpierw do niej zadzwonił, ale i tak widziała go pierwszy raz, odkąd wyjechał po pogrzebie Sophii. Ja sprzątałam odłamki szkła, a Jack z nią siedział, bo szlochała. Kiedy się uspokoiła, zaprosiła nas na herbatę, a Jack opowiedział, dokąd się wybieramy. Próbowiła nas ubłagać, żebyśmy zostali i mieszkali u niej, ale udało nam się ją przekonać, że potrzebujemy odpoczynku. Potem, zanim wyszliśmy, odciągnęła mnie na bok i dziękowała, że go znalazłam i że z nim jestem, a moje serce topiło się jak wosk, gdy mnie przytulała. Kazała mi też przysiąc, że Jack będzie dzwonił co najmniej dwa razy w tygodniu, dałam jej słowo harcerza.

Następnie pojechaliśmy do Avery. Wielki dom był lodowaty, pełen marmurów i białych ścian bez tapet, obrazów czy choćby plam. Jej rodziców nie było, pracowali w Columbus, ale zastaliśmy samą Avery. Zeszła na dół i na nasz widok zamarła. Tak też toczyła się rozmowa: ja i Jack w korytarzu, ona na schodach. Nie wyglądała tak źle, jak na rozdaniu świadectw,

trochę przytyła, a na policzki wróciły ślady koloru. Włosy miała wściekle rude, jak zawsze, a może nawet bardziej. Ale oczy pozostały niespokojne i wciąż wydawała się zbyt drobna. Nie odzywała się w ogóle, bez względu na to, co myśmy mówili.

– Isis! – zawołała, gdy już wychodziliśmy. Odwróciłam się i zobaczyłam ją na najniższym stopniu. Nigdy nie widziałam jej tak szczerzej i prostolinijnej. – Bawcie się dobrze – powiedziała i wbiła we mnie zielone oczy. Nie uśmiechała się ani nie krzywiła. To „bawcie się dobrze” oznaczało też „uważajcie na siebie” oraz „dziękuję”, ale zamaskowała te słowa jak nóż pod nogawką spodni, w ten typowy dla niej sposób. Wiedziałam o tym i ona to wiedziała, więc się uśmiechnęłam.

– Tak jest, Avery Bobavery.

Kolejny przystanek był u Beliny. Musieliśmy wręcz siłą odmawiać zaproszenia na pysznie pachnący obiad. Uściskała Jacka na pożegnanie i objęła jego twarz dłońmi, jakby był jej dzieckiem, a potem powiedziała coś po hiszpańsku, ale nie zrozumiałam.

Później, w samochodzie, powiedział, że to znaczyło, żeby był szczęśliwy i miał dobre życie.

A na koniec nastąpiło najtrudniejsze pożegnanie.

Odwiedziliśmy po raz ostatni grób Tallie i urządziliśmy piknik. Mieliśmy kanapki i wino, a ja nalałam mały kubeczek lemoniady i postawiłam na jej grobie. Rozmawialiśmy o tym, jaka była słodka i jak mogła wyrosnąć, na ile różnych sposobów. Powinno być smutno czy jakoś, ale nie mogliśmy przestać się uśmiechać. Gdy słońce schowało się za jeziorem, spakowaliśmy się, a Jack sięgnął po wyblakły biały krzyż, oznaczający miejsce jej spoczynku.

– Co robisz? – spytałam. Jack popatrzył na krzyżyk, a potem

podniósł na mnie łagodne oczy.

– Powinny być razem – odparł po prostu.

– Nie możemy złożyć szkieletu noworodka na jej grobie. Zainteresuje się tym policja.

– Tak, masz rację. Ale możemy wziąć resztę.

Zabraliśmy więc krzyż. Przy grobie Sophii było cicho, na cmentarzu panowały pustki, a złoty zachód słońca nadawał okolicy metaliczną barwę.

Najpierw ja z nią rozmawiałam, sama. Wydawało nam się, że wspólne odwiedziny byłyby nie w porządku, więc się rozdzieliliśmy. Opowiedziałam Sophii o tym, co się działo w college’u, od paskudnego jedzenia, przez zajęcia, po Yvette, Dianę i Willa. Mówiłam wszystko, jak wtedy w szpitalu. Chciałaby wiedzieć. Sama nie mogła iść na studia, więc chętnie by posłuchała.

Jack siedział przy grobie znacznie dłużej, a ja oparłam się o drzewo dobry kawałek dalej, żeby zapewnić mu prywatność. Klęczał dwie godziny, czasem poruszając ustami. Nie wiem, co mówił, ale było to coś osobistego i ważnego. Wiedziałam, bo zaciskał pięści.

W końcu rozluźnił dłonie, wrócił do mnie, wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy na lotnisko.

Tak głęboko się zatopiłam we wspomnieniach, że nie zauważyłam, jak Gregory wyprowadził mnie z wioski, i że idziemy teraz polną drogą wiodącą do naszego domku.

Głęboko wciągnął świeże powietrze.

– Jak się tu w ogóle masz? Uczysz się języka?

– Mają tu miód, chleb i owoce jesienią, a ja nie jestem w stanie powiedzieć słowa po francusku, ale mój chłopak umie. – Mlaskam z niezadowoleniem. – Chłopak. Co za dziwne słowo.

Powinnam znaleźć inne. Może książkę? Nie, zbyt królewsko. Druga połowa? Nie, też nie, tak byle jak. Może Misio-Pysio? – Milknę i odwracam się do Gregory’ego. – Chyba mamy zwycięzcę!

– To brzmi jak nazwa egzotycznej choroby. – Wzdycha.

– Właśnie! A nie słyszałeś? Miłość jest chorobą, a jedynym lekarstwem jest śmierć. I smutne piosenki o rozstaniach.

Kręci głową. Dalej idziemy w milczeniu. Ja podskakuję, on trzyma się cienia dębów. Mijamy kolejne gospodarstwo z białego kamienia, z drewnem i psami goniącymi gęsi.

– Słyszałem – zaczyna Gregory – że pewna zabawna, śliczna dziewczyna ma internetowy program poradniczy w pewnej tubie. I coś o tym, że jakaś stacja telewizyjna się za nią ugania. I o kontrakcie.

Macham ręką.

– To nic takiego, serio. Po prostu ludzie lubią patrzeć, jak się miotam i gadam dziwne rzeczy. W sumie na tym polega moje życie. Lubią więc patrzeć na moje życie. Nie tak źle jak na dziewczynę, która wyleciała ze studiów za znieważenie profesora, nie?

– Ale zarabiasz dość, żeby się tu utrzymać – naciska.

– Tak. Chociaż Jack trochę pomaga. Troszeczkę.

Wymieniamy znaczące spojrzenia. Oboje wiemy, że Jack pomaga bardzo. Ostatnia wypłata Gregory’ego wystarczyła nam na prawie dwa lata. A teraz zdobywa uprawnienia nauczyciela na pobliskim francuskim uniwersytecie i wszystko się trochę zmieni. Będzie chciał wrócić do pracy. Zamierza uczyć przedmiotów ścisłych. W co trudno mi uwierzyć, bo wiem, że jest matolem. Byстрыm matolem. Ale jednak matolem.

– Jest twoim matolem – poprawia Gregory moje prowadzone

na głos rozważania, a ja przewracam oczami i wbiegam do naszego domu.

W sumie trudno nazwać to domem, to raczej zrujnowana chata stojąca obok drzewa brzoskwiniowego. Ściany są z białego kamienia wzmocnionego drewnem. Okna trochę się wypaczyły i w zimie nie trzymają ciepła, ale tym zajmuje się nasz piecyk, a dach nigdy nie przecieka, a takie drobiazgi się liczą. Ważne są naprawdę ważne sprawy, jak na przykład wielka wanna ze szponiastymi nogami i tłusty szary kot o imieniu Oolong, który siedzi na parapecie i grzeje się w słońcu. Gdy wpadam do domu, Oolong podnosi głowę i rzuca mi przeciągłe i onieśmialające spojrzenie, ale zaraz potem mruczy i wraca do spania.

– Impreza przyjechała! – obwieszczam swój powrót, rzucam ręcznik na oparcie fotela i zaglądam do kuchni. Na parapecie nad zardzewiałym zlewem leżą wypolerowane przez morze szkiełka i muszle. Kubki po porannej kawie jeszcze stoją na blacie obok pozostałości po smażeniu gofrów. Nurkuję w lodówce, a Gregory sadza zmęczony tyłek na kuchennym krześle, które głośno protestuje.

– Chcesz mleka? Świeże, prosto od krowy z naprzeciwka. Albo... O! Jest wino z wczorajszej kolacji.

– Wystarczy woda – przekonuje. Nalewam mu szklanę i zaglądam do salonu. Mój laptop i kamera, których używam przy nagrywaniu filmików, leżą na brzydkiej, ale poniekąd uroczej kanapie. Piec jest zimny, bo rozpalamy w nim tylko w najchłodniejsze noce, ale stos drewna sięga wysoko. Jack musiał uzupełnić zapasy.

Skradam się na palcach do sypialni. Drzwi są otwarte, a duże łóżko w mosiężnej ramie jest nadal niepościelone i wygląda tak, jak je zostawiliśmy rano. Jack siedzi przy biurku przy oknie

wychodzącym na morze i rozmawia z kimś na Skypie. Rozczochrane jasne włosy łapią promienie słońca, a we flanelowej koszuli jego plecy wydają się jeszcze szersze, nie mam jednak czasu się nad tym roztkliwiać, bo w tej samej chwili zauważam, z kim rozmawia.

– ...ale gdybym ją zapytał i...

– Wren! – krzyczę, rzucam się naprzód i zawisam Jackowi na ramieniu. – Proszę, proszę! Nie wierzę, że kończysz studia przed czasem, głąbie! Chociaż, cholera, chyba nie mogę już tak do ciebie mówić, prawda? Będziesz miał dyplom uniwersytetu!

Wren ma okulary zsunięte na czubek nosa, ciemny zarost i się śmieje.

– Jak dla mnie możesz nadal to mówić! – oświadcza Kayla z za jego pleców. – I tak w ogóle, to cześć. Piękna opalenizna.

– Cześć, najdroższa! – ćwierkam do niej. – Kopę lat!

– Isis, rozmawialiśmy wczoraj wieczorem.

– Toteż właśnie mówię! Wracajcie! Tęsknię za wami, dom za wami tęskni, a już na pewno ten cuchnący kocur – jęczę. Jack wyciąga rękę i głaszcze mnie po plecach, a drugą klika coś myszką.

– No dobra, będziemy lecieć – oznajmia.

– Jasne. Pogadamy później. – Wren uśmiecha się tajemniczo.

– Powodzenia! – Kayla promienieje. Jack coś burczy i szybko zamyka laptop.

– Hej, marudo, czemu się tak krzywisz? Czekał, nie mów! Oolong zrobił kupę na łóżko!

Jack wzdycha i obejmuje mnie w pasie, a potem do siebie przyciąga.

– Eeee, znowu zjadł twój żel do włosów?

– Nie – mruczy Jack i wtula głowę w zagłębienie mojej szyi, a

potem obwąchuje moje włosy. – Pachniesz morzem.

– Pachnę pytaniami! – poprawiam go i odwracam do niego twarz. – Czym się stresujesz? Od kilku dni taki jesteś. Za każdym razem, jak cię przyłapuję na Skypie z Wrenem, od razu kończysz rozmowę. Wymieniacie się filmami porno? Powiesz, czy chodzi o pornosy? Zostałam wdową?

– Wszedł w okres dojrzewania! – woła z kuchni Gregory.

– Zamknij się! – krzyczy Jack przez ramię, a potem szybko dodaje: – Proszę.

Śmiech Gregory'ego słychać w całym domu, a ja się śmieję razem z nim, ale Jack przytula mnie mocno i wtedy wiem, że stało się naprawdę coś złego.

– Ej, ty. – Odsuwam się i ujmuję jego twarz w dłonie. – Jeśli mi natychmiast nie powiesz, umrę. A potem odleczę. Albo odwrotnie, bo chyba martwe istoty nie latają. Chyba że to zombi łamane przez anioły, ale jestem prawie pewna, że nie kwalifikuję się jako an...

Jack przysuwa usta do mojego ucha.

– Wyjdź za mnie.

Zamieram i po całym ciele szaleją mi dreszcze jak lodowate igły.

– C-co?

– Nie każ mi mówić dwa razy.

– Jack, co ci odbiło?

– Wyjdź za mnie – powtarza. – Wyjdź za mnie. Chcę, żebyś była moją żoną. I żebyś... I żebyś była moja.

– Jestem twoja, idioto. – Całuję go w szyję.

– Wiem. Ale chcę, żeby wszyscy wiedzieli. Żeby twoi rodzice przyjechali i moja mama, i Wren i Kayla, Diana i Yvette, i Charlie...

– Myślisz, że by przyjechał?

Jack się śmieje.

– Jasne. Może nie jest zbyt wylewny, ale mnie lubi. Tak myślę. Przyjedzie z babcią. Będziesz nią zachwycona. Jest znacznie miłsza niż on. Chcę, żeby wszyscy tu z nami byli i widzieli, jacy jesteśmy szczęśliwi, i świętowali z nami, i chcę cię zobaczyć w białej sukni, jak się śmiejesz i kroisz tort i jesteś szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Zastanawiam się. Małżeństwo to nie byle co. To upragnione zakończenie baśni dla każdej bohaterki hollywoodzkiego filmu. Frazes. Ja sprzed dwóch lat tylko bym wywróciła oczami. Ale jeśli się pod wizję pana młodego podstawia Jacka, okazuje się, że nie jest tak źle. Robi się fajnie i ciekawie. Spędzenie z nim reszty życia jest całkiem miłą perspektywą.

– Nie widziałaś swoich rodziców od stu lat – kontynuuje Jack. – A ja nie widziałem mamy. Wyobraź sobie ten dom pełen ludzi...

– Którzy śpią gdzie? Na stole?

– Wyobraź sobie motel pełen ludzi – poprawia się. – Wszystkich ludzi, których kochasz. Mogłabyś ich oprowadzić, moglibyśmy iść na plażę i zrobić pokaz fajerwerków, a ty upiekłabyś najlepszy tort w historii ludzkości.

– Każdy tort, jaki robię, jest najlepszym w historii ludzkości – oznajmiam wyniośle. Łaskocze mnie w brzuch, a ja chichoczę i się wyrywam, ale on mi nie pozwala.

– A ty zostałabyś... Isis Hunter. Kurczę, gdybyś chciała. Ja przecież nie mam nic przeciwko życiu takiemu jak teraz, ale pomyślałem... No nie wiem, pomyślałem po prostu...

Całuję go, a potem popycham na łóżko i siadam mu na brzuchu.

– No dobra. Powiedzmy, że za ciebie wychodzę. Co z tego

mam?

– Oddam ci się – odpowiada z poważną miną.

– Już jesteś całkiem oddany – prychem i całuję go w szczękę, a potem zjeżdżam na obojczyk.

– Będę cię bronił. Na ile taka piekielnica jak ty w ogóle potrzebuje ochrony.

Śmieję się prosto w jego pierś i zjeżdżam niżej.

– Będę twój – dodaje – pod każdym względem.

Całuję pasek jego dżinsów.

– Już jesteś mój.

Podciąga mnie do góry i całuje gorączkowo i namiętnie, a potem przewraca na plecy i wciska w poduszkę, lekko kęsając w ucho.

– W takim razie to nic takiego. Jeszcze tylko głupia biała kiecka, tort i nasze rodziny.

– Po prostu chcesz mnie zobaczyć w sukni ślubnej! – parskam. Wtedy przygląda mi się od stóp do głów i uśmiecha się łobuzersko, lekko strzelając gumką białego kostiumu.

– A czy możemy mnie winić?

– Winię cię o wszystko. O głód na świecie, o Ronalda Reagana, Lady Gagę... – ostro wciągam powietrze, gdy wciska mi kolano między nogi – ...oraz o to, że zaraz stracę rozum.

Wybucham śmiechem, tak czystym i prawdziwym, że mam ochotę go pocałować jeszcze raz, a potem znowu. Na zawsze. Ale on zamyka usta.

– Czyli odmawiasz?

Oplatam go ramionami za szyję i przyciągam.

– Za kogo ty mnie masz? Nazywam się Isis Blake i próbuję wszystkiego raz. Albo cztery razy. Jeśli jest wystarczająco tanie i dość dobre... – Wpatruje się we mnie poważnie i znacząco, więc

przestaję żartować. – Będę zaszczycona, mogąc spróbować
małżeństwa z tobą...

Jack się uśmiecha.

– ...ty wielki, głupi idioto.

Bonus

Całkiem nowa scena
z całkiem nowego punktu widzenia!

Nożownik

Minęły dwa lata, a Isis nadal nazywa mnie Nożownikiem.

Wszyscy, którzy to słyszą, lekko się wzdrygają i patrzą na nią, jakby pytali: „Nie wiesz, jak on ma na imię czy co?” Zawsze mam ochotę ich zapewnić, że wie, oczywiście. W końcu przysłała mi zaproszenie na swój ślub. Jak inaczej bym się tu znalazł, na wielkiej łące, we francuskiej wsi, wystrojony w za duży smoking?

Wszyscy siedzą na chwiejnych plastikowych krzesłach ogrodowych, mają na sobie najlepsze ubrania, a z nieba pada drobny deszcz. Ale chyba nikomu to nie przeszkadza. Mama Isis uśmiecha się od ucha do ucha, ale jej taty nie ma. Powinien siedzieć obok niej, ale zdaje się, że Isis nie pozwoliła mu zabrać jego nowej żony i dzieci, więc odmówił przyjazdu. Chyba jej ojciec może być jeszcze większym dupkiem niż mój, a to już coś. Zamiast taty Isis obok jej mamy siedzi mama Jacka. Trzymają się za ręce i z załzawionymi oczami wyczekują dalszego ciągu. Dalej są Kayla i Wren. Wyglądają dokładnie tak samo jak w liceum, no może są trochę wyżsi. Szepczą coś do siebie w wielkich emocjach,

Wyobraźcie sobie: najgorętsza laska w szkole spotyka się z najnudniejszym kujonem i nie dzieje się to w hollywoodzkim filmie!

A na dodatek, choć wydaje się to niewiarygodne, jest też Avery. Avery, mordercza gwiazda, sadystka zamaskowana Balenciagą!

Pamiętam, jak w klasie maturalnej wróciła do szkoły. Nie było jej przez kilka miesięcy i zobaczyliśmy ją dopiero na rozdaniu świadectw. Jakież problemy psychiczne czy co? Nie wiem. Ale to dziwne, widzieć ją tu, bez cienia makijażu, z naturalnymi, rozpuszczonymi włosami i w sukience, która na pewno nie ma metki znanego projektanta. Kiedyś krzywiła się na widok wszystkich, jakby to była jej zasadnicza reakcja na widok niżej postawionych, ale teraz jej twarz jest... łagodna. Rozgląda się po łące i patrzy na ludzi, jakby ich widziała pierwszy raz w życiu. Kiedy przypadkiem spotkaliśmy się wzrokiem, skinąłem głową. A potem opadła mi szczęka, bo ona się do mnie uśmiechnęła. Tylko trochę, ale za to szczerze, i aż nie mogłem uwierzyć, że to ta sama panna, która bezlitośnie gnoić prawie wszystkich, których znałem. W życiu bym nie pomyślał, że ktoś tak rozpuszczony i podły może się zmienić na lepsze. Głowę bym dał, że zawsze będzie suką. Ale może się myliłem.

Może ludzie naprawdę się zmieniają.

Za Avery siedzą dwie laski, których nie znam, jedna wystylizowana na gotkę, druga niska i śliczna. Co chwilę się całują i bawią się swoimi włosami. Isis powiedziała, że poznała je na studiach czy coś. Nie pamiętam imion. Przedstawiała mnie też pani, która siedzi na końcu rzędu: to jej ciocia Beth. Chyba ona ją wychowała. Przyglądam się kolorowym szalom, którymi jest poowijana i nagle rozumiem, po kim Isis jest tak ostentacyjna we wszystkim.

„Ksiądz” nie jest tak naprawdę księdzem. To wielki facet z siwymi włosami i w tweedowym garniturze. Chyba był szefem Jacka albo co, ale ma też uprawnienia do udzielania ślubów. Patrzy gdzieś nad moją głową i oczy mu rozbłyskują, stąd wiem, że wreszcie są.

Wszyscy się odwracamy, żeby spojrzeć na Jacka i Isis idących wąskim przejściem między naszymi krzesłami. Jack wygląda cholernie przystojnie w czarnym smokingu. Życie jest niesprawiedliwe: tacy kołesie wyglądają z wiekiem coraz lepiej. Ale ten Jack się nie krzywi jak tamten, którego znałem ze szkoły. Jest szczęśliwy. Widywałem go dosyć zadowolonego, kiedy walczyli z Isis, ale teraz? To jakby porównywać pączek do rozwiniętej róży. Wydaje się prawie rozpromieniony. Co oczywiście trudno stwierdzić, bo zawsze jest bardzo cichy i powściągliwy, ale jego uśmiech mówi wszystko. Jack Hunter, jak raz, jest absolutnie szczęśliwy. Nie sądziłem, że dożyję tego dnia.

Za to Isis zawsze była i nadal jest jego przeciwieństwem, zdaje się, że z trudem się pohamowuje, żeby nie podskakiwać. Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu, jak ją widzę. Zawsze tak na mnie działała. W sumie na wszystkich. Nieważne, co czuje, jest w tym tak bezpośrednia, że w końcu wszyscy czują to samo. Podryguje, jakby nie mogła opanować rozpierającej ją energii. Nie ubrała się w żadną wielką ślubną suknię, nie ma falbanek ani koronek, to prosta biała letnia sukienka. Pasuje do niej. Isis jest dokładnie taka, na jaką wygląda. Włosy spięła w długi kucyk, a w dłoni ściska mały bukiet dzikich kwiatów, jakie rosną tu wszędzie wkoło.

Gdy idą w stronę urzędnika, nie mogą oderwać od siebie wzroku. To znaczy, Isis oczywiście może, bo jak wariatka macha do przyjaciół i rodziny, a zaraz potem uśmiecha się do Jacka. Ale on? Ani na moment nie odrywa oczu od jej twarzy.

Zatrzymują się przed mężczyzną w tweedzie, a on się do nich uśmiecha i gada to co zwykle, że w zdrowiu i w chorobie i takie tam. Isis prosi, żeby się pospieszył, bo w domu jest tort, który zapowiada się pysznie, a on się śmieje. Jak przekonuje, że tort nie

ucieknie. Isis używa tortu jako wymówki, ale wiem, że chce nas wszystkich jak najszybciej zabrać z deszczu. Udaje bezczelną, ale nikomu tak na nas nie zależy, jak jej.

Facet w tweedzie kończy słowami: „Możesz pocałować pannę młodą”. Nachylają się do siebie. Isis jest tak czerwona, jakby mieli się całować pierwszy raz. W końcu ich usta się spotykają, a goście gwizdzą i klaszczą. Nawet Avery składa dłonie.

Gdy chaos się uspokaja, Isis prowadzi nas przez łąkę do domu, gdzie jest ciepło. Wyciąga skądś ręczniki i upiera się, że mamy się wszyscy powycierać. Gromadzimy się w salonie, a w końcu Jack przynosi tort: wielką biszkoptową wieżę w najkoszmarniejszej polewie lukrowej, jaką w życiu widziałem. Ktoś lukrował z taką siłą, że powyrywał całe kawały ciasta, a dwie figurki, jedna z brązowymi oczami, a druga z niebieskimi, wbite są po pas w najwyższą warstwę. Isis zapewnia, że chociaż nie wygląda zachęcająco, sama go piekła i „obiecuje, że będzie pyszne albo zwrot pieniędzy gwarantowany”. Wszyscy się śmieją, a Jack kręci głową, ale też się śmieje.

Ciepłe oczy Isis odnajdują mnie w tłumie. Podbiega i ciągnie mnie do tortu. Wciska mi coś zimnego do ręki. Patrzę w dół. To nóż.

– Uczynisz honory, Nożowniku? – pyta.

– Spoko. – Kiwam głową i już mam wbijać ostrze w ciasto, kiedy Kayla odzywa się:

– Ej, chwilę! Nie możesz tak po prostu pokroić! Musisz najpierw coś powiedzieć!

– Ale co? – burczę. – Nie jestem dobry w przemawianiu. To działka Isis.

– Wystarczy jedno słowo – zapewnia Jack.

– Mogą być dwa, jeśli będziesz wyjątkowo hojny – podpuszcza

mnie Isis. Wzdycham i zaczynam się zastanawiać, a w pokoju zapada ogłuszająca cisza. Patrzę na Isis, potem na Jacka, a potem się rozglądam. To jakieś szaleństwo. Że tu jestem, z nimi, na ich ślubie. Życie zmienia się tak szybko i tak dziwnie. Ale nie mam cienia wątpliwości, że Isis i Jack dadzą radę.

Patrzę na nich i uśmiecham się szeroko.

– Dacie radę.

To niewiele. Nigdy nie byłem wirtuozem słowa i nie umiem mówić odpowiednich rzeczy w odpowiednim czasie. Przez sekundę czuję się głupio, że to powiedziałem. Ale potem dostrzegam, że pierś Jacka wypina się z czymś na kształt dumy albo wdzięczności. Isis ma mokre oczy, ale w ten specjalny sposób, jak ludzie, kiedy są bliscy płaczu ze szczęścia.

Podnoszę nóż i wbijam go w tort, a wszyscy zaczynają wiwatować.

Podziękowania

Pisałam dla Was tę trylogię prosto z serca. A tak naprawdę dla siebie z czasów liceum, dla dziewczyny, która miała wszystkiego dość i była zmęczona światem oraz ludźmi. Która powoli, ale zdecydowanie uczyła się na nowo, że życie może być piękne. Isis jest mną z przeszłości, a ją i Jacka kocham miłością absolutną. Dziękuję, że śledziliście ich historię. Jeśli Wam też się podobała, wiem, że zostalibyśmy przyjaciółmi. W takim razie napijmy się, ja stawiam!

Podobno napisanie książki to jedna z najtrudniejszych rzeczy w życiu. I tak faktycznie jest. Ale idzie znacznie łatwiej, gdy się ma tak doskonałą pomoc. Dziękuję bardzo Stacy Abrams i Lydii Sharp za nieustrudzone wysiłki i nadzwyczajną wnikliwość. Dzięki Wam ta książka jest sto razy lepsza. Całej ekipie z wydawnictwa Entangled dziękuję za całego serca. Tyle zrobiliście dla mnie i tej historii!

Internetowej społeczności, blogerom książkowym i bibliotekarzom chciałabym przekazać, że dają czadu. I niech dają dalej, aż skruszą wszystkie mury na świecie i zrobimy na ich okrucinach wielką imprezę plażową. Zasłużyliście! Pracujecie bardzo ciężko za tak niewiele, mnóstwo czytacie, choć mało kto Wam za to dziękuje, macie oczy i uszy otwarte, żeby nie przegapić żadnej opowieści. Nigdy nie zdołam wyrazić wdzięczności za

Wasze recenzje i wsparcie. Niech Bóg Wam błogosławi, na całego!
A wreszcie, to nic, że na samym końcu, dziękuję Jackowi i Isis.
To była cudowna podróż, a ja będę przy Was na zawsze, a w
każdym razie do momentu, gdy ze starości stracę rozum.
Uśmiecham się do Was jak trochę nienormalna, ale bardzo dobrze
życząca matka chrzestna. Kocham Was. Życie dobrze. Życie
szczęśliwie.